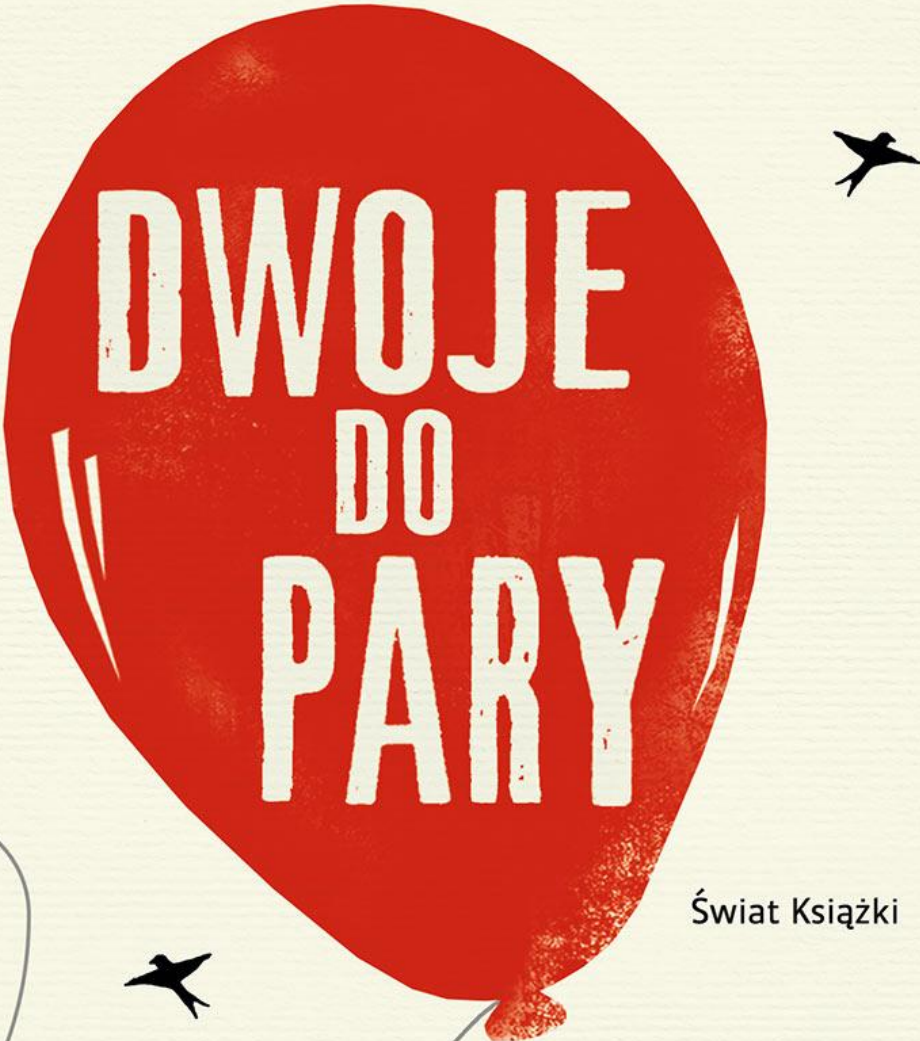


Książka dla fanów *Jednego dnia* i *Projektu Rosie*



DWOJE DO PARY

Świat Książki

Zakochać się
jest łatwo;
ważne, co stanie się
potem...

ANDY JONES

Spis treści

Karta tytułowa Karta redakcyjna Prolog Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3
Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10
Rozdział 11 Rozdział 12 Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział 15 Rozdział 16
Rozdział 17 Rozdział 18 Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział 21 Rozdział 22
Rozdział 23 Rozdział 24 Rozdział 25 Rozdział 26 Rozdział 27 Rozdział 28
Rozdział 29 Rozdział 30 Rozdział 31 Rozdział 32 Rozdział 33 Rozdział 34
Rozdział 35 Rozdział 36 Rozdział 37 Rozdział 38 Rozdział 39 Rozdział 40 Epilog
Podziękowania

ANDY JONES



DWOJE DO PARY

Z angielskiego przełożyła
Grażyna Woźniak


Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału
THE TWO OF US

Wydawca
Magdalena Hildebrand

Redaktor prowadzący
Katarzyna Krawczyk

Redakcja
Krystyna Śliwa

Korekta
Anna Sidorek
Jadwiga Piller

© 2015 by Andy Jones
Copyright © for the Polish translation by Grażyna Woźniak 2017

Wszystkie postaci w tej książce, wyjąwszy osoby publiczne, są fikcyjne.
Jakikolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żyjących czy zmarłych – jest
całkowicie przypadkowe.

Świat Książki
Warszawa 2017

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Łamanie
Piotr Trzebiecki

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o., sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91

e-mail: hurt@olesiejuk.pl tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-380-4

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

*Moim rodzicom, Dorothy i Chrisowi,
za wszystko*

Prolog

Ludzie często pytają: Od jak dawna jesteście razem? Jak się poznaliście?

Siedzisz przy stoliku, buzując uczuciem, z którego istnienia dopiero co zdałeś sobie sprawę (czy to naprawdę już? zdążyłem się zakochać?), wybuchasz zbyt głośnym śmiechem i całujesz swoją dziewczynę bardziej entuzjastycznie, niż to wypada w cichym podmiejskim zajeździe, dopóki ktoś nie wygłosi uwagi w rodzaju: Odklej się od niej! Wynajmijcie sobie pokój! Urocza z was para!

Ukradkiem podgryzasz płatek ucha swojej nowej dziewczyny, gdy nagle słyszysz: Wiesz, że podają tu chipsy? Na wypadek gdybyś był głodny. Odwracasz się i przepraszasz korpulentną kobietę w średnim wieku, siedzącą przy sąsiednim stoliku. Ta w odpowiedzi wybucha serdecznym śmiechem, przysuwa krzesło do waszego stolika i w tym momencie pada sakramentalne:

– No to jak się poznaliście, gołąbeczki?

Przez ostatni tydzień zostaliśmy wypytni o szczegóły naszego romansu przy co najmniej kilku różnych okazjach. Z każdą odpowiedzią coraz bardziej oddalaliśmy się od prawdy: Pracujemy razem. Randka w ciemno. Przyszedł do mojego salonu obciąć sobie włosy. Należymy do tego samego klubu książki. Jednak teraz Ivy, rozochociona winem i znużona odpowiadaniem wciąż na to samo pytanie, nachyla się w stronę kobiety i wyjaśnia konspiracyjnym szeptem:

– To okropne, ale jestem najlepszą przyjaciółką jego żony. – Kładzie rękę na mojej dłoni. – Wygląda pani na światową kobietę, więc mnie pani zrozumie. Czasami po prostu nie sposób się opanować, wie pani, co mam na myśli?

Kobieta – rumiana na twarzy, emanująca ciepłym zapachem sera i cebuli – kiwa głową.

– No cóż, w takim razie życzę wam miłego... wieczoru – mówi, przysuwając się z powrotem do swojego stolika.

Prawda o naszym związku jest zbyt skomplikowana, żeby dzielić się z nią z nieznajomą w podmiejskim zajeździe, kiedy masz ochotę dopić drinka i iść na górę do pokoju. Poza tym kwestia tego, jak się poznaliśmy, jest czysto akademicka. Nie pytasz przecież, skąd się wziął deszcz – po prostu zachwycasz się tęczą.

Ludzie mówią o chemii i może tym właśnie jest miłość: czymś molekularnym, przekazywalnym, genetycznym. Niezależnie od mechanizmu Ivy miała w sobie to coś, co natychmiast kazało mi NIE iść z nią do łóżka. Czy będąc zimnym draniem, można obdarzyć damę lepszym komplementem? Nie ma to co prawda dużego znaczenia, ale w tamtym czasie nie szukałem związku wymagającego ode mnie czegoś więcej niż tylko higieny osobistej i dyskrecji. Pół

roku wcześniej zerwałem z dziewczyną, byłem młody, wolny i... No cóż, powiedzmy, że skakałem z kwiatka na kwiatek. A później w moim życiu zjawiała się Ivy, dziewczyna o surowym, niewymuszonym pięknie, ciągnąc za sobą smugę feromonów, nonszalancji i poczucia humoru.

Ale to też bez znaczenia. Ważne, że w ogóle się spotkaliśmy. A najważniejsze jest to, co wydarzyło się później.

Rozdział 1

Jest ostatni tydzień sierpnia, skóra piecze mnie od słońca, a Ivy właśnie skręca w ulicę, przy której dorastałem, i jedzie w kierunku domu, w którym mieszkałem niemal od dnia narodzin.

Kiedy w samochodzie gra radio, Ivy śpiewa do wtóru. A gdy jest ono wyłączone, Ivy gwizdże i robi to kiepsko. Tym razem już prawie rozpoznaję melodię, ale nie do końca. Lewa strona twarzy Ivy jest naznaczona bliznami po wypadku z dzieciństwa. Blizny zdążyły co prawda wyblaknąć, ale nadal widać nierówności na skórze, które dodatkowo wydłużają się i pogłębiają, kiedy Ivy gwizdże. Nie wiem, czy ma to jakikolwiek wpływ na samo gwizdanie, ale sądząc po tym, jak śpiewa, słoń nadepnął jej na ucho, z czego Ivy nie zdaje sobie sprawy. Jesteśmy razem prawie trzy tygodnie, więc to trochę za wcześnie na spisanie listy „rzeczy, które najbardziej lubię w swojej dziewczynie”, ale gdybym miał to zrobić, beztrioskie i fałszywe pogwizdywanie znalazłoby się w pierwszej jedenastce. A skoro już mowa o kolejności robienia różnych rzeczy, jest też trochę za wcześnie na poznawanie swoich rodzin. Mimo to od startu dzieli nas mniej niż minuta.

– Przygotuj się – mówię.

– Hm? – mruczy pytająco Ivy.

– Moja rodzina jest trochę... no wiesz.

– Nie martw się. Robiłam to już wcześniej. Całkiem często. Setki razy. – Uśmiecha się pod nosem.

– Zabawne. Zresztą to nie o ciebie się martwię.

Skręcamy za róg i oto wyrasta przed nami dom mojego ojca.

Nigdy nie zwracałem uwagi na wygląd rodzinnego domu: stał tam, odkąd żyję na tym świecie, i przyglądałem mu się nie częściej niż własnym stopom – pewnie nawet rzadziej. Jednak tego dnia, z Ivy u boku, uderza mnie jego zwyczajność, banalność, zauważam wszystkie niedostatki. Domy w stylu wiktoriańskim – takie jak ten, w którym mieszkam w Londynie – szlachetnieją z wiekiem, zyskując charakter i klasę. Domy takie jak mój rodzinny, wybudowane w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, starzeją się jak robotnicy, brzydzący pod wpływem czasu, wysiłku, palenia papierosów i rozczarowania życiem. Być może to nie słońce jest powodem, dla którego piecze mnie skóra, tylko przyczajony pod nią snob. Zerkam na Ivy, która odwzajemnia spojrzenie, unosi brwi i zatrzymuje się przed numerem dziewiętym przy ulicy Rose Park.

Zresztą mniejsza o dom, zaczekajcie, aż pozna moją rodzinę.

Musieli na nas czekać, bo zanim Ivy gasi silnik, przez frontowe drzwi

wyskakuje ojciec, siostra, szwagier i ich córki – bliźniaczki. Macham do nich, szczerząc zęby w uśmiechu, i wypowiadam zza szyby bezgłośnie „cześć”, ale nikt na mnie nie patrzy. Wszyscy ustawiają się w szeregu na środku drogi, obserwując z podekscytowaniem, jak tata otwiera Ivy drzwi, jakby była jakimś dygnitarzem. Bliźniaczki, Imogen i Rosalind, mają po dziesięć lat, można im więc wybaczyć niecierpliwe przebieranie nogami i zapuszczanie żurawia, żeby lepiej się przyjrzeć mojej dziewczynie (muszę przyznać, że przyjemnie jest ją nazywać swoją dziewczyną), ale gdyby zsumować wiek siostry i taty, wyszłoby coś koło setki, a mimo to zachowują się jak potłuczeni. I wtedy uświadamiam sobie, że Ivy gwizdała wcześniej melodię *It must be love*[1].

Ivy wysiada z samochodu i wpada prosto w objęcia taty. Robię przepaszającą minę, kiedy ojciec podrywa ją z ziemi, w odpowiedzi na co Ivy puszcza do mnie oczko albo się krzywi – trudno to stwierdzić, gdyż jej twarz jest przyciśnięta do szyi mojego staruszka.

Wyślizguję się, przez nikogo niezauważony, z samochodu i dochodzę do wniosku, że musiałem jednak źle zinterpretować gwizdanie Ivy. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem przekonany, że chodziło jednak o *House of fun*[2] czy nawet *Embarrassment*[3]. W każdym razie na pewno była to któraś z piosenek zespołu Madness[4].

Zanim komitet powitalny usunął się z ulicy i wszedł do domu, zdążyłem wypakować torby z bagażnika, wejść na górę, wysikać się, nastawić wodę i zaparzyć czajniczek herbaty.

– Herbata gotowa – mówię, kiedy całą ekipą wchodzi do kuchni.

– Mamy jakieś wino? – pyta Maria.

– Szampan chyba będzie OK? – odzywa się tata, otwierając lodówkę z przesadną galanterią.

– A niech mnie – kwituje Ivy.

– No cóż – odpowiada tata – w końcu to specjalna okazja. Podaj kieliszki, synu. – I odprowadza Ivy do salonu.

Maria zostaje, żeby pomóc mi splukać kurz z pięciu kieliszków do szampana.

– Wydaje się miła – stwierdza z ironicznym uśmieszkiem.

– Owszem. Nie ma Hermiony? – zmieniam temat, żeby nie usłyszeć od starszej siostry sarkastycznej uwagi z gatunku: co też ona w tobie widzi?

Maria nie miała jeszcze szesnastu lat, kiedy urodziła moją najstarszą siostrzenicę. Mama zmarła niespełna rok wcześniej i narodziny małej Herms odegrały ważną rolę w naszym procesie wychodzenia z żałoby. Przez pierwszych sześć lat jej życia (zanim Maria poznała i poślubiła Hectora) byłem dla Hermiony bardziej ojcem niż wujkiem. I nawet dekadę później nadal myślę o niej raczej jak o córce niż siostrzenicy.

– Ważna randka – odpowiada Maria.

– Żartujesz? Co to za chłopak?

Maria wzrusza ramionami.

– Na pewno lepszy niż ten ostatni gnojek.

– O to akurat nietrudno. Miałem nadzieję, że z wami przyjedzie.

– Nie umywasz się do jej nowej miłości – zauważa Maria.

– Znam takie, co myślą inaczej – odpowiadam. – Chodźmy wyrwać Ivy ze szponów taty.

Zanim dotarliśmy do salonu, ojciec zdążył wyciągnąć albumy z rodzinnymi zdjęciami. Po raz pierwszy przyprowadziłem do domu dziewczynę – ba! kobietę – i chyba wszyscy za długo czekali, żeby móc zrobić to wszystko, co robi się w podobnych sytuacjach. Sączę więc szampana i znoszę upokorzenie jak mężczyzna, podczas gdy najbliższe mi osoby wyśmiewają moje włosy, ubrania i goły tyłek obfotografowane na przestrzeni lat. Kobieta, która od dziewiętnastu dni jest moją dziewczyną, unosi kieliszek ku mnie, uśmiecha się figlarnie i puszcza do mnie oczko.

Oboje zajmujemy się produkcją filmową (ja – reklamami, ona całą resztą), co oznacza, że zasadniczo jesteśmy wolnymi strzelcami. Przez nasze pierwsze wspólne cztery dni nie opuszczaliśmy mieszkania Ivy. Nie powiedzieliśmy sobie tego wprost, lecz chyba podświadomie doszliśmy do porozumienia, że nie wyjdziemy z domu, dopóki to nie będzie konieczne. Oboje rozumieliśmy (rozumieliśmy również, że każde z nas to rozumie), że kiedy ta bańka pęknie, nie będziemy już mogli wrócić do intymnej i naiwnej zmywy Pierwszych Dni Związku. Kiedy skończyły nam się zapasy jedzenia, piliśmy kawę bez mleka, zeskrobywaliśmy pleśń z resztek chleba i jedliśmy dziurawe tosty. Żywiliśmy się jajkami i herbatnikami, kanapkami z bakła-żanem i majonezem oraz bulionem z kostki. Ivy czytała, a ja oglądałem amerykańskie programy kryminalne na jej badziewnym przenośnym telewizorku; graliśmy w monopoly, scrabble i snapa, upijaliśmy się winem, później wódką i wreszcie butelką na wpół skryształizowanego alkoholu niewiadomego pochodzenia. Naszym jedynym praktycznym zajęciem było zamawianie pizzy. Instynktownie czuliśmy, że dostawca wpasuje się w romantyczny scenariusz tylko wtedy, gdy przyjedzie skuterem, a nie ciężarówką z logo hipermarketu. Otrzeźwienie przyszło pod postacią pracy. Cały piątek Ivy musiała spędzić na planie teledysku. Po drodze podrzuciła mnie – razem z torbą swoich ciuchów – do mojego mieszkania. Na pożegnanie całowaliśmy się z żarliwością zarezerwowaną zwykle dla lotnisk. Przez większość następnego tygodnia pracowaliśmy, ale każdą noc spędzaliśmy razem. Czasem spotykaliśmy się w restauracji, kiedy indziej w łóżku. W naszą drugą wspólnie spędzaną sobotę spakowaliśmy fiata 126 i ruszyliśmy w drogę bez planu i celu, zatrzymując się na noc w New Forest, Cotswolds, Yorkshire Dales i Peak District. Spacerowaliśmy,

jedliśmy, jeździliśmy samochodem i każdego ranka zapominaliśmy o śniadaniu. Wczoraj uświadomiłem sobie, że znajdujemy się mniej niż dwie godziny drogi od domu taty, i byłem w zbyt dobrym nastroju, żeby go nie odwiedzić. W zeszłym tygodniu przejechaliśmy z Ivy ponad osiemset kilometrów – śpiewaliśmy do wtóru radia, Ivy karmiła mnie z tylnego siedzenia M&Ms-ami, a później ja ją skittlesami – ale dzisiejsza podróż była inna. Potrafię nawet wskazać moment, w którym zmieniła się atmosfera między nami.

Zatrzymaliśmy się w małej miejscowości, żeby coś przekąsić i zajrzeć do sklepów; Ivy poszła do Bootsa po „pastę i takie tam”, a ja odwiedziłem lokalny spożywcza. Wróciliśmy do samochodu, Ivy z torbą pełną kosmetyków, ja z siatką z jedzeniem i pobrzękującymi butelkami. Od tego momentu coś... uleciało. Nie wydarzyło się nic szczególnego, lecz Ivy była zdecydowanie przygaszona. Śpiewała z mniejszym zaangażowaniem, nie komentowała widoków za oknem i nie ścisłała mnie za kolano z czułym roztargnieniem, którego tak bardzo łaknąłem. Być może obawiała się spotkania z moją rodziną. Przestałem się temu dziwić, widząc, jak się na nią rzucili.

Tata chce się dowiedzieć, gdzie mieszkają rodzice Ivy, jak mają na imię i czy chodzą do kościoła; Hectora interesuje, czy makijażyści dużo zarabiają, czy Ivy korzysta z usług księgowego, czy ma swoją stronę internetową i czy kiedykolwiek spotkała Madonnę; bliźniaczki wypytyują, czy Ivy ma rodzeństwo, zwierzątko, czy woli psy czy koty, czy chciałaby być syrenką, wróżką czy księżniczką; Maria jest ciekawa, gdzie Ivy kupiła spinki do rękawów, u kogo się strzyże, czy zawsze nosiła długie włosy i co właściwie we mnie widzi?

– Przydadz się na coś – zwraca się do mnie Maria, wymachując pustym kieliszkiem.

Odrzucam głowę do tyłu i wzdycham.

– Dopiero co usiadłem.

– Siedzisz na tyłku od trzech godzin – zauważa tata. – No dalej, rozprostuj nogi.

Robię z siebie widowisko, dźwigając się z kanapy, i wychodzę z pokoju, dysząc i mamrocząc pod nosem. Nie chodzi o to, że odmawiam swojej rodzinie kolejnego drinka czy audycji u Ivy, po prostu moja wiedza na temat ukochanej kobiety wydaje się bardzo skromna i jestem tak samo ciekaw odpowiedzi, jak reszta rodziny. Wiem, że Ivy woli cydr od piwa, uwielbia kurczaka zapiekanego z porem i chrapie, gdy za dużo wypije; wiem, że jej włosy pachną kokosem, a rano cuchnie z ust; wiem, że w wieku ośmiu lat przeleciała przez szklany stolik kawowy i że ze słodyczy najbardziej lubi skittlesy. Jednak o wielu rzeczach nie mam pojęcia – nie znam imienia jej ulubionego Beatlesa, pierwszego zwierzątka, chłopaka i tytułu ulubionej płyty; nie wiem nawet, jak ma na drugie imię, na litość boską! I z jakiegoś dziwnego powodu szczególnie interesuje mnie, co sądzi o wróżkach

i syrenkach.

Kiedy wracam do salonu z butelką winą, wszyscy (nie wyłączając taty i Hectora) z zapartym tchem słuchają wykładu Ivy na temat najlepszego sposobu ostrzenia końcówki eyelinera w kredce.

– O której jemy? – pyta Maria.

– Umieram z głodu – odpowiada Hector.

– Co na obiad? – wtórują mu bliźniaczki.

Wszyscy odwracają się w moją stronę, więc ponownie wychodzę z pokoju, burcząc pod nosem coś na temat niewolnictwa, szczytów bezczelności i niewdzięczności.

Zdażyłem pokroić cztery piersi z kurczaka, trzy cebule, dwie papryczki chili, sześć czerwonych papryk, pół główki czosnku i zjeść przynajmniej jedną trzecią wędzonego chorizo, zanim w kuchni zjawiał się tata.

– Pomóc ci?

– Prawie skończyłem.

– No cóż – odzywa się tato, zaglądając do lodówki. – Sprawileś nam nie lada niespodziankę.

– Mowa.

– Proszę. – Stawia obok deski do krojenia kieliszek wina.

– Zdrowko. – Upijam łyk i kiwam głową w kierunku salonu. – I...?

– Mogłeś trafić gorzej – odpowiada z uśmiechem.

– No tak. Jezu, to mało powiedziane.

Tata przewraca oczami, co świadczy o jego zrezygnowanej, cierpliwej miłości. Uczy religii w szkole, do której chodziłem prawie dwadzieścia lat wcześniej, i uczestniczy w mszy świętej średnio od dwóch do pięciu razy w tygodniu – niewiele mu brakuje do księdza.

– Przepraszam – kajam się.

– Zrób to jeszcze raz, a zacznę się za ciebie modlić.

* * *

Siedzimy łokieć w łokieć wokół stoliczka w jadalni, ale jest to przytulny, intymny ścisk, któremu towarzyszy przegląd starych rodzinnych anegdotek przy kilku butelkach wina. Rozdzielono nas z Ivy, która siedzi teraz wciśnięta pomiędzy tatą i siostrę. Chociaż wolałbym mieć Ivy u swojego boku, a nie po przeciwnej stronie stołu, mogę dzięki temu obserwować, jak zabawia towarzystwo – śmieje się z ich żartów, słucha historyjek i bezlitośnie nabija się ze mnie razem z resztą rodzinki. Moi krewni z kolei upajają się przejawami sympatii ze strony Ivy i walczą o jej uwagę, rywalizując na żarty, przechwałki i ciekawostki. Wyciągam nogę pod stołem i przeciągam ją w górę łydki należącej – jak mi się wydaje – do Ivy. Maria wzdyga się i uderza kolanem w spód stołu tak mocno, że leżące na nim

sztuńce aż podskakują.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz?!

– Złapał mnie skurcz – wyjaśniam, a Maria przygląda mi się tak, jakby patrzyła na wariata.

– Co zrobiłeś? – interesuje się Ivy.

– Nic takiego. Rozciągałem nogę.

Ivy przygląda mi się zmrużonymi oczami.

– Czy ty właśnie... – Przenosi wzrok na Marię. – Czy on... pomiział cię stopą?

Odruchowo spoglądam na tatę, którego nagle zafascynował wzorek na talerzu.

– Co to znaczy „miziac”? – pyta Imogen, starsza od swojej siostry bliźniaczki o dwadzieścia minut i zawsze bardziej ciekawska.

– Nieważne – odpowiada Maria.

– To coś, co robią niegrzeczni chłopcy – wyjaśnia Ivy, za co bliźniaczki nagradzają ją zgodnym chichotem.

– Naciągnąłem sobie mięsień!

– A teraz próbujesz naciągnąć nas – odpowiada Ivy, a Hector niemal klaszcze z uznania dla jej błyskotliwości godnej Oscara Wilde’a.

Przez resztę posiłku trzymam stopy przy sobie i prawie udaje mi się dotrzeć do poobiedniej kawy bez kolejnego krępującego incydentu.

Jemy właśnie deser (w pokoju na krótki moment zapada cisza, gdy wszyscy rozkoszują się sernikiem), kiedy tata ogłasza:

– Williamie, będę dzisiaj nocował w twoim pokoju, a ty i Ivy możecie skorzystać z mojego łóżka.

Moment krępującej ciszy, która zapada po słowach ojca – szczególnie po słowie „skorzystać” – zdaje się trwać w nieskończoność. Ivy, nie wyjmując widelczyka z ust, spogląda na mojego ojca i uśmiecha się, mamrocząc pod nosem: dziękujemy. A może to było: o cholera.

Maria zerka w stronę Ivy z ironicznym uśmieszkiem. Hector spogląda na mnie ze znaczącym grymasem. Patrzę na swój sernik i czuję, że płoną mi policzki.

W drodze tutaj zastanawiałem się nad kwestią noclegu. Tata jest katolicki jak diabli i jedyne podwójne łóżko w tym domu należy do niego, więc pogodziłem się z myślą, że tę noc – pierwszą, odkąd poznaliśmy się z Ivy – spędzę samotnie. Z jednej strony było mi z tego powodu przykro, z drugiej wiedziałem, że ten moment musiał nastąpić wcześniej czy później, poza tym szczerze powiedziawszy, byłem padnięty. Na dodatek takie rozwiązanie pozwoliłoby uniknąć krępujących rozmów z ojcem, takich jak ta.

– Zmieniłem pościel – dodaje tata.

I kiedy nieopatrznie nawiążę z nim kontakt wzrokowy, ten drań puszcza do

mnie oczko. W jego geście nie ma nic lubieżnego; odczytuję go raczej jako wyraz dumy z tego, że wykazał się taką postępowością i cholernie dobrą organizacją. Jednak oczko pozostaje oczkiem i gdybym miał wskazać moment, w którym moje życie seksualne umarło, byłaby to właśnie ta chwila.

Kiedy rozbieramy się do snu, nasze skrępowanie jest wprost namacalne; potykam się przy zdejmowaniu dżinsów, nagle zażenowany swoją błądą, obwisłą nagością, Ivy zaś – pierwszy raz, odkąd jesteśmy razem – wślizguje się do łóżka w majtkach i podkoszulku. Prawdopodobnie zostałem poczęty na tym łóżku i chociaż mam w tej chwili ochotę najwyżej na pocałunek w usta, czuję się nieco urażony założeniem Ivy, że tej nocy nie będziemy robić nic więcej. Poza tym wypilem półtorej butelki wina, więc moje usta wypowiadają komentarz, zanim umysł zdąży go zredagować.

– Coś ty nagle taka nieśmiała? – mówię, leciutko przeciągając głoskę „ś”.

– Jestem zmęczona – odpowiada Ivy. – Jeśli nie masz nic przeciwko.

Jeśli nie mam nic przeciwko?!

Być może jestem bardziej pijany, niż myślałem, bo oto słyszę własne słowa:

– Jak sobie chcesz.

Ich ciężar ciągnie w dół kąci moich ust.

I chociaż nie padło ani jedno oskarżenie, jeszcze nigdy nie byliśmy tak bliscy kłótni. Kiedy wyłączam światło i wdrapuję się na łóżko taty, w sypialni nie ma nawet cienia czułości.

Ivy leży odwrócona do mnie plecami. Próbuję w ciemności namacać jej głowę.

– Dobranoc – mówię, całując ją we włosy.

Ivy wzdycha.

– Dobranoc – odpowiada bardzo, bardzo cicho.

* * *

Nasz poranny pocałunek pozbawiony jest pożądania, iskry, obietnicy... w każdym razie tego czegoś. Nie pomaga też fakt, że mam masakrycznego kaca, chociaż Ivy zdaje się rześka jak skowronek.

Bierze długi prysznic w sąsiadującej z sypialnią łazience, z której wychodzi sucha, ubrana i z włosami zawiniętymi w turban z ręcznika. Uderza mnie brak jej nieskrępowanej nagości. Poza bliznami po lewej stronie twarzy i szyi Ivy ma je również na brzuchu, biodrze, prawym przedramieniu, udzie i piersi. Dotychczas nie przeszkadzało jej to przechadzać się po mieszkaniu nago lub w negliżu: karmiła w ten sposób rybki, parzyła kawę, zajadała płatki. Połowę naszego wspólnego czasu spędziliśmy pewnie na golasa. Teraz więc, gdy widzę Ivy w dżinsach, koszuli i swetrze, razi mnie to jak diabli.

Kiedy wychodzę spod prysznica, Ivy nie ma już w pokoju. Odnajduję ją na

dole, rozmawiającą z tatą, który nieelegancko porozkładał na kuchennym stole trzy kartony soku, wszystkie pudełka płatków śniadaniowych oraz słoiki i tubki wypełnione czymkolwiek jadalnym, co tylko miał w domu. Ojciec próbuje jednocześnie zaparzyć herbatę i posmarować masłem tost, z opłakanym skutkiem.

– Może jednak panu pomogę? – pyta Ivy.

– Mam wszystko pod kontrolą – odpowiada tata, przykrywając wreszcie czajniczek po dwóch nieudanych próbach. – Jaką pijesz herbatę? A niech mnie, miała być kawa, prawda?

– Chętnie napiję się herbaty.

Zamiast pozwolić zaparzyć się herbacie, tata wylewa zawartość czajniczka do zlewu.

– Gapa ze mnie – mówi, klepiąc się w czoło. – Miała być kawa, będzie kawa. Może być rozpuszczalna?

Ivy jest zatwardziałą kawową snobką i wiem, że wolałaby umrzeć z pragnienia, niż wypić rozpuszczalną kawę, więc kiedy odpowiada: „Rozpuszczalna będzie super”, czuję nowy przyływ miłości do niej.

W chwili gdy tata zaczyna wlewać wodę do czajnika, niespodziewanie uruchamia się czujnik dymu, emitując rozdzierająco wysoki dźwięk, po którym mój uporczywy ból głowy w jednej sekundzie zamienia się w potwora o bardzo ostrych kłach. Z tosterka wydobywa się czarny dym, a tata stoi jak wmurowany, przenosząc wzrok z tosterka na alarm, i usiłuje zdecydować, z czym powinien uporać się najpierw. Ściskając w dłoni czajnik, sięga po stojącego obok lodówki mopa i trzy razy tłucze nim w czujnik dymu, dopóki ten nie spada na podłogę w dwóch kawałkach, z których jeden – o dziwo – nadal piszczy (choć już mniej donośnie). Dopiero kiedy tata przydeptuje go nogą, dźwięk zamiera. W tym samym momencie wybucha toster.

Tata uśmiecha się do Ivy jak wariat.

– I tak miałem sobie kupić nowy – stwierdza.

Zbieram z podłogi szczątki czujnika dymu, podczas gdy tata wyjmuje z urządzenia spalony tost i zaczyna zeskrobywać z niego spaleniznę nad zlewem.

– Wcinajcie – mówi, wskazując poczerńiałym nożem stertę pudełek z płatkami, gestem sugerującym, że nie zazna spokoju, dopóki wszystko nie zniknie ze stołu.

Jemy więc śniadanie złożone ze spalonych na węgiel tostów, sypkiego muesli i rozpuszczalnej kawy, a tata wraca do tego, czym zajmował się wieczorem: przesłuchiwanie Ivy i upokarzanie mnie.

Na szczęście Ivy następnego dnia pracuje – czeka ją dwudniowy plan zdjęciowy reklamy niemieckich samochodów – więc przed dziesiątą, zanim tata zdąży zniszczyć kolejne sprzęty gospodarstwa domowego i mój związek z Ivy, jesteśmy znowu w trasie. Ojciec upiera się, że zapakuje nam lunch, i wysyła nas

w drogę z zapasem przejrzałych bananów, gruszek i grubych, zapakowanych w folię kanapek z serem, który pozwoliłby nam przeżyć tydzień. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że jeszcze nie wytrzeźwiałem, więc to Ivy prowadzi, a ja przyciskam głowę do zimnej szyby od strony pasażera, próbując sobie ulżyć w kacu.

Fiat jest prezentem od mojego najlepszego przyjaciela Ela cierpiącego na płasawicę Huntingtona; podarował mi go, kiedy choroba uniemożliwiła mu jazdę samochodem. Naklejka na jednym ze zderzaków zachęca innych kierowców do naciśnięcia na klakson, jeśli „są napaleni”, na tylnym zaś informuje: „homo do szpiku kości – nawet jeździć nie potrafię prosto”. Jadąc na południe autostradą M6, słyszymy więc dźwięki klaksonów, sygnalizatorów powietrznych i gwizdy dobiegające z mijających nas samochodów, furgonetek i osiemnastokołowych ciężarówek. W zeszłym tygodniu wydawało nam się to całkiem zabawne. Dzisiaj już zdecydowanie mniej.

– Ciekawe, czy ci ludzie biorą mnie za kobietę – mówię, kiedy mija nas ford galaxy. Kierowca naciska klakson, a troje roześmianych dzieciaków macha nam przez tylną szybę.

– Niby dlaczego? – dziwi się Ivy bez cienia uśmiechu.

– No wiesz... chodzi o tę naklejkę na zderzaku. – Ivy marszczy brwi. – Ciebie nie sposób pomylić z facetem. – Czekam na uśmiech zrozumienia, ale na próżno. – Skoro więc jesteśmy homo, to ja w tym układzie powinienem być kobietą. – Przeczesauję palcami ostrzyżone na krótko kasztanowe włosy. – Obdarzoną męskim pierwiastkiem.

– Może po prostu biorą nas za parę przyjaciół – odzywa się Ivy.

Przez kolejnych parę kilometrów zastanawiam się, czy przypadkiem jej nie uraziłem. Być może niektóre z najlepszych przyjaciółek Ivy są lesbijkami. Albo ciotka. Nigdy o tym nie wspominała i akurat ten temat nie wypłynął podczas wczorajszego przesłuchania, ale wszystko jest możliwe.

W radiu zaczyna się nowa piosenka: *Could it be magic*[5].

– No więc którego z Beatlesów lubisz najbardziej? – pytam.

Ivy posyła mi zdumione spojrzenie.

– Wiesz, że tę piosenkę śpiewa Take That?

Szczerze powiedziawszy, myślałem, że Boyzone, lecz i tak przytakuje.

– Oczywiście.

Ivy nic nie mówi.

– No więc? – drążę temat.

– Co?

W jej głosie pobrzmiewa nuta rozdrażnionego zniecierpliwienia i teraz wiem już na pewno, że się wkurzyła. Pewnie dlatego, że poprzedniego wieczoru nie okazałem zrozumienia czy coś w tym stylu.

– Beatlesi – rzucam lekko. Dochodzę do wniosku, że zamiast przeproszać za swoje wczorajsze zachowanie (i jednocześnie przypominać o nim Ivy), lepiej pokryć to drobne spięcie pogodną warstewką żartobliwego szczebiotu. – Wolisz Johna, Paula, Ringo czy tego czwartego? – pytam.

– Tego czwartego – odpowiada moja ukochana.

– Micka czy Keefa? – drążę.

– Chyba już wczoraj graliśmy w dwadzieścia pytań?

– Owszem. To znaczy wy graliście, a ja gotowałem obiad. Za to uświadomiłem sobie, ile jeszcze nie wiemy na swój temat. To wszystko.

Ivy zjeżdża na zewnętrzny pas, żeby wyprzedzić konwój samochodów jadących jakieś osiem kilometrów wolniej, niż pozwalają na to przepisy. Dla fiata jest to spory wysiłek, silnik zaczyna stukać, kiedy mijamy kilka samochodów i furgonetek tak wolno, że mógłbym wyciągnąć rękę przez okno i uścisnąć dłoń każdemu z kierowców. Dopiero gdy wracamy na środkowy pas, znowu zaczynam oddychać.

– Przepraszam za wczoraj – mówię, rezygnując z postawy niczego nieświadomego głupka.

– W porządku. Masz uroczą rodzinę.

– Miałem na myśli siebie... Przepraszam za swoje zachowanie.

– W porządku.

Odczekuję trzydzieści sekund, lecz Ivy nie dodaje, że ja też jestem uroczy.

Rzecz jasna nie spieszy mi się, żeby poznać tytuł jej ulubionej piosenki Take That i nie obchodzi mnie, jakie przedmioty wybrała na egzaminie końcowym w szkole średniej ani też jak wabił się jej pierwszy kot. Istnieją jednak inne szczegóły – na swój sposób równie trywialne – których jakoś nie wypada nie znać.

– Nie wiem nawet, kiedy obchodzisz urodziny.

– Dwudziestego dziewiątego października – odpowiada. Na moment zapada cisza. Ivy zerka w bok, wytrzymuje przez sekundę moje spojrzenie i leciutko unosi brew. W kąciку jej ust pojawia się coś na kształt uśmiechu. – W tym roku skończę czterdzieści jeden lat – dodaje, koncentrując wzrok z powrotem na drodze.

Mija nas osiem samochodów, dwie furgonetki i dwie ciężarówki, zanim udaje mi się sformułować odpowiedź.

– Spoko – mówię, jakby zamiast wieku Ivy beztrudno ujawniła jakiś swój imponujący talent czy umiejętność: Kiedyś grałam na gitarze w kapeli heavy-metalowej. Przebiegłam maraton w dwie godziny i pięćdziesiąt osiem minut. Potrafię złożyć kałasznikowa z zamkniętymi oczami. – Spoko.

Jednak w rzeczywistości ta wiadomość mną wstrząsnęła (nie żeby tego ranka było szczególnie trudno naruszyć kruchą równowagę mojej psychiki) i przez kolejnych pięćdziesiąt kilometrów żadne z nas nie odzywa się słowem.

Ivy w tym roku skończy czterdzieści jeden lat, czyli jest ponad dziewięć lat

starsza. Kiedy była w moim wieku, miałem dwadzieścia dwa lata. Kiedy miała dwadzieścia dwa lata, ja byłem trzynastolatkiem. A kiedy ja będę w jej wieku, Ivy stuknie pięćdziesiątka, a to oznacza – jakkolwiek by na to patrzeć – że będzie stara. Wolę nie myśleć, ile lat będzie miała Ivy, kiedy ja dobiję półwiecza; to dobry wiek dla mężczyzny: czas szpakowatych włosów i nie tyle zmarszczek, ile śladów zdobytej w trudzie życiowej mądrości. Na samą myśl o tym przechodzą mnie ciarki. Ivy nie wygląda staro; ma jędrne ciało i gładką skórę, nie licząc miejsc oznaczonych bliznami. Usilnie walczę ze sobą, żeby się nie odwrócić i nie przyjrzeć kąciom jej oczu w poszukiwaniu kurzych łapek. Wmawiam sobie, że wszystko się wyrówna, kiedy stuknie mi osiemdziesiątka. Poza tym kobiety żyją dłużej niż mężczyźni, więc skoro Ivy jest starsza blisko o dekadę, będziemy mieli większe szanse na to, że umrzemy razem, trzymając się za ręce na kanapie przed dogasającym ogniem w kominku naszego domu starców gdzieś na wybrzeżu. To by było na tyle.

Zatrzymujemy się na stacji benzynowej na siku. Ivy długo nie wychodzi z toalety, i już zaczynam się martwić, że ktoś ją porwał albo jakiś przystojny nieznajomy zaproponował podwózkę. Kiedy wreszcie wraca do samochodu, wygląda na jeszcze bardziej przygnębioną niż przez cały ranek. Kupiłem wielką paczkę skitt-lesów, którą teraz jej wręczam, szczerząc zęby jak wiewiórka, lecz Ivy mówi, że kiepsko się czuje, i pyta, czy mógłbym poprowadzić. Robi sobie poduszkę ze złożonej bluzy, odsuwa siedzenie najdalej, jak się da – czyli niezbyt daleko – i zamyka oczy. Pokonujemy kolejne kilometry, mijani przez samochody, motocykle i furgonetki, narażeni na dźwięk klaksonów i widok głupich min pasażerów.

W którym momencie wszystko się popsuło? – bezustannie powtarzam sobie to pytanie. Nasza wieczorna sprzeczka – o ile w ogóle można ją tak nazwać – nie mogła być chyba powodem nagłego wycofania się Ivy. Właśnie spędziłem z nią trzy najbardziej romantyczne, przepełnione miłością, rozkoszne tygodnie w całym moim życiu. Nie rozstawaliśmy się ani na chwilę, zaczęliśmy mówić do siebie per „skarbie”, nie czując się przy tym jak kompletni idioci, kochaliśmy się każdego dnia, przygotowywaliśmy tosty – nago. A teraz... czar prysł. Drzemiący we mnie paranoiczny snob zastanawia się, czy może chodzić o obłazącą farbę na frontowych drzwiach domu taty, tanie meble kuchenne albo poluzowaną deskę sedesową, ale w głębi duszy wiem, że nie. A gdyby nawet, to Ivy nie byłaby osobą, za którą ją uważałem. Może czuje się skrępowana swoim wiekiem albo dopiero co uzmysłowiła sobie, że doprowadzam ją do szału. Być może, patrząc na rozbijającego się po kuchni ojca, dostrzegła w nim przyszłego mnie. Albo po prostu ma zespół napięcia miesięczkowego, a ja tak rozpaczliwie pragnąłbym się dowiedzieć, co ją trapi, że chętnie bym się zapytał. Myślę jednak, że to by jej nie poprawiło humoru.

Po przejechaniu autostrady M25 i wjeździe do Londynu okazuje się, że pochłonąłem całą torbę skittlesów i jest mi niedobrze. Bez zachęty z mojej strony Ivy – jakby wcale nie spała, tylko siedziała bez ruchu z zamkniętymi oczami – prostuje się i rozciąga mięśnie szyi.

– Dzień dobry – szczebiocę radośnie, wbrew samopoczuciu.

– Hej – odpowiada Ivy. Uśmiecha się, ale jakoś bez przekonania.

– U ciebie czy u mnie? – pytam, chociaż wiem, że nie spodoba mi się jej odpowiedź.

Ivy odpowiada, że następnego dnia ma zlecenie, jest zmęczona, musi zrobić pranie, wziąć kąpiel, nakarmić złotą rybkę, i tak dalej.

Jej mieszkanie mieści się vis-à-vis czwartej latarni po lewej, przy wysadzonej drzewami ulicy w dzielnicy Wimbledon. To tutaj pierwszy raz się pocałowaliśmy, w tym samochodzie, obok tej latarni. Jednak iskrzenie, które nam wtedy towarzyszyło, zostało zastąpione teraz przez coś w rodzaju skrępowania. Wsiadam z samochodu i wyjmuję torby Ivy z bagażnika. Bierze walizkę, odrzucając propozycję pomocy, i stoimy niezręcznie na chodniku; Ivy nie zaprasza mnie do środka, a ja nie pytam, czy mogę wejść. Nie posiadam się z oburzenia, które tłumi wszelkie wątpliwości, zostawiając po sobie irytację, rozczarowanie i skrawki urażonej męskiej dumy.

– W takim razie – oznajmiam – chyba będę się zbierał.

Ivy odstawia walizkę na ziemię, przytula mnie bez słowa i całuje w bok szyi. Pocałunek trwa kilka sekund, jakby był na pożegnanie. Przykłada dłoń do mojego policzka, uśmiecha się samymi ustami – jej oczy zachowują poważny wyraz – i mówi:

– Dobrze się bawiłam. Dziękuję.

– Nie ma sprawy – odpowiadam. – Miłej kąpieli.

Całujemy się jeszcze raz, Ivy odwraca się, żeby przejść na drugą stronę ulicy, a ja odjeżdżam, zanim włoży kluczyk do zamka.

1 *It must be love* (ang.) – To musi być miłość.

2 *House of fun* (ang.) – dom wariatów.

3 *Embarrassments* (ang.) – żenada.

4 *Madness* (ang.) – szaleństwo.

5 *Could it be magic* (ang.) – Czyż to nie magiczne?

Rozdział 2

– Wy... Wywal tego ana... annasa.

El nie zawsze potrafi znaleźć odpowiednie słowa, a kiedy już mu się to uda, miewa problemy z ich wypowiedzeniem. To coś znacznie poważniejszego niż jąkanie się. Na jego twarzy maluje się wielki wysiłek, gdy próbuje wydusić z siebie słowo, które stawia mu opór jak przy próbie wydmuchnięcia gęstego syropu przez słomkę. Mimo to dobre maniery nic przecież nie kosztują.

– Magiczne słowo? – mówię.

– P... p... pieprzone proszę.

– Od razu lepiej – odpowiadam, zdejmując cząstki ananasa z jego porcji pizzy.

El szeroko otwiera usta, a ja wsuwam w nie koniuszek złożonego kawałka pizzy. Głowa mu się chwieje, lecz mimo to odgryza jakoś kęs, nie brudząc sobie przy tym jeszcze bardziej już i tak usmarowanej sosem pomidorowym twarzy. Pod sosem kryje się mocna opalenizna, jednak nawet ona nie pozwala stworzyć iluzji zdrowia. El i jego partner, Phil, dwa dni wcześniej wrócili z wakacji w San Francisco. To mało prawdopodobne, żeby stan Ela znacząco się pogorszył podczas wyjazdu, chociaż zauważam u niego częstsze drżenia i problemy z mówieniem.

– Cze... cze... cze...

– Czego? – podpowiadam mu, ale El kręci głową.

– Czem... m...

– Czemu?

El przytakuje.

– Czemu? Czemu p... położyłeś annasa na p... – Wskazuje drżącym palcem na leżącą między nami pizzę.

– To pizza hawajska – wyjaśniam. – Sam ją zamówiłeś.

El wzrusza ramionami.

– Bo ładnie się nazywa.

Jak przystało na najlepszych przyjaciół mieszkających w Londynie w odległości szesnastu kilometrów od siebie, spotykaliśmy się z Elem średnio trzy razy do roku. Jednak nic nie leczy z apatii równie skutecznie jak nieuleczalna choroba. Dlatego mniej więcej dwa lata temu, kiedy choroba Huntingtona zaczęła pożerać Ela, przyjęliśmy zwyczaj spotykania się co wtorek. Na początku chodziliśmy do pubu, ale w miarę jak pogarszał się jego stan, El przestał tolerować alkohol, stracił zahamowania i ogładę. Zmieniliśmy więc pub na restaurację serwującą curry. Przychodziliśmy wczesnym wieczorem, kiedy lokal był pusty,

a El mógł przeklinać, jękać się i upuszczać szklanki bez udziału widowni. Jednak przez ostatnich kilka miesięcy nawet to okazało się dla niego zbyt wyczerpujące, więc została nam pizza i piwo bezalkoholowe w salonie Ela.

Gdzieś tam w moim umyśle El nadal funkcjonuje jako dziesięciolatek, z którym jeździłem na rowerze, nastolatek, od którego kupowałem kradzioną pornografię, i facet, który potrafił mnie rozśmieszyć do łez. Tego dnia mam wrażenie, że wszystko, co popsuło się przez tych kilka lat – pojawienie się ciągłych drżeń, brak koordynacji ruchów, równowagi i empatii, utrata wagi oraz wszystkich niuansów i subtelności, które czyniły go Elem – skumulowało się podczas trzech tygodni, kiedy go nie było. I chociaż wiem, że to niemożliwe, mówię zdecydowanie gorzej. Przed wyjściem do pubu Phil zwierzył się, że coraz częściej musi pomagać Elowi w znalezieniu właściwych słów, sformułowaniu myśli i zrozumieniu wypowiedzi innych ludzi.

Sięgam po kawałek pizzy z czterema serami, składam go na pół i odgryzam kawałek.

– Nadal po... posuwasz tę dz... kobietę – odzywa się El z rozbawieniem, czekając na moją reakcję.

– Nie przypominam sobie, żebym wspominał coś o posuwaniu.

– P... P... Pippa, prawda? Hop na maszt!

– Ivy – mówię, nie drgnąwszy nawet. – Ma na imię Ivy.

– Lu... lu... lubisz ją – zauważa i chociaż tak jak wiele innych osób wypowiedział te słowa, gdy po raz pierwszy usłyszał jej imię, chce mi się śmiać, bo to niezbity dowód, że stary El jest nadal z nami, przynajmniej częściowo.

– K... k... k...

– Kto? Który? Kiedy?

– Kiedy! Kiedy ją poznam?

Dobre pytanie – myślę.

Po tym jak zostawiła mnie ostatnia dziewczyna, Kate, zrobiłem to, co każdy świeżo upokorzony idiota zrobiłby na moim miejscu. Przespałem się z recepcjonistką z biura. Pippa miała tyleż ujmujący, co zabawny zwyczaj szeptania „hop na maszt” za każdym razem, kiedy mnie dosiadała. Czyli całkiem często. I... opowiedziałem o tym Elowi. Wiem, wiem, ale to w końcu mój najlepszy przyjaciel i nie umiałem się powstrzymać. Pokarało mnie za ten długi jęzor, ponieważ jej imię utkwilo tam, gdzie ostało się już niewiele więcej, czyli w umyśle Ela. O ile moja kolejna dziewczyna nie okaże się żeglarką o imieniu Pippa, przedstawienie jej Elowi pewnie będzie błędem.

El nie spuszcza ze mnie pytającego wzroku: no więc?

– Wkrótce.

El mruży oczy.

– Ona... rz... rz... rz...

– Czy możesz to przeliterować? – pytam, przypominając sobie wskazówki Phila dotyczące pobudzania mowy u Ela.

Żyły na wychudzonej szyi Ela napinają się z wysiłku, kiedy szykuje się na kolejną próbę.

– Rz... rz... u...

– Rzu?

El kiwa głową.

– Ccc... – Wykręca szyję w lewą stronę, jego usta poruszają się bezgłośnie, jakby usiłował nimi pochwycić kolejną literę. – I... ł...

– Rzuciła?

El wymachuje dłońmi, zbliżając je do siebie na tyle, że można to uznać za klaśnięcie.

– Rzu... rzuciła cię. Pu... puściła w trąbę. Ha, ha, ha.

– Co w tym zabawnego?

– Chyba nic – odpowiada, nagle poważniejąc. – To raczej smu... smutne, tragiczne, możliwe do prze... prze...

– Przewidzenia?

El kieruje w moją stronę palec jak gospodarz teleturnieju prezentujący zwycięzcę.

– Muszę cię zmartwić – mówię – ale Ivy wcale mnie nie rzuciła.

– Je... je... je...

Wiem, do czego ten skurczybyk zmierza, ale nie zamierzam mu ułatwiać.

– Pieprzyć to – odzywa się El. – Myślisz, że zdo... zdołasz mnie unieść?

Wątpię, żeby osiągnął swój młodzieńczy cel: wzrost metr osiemdziesiąt, a poza tym jeszcze zanim zaczął go toczyć Huntington, był chudy jak szczapa. Pewnie nie waży więcej niż moje dziesięcioletnie siostrzenice.

– Jestem pewien, że mógłbym cię nawet wyrzucić przez okno.

El zastanawia się nad tym przez chwilę.

– By... byle szybko.

Dom, w którym mieszkają El z Philem, ma pięć pięter. Do frontowych drzwi prowadzi kilka wyłożonych terakotą schodków, obok domu znajduje się podjazd i ruchliwa ulica. El ma ochotę zaczerpnąć „ś... świeżego powietrza”, więc znoś go z trzydziestu sześciu stopni i delikatnie sadzam na progu. Okazuje się lżejszy, niż wygląda, ale mięśnie i tak drżą mi z wysiłku.

Po kilku nieudanych próbach El wyciąga z kieszeni paczkę papierosów i zapalniczkę.

– Przy... przypał mi jednego – prosi.

Spełniam jego życzenie i podaję mu tłące się marlboro.

– Ty nie palisz – zauważam.

Wbrew temu, co powiedziałem, El zaciąga się dymem i wydmuchuje go

w moim kierunku. Po ulicy sunie sznur samochodów, więc chmura dymu na twarzy nie robi na mnie większego wrażenia niż smog spowijający nas w ten balsamiczny sierpniowy wieczór.

– A przynajmniej nie paliłeś trzy tygodnie temu.

El zaciąga się jeszcze mocniej, przytrzymuje w płucach smolisty dym, otwiera szeroko oczy, po czym robi zęza. Czekam, aż zzielenieje, zacznie się krztusić i pluć – tak jak to robią na filmach – ale El tylko otwiera usta i wolno wypuszcza ustami dym.

– Ch... chcesz jednego?

– Nie, dziękuję, palenie to paskudny nałóg.

– T... to samo m... mówi Phil. – Uśmiecha się szeroko El. – Ale faktem jest, że z pa... papierosem wyglądasz z... zajeb... biście.

– Co prawda to prawda – przyznaję.

Mimo zanieczyszczonego powietrza przyjemnie jest siedzieć na schodach i obserwować przechodniów i samochody poruszające się w podobnym tempie. El właśnie pali trzeciego papierosa, kiedy zauważamy wracającego do domu Phila. Na nasz widok kręci głową i macha do mnie na przywitanie.

– Dobrze się bawicie, chłopcy? – pyta, wspinając się po schodach.

Cmoka z niezadowoleniem, zbiera rozrzucone przez Ela niedopałki i zawija je w chusteczkę.

– Dziękuję, ko... kochanie – odzywa się El.

– I jest za co – odpowiada Phil, sadowiąc się między nami, i wyciąga mu z ręki papierosa. Zaciąga się, po czym oddaje go Elowi. – Paskudny, pieprzony nałóg.

– Jak w... w... wszystkie, które są c... coś warte – odpowiada El, puszczając do mnie oko.

– Fakt – kwituje jego słowa Phil.

– O co chodzi z tymi papierosami? – dociekam, odganiając dym od twarzy.

Phil wlepia wzrok w ziemię i kręci głową.

– Pamiętacie piosenkę grupy The S... Smiths? – pyta El.

– *Please, please, please, let me get what I want?*[6] – dopytuje złośliwie Phil.

– *Bigmouth strikes again?*[7] – próbuję zgadywać.

– Para pie... pieprzonych klaunów. N... nie. *What D... di... diff...* A niech to szlag!

– Już wiem – odzywa się łagodnie Phil. Zabiera Elowi paczkę marlboro, wyciąga papierosa i ją oddaje. – *What difference does it make?*[8].

Natychmiast pożałowałem, że nie palę.

– Jak było w pubie? – pytam.

– Tłoczno, głośno, a mimo to brakowało atmosfery – odpowiada Phil.

– Trz... trz... trzeba było pójść d... do p... b... pubu dla p... pedałów.

– Poszedłem.

– O... o... o...

– Dobry Boże – nie wytrzymuje Phil. – Jakby nie wystarczyło, że ten gnojek sika co pół minuty. Ale czekanie, aż wydusi z siebie słowo... To gorsze niż stanie przed plutonem egzekucyjnym, który lada chwila pociągnie za spust.

– O... o... – Błysk w oku Ela wskazuje na to (choć w gruncie rzeczy z Elem niczego nie można być pewnym), że cokolwiek zamierza powiedzieć, nie będzie to nic miłego. – Obciągnąłeś kogoś?

– Muszę cię rozczarować, najdroższy. Miałem w ustach jedynie merlota, i to dość podłego.

Ed wzrusza ramionami, nadąsany. Kilka miesięcy temu poświęcił niemało wysiłku, by przekonać Phila do pomysłu znalezienia sobie nowego chłopaka. Poza symptomami fizycznymi choroba Huntingtona wpływa również na charakter i osobowość swoich ofiar, pozbawiając je zdolności logicznego rozumowania i społecznych zahamowań. Jeśli dodać do tego fakt, że El zawsze lubował się w niestosownych zachowaniach, skutki mogą się okazać przykre, komiczne lub mocno krępujące. Jednak za tym, że El wcielił się w rolę swatki, stoi coś więcej niż tylko jego choroba czy paskudny charakter. El rozumie, że umiera i że zanim się to stanie, zmieni się nie do poznania. Problem – jego zdaniem – polega na tym, że być może pożyje kolejnych dziesięć lat, a wtedy Phil będzie już dobrze po pięćdziesiątce. Dlatego też El ucieka się do rozmaitych bezsensownych kroków, takich jak „rzucanie” Phila i zakładanie mu profilów w serwisach randkowych „pó... pó... póki jest dość młody, że... żeby kogoś znaleźć”. Nigdy nie byłem świadkiem bardziej romantycznego gestu.

– F... Fishera rzuciła dz... dziewczyna – oznajmia El.

Phil unosi pytająco brew.

– Wcale nie – odpowiadam.

– Jeszcze – kwituje bez najmniejszego zająknienia El.

6 *Please, please, please, let me get what I want* (ang.) – Proszę, proszę, proszę, daj mi to, czego pragnę.

7 *Bigmouth strikes again* (ang.) – Papla znów w natarciu.

8 *What difference does it make* (ang.) – To i tak bez różnicy.

Rozdział 3

Drzemię na kanapie u Esther, gdy nagle dzwonek komórki brutalnie przywraca mnie do rzeczywistości, a właściwie do serialu *Columbo: sex and the married detective*, bo tylko taką dawkę rzeczywistości jestem w stanie znieść w ten czwartek.

Nie szeregowałem swoich przyjaciół według hierarchii ważności, odkąd ukończyłem drugą klasę liceum, lecz gdybym musiał to zrobić, Esther uplasowałaby się w pierwszej trójce. Jesteśmy sąsiadami – mieszkam piętro wyżej – od ponad pięciu lat, wymieniamy prezenty z okazji Bożego Narodzenia, urodzin i Wielkanocy i mamy podobny gust, jeśli chodzi o programy telewizyjne, co biorąc pod uwagę specyfikę mojej pracy, która pozwala mi gnić przed telewizorem godzinami w środku dnia, jest dość istotne. Ta sześćdziesięcioletnia sąsiadka z dołu nie przepada co prawda za wychodzeniem do pubu, piciem ośmiu browarów i podrywaniem dziewczyn, ale zawsze ma w domu przyzwoity wybór herbatników. Mąż Esther, Nino, w listopadzie przechodzi na emeryturę, wtedy też zamienia hałasy, zapachy i zagrożenia dzielnicy Brixton na spokój włoskiej wsi. Nie sądzę, że zatęsknią za Brixton chociaż przez chwilę. Za to ja będę za nimi tęsknił, w szczególności za Esther, i to bardzo. Gdyby nie ona, w zeszłym tygodniu kompletnie bym oszalał.

Minęło mniej więcej dziewięćdziesiąt sześć godzin, odkąd po raz ostatni widziałem Ivy. Przez ten czas rozmawialiśmy krótko kilka razy i wymieniliśmy parę okazjonalnych SMS-ów, z których dowiedzieliśmy się niewiele więcej ponad to, że niedawno wstaliśmy albo niedługo położymy się spać. Mówię Ivy, że za nią tęsknię, na co ona odpowiada: „ja za tobą też”, lecz bardziej przypomina to wymianę uprzejmości niż stwierdzenie faktu. W poniedziałek i wtorek Ivy pracowała, ale kiedy zaproponowałem spotkanie w środę, „chciała nadrobić zaległości z przyjaciółmi”. Dzisiaj też miała „coś do załatwienia”. Najwyraźniej to coś było dla niej ważniejsze i bardziej kuszące niż ja. Esther dostarczyła mi gorących napojów i mądrych rad, począwszy od tego, że Ivy jest mężatką, a skończywszy na tym, że może akurat mieć okres. Jej ostatnia teoria (oglądaliśmy akurat powtórkę *Tajniaków*) zakładała, że Ivy pracuje dla MI6 („No cóż, złotko, ktoś przecież musi”).

Wyciągam z kieszeni komórkę, która nadal dzwoni. Jakimś cudem wiem, że to Ivy, która chce mi zakomunikować, że z nami koniec. Mówię bezgłośnie do Esther, że to Ivy, chociaż nie odebrałem jeszcze telefonu, więc nie ma powodu, żebym szeptał. Esther wciska pauzę na pilocie i rozpoczyna mozolny proces

dźwigania się z kanapy. Martwię się, że Ivy straci cierpliwość i się rozłączy, więc kładę stopę na szerokim tyłku Esther i popycham ją do pozycji stojącej.

– Dziękuję, złotko – mówi Esther. – I powodzenia.

Odbieram komórkę.

– Witeczka – odzywam się z pełną werwy lekkością, równie sztuczną jak aparat telefoniczny, który trzymam w ręku. – Szczęś-liwego czwartku! – dodaję bez sensu.

– Cześć – odpowiada Ivy.

To pierwszy raz, odkąd Ivy zainicjowała nasz kontakt w ciągu ostatnich czterech dni i sądząc po braku entuzjazmu w jej głosie, jednocześnie ostatnia rzecz, na jaką miała dziś ochotę.

– Jak leci? – pytam.

– Och... no wiesz.

Nie, nie wiem, nie mam bladego, kurwa, pojęcia. A może mam, tylko jestem zbyt tępy, żeby zrozumieć przekaz. Ivy niczego nie wyjaśnia, więc postanawiam to przemilczeć.

– A u nas w Brixton balanga na całego.

– Balanga?

– U Esther – mówię. – *Columbo, Napisała: morderstwo, Quincy* i paczka markiz.

– No tak – odpowiada Ivy.

– Wypiliśmy już pewnie ze dwa i pół litra earl greya – dodaję i na sam dźwięk swojego głosu mam ochotę odgryźć sobie język.

– Co robisz jutro?

– Nic, zupełnie nic.

– Chcesz ze mną zjeść śniadanie? – pyta Ivy.

Moje serce rośnie, rozkwita, wykonuje w piersi zuchwały taniec zwycięstwa.

– Tak – odpowiadam. – No jasne, że tak. U mnie czy u ciebie? Ha, to zabrzmiało trochę... Mogę być u ciebie za mniej niż godzinę, jeśli zaraz wyjdę z domu. Po drodze kupiłbym kieł...

– Nie – przerywa mi Ivy. – Miałam na myśli śniadanie, czyli jutrzejszy ranek.

– No tak... racja.

– Musimy porozmawiać – dodaje i w tym momencie ktoś w mojej klatce piersiowej przecina sznurki podtrzymujące serce, które spada w miejsce tuż za pępkiem, gdzie zalega ciężko jak kamień.

– Tak – odpowiadam. – Wiem.

Umawiamy się w kawiarni w Wimbledonie na dziesiątą trzydzieści. Robi mi się niedobrze.

* * *

Esther proponuje, żebym został na kolacji, ale kiepski byłby ze mnie towarzysz, poza tym i tak nie jestem głodny. Włóczę się więc po swoim mieszkaniu, łączę z kąta w kąt i co jakiś czas przyłapuję się na wyglądaniu przez okno, wpatrywaniu się tępo we własne odbicie w ekranie telewizora i innych tego rodzaju aktach żalostnej melancholii. Przez ostatnich pięć minut siedziałem w nogach łóżka, przyglądając się oprawionemu w ramki plakatowi z Jamesem Bondem (z filmu *Tylko dla twoich oczu*). Pomimo moich tłumaczeń, że był to gwiazdkowy prezent od Esther, Ivy nieźle się z niego nabijała. Wtedy wziąłem to za żartobliwe docinki z gatunku „czyż nie jesteś uroczy”. Ale może naprawdę uznała, że jestem żalostny. Chyba że Ivy faktycznie pracuje dla tajnych służb, bo wtedy ten plakat prawie na pewno wydałby jej się piekielnie zabawny. Ktoś musi przecież pracować dla MI6, a bycie makijażystką stanowiłoby świetną – wprost doskonałą – przykrywkę: pracujesz w ruchomych godzinach, więc nikt nie kwestionuje twojego grafiku, często wyjeżdżasz służbowo za granicę, masz łatwy dostęp do sławnych i bogatych, bez trudu możesz zebrać próbki włosów do badań DNA. Jakby tego było mało, Ivy ma kompletnego bzika na punkcie jogi, co pewnie przydaje się podczas omijania laserowych wiązek chroniących jajka Fabergé, wielkie diamenty i mikrofilmy. Nie zapominajmy też o bliznach – Ivy twierdzi, że upadła na stolik kawowy, lecz kto wie, jak było naprawdę?

Ale jeśli nawet Ivy jest szpiegiem, to w dalszym ciągu może mnie rzucić, prawda, panie Bond?

Masz to jak w banku – odpowiada 007. – Twoja licencja na dobre straciła ważność.

Niezależnie od tego, co mnie czeka podczas jutrzejszego śniadania, przynajmniej będę wiedział, na czym stoję, i przestanę się żalostnie snuć z kąta w kąt.

* * *

Tej nocy kiepsko śpię.

Długo nie mogę zasnąć, a kiedy wreszcie zapadam w sen, śni mi się, że czarne charaktery z Bonda – Scaramanga, Mokra Robota, Blofeld, Buźka – gonią mnie w labiryncie z *Lśnienia*. Pisk-liwa megiera z ukrytym w bucie nożem zbliża się na odległość potrzebną, by wymierzyć mi śmiercionośnego kopniaka, i wtedy budzę się z dudniącym sercem. Wstaję na siusiu, wypijam mniej więcej tyle samo wody, ile właśnie wydalilem, wracam do łóżka, przewracam się z boku na bok przez dwadzieścia minut, by ponownie znaleźć się w labiryncie, uciekając przed tym, co nieuniknione.

O szóstej czterdzieści cztery daję za wygraną, wstaję z łóżka i uważnie przyglądam się swojemu odbiciu w lustrze. Słońce już wstało i obchodzi się ze mną

bezlitośnie. Pod oczami rozlały się głębokie cienie, w lewym oku co jakiś czas pojawia się tik. Około sześciu tygodni temu nie dogadałem się z fryzjerem, który ostrzygł mnie prawie na zapalkę; teraz moje włosy są dostatecznie długie, żeby mogły sterczeć w pięciu różnych kierunkach i oczywiście tak właśnie się zachowują tego ranka. Dodatkowo wyhodowałem sobie nową zmarszczkę na czole. Wyglądam jak łajno.

Spędzam pod prysznicem dużo czasu: czyszczę zęby nicią dentystyczną, szczotkuję je, robię sobie piling, golę się, nawilżam skórę, obcinam paznokcie u rąk i nóg i trzymuję włosy w nosie.

Jest dopiero siódma trzydzieści dwie, a ja już padam z nóg. Kiedy kątem oka zauważam swoje zniekształcone odbicie w boku czajnika, do głowy przychodzi mi określenie „odpicowany pasztet”. Nigdy nie miałem nic przeciwko kawie rozpuszczalnej – spełniała zadanie z nawiązką – lecz po spędzeniu u mnie zaledwie dwóch nocy Ivy pomaszzerowała do sklepu, żeby kupić ekspres i torebkę „porządnej kawy”. O ósmej piętnaście mam w sobie cały dzbanek kawowego naparu, który tylko napędza do działania motyle w brzuchu.

Przymierzam szesnaście wariantów stroju – w zasadzie niczym się od siebie nieróżniących – i w końcu decyduję się na pierwszą koszulę i parę dżinsów, które wyjąłem z szafy. Zakładam najlepsze skarpetki i bokserki, bo taki już ze mnie optymistą. Zresztą po trzech tygodniach wypełnionych po brzegi seksem przeżyłem właśnie sześć dni całkowitej posuchy, więc jeśli istnieje chociaż cień szansy na to, że mi się poszczęści, nie zamierzam jej zaprzepaścić parą workowatych gaci.

Ivy mieszka jakieś osiem kilometrów ode mnie w linii prostej, kierując się na zachód, południe i znów na zachód. Jednak pokonanie tej odległości metrem wymaga dwudziestu pięciu minut podróży trzema różnymi pociągami jadącymi najpierw na północ, później na zachód i wreszcie na południe. W przypadku Williama Fishera należy dodać kolejny kwadrans na przegapienie przesiadki na Earl's Court i zawrócenie z powodu całkowitego pochłonięcia czynnością czyszczenia paznokci rogiem biletu. Biletu, który jest teraz tak pogięty i daleki od pierwotnego kształtu, że utyka w kasowniku na stacji Wimbledon; muszę więc błagać pieprzonego strażnika zrzędę, żeby mnie przepuścił. Potraktujcie to wszystko jak metaforę.

Nadal jestem czterdzieści pięć minut przed czasem, więc kupuję espresso w kawiarni przed stacją, co pochłania bite trzy i pół minuty. Kawiarnia, w której umówiłem się z Ivy, znajduje się w Wimbledon Village i dzieli mnie od niej dziesięć minut szybkiego spaceru pod górę. Owych dziesięć minut wystarczy, żeby przenieść się z centrum miasta do ekskluzywnej dzielnicy willowej na jego obrzeżach. Cena przeciętnego domu w Village jest pewnie siedmiocyfrowa. Istnieje też szereg ostentacyjnych – by nie powiedzieć obscenicznych – posiadłości, które w pakiecie z siłowniami, basenami, gabinetami, bibliotekami, piwnicami,

potrójnymi garażami, pokojami muzycznymi i nieskończoną liczbą łazienek mają dodatkowe zero na końcu etykiety z ceną. Poza willami znajduje się tu trochę ekskluzywnych butików, kilka galerii, stadnina, parę sklepików z biżuterią i pretensjonalnymi bibelotami, delikatesów i nieproporcjonalnie wielka liczba drogich restauracji i kawiarni. Chociaż to tylko osiem kilometrów od Brixton, czuję się, jakbym trafił na inną planetę.

Lato mamy w tym roku paskudne i bardzo deszczowe, chodniki są mokre i pełno na nich kałuż po nocnej ulewie. Jest pochmurnie, lecz gorąco i wilgotno jak diabli, poza tym zbiera się na burzę. Kiedy docieram na szczyt Wimbledon Hill Road, słaniam się na nogach i cieknie ze mnie pot. Jedno jest pewne: jeśli zamierzam odzyskać serce Ivy, nie zdołam tego zrobić w koszuli z wielgachnymi plamami potu pod pachami.

Wchodzę do designerskiego sklepu z ciuchami, który jest do tego stopnia cool, że nawet manekiny zdają się ze mnie kpić. Facet – jestem prawie pewien, że mam do czynienia z facetem – za ladą podnosi wzrok znad iPada. Ledwie zauważalnie kiwa głową, wymawia pojedynczą sylabę, być może jest to „hej” i posyła mi cień uśmiechu. Niewykluczone, że chce w ten sposób okazać sympatię. Muszę się stąd jak najszybciej ulotnić; wyraźnie widać – równie wyraźnie jak plamy na koszuli – że tu nie pasuję, co jeszcze bardziej nadweręża moje już i tak zszargane nerwy.

– Koszula – mówię, pociągając za to, co mam na sobie, tak jakby sam koncept „koszuli” wymagał doprecyzowania.

Sprzedawca kiwa głową w stronę wieszaka z pożądanym przeze mnie elementem garderoby.

Zdejmuję najmniej krzykliwą koszulę z wieszaka i proszę sprzedawcę, żeby pozwolił mi ją przymierzyć. „Przebieralnia” ma wymiary i oświetlenie jak wnętrze szafy, więc jestem zmuszony z niej wyjść i znaleźć się pod ostrzałem spojrzenia faceta zza lady, żeby przejrzeć się w lustrze. Koszula jest bardziej różowa, niżbym sobie tego życzył i – zauważam to dopiero teraz – przetykana srebrnymi nićmi, które odbijają światło, gdy tak stoję, wlepiając wzrok we własne odbicie. Wyobrażam sobie, że mogłaby dobrze wyglądać na kimś innym, może grającym w kapeli albo prowadzącym program o sztuce na kanale BBC2, albo facecie stojącym za ladą boleśnie hipsterskiego sklepu z ciuchami. Ale siebie jakoś w niej nie widzę, pomimo że stoję przed idealnie oświetlonym lustrem.

– Wygląda nieźle – ocenia sprzedawca. Zaciska krytycznie usta i kiwa głową. – Pasuje ci.

Spoglądam na zegarek: do spotkania z Ivy zostało mi piętnaście minut.

– Świetnie – mówię. – Biorę.

W zaciszu szafy pełniącej funkcję przebieralni zdejmuję nową koszulę i za pomocą starej wycieram pot z twarzy, pleców i pach. Zanim się przebiorę, usuwam

karteczkę z ceną z nowego nabytku, ale kwota jest wypisana ciemnym atramentem na ciemnym tle, więc nie sposób jej odczytać. Podchodzę do kasy i podaję karteczkę z ceną sprzedawcy bez patrzenia na nią – nie z braku zainteresowania, po prostu wydaje mi się to nie na miejscu w tej części miasta.

– Sto osiemdziesiąt – mówi facet głosem niezdradzającym ironii, rozbawienia ani litości.

Możliwe, że nici w nowej koszuli jednak są ze srebra. Zaczynam się pocić, wręczając sprzedawcy kartę kredytową, i modlę się, żeby nie spłonęła w czytniku żywym ogniem.

Przed sklepem, lżejszy o prawie dwieście funtów (i być może dodatkowy kilogram utracony w płynach ustrojowych), po raz ostatni wycieram twarz w starą koszulę i wyrzucam ją do najbliższego kosza na śmieci.

Zjawiam się w kawiarni dokładnie minutę przed umówionym czasem, zamawiam kawę i siadam przy stoliku na zewnątrz lokalu. Mój organizm jest tak nabuzowany kofeiną i adrenaliną, że trzęsą mi się ręce i muszę włożyć nadludzki wysiłek w to, by nie wylać cappuccino na nowiutką, koszmarnie drogą koszulę.

Atakuję drugą filiżankę kawy, gdy zauważam Ivy – w odległości jakichś dziewięćdziesięciu metrów – idącą w stronę kawiarni. Wykonuję coś pomiędzy pomachaniem ręką i salutem, a Ivy odwzajemnia mój gest. Widzę, że jej nogi się poruszają, a mimo to mam wrażenie, że dzielący nas dystans wcale się nie zmniejsza. Sięgam po telefon i udaję, że coś na nim robię, niespiesznie upijam łyk kawy, zaglądam do menu... a kiedy znowu spoglądam na Ivy, nadal dzieli nas dobre czterdzieści pięć metrów. Wyglądam koszulę, udaję, że coś po przeciwnej stronie ulicy przyciągnęło moją uwagę, i zaczynam się bawić torebkami z cukrem.

– Hej – mówi Ivy, a ja unoszę zdumiony wzrok, jakby zaskoczony tym, że tak szybko tu dotarła.

– Hej – odpowiadam i kiedy wstaję, żeby się z nią przywitać, zahaczam biodrem o stół i oblewam przód nowej koszuli cappuccino z czekoladową posypką. Ivy zdaje się tego nie zauważać.

Z jakiegoś powodu całuję ją w policzek. Jeszcze tydzień temu zachowywaliśmy się jak, no cóż, może nie jak gwiazdy porno, ale w naszych czułościach nie było nic udawanego, a teraz całuję ją w policzek.

Ivy nie nałożyła makijażu, włosy ma częściowo spięte, a częściowo spuszczone na ramiona. Ma na sobie luźne džinsy, kraciastą koszulę z emaliowanymi spinkami do mankietów w kształcie malutkich tancerek burleski i zwyczajną szarą bluzę. Kiedy teraz o tym myślę, przez te dwa miesiące, odkąd nas ze sobą poznano, ani razu nie widziałem Ivy w spódnicy, sukience ani bluzce z bufiastymi rękawami, które inne dziewczyny tak lubią. Przypuszczam, że jest to efekt uboczny jej wypadku z dzieciństwa. Nie może ukryć blizn na twarzy, za to te

na ciele... może całkowicie zasłonić. A może przesadnie to wszystko analizuję i styl ubierania się Ivy wynika z tego, że wychowała się z trzema braćmi i jest typem poczciwej chłopczycy. Tak czy siak, wygląda pięknie.

– Wyglądasz pięknie – prawię jej komplement.

Ivy posyła mi uśmiech, który cholernie szybko blednie.

Do naszego stolika podchodzi kelner i Ivy zamawia herbatę.

– No więc – odzywam się – co u ciebie?

– Och – mówi Ivy, która najwyraźniej nie jest w stanie utrzymać ze mną kontaktu wzrokowego dłużej niż trzy czwarte sekundy. – W porządku... dużo pracy... wiesz, jak jest.

Kiedy miałem... nie pamiętam dokładnie, pewnie jakieś siedem lat, moja nauczycielka, pani „Baryłka” Kincaid, wezwała mnie do swojego biurka w obecności całej klasy. Pamiętam, że wyżłobiony drewniany kant biurka sięgał mi do brzucha, gdy tak przed nią stałem, i pamiętam swój strach.

– Zrobiłeś coś brzydkiego – oznajmiła pani Kincaid. – Czy wiesz co?

Nie wiedziałem.

– Twój tata powiedział, że byłeś niegrzeczny – ciągnęła pani Kincaid.

Moi rodzice byli inteligentnymi ludźmi, a tata pracował (i nadal pracuje) jako nauczyciel, umiał sobie radzić z krnąbrnymi dzieciakami. Dlaczego więc postanowił się zwrócić o pomoc do osoby trzeciej, nie mam bladego pojęcia. Nie myślałem o tym od ponad dwudziestu lat i chyba nie trzeba mieć dyplomu z psychologii, żeby zrozumieć, dlaczego akurat ta scena wpadła mi teraz do głowy niczym cegła do zapchanego wodorostami stawu.

– Co takiego zrobiłeś? – nie ustępowała pani Kincaid.

Czasami wyobrażam sobie, że mogę powrócić do któregoś z wydarzeń z dzieciństwa, wyposażony w moją dorosłą wiedzę i intelekt. Gdybym w tym momencie mógł odpowiedzieć w imieniu skrępowanego i przestraszonego siedmioletniego siebie, powiedziałbym: „Bóg jeden raczy wiedzieć. To pani ma wszystkie potrzebne informacje, niech mnie pani oświeci”, albo coś w tym guście. Bo zamiast przejść do rzeczy i szybko zakończyć sprawę, pani Kincaid postanowiła wolniutko oderwać plaster.

Nie pamiętam, co wtedy powiedziałem, ale nie znałem odpowiedzi. Możliwe, że wzruszyłem ramionami. Ale Kincaid nie zamierzała mi tego puścić płazem.

– No co takiego zrobiłeś? – nie dawała za wygraną.

Wyznałem jej więc wszystkie swoje grzeszki, jakie tylko przysły mi do głowy: urwałem głowy trzem lalkom Barbie mojej siostry, razem z Simonem Hendersonem znaleźliśmy pod jednym z żywopłotów wysłużony świerszczyk i przenieśliśmy go pod inny żywopłot, kradłem cukierki ze sklepu Randalla, często kłamałem, twierdząc, że umyłem zęby, czytałem komiksy przy latarce, kiedy

powiniennem już spać, znalazłem dwadzieścia trzy pensy w szczelinie kanapy i je zatrzymałem, nie zawsze się modliłem, puszczałem w klasie bąki, wybekałem imię Jezusa, Maryi i Józefa i pewnego razu wyrwałem dwie nóżki pająkowi (doszedłem do wniosku, że poradzi sobie z sześcioma, poza tym zadbałem o to, żeby okaleczyć pajęczaka symetrycznie).

– I co jeszcze? – zapytała Kincaid.

Jeśli w ogóle ją wspominam, to z sympatią; była potwornie gruba w dosłownym tego słowa znaczeniu, kojarzyłem jej fizyczną tężyznę z ciepłem i obietnicą przytulenia, chociaż nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek to zrobiła. Mimo to onieśmiała mnie, i to nie tylko ze względu na swoją masę. Pani Kincaid była nieustępliwą i nieżyczliwą despotką, która nie wahała się upokarzać swoich uczniów, wykorzystując do tego celu standardowy dla każdego nauczyciela repertuar wyzwisk, takich jak ptasi mózdzek, tępak i osioł, do których dodawała kilka własnych, na przykład głąb, matolek czy imbecyl. Nie mam do niej o to żalu; w tamtych czasach nauczyciele nagminnie stosowali terror słowny.

– I co jeszcze? – naciskała.

– Nic więcej – odparłem szczerze.

– Doprawdy? Twój ojciec twierdzi, że brzydko zwróciłeś się do swojej siostry. Czy pamiętasz, jak ją nazwałeś?

– Nie.

– Wysł pamięć – nie ustępowała nauczycielka.

– Śmierdziuchem?

– Gorzej.

– Paskudą?

Wolno pokręciła głową.

– No to nie wiem – pisałem.

Właściwie miałem pewien pomysł, ale nie chciałem się nim dzielić z „Baryłką” Kincaid.

– Twój ojciec już mi powiedział, więc bądź grzecznym chłopcem i wyduś to wreszcie.

– Tłusta świnia – odparłem.

Pamiętam, że w tym momencie Kincaid nieznacznie się skrzywiła i znów pokręciła głową.

– Nie – odparła. – Nazwałeś swoją siostrę „cipcią”.

– Naprawdę? – szczerze się zdziwiłem.

– Gdzie usłyszałeś to słowo? – zapytała.

Kiedy teraz się nad tym zastanawiam, pewnie usłyszałem je gdzieś na placu zabaw i – nie zdając sobie sprawy z jego mocy – przywlokłem do domu. Jednak dwadzieścia cztery lata temu, wpatrując się w bezwzględne oczy Kincaid, wpadłem na zupełnie inne rozwiązanie tej zagadki.

– Usłyszałem je od pani – oświadczyłem z przekonaniem.

Pośród jej barwnego klasowego leksykonu ulubioną zniewagą pani Kincaid był – zapewne wymyślony przez nią samą – ciuścok. Jeśli zadałeś niewłaściwe pytanie, byłeś ciuścokiem. Jeśli rozmawiałeś podczas lekcji, byłeś ciuścokiem. Jeśli nie odezwałeś się we właściwym momencie podczas sprawdzania listy, „ciuścok” łądował pomiędzy twoim imieniem a nazwiskiem. Poza tym „ciuścok” brzmi podobnie do „cipci”, nie sądzicie?

– Ciągłe nazywa nas pani cipciami – dodałem.

Mogę się tylko domyślać, że pani Kincaid dostrzegła moją szczerość i prostolinijność i zrozumiała, jak łatwo mogłaby w tym momencie stracić posadę, bo oblała się szkarłatem, kazała mi więcej nie powtarzać tego słowa i odesłała na swoje miejsce. Temat już więcej nie wypłynął.

Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wracał myślami do tamtej sytuacji. Dopiero teraz, siedząc naprzeciwko Ivy, która, zagryzając wargi, bawi się spinkami do mankietów i patrzy wszędzie, tylko nie na mnie. Nie zamierzam jednak powtórzyć błędu sprzed dwudziestu paru lat i zacząć przeproszać, usprawiedliwiać się lub kajać za jedno, podczas gdy mogłem popaść w niełaskę z powodu czegoś zupełnie innego. Tylko pogorszyłbym sprawę.

– Przepraszam cię za tamten wieczór u taty – wylewa się z moich ust. – Zachowałem się jak głupek.

Ivy marszczy brwi.

– Naprawdę?

Idiota – pomyślałem.

– Powiedziałaś, że jesteś zmęczona – przypominam – na co ja odparłem: „jak sobie chcesz”.

Ivy kiwa głową, lewy kącik jej ust opada i się unosi; może to być przejaw pamięci, rezygnacji lub rozczarowania. W każdym razie z całą pewnością nie jest to uśmiech.

Kelner przynosi Ivy czajniczek herbaty razem z miniaturowym dzbanuszką mleka i miseczką cukru w kostkach. Ivy unosi pokrywkę czajniczka, metodycznie miesza herbatę i nakłada pokrywkę z powrotem, ale nie nalewa herbaty do filiżanki.

– Tak sobie myślałem... – mówię, a Ivy podnosi na mnie wzrok, jakby dopiero teraz dostrzegła, że siedzę naprzeciwko niej – i doszedłem do wniosku, że powinniśmy się częściej spotykać.

Ivy marszczy brwi, lecz sprawia przy tym wrażenie lekko rozbawionej.

– No bo wiesz... Ostatnio często się widywaliśmy. – Ivy uśmiecha się i milcząco przytakuje. – Ale w gruncie rzeczy nigdy nie chodziliśmy na randki. Nie zrozum mnie źle, świetnie się bawiłem, ale to nie było... no wiesz, klasyczne randkowanie.

Ivy unosi jedną brew.

– Chodzi mi o to, że... Sam nie wiem, moglibyśmy się wybrać do teatru, winiarni, Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud albo do zoo.

– Do zoo?

– Tak, uwielbiam zoo. Małpy, słonie, żyrafy i całą resztę.

– Zwierzęta? – dziwi się Ivy.

– Tak.

– Cieszę się.

I to właśnie jest nadzieja, promyczek światła, nie: Zapomnij o tym Fisher, między nami koniec, tylko: Cieszę się.

– Naprawdę? – pytam. – Wspaniale. Możemy się tam wybrać choćby dzisiaj; co prawda zanoszą się na deszcz, ale co tam, w razie czego kupimy sobie peleryny przeciwdeszczowe, takie, jakie noszą turyści. Jaki jest twój ulubio...

– Mam dla ciebie pewną wiadomość.

W tym momencie Ivy postanawia sobie nalać herbaty; trwa to całą wieczność.

– Wiadomość?

– Jak sam zauważyłeś, często się ostatnio widywaliśmy.

– Ivy – mówię – niezależnie od tego, co zrobiłem...

– Proszę – przerywa mi – to dla mnie trudne.

Biorę głęboki wdech, przytrzymuję powietrze, kiwam głową, robię wydech.

– Uprawialiśmy seks – nazywa rzeczy po imieniu Ivy, śmiejąc się. – Mnóstwo seksu.

Rozważam różne możliwości: jestem kiepski w łóżku, Ivy ma męża, choruje na rzeżączkę albo...

Czasami potrafię być tak głupi, że aż mnie to zadziwia.

Ivy i ja ani razu nie rozmawialiśmy o dziecku, ale też nigdy celowo nie omijaliśmy tego tematu. Kiedy kochaliśmy się pierwszy raz, zapytałem ją (oczywiście nie pełnym zdaniem, tylko za pomocą kombinacji min, ruchów gałek ocznych i „masz jakieś... no wiesz?”), czy możemy bezpiecznie kontynuować.

Ivy spojrzała na mnie i powiedziała:

– W porządku.

– Bierzesz...?

Pokręciła z uśmiechem głową.

– Powiedziałam, że w porządku.

Nie chodziło o błahostkę. Chociaż byłem nagi i oczarowany, miałem też świadomość potencjalnych konsekwencji – z naciskiem na słowo „potencjalnych”. Być może Ivy wiedziała, że znajduje się w bezpiecznej części cyklu, nie może mieć dzieci albo mówiąc „w porządku”, miała na myśli: Hej, przecież się kochamy, prawda? Chcę mieć dzieci, uwielbiam je i uważam, że będziesz fantastycznym

ojcem, więc pozwólmy naturze działać. I mimo że wszystkie te możliwości gwałtownie przeleciały mi wówczas przez głowę, byliśmy nadzy, podnieceni, Ivy rękami trzymała moją głowę, całowała w szyję, przyciągnęła mnie do siebie, uniosła biodra, aż złączyły się z moimi i zaczęła się o nie ocierać – w tej sytuacji trudno mówić o trzeźwym podejmowaniu decyzji. Poza tym rzeczywiście ją kocham i nie należy tego mylić z bardziej frywolnym zakochaniem; oczywiście to też, ale mam na myśli coś bardziej fundamentalnego. Mój ojciec, taki z niego romantyczny poeta, nazywa ów stan „pędzeniem na złamanie karku”; wiąże się on z głęboką świadomością, że działasz na najwyższych miłosnych obrotach. Widziałem Ivy w otoczeniu gromadki dzieci, jej zaangażowanie, sposób, w jaki ich słuchała i im odpowiadała, uśmiech pojawiający się na twarzy w ich obecności i nieschodzący z niej nawet po wyjściu dzieci z pokoju. Ivy uwielbia dzieci, a one to wyczuwają i odwzajemniają. Sprawia, że czują się wyjątkowe, bo dla niej takie właśnie są. Między innymi za to ją kocham. Poza tym jest seksowna, piękna, a my byliśmy nadzy, napaleni i... a niech tam. Wtedy wydawało mi się, że to dobry pomysł.

Kochaliśmy się, dwa razy, po czym zasnąłem – nomen omen – jak dziecko. Dopiero jakieś trzy i pół minuty po przebudzeniu następnego ranka wpadłem, o ile coś takiego w ogóle istnieje, w panikę. Znałem tę kobietę niewiele ponad miesiąc, i to na gruncie zawodowym. Zanim wylądowaliśmy w łóżku, spędziliśmy może ze dwie godziny sam na sam. Doprawdy, Williamie Fisherze, co u diabła sobie myślałeś, kochając się bez zabezpieczenia z prawie obcą kobietą?

Ivy poruszyła się na łóżku, przekręciła na drugi bok, uśmiechnęła się, pogłaskała mnie po twarzy i zrobiliśmy to znowu. Na tym etapie nasz związek liczył mniej więcej dwanaście godzin i gdy tak tuliliśmy się do siebie na zmiętej pościeli, poruszenie tematu dzieci wydawało mi się czymś grubiańskim, bezczelnym i ekstremalnie pozbawionym romantyzmu.

Umieściłem potencjalne konsekwencje w małym pudełeczku i schowałem je, zamknięte na cztery spusty, do szafy w pokoju w kiepsko oświetlonym zakamarku mojego umysłu. Było to dwadzieścia pięć dni temu i przez te setki godzin spędzonych z Ivy ani razu nie zwątpiłem w genialność własnej głupoty. Raz czy dwa, no może kilka razy, skierowałem swoje kroki do tego zakamarka, lecz nigdy tam nie dotarłem, nie mówiąc już o otwarciu drzwi do szafy. No bo cóż bym w ten sposób osiągnął? Rzecz jasna w ciągu tych pięciu dni, odkąd wróciliśmy od taty, było jasne, że coś się między nami popsuło, jednak najgorszym możliwym scenariuszem, jaki wymyślił drzemiący we mnie pesymista, nie było pojawienie się na świecie dziecka, tylko odejście Ivy.

Siedząc przed hipsterską kawiarenką w Wimbledonie, Ivy nadal nie podzieliła się ze mną „wiadomością”. I może szukała tylko odpowiednich słów, by mi zakomunikować, że jestem równie ekscytującym kochankiem jak tygodniowa

cukinia.

– Byłam u lekarza – oznajmia, co – biorąc pod uwagę następujące możliwości: kiepski w łóżku, choroba przenoszona drogą płciową, męzatka, ciąża – zawęży wybór do dwóch.

Jak to zwykle bywa w podobnych chwilach, zjawia się kelner. Pyta, czy może nam coś jeszcze podać, na co zgodnym chórem odpowiadamy, że nie.

Ivy kładzie rękę na brzuchu.

– Ja... ty... my... – zaczyna i zalewa się łzami. Uśmiecha się przy tym, i to tak radośnie, że i ja zaczynam płakać. Wstaję od stolika i kucam obok krzesła Ivy, jedną ręką obejmuję jej ramiona, a drugą – talię. Robię to na tyle niezdarnie, że muszę przyklęknąć na jedno kolano dla zachowania równowagi. Robi mi się zimno i mokro w kolano, a gdy zerkam w dół, zauważam, że klęczę w wielkiej brudnej kałuży. Mnóstwo ludzi kręci się po Wimbledon Village o dziesiątej czterdzieści pięć w piątkowy poranek i większość z nich jakimś trafem mija nasz stolik. Być może myślą, że się oświadczam; nie wiem i nie obchodzi mnie to. Całuję bluzę Ivy w miejscu, w którym okrywa ona jej brzuch, a kiedy Ivy kładzie mi dłoń z tyłu głowy, czuję, że cały drzę.

– Kocham cię – mówię, lecz w tym samym momencie Ivy mocno przyciąga moją głowę do swojego brzucha, więc miłos-ne wyznanie przybiera formę trzech zduszonych, sklejonych ze sobą sylab. Każdą z nich wypowiadam jednak z pełnym przekonaniem.

Rozdział 4

Pestka jabłka.

Ziarnko groszku.

Jagoda.

Fasolka.

Oliwka...

Rozdział 5

Ivy wymiotuje w łazience; ów dźwięk niesie się niczym ptasie trele na łące w spokojny letni dzień.

– Kurwa – mówi, a jej głos odbija się echem i rezonuje z wnętrza muszli klozetowej, szybuje z łazienki do sypialni niczym para wodna. Ivy spluwa, wymiotuje, spluwa, spluwa, spluwa. I wreszcie spuszcza wodę. Ivy wymiotuje obficie, więc zanim wyjdę do biura, będę musiał wyczyścić spód deski klozetowej, kafelki i resztę miejsc, na których rozprysnęły się wymiociny. Nie mam nic przeciwko temu; Ivy ma poranne mdłości, ja mam po nich posprzątać – to uczciwy układ.

– W porządku? – wołam.

– Nie! – odkrzykuje. – Ale chyba już... O Jezu Chry... bleee...

Osobiście lubię zamykać drzwi, bo przecież od tego są, prawda? I nie próbujcie mi wmówić, że drzwi są do otwierania, nie mam czasu się z wami kłócić. Możemy cały dzień debatować o przyczynach, skutkach, formie i zastosowaniu, ale prawda jest taka, że drzwi istnieją po to, żeby niektóre rzeczy pozostawały w środku, a inne na zewnątrz. Dzikie zwierzęta, złodzieje, seryjni mordercy, deszcz, hałas i potworne zapachy powinny zostać na zewnątrz. Ciepło, romantyzm, prywatność i cisza – w środku. Przynajmniej ja tak uważam. Ivy nie zamyka drzwi w całym mieszkaniu, łącznie z tymi do łazienki. Jest to nawet dość ciekawe w otwarty, nieskrępowany, bo przecież „to tylko ludzkie ciało”, sposób, ale nie ma nic ciekawego w obserwowaniu miłości swojego życia wymiotującej przez bite dziewięć minut – nie żebym ją obserwował, ale mógłbym to robić przez te otwarte drzwi.

Już od minuty w łazience panuje cisza, w końcu słyszę spuszczenie wody i Ivy wlecze się do kuchni, mamrocząc pod nosem rozmaite inwektywy pod adresem matki natury.

Minął miesiąc, odkąd Ivy zakomunikowała mi, że jest w ciąży. Tak jak to liczą lekarze (czyli od dnia ostatniej miesiączki, a nie poczęcia), jest teraz w dziesiątym tygodniu ciąży, co oznacza dziesięć dni więcej niż czas, który spędziliśmy razem. Nasza ciąża jest więc starsza niż nasz związek. Jeśli zajrzycie do książek lub Internetu, zorientujecie się, że rozwój dziecka jest mierzony w kategoriach kulinarnych: ziarenko maku, jagoda, kumkwat, jabłko, awokado, mango, kapusta, orzech kokosowy, wielki rumiany arbuz. Na tym etapie ciąży nasze dziecko jest wielkości zielonej oliwki.

– Dziwne, co? – zwracam się do Jamesa Bonda.

James nie odpowiada, nie ma jeszcze ósmej, a agenci specjalni nigdy nie wstają przed jedenastą, chyba że zależy od tego życie ich samych, króla lub narodu. Nie jestem agentem specjalnym, poza tym mam rano spotkanie z Joem, producentem z firmy, dla której kręcę reklamy. Wstaję więc, odsłaniam zasłony, po czym idę do łazienki, żeby posprzątać po Ivy i zrobić to, co należy zrobić za zamkniętymi drzwiami.

Kiedy wracam do sypialni, Ivy póżeży na łóżku, z kubkiem kawy w jednej ręce i książką w drugiej. Czyta powieść autora, o którym nigdy nie słyszałem, przytrzymując plik stron lewym kciukiem.

Ekspres do kawy stoi na tacy na komodzie, razem z kubkiem i dzbanuszkim mleka. Nalewam sobie kawy i ponieważ nadal mam trochę czasu, z powrotem wskakuję do łóżka.

– Dobra ta książka?

Ivy obraca ją w dłoni, spogląda na okładkę (tętniący życiem rynek, zachód słońca, cienie, sylwetki postaci), jakby miała tam wydrukowaną odpowiedź na moje pytanie.

– Zdobyła wszystkie możliwe nagrody, ale gdybym nie musiała jej przeczytać na spotkanie klubu książki, pewnie bym sobie darowała.

– Powinnaś to zrobić – oznajmiam. – Zamień ją na coś o wampirach.

Ivy się śmieje.

– Oczywiście zdarzyło mi się nie doczytać książki, ale... sama nie wiem, to zły nawyk.

– Poważnie? W zeszłym tygodniu widziałem w metrze kobietę, która obcinała sobie paznokcie.

– Fuj, nie mówisz poważnie?

– Nie żartuję. Ścinki paznokci szybowały po całym wagonie.

Ivy przykładła dłoń do ust.

– Przestań, bo znowu zacznę haftować.

– No właśnie. Zdecydowanie wolę ludzi porzucających niedoczytane książki niż obcinających paznokcie w miejscach publicznych.

Ivy kwituje tę mądrość kiwnięciem głowy.

– Pewnie masz rację, ale nie chcę zawieść Cory – to ona wybrała tę książkę.

– Czy ona w ogóle będzie o tym pamiętać?

– Z Corą nigdy nic nie wiadomo. Nie wie, jaki mamy dzień tygodnia, za to potrafi cytować Dickensa bez pominięcia jednego przecinka czy kropki.

– No to lipa.

– Otóż to – odpowiada Ivy, wracając do książki.

– A jak twoje poranne mdłości? – pytam. – Czujesz się już lepiej?

– Nie będę za nimi tęsknić, kiedy wreszcie miną. Słyszysz się o nich, ale – Boże! – to istny koszmar. Jakbym codziennie rano miała kaca, ale bez zabawy

poprzedniego wieczoru.

– Tak mi przykro – mówię.

– I słusznie. Masz za co przepraszać.

Po tym jak Ivy powiedziała, że jest w ciąży, a ja uklęknałem w kałuży i wymamrotałem słowa „kocham cię” prosto w jej bluzę, resztę dnia spędziliśmy w stanie radosnej, podekscytowanej konsternacji. Ivy wyjaśniła mi swoje wcześniejsze milczenie mieszaniną niepokoju, zamętu i niepewności. Martwiła się, że będę nieszczęśliwy, że wprowadziła mnie w błąd i że będę się chciał wymiksować z tego związku. A ja wyjaśniłem, że nic bardziej mylnego. Skończyliśmy pić kawę i nasz związek gładko przeszedł w kolejną fazę – poszliśmy do delikatesów, kupiliśmy falafele, chleb, humus, mięso, gazowany napój owocowy i sernik, wróciliśmy do Ivy, zrobiliśmy sobie piknik na kanapie, a później Ivy zasnęła przed telewizorem. Nie uprawialiśmy seksu.

Prawdę powiedziawszy, nie robiliśmy tego ani razu, odkąd tata oddał nam swoje łóżko i wszystko tym zepsuł. Już to sobie obliczyłem – minęło czterdzieści dni i czterdzieści nocy, co oznacza abstynencję rozmiarów biblijnych.

Odstawiam kawę i kładę dłoń na udzie Ivy.

– Biedactwo – mówię. – Wiesz, co zawsze mi pomaga, kiedy mam kaca?

Ivy opuszcza książkę i zerka na mnie znad niewidzialnych okularów.

– Żartujesz, prawda?

– Nie – odpowiadam, przesuwając rękę w górę jej uda.

Ivy kładzie dłoń na mojej, zatrzymując ją.

– Wiesz, że tak naprawdę nie mam kaca?

– Tak, ale obja...

– W mojej macicy rozwija się płód wielkości oliwki, który zalewa organizm hormonami sprawiającymi, że czuję się, jakbym miała kaca.

– Oczywiście – szepczę. – No jasne... – w dalszym ciągu trzymam dłoń na jej udzie. – Ale ta metoda może zadziałać również na takie płody, które są wielkości oliwki i zalewają kobiece organizmy hormonami.

– Mam rzygowiny we włosach.

– To mi nie przeszkadza.

– Ale mnie tak. Zamknij się i pij kawę.

* * *

Mam pieniądze na koncie w banku, dwie sprawnie funkcjonujące nerki i jestem częściowym właścicielem swojego mieszkania, ale żeby tak pozostało, muszę zarobić pieniądze i to szybko.

Joe chce ze mną przedyskutować „ekscytujący scenariusz”. I chociaż nauczyłem się traktować entuzjazm Joego z dystansem, trudno sobie nie robić nadziei. Odkąd skończyłem swoją ostatnią produkcję przed ponad dwoma

miesiącami, starałem się o dwa zlecenia. Nie dostałem żadnego. Dwa miesiące bez żadnego dochodu to wystarczający powód do zmartwienia, lecz dopiero wizja dodatkowej gęby do wykarmienia spędza mi sen z powiek. Joe i ja pracujemy razem od kilku lat i staliśmy się bliskimi przyjaciółmi, więc to, jak się ubiorę na dzisiejsze spotkanie, nie powinno mieć najmniejszego znaczenia. Szczególnie że Joe robi zakupy wyłącznie w sieci Primark i tylko wtedy, kiedy żona go tam zaciągnie. Niemniej jednak nie jestem jedynym reżyserem, z jakim współpracuje Joe, a z kolei Joe nie jest jedynym producentem w firmie Sprocket Hole, zatem nie zaszkodzi wszystkim przypomnieć, jakim odjazdowym i ambitnym facetem jest William Fisher. Zakładam więc swoje drugie pod względem starości dzinsy i najnowszą koszulę – różowy nabytek z Wimbledon Village, który mam od miesiąca. Nadal nie jestem przekonany do tej koszuli, lecz Ivy najwyraźniej się ona podoba.

– Fajnie wyglądasz – stwierdza.

– Cały jestem fajny – odpowiadam. Ivy nadal leży w łóżku i czyta. – Będziesz tu, kiedy wrócę?

Ivy kręci głową i otwiera pytająco oczy.

– No co? – mówię.

– Będę u siebie.

– Aha, OK.

– Ponieważ...?

– Musisz nakarmić Ernesta?

– Pieprzona złota rybka to teraz najmniejsze z moich zmartwień.

– No tak, ja... O cholera! Położna, oczywiście. Przepraszam, kotku, o której godzinie się z nią umówiłaś?

– Nie mogę uwierzyć, że zapomniałeś – stwierdza Ivy i wydaje się naprawdę wkurzona.

– Nie zapomniałem, po prostu myślałem o pracy i...

– Nie poradzę sobie sama, Fisher.

– Wiem, i nie będziesz musiała. Ja po prostu... Miałem głowę...

Ivy się uśmiecha. Jej uśmiech jest ledwie zauważalny, towarzyszy mu lekkie uniesienie ust i brwi. Ivy zachowuje go na okazje, gdy ona zarzuca haczyk, a ja płynę w jego kierunku i chwytam go w całości, razem ze splawikiem, w swoje łatwowieczne usta.

– Życzyłbym sobie, żebyś więcej tego nie robiła.

Ivy udaje niewiniątko.

– Czego mam nie robić?

– Nie podpuszczaj mnie.

– Wcale cię nie podpuszczam.

– Wprost przeciwnie. Jesteś jak... Baitey[9] Davis.

Ivy zaczyna się śmiać i ten dźwięk – niepohamowany, dziecięcy rechot angażujący nos, język i zęby – jest jak dotyk palców na moim karku.

– Jestem Ludwigiem van Baithovenem – oznajmiam, klaszcząc w dłonie i pokładając się ze śmiechu z własnego żartu. – Wiem, wiem, jesteś bardziej podpuszczalska niż ser podpuszczkowy.

Żart sięga dna, czego dowodem jest brak kolejnej salwy śmiechu. Ivy zmusza się do kurtuazyjnego chichotu.

– Chyba ty! – mówi, kręcąc głową, i odszukuje w książce miejsce, gdzie skończyła czytać.

Usiłuję wymyślić jakąś dowcipną ripostę, chociaż wiem, że właściwa chwila minęła.

– W każdym razie – odzywa się z reprimendą Ivy – twoje życzenie było do bani.

– Przepraszam. Życzyłbym sobie, żebyś mnie więcej nie podpuszczała i żebym miał połączone ferrari.

Wyszło szydło z worka: słabość do naigrawania się ze mnie i niezachwiana wiara w spełniającą życzenia wróżkę zajmują czołowe miejsca na liście dziesięciu rzeczy, które uwielbiam w kobiecie wymiotującej w mojej łazience. Nie twierdzę, że całkowicie rekompensują mi one wymuszony celibat, ale z pewnością pomagają w nim wytrwać.

Poza seksem w ciągu miesiąca, odkąd Ivy powiedziała, że będziemy mieli dziecko, nie wydarzyły się jeszcze dwie ważne rzeczy.

Nie powtórzyłem miłosnego wyznania.

A Ivy na nie nie odpowiedziała.

Chcę jej to znów powiedzieć, lecz martwię się, że słowa stracą moc, jeśli będę je powtarzał za każdym razem, kiedy tylko zechcę. A ponieważ Ivy nie przyznała, że też mnie kocha, nie chciałbym wyjść na ofiarę losu. W *Imperium kontratakuje* jest pewna scena, którą El i ja uważamy za najbardziej odjazdową we wszechświecie. Tuż przed tym jak Han Solo zostaje zamrożony w bryle karbonitu, Księżniczka Leia mówi mu, że go kocha. Szykując się na niemal pewną śmierć, Han spogląda na Leię i po prostu stwierdza: „Wiem”. Jako chłopiec nie zastanawiałem się, jak to nonszalanckie „wiem” musiało zabołec Księżniczkę, ale jako zakochany po uszy przyszedł ojciec potrafię to sobie wyobrazić. Zamartwiałbym się tym jeszcze bardziej, jednak biorąc pod uwagę fakt, że wyznając swoje uczucia, miałem usta pełne wełny, jestem niemal pewien, że Ivy mnie nie usłyszała.

Przed wyjściem do biura po raz ostatni daję Ivy buziaka. I (pomimo zapachu wymiocin i pasty do zębów) te dwa niewypowiedziane słowa nadal kołoczą się w mojej głowie, szukając drogi na zewnątrz.

– Miłego dnia! – odzywa się Ivy.

– Wiem – odpowiadam, a ona patrzy na mnie jak na wariata.
9 Gra słów; *bait* (ang.) – przynęta, ale też drażnić, podpuszczać kogoś.

Rozdział 6

– Fajnie wyglądasz – zauważa Pippa, kiedy wchodzę do biura Sprocket Hole. Nie spałem z nią od czerwca, czyli od blisko czterech miesięcy, i od początku był to tylko przelotny romans. Mimo to zawsze się czerwienię, kiedy Pippa mówi do mnie coś bardziej osobistego niż zwykle „cześć”.

– Koszula! – odzywa się Gaz, nasz drugi reżyser i jednocześnie obecny chłopak Pippy. Wykonuje gest pociągania za kołnierzyk, kiwa głową z aprobatą i wraca do lektury czasopisma.

Joe zerka znad telefonu i wita mnie sardonicznym:

– Różowa? Pasuje do koloru twojej twarzy. – A po chwili dodaje: – Zaczekaj, czy to brokat? Założyłeś koszulę z pieprzonym brokatem?

– To błyszcząca nić – tłumaczę.

– Świeci się jak choinka. Kupiłeś ją na Old Compton Street?

– Tak, Joe, kupiłem ją na Old Compton Street, w sklepie dla mężczyzn ze skłonnościami homoseksualnymi. Czy to właśnie sugerujesz?

– Już dobrze – łagodzi – nie ma powodu spinać pośladków. Chodź, postawisz mi lunch.

– Jest dopiero za pięć jedenasta.

– Nie śpię od piątej trzydzieści. Mówię ci, dzieciaki potrafią zrujnować człowiekowi życie.

Gaz wybucha śmiechem.

– Nie żartuję – odpowiada Joe, wskazując palcem najpierw na Gaza, a później na Pippę. – Mam nadzieję, że się zabezpieczacie, gołąbeczki. Dzieciaki was wykończą, zapamiętajcie sobie dobrze moje słowa.

* * *

Joe atakuje zapiekankę, frytki i groszek, jakby od tygodnia nie miał nic w ustach.

Ja sączę kiepską kawę i mu się przyglądam.

Joe zerka znad jedzenia; mruży jedno oko i wysoko unosi brew nad drugim.

– Co u Ivy?

To właśnie on nas sobie przedstawił. Według Joego od początku było jasne, że nasza nowa makijażystka wpadła mi w oko. Od tamtego pierwszego spotkania przyjął postawę ostrożnej dezaprobaty, jakby nie do końca ufał moim intencjom, poczuciu uczciwości czy odpowiedzialności. Powiedziałbym mu o ciąży, gdyby nie fakt, że ta informacja tylko potwierdziłaby jego niepotrzebne obawy.

– Ona... – Nosi w brzuchu moje dziecko! – dobrze sobie radzi – mówię.
– Nadal kleicie się do siebie jak para królików? – Joe wymachuje nożem w przód i w tył dla podkreślenia swoich słów.

– Co to znaczy nadal? Nigdy nie wspominałem o żadnych królikach.
Joe wzrusza ramionami.

– Przecież na początku tak to właśnie wygląda, nie? Nie można oderwać od siebie rąk. – Wzdycha, nabija na widelec trzy frytki naraz i wsuwa je sobie do ust.

– A jak wasze przygotowania do ślubu?

– Chciałbym to już mieć za sobą. Osiem pieprzonych miesięcy planowania. – Joe odkłada sztucce, żeby pokazać mi osiem palców. – Moglibyśmy w tym czasie zbudować dom.

– A co u Sammy’ego?

– Uczy się korzystać z nocnika – odpowiada Joe.

– Słodko.

Joe kręci głową.

– Nie ma nic słodkiego w parze usmarowanych kupą majtek z listonoszem Patem.

– Ale przecież są i dobre strony, prawda?

Joe szeroko otwiera oczy.

– Co to ma być, psychoterapia? Rozmawiałeś z Jen? O co ci chodzi?

– Daj spokój, nic się nie dzieje, po prostu zapytałem, co u twojego syna.

Joe spogląda na mnie, nie do końca przekonany.

– Jen zaczęła przebąkiwać o kolejnym – mówi.

– Kolejnym dziecku?

Joe przytakuje.

– Po ślubie. Chyba zależy jej na przynajmniej jednym dziecku z prawego łóża.

– Tak to ujęła?

– Poza tym młodsza już nie będzie – zauważa Joe.

– Jest młodsza od ciebie.

– Niedługo skończy trzydzieści osiem lat. A tak między nami, stary, dziecko dokłada kobiecie parę kilometrów do licznika, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć.

– A ty się przecież świetnie trzymasz. W takim razie co zamierzasz zrobić?

Joe się śmieje.

– Od razu widać, że nigdy nie byłeś w związku dłuższym niż pięć minut.

– Chodziłem z Kate ponad rok.

– Tak, i obaj wiemy, jak to się skończyło.

Owszem, wiemy: Kate (jak to sama kwieciście ujęła) obciągnęła koleżkę z pracy i rzuciła mnie dwudziestego czwartego grudnia, dzień przed Bożym Narodzeniem i moimi urodzinami.

- Zrobię to, co zawsze – kontynuuje Joe.
- Czyli?
- To, co każe mi Jen. – Joe buduje na widelcu wieżę z za-piekanki i groszku.
- Przynajmniej będziemy się bzykać podczas naszego miesiąca miodowego – kwituje, wsuwając jedzenie do ust.
- Szczęściara z tej twojej Jen – oznajmiam.
- No więc... – odzywa się Joe, zacierając dłonie, którym to sygnałem daje mi do zrozumienia, że przechodzi z trybu bezwzględnego przyjaciela do trybu bezwzględnego producenta.
- Jestem gotowy – mówię.
- Na co?
- Zaraz mi powiesz, jak wysoką masz hipotekę, ile Jen wydaje na buty i jak drogie będzie wasze wesele.
- Joe otwiera usta, żeby coś powiedzieć.
- A później – kontynuuje – podsuniesz mi gówniany scenariusz i strzelisz pogadankę z gatunku: „nie jesteśmy artystami, tylko wyrobnikami”.
- Skończyłeś?
- Kiwam głową.
- Zaraz poproszę cię, byś uczynił mi ten pieprzony honor i został moim drużbą.
- Och.
- Dokładnie. Wypadałoby podziękować.
- Dziękuję. Poczuję się niezmiernie zaszczycony, gdyby ten ślub cokolwiek dla ciebie znaczył.
- Rozumiem, że się zgadzasz?
- No jasne. – Prawda jest taka, że jestem niezmiernie zaszczycony, ale gdybym o tym powiedział Joemu, wyśmiałby mnie.
- W takim razie – odzywa się Joe i zaczyna wyliczać na palcach: – Musisz mi zorganizować wieczór kawalerski: załatwić striptizerki, ale takie z klasą, żadnych tanich dziwek. Po twojej stronie jest też wypożyczenie garnituru, z Moss Bros, najtańszego, jaki tylko będą mieli. Musisz też kupić prezenty dla druhen, mieszcząc się w budżecie pięćdziesięciu funtów.
- Na każdą?
- Joe kwituje moje pytanie śmiechem.
- Pierdol się! Na wszystkie trzy; kup im wino albo jakieś ozdoby do włosów. Zostają jeszcze taksówki, które zawiozą nas z kościoła do hotelu i przemowa. Powinna trwać od trzech do sześciu minut, wpleć w nią kilka żartów, mogą być z pieprzykiem, ale nie świńskie. Nie mogą dotyczyć wariatów, bo ciotka Jen jest troszkę... – Joe kreśli kółko na czole.
- To wszystko?

– Na razie tak.

– I na pewno chcesz zrezygnować z żartów o wariatach?

– Jeden możesz zostawić – zgadza się Joe, udowadniając raz na zawsze, że jest całkowicie odporny na sarkazm. – Pod warunkiem że będzie śmieszny jak cholera.

– Jasna sprawa. Czuję się rzetelnie poinformowany.

Joe sięga pod stół, wyjmując z torby brązową kopertę formatu A4 i przesuwa ją w moją stronę.

– Cholera, wiedziałem!

– Tylko nie obiecuj sobie zbyt wiele – mówi Joe, poklepując kopertę. – No dalej, otwórz ją.

Wysuwam scenariusz do połowy, czytam wydrukowaną na górze strony nazwę klienta i wsuwam z powrotem do koperty.

– To reklama pieprzonego papieru toaletowego.

– Wszyscy robimy kupę, Williamie, nie zgrywaj arystokraty.

– Ale nie wszyscy kręcimy o tym filmy, mam rację?

– Wiem, co chcesz powiedzieć: jestem nagradzanym reżyserem, muszę dbać o swój image, ludzie pamiętają tylko twoją ostatnią reklamę, ble, ble, ble.

Błado się uśmiecham.

– Lubię cię, Fisher, wierzę w ciebie i uważam, że jesteś utalentowany, cudowny i przystojny, OK? Ale... żeby być nagradzanym autorem, z naciskiem na -anym, trzeba zdobyć więcej niż jedną nagrodę. Poza tym! – Joe podnosi palec, nie dopuszczając do głosu mojej urażonej dumy. – Poza tym... Możesz być moim ulubionym reżyserem, ale nie wyreżyserowałeś niczego od lipca, co, jeśli się nad tym głębiej zastanowić, czyni z ciebie raczej bezrobotnego obwiesia niż reżysera.

Nikt nie ma ambicji, żeby utrzymywać się z reżyserowania filmów reklamowych. Nikt w dzieciństwie nie marzy o tym, że będzie kręcił reklamy papieru toaletowego, tak jak nikt nie marzy o pisaniu prasowych nagłówek, komponowaniu dżingli reklamowych, fotografowaniu hamburgerów czy byciu twarzą tanich ubezpieczeń samochodowych. Każdy chciałby pisać powieści lub hymny, fotografować modelki, grać Hamleta, kręcić filmy, zarobić milion i poślubić gwiazdę filmową.

Mimo to trzeba przyznać, że istnieją znacznie mozolniejsze sposoby, żeby zarobić dużo mniejsze pieniądze.

Joe mówi dalej:

– ...jak zarobić pięć tysięcy za jeden dzień pracy. Niektórzy z nas, Williamie, muszą wykarmić nie tylko siebie.

Wiem coś o tym – myślę.

– A tak w ogóle – ciągnie – ten scenariusz wcale nie jest gówniany.

Nie mogę się powstrzymać od śmiechu.

– A więc to jest nasze nowe kryterium? Nie gówniany.

Joe również zaczyna się śmiać.

– Ta reklama otworzy przed tobą wiele drzwi.

– Wiem – odpowiadam. – Te z napisem „zajęte”.

– A więc spojrzysz na ten scenariusz?

Nie muszę nic więcej dodawać: instynkt Joego jest ostry jak potłuczone szkło. Waham się o ułamek sekundy za długo i już wie, że złapał mnie na haczyk.

– Świetnie – mówi, przeglądając listę numerów w komórce. – Załatwię ludzi.

Która godzina?

– Za dwie dwunasta.

– Doskonale – przytakuje z telefonem przy uchu. – Dotrzemy do Gęsi na drugą; możesz mi postawić browara w ramach podziękowania.

– Nie mam czasu na...

– Zamknij się – ucisza mnie – jesteś teraz moim przyjacielem, to twój obowiązek.

Zresztą co innego masz do... – A później odzywa się do słuchawki: – Michael, mam do ciebie sprawę, draniu.

* * *

Joe najchętniej spędziłby w pubie całe popołudnie, ale po dwóch kufiach piwa skłamałem, że jestem umówiony z Ivy. Joe posmutniał i zagrał kartą „zmieniłeś się”, na co ja sięgnąłem po kartę „obietnica seksu”, która przebija wszystkie inne w tej starej grze. Nawet jeśli skłamałem, to i tak lepsze, niż pokazać, jakiego asa naprawdę mam w rękawie: „O mój Boże, spodziewamy się dziecka”. Na to było zdecydowanie za wcześnie.

Po powrocie do Wimbledon Village zatrzymuję się w ekologicznym sklepie spożywczym i u rzeźnika po składniki potrzebne do przygotowania wołowiny po burgundzku. Rachunek ze sklepu spożywczego jeszcze da się przełknąć, za to rzeźnik okazuje się dzierżącym tasak, ubabranym krwią kryminalistą. Szcherzący zęby z za lady psychopata liczy sobie za niewielki kawałek wołowiny mniej więcej tyle samo, ile kosztuje kolacja dla dwojga w restauracji w Brixton. Jeśli nie wystarczyły wam posiadłości, superbryki i jaskrawe sztruksowe spodnie, koszt naszych zakupów powinien wam powiedzieć wszystko na temat różnicy między kodem pocztowym Ivy i moim. Po raz pierwszy, odkąd jesteśmy razem, zaczynam się zastanawiać, jak to możliwe, żeby makijażystka (choćby i najlepsza) mogła sobie pozwolić na dwupokojowe mieszkanie w The Village. Może rodzice wpłacili za nią depozyt; w końcu ojciec jest emerytowanym prawnikiem. Albo kupiła je dwadzieścia lat temu, zanim ceny mieszkań skoczyły do obecnego poziomu; to możliwe, biorąc pod uwagę jej wiek.

Niezależnie od tego, w jaki sposób weszła w posiadanie swojego mieszkania, Ivy nie otwiera drzwi. Nacisnąłem dzwonek cztery razy i zaczyna mnie boleć lewa

ręka od chowania za plecami bukietu kwiatów. Być może Ivy wyskoczyła po coś na chwilę – mleko, chleb, łyk świeżego powietrza – ale zasłony w jej sypialni są zaciągnięte, co daje mi niemal stuprocentową pewność, że jednak ucięła sobie drzemkę. Dzwonię do niej, ale oczywiście łączę się z pocztą głosową. Położna ma się zjawić dopiero za pół godziny, więc opieram się o ścianę i zajadam surowe pieczarki w oczekiwaniu na jakąś oznakę życia. Po kolejnych dziesięciu minutach dzwonię znowu, a kiedy i tym razem nie odbiera, korzystam z dzwonka, kołatki, a nawet krzyczę przez szparę na listy. Kiedy mam zamiar zapukać jeszcze raz, czyjś głos – nasuwający skojarzenie z cierpiącym na zapalenie krtani elfem – pyta, czy może mi jakoś pomóc. Odwracam się i widzę skępowanego chłopca z czerwoną jak burak twarzą, wysuwającego głowę z sąsiedniego mieszkania.

Za każdym razem, kiedy Ivy wyjeżdża z domu na dłużej niż dwa dni, nastoletni syn sąsiadów, Harold, karmi jej złotą rybkę, Ernesta. Domyślam się, że to właśnie jest Harold.

– Harold, prawda?

– Kim pan jest? – Łamiący się, niepewny głos Harolda prześlizguje się po „panu” w górę, w dół i znowu w górę.

– Fisher – przedstawiam się, wyciągając do niego rękę.

Harold (kto u diabła nazywa syna Harold; wojna dawno się przecież skończyła!) spogląda na leżącą na progu Ivy torbę z zakupami i bukiet kwiatów.

– Fisher? – powtarza, spoglądając na mnie podejrzliwie.

– William Fisher. Jestem chłopakiem... facetem... przyjacielem Ivy.

Harold nie odzywa się.

– Mieliśmy się spotkać – wyjaśniam – ale Ivy nie otwiera.

– Powinieneś wrócić później – mówi Harold.

– Jesteśmy z kimś umówieni za piętnaście minut.

Harold wzrusza ramionami i wycofuje się do mieszkania.

– Zaczekaj! – proszę. – Masz klucz, prawda? Możesz mnie wpuścić?

Harold patrzy takim wzrokiem, jakbym zapytał go, czy ma maskę narciarską i nóż.

– Nie sądzę – odpowiada, odsuwając się.

– Posłuchaj, Haroldzie. Jesteśmy z kimś umówieni za kwadrans, a Ivy śpi.

Jeśli przegapi wizytę naszego gościa, będzie wpieniona.

Harold naśladuje gest pociągania z kieliszka.

– Pijana?

– Nie, nie pijana, wściekła jak diabli. Mamy bardzo ważne spotkanie.

– Może wyszła z domu? – sugeruje Harold.

– Ma zaciągnięte zasłony.

– A o co dokładnie chodzi?

– Z czym?

- Z tym waszym spotkaniem.
- Cóż, to chyba nie jest twoja sprawa, prawda, Haroldzie?
- W porządku – odpowiada i przymyka drzwi.
- Haroldzie, zaczekaj!

Harold zatrzaskuje drzwi.

– Palant – mówię to dostatecznie głośno, żeby usłyszał mnie ten pryszczaty gnojek i przy okazji również połowa sąsiadów.

Jeszcze raz próbuję się dodzwonić do Ivy, ale znowu łączę się z pocztą głosową. Jestem w trakcie nagrywania chaotycznej wiadomości, kiedy w drzwiach ponownie zjawia się Harold, tym razem z kluczem w dłoni.

– Harold! – odzywam się, jakbyśmy byli parą kumpli, którzy odnaleźli się po latach. – Dzięki ci, stary. – Kiedy jednak sięgam po klucz, Harold cofa rękę.

– Sam sprawdzę.

– Co takiego? Nie ma mowy, dawaj ten klucz.

Harold chowa klucz za plecami.

– Skąd mam wiedzieć, że jesteś tym, za kogo się podajesz?

– Co?! A kim innym mógłbym być?

Harold wzrusza ramionami.

– Włamywaczem. Gwałcicielem. Mordercą.

– Z torbą pieprzonych zakupów?

– Nie musisz przeklinać – upomina mnie Harold i wygląda przy tym na szczerze urażonego.

– Haroldzie, przepraszam, ale Ivy ma na sobie piżamę i jeśli wsuniesz głowę do jej sypialni, to padnie na zawał. A żaden z nas tego nie chce, prawda?

Harold purpurowieje, opuszcza rękę z kluczem, a ja próbuję mu go wyrwać. Harold okazuje się jednak silnym małym skurczybykiem, jego ramię zaś zdaje się przyspawane do boku niczym żelazny pręt.

– Po prostu daj mi ten pieprzony klucz, Haroldzie.

– Puść mnie! – krzyczy Harold. Jego łamiący się głos podnosi się przynajmniej o oktawę.

Usiłuję rozluźnić jego zaciśnięte palce, ale ten dzieciak ma uścisk farmera i jego koścista pięść nie rozchyła się nawet o milimetr.

– Daj mi go, ty chuderławcy skur...

– Co tu się dzieje?

Odwracam się i widzę stojącą w progu Ivy. Jej włosy są zmierzwione, ma na sobie szorty i koszulkę na ramiączkach. Nie widzę swojej twarzy, za to widzę facjatę Harolda i niezależnie od tego, który z nas ostatecznie przegra w konkursie na najgłębszy rumieniec, idziemy łeb w łeb.

– Spałaś – stwierdzam.

– Klucz – odzywa się Harold, unosząc go do góry jak talizman.

– Nie chciał mnie wpuścić – tłumaczę.
– Próbowałeś mi go wyrwać – kontruje płaczącym tonem Harold. – Nie wiedziałem, kim jesteś.

– Przecież ci mówiłem! Jestem jej przyjacielem. Przyjacielem Ivy.
– Chryste – odzywa się Ivy podniesionym głosem. – Przestańcie się wreszcie kłócić.

Powstrzymuję się resztką sił, by nie powiedzieć, że to Harold zaczął. Chociaż jestem prawie pewien, że tak właśnie było.

– Przepraszam – bąka Harold.

– Dziękuję – zwraca się do niego Ivy. – Poradzimy sobie.

Harold uśmiecha się do niej, zerka na mnie i wycofuje się do swojego mieszkania.

Podnoszę kwiaty z podłogi i pokazuję je Ivy.

– Kwiaty – wyjaśniam.

Ivy kręci głową, ale leciutko się przy tym uśmiecha. Podnoszę zakupy i wchodzę za nią po schodach. Słowo daję, że wygląda świetnie w tych szortach.

Kiedy Ivy bierze prysznic, wstawiam kwiaty do wazonu, a produkty spożywcze chowam do lodówki. Kuchnia i salon stanowią otwartą przestrzeń, obydwa „pomieszczenia” dzieli wysoki do pasa barek śniadaniowy. Niemowlę bez najmniejszego problemu mogłoby przerazkować od kominka do szafki kuchennej pod zlewozmywakiem, w której Ivy przechowuje folię samoprzylegającą, środki czyszczące, gumowe rękawiczki i wybielacz. Z kuchni dziecko ma swobodny dostęp do korytarza. Po przepelnieniu obok stromych schodów nasz tobołek szczęścia znajdzie niewielką sypialnię (lub skromnych rozmiarów pokój dziecięcy) po lewej stronie i łazienkę po prawej. Zasuwka w drzwiach łazienki nie działa, co zapewni mu łatwy dostęp do kolejnych produktów czyszczących i szczotki do mycia toalety. Jeśli niemowlę – ona lub on – będzie miało dość szczęścia, żeby przetrwać tę najeżoną niebezpieczeństwami ekspedycję, to znajdzie się w głównej sypialni, gdzie – o ile mi wiadomo – nie znajduje się nic, co można by uznać za śmiertelnie lub ekstremalnie niehigieniczne. Klepki podłogowe są jednak w opłakanym stanie (agent nieruchomości nazwałby je „oryginalnymi”) i już co najmniej trzy razy wyrwałem sobie cholernie wielką dziurę w skarpetce wiktoriańską drzazgą lub dumnie prężącym się w podłodze gwoździem.

Rozmyślałem nad tym wszystkim, siedząc na kanapie w salonie, kiedy do moich uszu dobiega dźwięk dzwonka i nagle zyskuję całkowitą pewność, że położnej wystarczy jedno spojrzenie na tę śmiertelną pułapkę, żeby sklasyfikować nas jako ludzi niezdolnych do roli rodziców. Dzwonek rozlega się po raz drugi.

– Otworzysz? – woła z łazienki Ivy.

Położna, korpulentna kobieta z silnym karaibskim akcentem, przedstawia się jako Eunice. Oprawdam ją po mieszkaniu, mamrocząc pod nosem jakieś bzdury

na temat poręczy, bramek na schody, zabezpieczeń na zamki, majsterkowania i cyklinowania podłóg.

– Masz na to mnóstwo czasu, kochaniutki – mówi z uśmiechem Eunice, obrzucając mieszkanie krytycznym spojrzeniem. – Najpierw zajmijmy się mamą. Czy jest w domu?

W tym momencie zjawia się Ivy, z niewysuszonymi włosami, bez makijażu; po prostu piękna. Jej skóra jest lekko zarumieniona po prysznicu, co podkreśla blizny na twarzy. Ivy pewnie zdążyła się już do nich przyzwyczaić, ale dla mnie to wciąż nowość i kiedy spotykamy kogoś po raz pierwszy, czuję się lekko skrępowany i za wszelką cenę chcę ją chronić.

– Witaj, skarbie – odzywa się Eunice. – Ślicznie wyglądasz. Cięży jeszcze nie widać?

Ivy kładzie dłoń na brzuchu.

– Sama nie wiem – odpowiada, promieniejąc szczęściem. – Może troszeczkę. I rzeczywiście, pod jej obcisłym T-shirtem zaczyna się coś odznaczać.

Eunice macha lekceważąco ręką.

– Nigdy w życiu nie miałam tak płaskiego brzucha, jak ty teraz. – Zanosi się głębokim, gardłowym śmiechem. – Chodź – mówi, siadając na kanapie, i poklepuje leżącą obok siebie poduszkę. – Siadaj.

Ivy zajmuje miejsce obok Eunice; wygląda przy tym jak speszona pensjonarka.

– Który to tydzień, złotko? Jakiś dziesiąty–jedenasty, prawda?

– Dziewiąty – prostuje Ivy.

– Ekscytujący czas – kwituje jej słowa Eunice, otwierając szeroko oczy. – Bardzo ekscytujący.

Przez kolejne pół godziny Eunice zadaje Ivy pytania, pobiera od niej próbki krwi i moczu i wspólnie wypełniają stertę formularzy. Nie licząc parzenia herbaty, moja obecność na tym spotkaniu jest całkowicie zbędna.

Przed wyjściem Eunice pyta, czy wszystko jest jasne. Ivy odpowiada, że tak, na razie nie mamy żadnych wątpliwości.

– A tatuś? – zwraca się do mnie położyna.

To pierwszy raz, gdy ktoś nazwał mnie „tatusiem” i efekt jest piorunujący. Zupełnie jakby pod moim mostkiem krył się specjalny „tatusiowy” gruczoł tylko czekający na to specjalne słowo, żeby zalać mój krwiobieg hormonami ojcostwa. Pod wpływem działania tych chemicznych przekaźników rośnie mi w gardle gula, a na twarzy pojawia się wariacki uśmiech. W przeciwieństwie do napędzanej adrenaliną reakcji „uciekaj albo walcz” jest mało prawdopodobne, żeby ta biologiczna ciekawostka dawała mi jakąkolwiek ewolucyjną przewagę, ale czuję się dzięki niej znakomicie.

– Właściwie to – mówię, nadal szczerząc zęby w odpowiedzi na przyływ

tatusiowego hormonu – mam jedno pytanie. – Spoglądam na Ivy i uśmiecham się znacząco.

Mam wrażenie, że Ivy potrafi czytać w moich myślach, ponieważ zaciska wargi, mruży oczy o milimetr, a jej głowa nieznacznie obraca się w lewo i w prawo w ledwie zauważalnym, błagalnym geście. Ale jest już za późno; podjąłem decyzję.

– Tak, kochaniutki?

– Ciekawi mnie, czy to bezpieczne, żebyśmy... no wiesz... uprawiali... – Pomimo oczywistego medycznego dowodu na to, że Ivy i ja kochaliśmy się przynajmniej raz; pomimo faktu, że to właśnie seks i jego naturalne konsekwencje były przyczyną, dla której Eunice siedzi teraz na kanapie Ivy, jestem zbyt skrępowany, żeby wypowiedzieć to słowo na głos. Zamiast tego usiłuję jej przekazać samą ideę seksu za pomocą serii min, ruchów głowy i pochrząkiwań.

– Seks! – wykrzykuje Eunice. – Ha, ha, mój Boże, tak! – Ścis-ka kolano Ivy. – Oczywiście, że możecie uprawiać seks, złotko, tylko bez energicznych pchnięć, OK?

Eunice puszcza do mnie oczko, a Ivy wlepia wzrok w podłogę.

* * *

Po wyjściu Eunice Ivy jest tak rozemocjonowana, jakby dawno puściła w niepamięć wszystkie moje dzisiejsze gafy. Po raz kolejny przypominam sobie, jak doskonale Ivy prezentuje się od tyłu. Ivy mówi o czymś z podekscytowaniem, sprząając kubki po kawie, wnosi je do kuchni i napełnia zlew wodą. Jednak teraz, gdy dostaliśmy zielone światło od naszej położnej, trudno jest mi się skoncentrować na czymś innym niż zaciąg-nięcie Ivy do łóżka, i to w trybie natychmiastowym. Zupełnie jakby w mojej głowie włączył się seksualny klakson i kiedy Ivy zanurza dłonie w gorącej wodzie z mydlinami, czuję, że w moich bokserkach zaczyna się coś dziać. Może nie jest to jeszcze pełna gotowość bitewna, ale stary wojownik właśnie zaczyna się nakręcać.

– ...nie sądzisz? – pyta Ivy.

Nie mam pojęcia, o czym mówi; dźwięk klaksonu w dalszym ciągu rozsadza mi czaszkę.

– No jasne – odpowiadam i chyba udzieliłem poprawnej odpowiedzi, ponieważ Ivy przytakuje i zaczyna wycierać kubki: wpycha ręcznik kuchenny w kratkę w czeluść kubka i zaczyna nim metodycznie obracać. Wygląda to niezwykle erotycznie i wszystkie moje pierwotne instynkty są już w stanie pełnego pobudzenia. Nie kochaliśmy się tak długo, że na samą myśl o zainicjowaniu seksu poza sypialnią, i to na dodatek w ciągu dnia, oblewa mnie zimny pot. Kluczem do sukcesu – uspokajam samego siebie – jest spontaniczność.

– Dobrze się czujesz? – pyta Ivy.

– Fantastycznie.

– Jesteś czerwony jak burak.

– Masz ochotę na bzykanko?

Ivy przygląda mi się przez chwilę, po czym wybucha śmiechem.

– Boże! – mówi. – Wiem, o co ci chodzi. – I dodaje, marnie naśladując Eunice: – „Tylko bez energicznych pchnięć!”. – Bawi ją to do tego stopnia, że musi usiąść i powachlować sobie twarz.

– Zabawne – stwierdzam, a mój wymuszony śmiech jest jeszcze mniej przekonujący niż karaibski akcent Ivy. Jednak ona śmieje się tak głośno, że niczego nie zauważa.

Kiedy wreszcie Ivy dochodzi do siebie – trwa to dłuższą chwilę – jest wyczerpana i oznajmia, że potrzebuje krótkiej drzemki. Gdyby właśnie to było moim celem – rozbawienie Ivy do tego stopnia, żeby musiała się położyć – byłbym geniuszem. Ale nie było, a ja wcale nie czuję się jak geniusz. Właściwy moment minął, klakson zamilkł, a małemu Fisherowi wszystko opadło.

Kiedy Ivy wstaje z łóżka, po raz trzeci tego dnia, słońce zachodzi, a wołowina po burgundzku przyjemnie bulgocze na kuchence. Było to pierwsze danie, jakie ugotowałem dla Ivy. Chcę o nim myśleć jak o naszym specjalnym daniu. A nuż wskrzesi ono w Ivy dawną namiętność.

– Co tak pachnie? – Ivy obejmuje mnie w pasie i daje mi buziaka.

– Nasze specjalne danie – odpowiadam, unosząc pokrywkę garnka.

– Mamy takie danie?

– Wołowina po burgundzku. Ugotowałem ją pierwszego wieczoru, kiedy zjawiała się w moim mieszkaniu.

– Ach tak – odpowiada Ivy z miną zdradzającą, że nie zanotowała w pamięci tej błahostki. – To bardzo miłe z twojej strony, skarbie, ale nie wiem, czy mam ochotę na coś tak... ciężkiego.

– To danie nie jest ciężkie, tylko... pożywne. Pożywne to nie to samo co ciężkie.

– Szczerze powiedziawszy, nie jestem bardzo głodna.

– Położna mówiła, że powinnaś jeść dużo żelaza – przypominam jej. – Wołowina tyle go właśnie zawiera. A przynajmniej powinna, biorąc pod uwagę, ile za nią zapłaciłem.

– Czy mógłbyś ją przykryć? – pyta Ivy. – Od samego zapachu robi mi się...

– Ivy znacząco wydyma policzki.

– Jasne, możemy zjeść później.

Ivy otwiera okno, wpuszczając do kuchni powiew zimnego jesiennego powietrza. Oto kolejna cecha mieszkania w Brixton – jeśli otworzycie okno w moim mieszkaniu o tej porze nocy, zakręci wam się w głowie od tego, co wleci do środka.

– Najchętniej zjadłabym sałatkę Cezara z kurczakiem – odzywa się Ivy.

– Taką masz zachciankę?
– Nie, po prostu lubię sałatkę Cezara – odpowiada Ivy.
Otwieram lodówkę, ale nie mamy kurczaka, sałaty ani sosu.
– Chcesz, żebym poszedł do sklepu po składniki?
– A mógłbyś? I po ananasa? Przepraszam cię, skarbie, poszłabym sama, ale padam z nóg.

* * *

Jest już ciemno, gdy zasiadamy do kolacji przed telewizorem, w którym leci akurat jakaś komedia romantyczna. Sałatka jest całkiem dobra jak na sałatkę, lecz stanowi marny substytut wołowiny po burgundzku i mój żołądek nie jest z tego powodu zadowolony. Ivy wynosi naczynia do kuchni, po czym wraca i kładzie się na kanapie, z głową na moich kolanach.

– Jesteś rozczarowany? – pyta i niezależnie od tego, co ma na myśli: film, sałatkę, czy celibat, odpowiedź w każdym przypadku brzmi tak samo.

– Nie – odpowiadam. – Dlaczego?

– Zadałeś sobie tyle trudu, żeby ugotować kolację.

– Nie zepsuje się.

– W piątek pójdziemy na kolację – obiecuje. – Gdzie tylko będziesz chciał.

Całuję ją w przedziałek.

– Co u Joego? – pyta Ivy.

– W porządku – odpowiadam. – Przesyła ci pozdrowienia.

– Kłamczuch.

– W każdym razie pytał o ciebie.

Ivy się śmieje.

– Chce, żebym został jego drużbą.

Ivy przekręca głowę, żeby na mnie spojrzeć.

– To miło z jego strony. Wygłosisz przemowę?

– Muszę. To jedno z zadań drużby. Ty też jesteś zaproszona na ślub.

Ivy odwraca się w stronę telewizora.

– Fajnie – mówi, ale te słowa nie brzmią zbyt przekonująco. – Czego dotyczył scenariusz?

– Papieru toaletowego.

– Masz na myśli reklamę papieru toaletowego czy to, że scenariusz był do dupy?

– I jedno, i drugie.

– Skoro cię to uszczęśliwia – kwituje moje słowa Ivy.

Para na ekranie właśnie się ze sobą pokłóciła przez jakieś horrendalne nieporozumienie, ale jakimś cudem wiem, że na końcu filmu i tak wszystko się między nimi ułoży. Nie mam nic przeciwko komediom romantycznym, wprost

przeciwnie, uwielbiam je. Dobro zwycięża w nich zło, miłość pokonuje wszystkie trudności, świat nigdy się nie skończy – dla mnie w porządku. Nie chciałbym, żeby było inaczej. Przeszkadza mi tylko to, że jakiś hollywoodzki reżyser dostaje coś koło miliona dolarów za to, że stoi za kamerą: scenografia jest taka sobie, dialogi drętwe, sceny przewidywalne. Brakuje rzemiosła, inwencji czy – z mojego punktu widzenia – jakiegokolwiek śladu reżyserii. Sam bym tak potrafił. A nawet zrobiłbym to lepiej. Jednak zamiast tego – jeśli dopisze mi szczęście – będę mógł nakręcić trzydziestosekundową reklamę srajtaśmy za mniej pieniędzy, niż ten cwaniak zarabia podczas przerwy na kawę.

– Myślisz, że powinienem odmówić? – pytam Ivy.

Ivy nie odpowiada.

– Oczywiście mógłbym zaczekać na coś lepszego – mówię do niej. – Ale muszę teraz myśleć o waszej dwójce, prawda? – Kładę dłoń na jej brzuchu.

Ivy wydaje dźwięk, jakby miała zamiar coś powiedzieć, a później zaczyna chrapać.

Rozdział 7

Dzisiaj zaczyna się dziesiąty tydzień ciąży i nagle stan Ivy wydaje mi się znacznie bardziej rzeczywisty niż trzydzieści jeden godzin wcześniej, gdy widziałem się z nią po raz ostatni. Wczoraj i dzisiaj Ivy pracuje na planie filmiku promującego nową kapelę, na której punkcie wszystkie hołdujące modzie dzieciaki mają bzika. Zdjęcia skończyły się późnym wieczorem, a rano Ivy musiała wstąpić, więc spędziliśmy tę noc osobno, co ostatnio rzadko nam się zdarza. Kiedy obudziłem się rano, w telefonie czekał na mnie MMS.

Zdjęcie przedstawia zbliżenie miękkiego damskiego brzucha – jasna blizna biegnąca z góry do dołu potwierdza, że ów miękki damski brzuch należy do Ivy. Ivy dorysowała – szminką, jak się domyślam – dymek wychodzący z pępka, a w nim wiadomość: *10. tydzień ciąży! Cmok.*

I nagle, ot tak, jej ciąża staje się czymś dziesięciokrotnie poważniejszym niż wczoraj. Od razu zadzwoniłem do Ivy, ale połączyłem się z pocztą głosową. Napisałem i wykasowałem pięć różnych odpowiedzi, zanim zdecydowałem się na rzymski żart numeryczny – *X!*, którą to wiadomość Ivy odczytała pewnie jako apatycznego całusa. Napisałem też wyjaśnienie, ale doszedłem do wniosku, że jest koszmarnie napuszone, więc je wykasowałem.

Joe i ja poświęciliśmy półtorej godziny na omówienie koncepcji reklamy papieru toaletowego z agencją reklamową. Chyba dobrze nam poszło, chociaż mam problemy z koncentracją. W reklamie wystąpi gigantyczny królik, przez co ciągle wracam myślami do wiadomości od Ivy – *10. tydzień ciąży*. To sprawia, że na niczym nie mogę się skupić. Wszyscy ekscytują się kostiumami, doborem obsady i kiepskimi żartami, podczas gdy ja najchętniej postukałbym łyżeczką w kubek i ogłosił: Słuchajcie wszyscy – będę miał dziecko! Postanowiliśmy jednak z Ivy zachować tę wiadomość w sekrecie, dopóki nie zrobimy za dwa tygodnie badania USG. Udaję więc, że słucham i robię notatki, a kiedy cała reszta zaczyna się śmiać, ochoczo do nich dołączam. Sztuczka najwyraźniej skutkuje, Joe jest przekonany, że dostaniemy to zlecenie. Kiedy wracam do Brixton metrem linii Victoria, buzują we mnie emocje. Zdjęcia do reklamy potrważą dwa dni, a płacą od liczby przepracowanych godzin, co oznacza, że zasile nasz wkrótce rodzinny budżet okrągłą sumką. Jednakże to wciąż tylko reklama papieru toaletowego.

Poza tym jakaś myśl przez cały dzień nie daje mi spokoju, ale nie potrafię jej nazwać. Przypuszczam, że ma jakiś związek z bielizną. Ivy zaprasza dziś na kolację, weźmie ze sobą torbę ubrań na zmianę i być może zostanie u mnie na cały weekend albo uciekniemy do Wimbledonu. Mam wrażenie, że ostatnio nie

możemy się nigdzie ruszyć bez pary majtek w kieszeni – i w połowie przypadków są to majtki wymagające prania. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby poprosić Ivy o szufladę w jej mieszkaniu ani zaoferować szuflady we własnym, być może dlatego, że to niezbyt hojna oferta, wzięwszy pod uwagę naszą sytuację.

W drodze do domu mijam punkt dorabiania kluczy i nagle wiem, co powinienem zrobić. A może wiedziałem to już rano, kiedy mijalem ten sam punkt w drodze do metra.

Kolejny przystanek to tani sklep z biżuterią, w którym prośba o puste pudełeczko na pierścionek spotyka się z rażącym niezrozumieniem.

– To ma być niespodzianka dla mojej narzeczonej – wyjaśniam.

Dziewczyna za ladą ma trzy złote kółka w jednym uchu, cztery w drugim i kolczyk w górnej wardze.

– Puste pudełko?

– Tak. Nie, zamierzam coś do niego włożyć.

– Co?

– Klucz.

– Co takiego?!

– Do mojego mieszkania. Chcę włożyć do środka klucz i zrobić jej niespodziankę.

– Nie sprzedajemy pudełek.

Posyłam jej najbardziej czarujący uśmiech.

– Czy jest szansa, żeby podarowała mi pani jedno takie pudełko?

– Raczej nie.

– Cóż, w takim razie co macie najtańszego?

Kolczyk w górnej wardze dziewczyny na moment wysuwa się z dziurki i znów wskakuje na swoje miejsce.

– Czy pańska dziewczyna ma przebite uszy?

– A ile kosztują kolczyki?

– Czternaście dziewięćdziesiąt dziewięć.

– Doskonale.

Dziewczyna otwiera szufladę pod ladą, wyjmując z niej parę srebrnych kolczyków i wrzuca je do fioletowego woreczka ze sztucznego zamszu, ozdobionego serduszkami.

– Przepraszam – zwracam się do niej z nieskończoną cierpliwością i kurtuazją. – Czy może je pani zapakować do pudełka?

– Kolczyki pakujemy do woreczków – odpowiada dziewczyna. – Ozdobionych serduszkami.

Kładę dłonie na szklanej ladzie.

– Niech pani posłucha, nie zależy mi na woreczku, tylko na pu...

– Proszę pozostać po swojej stronie lady.

Natychmiast się prostuję.

– Przecież cały czas tu stoję. Ja tylko... Jezu! Chciałem kupić cholerne pu...

– Jakiś problem? – odzywa się nerwowy męski głos.

Odwracam się w stronę stojącego za kasą mężczyzny w średnim wieku, chowającego prawą dłoń pod ladą. Przenoszę wzrok na dziewczynę, która krzyżuje ramiona na piersi i zaczyna poruszać kolczykiem w wardze.

– W porządku – mówię. – Pójdę do Argosa.

– Jak pan sobie chce – odpowiada dziewczyna. – Ale ich kolczyki to badziewie.

Nie mam pojęcia, co to znaczy, ale na pewno nic pochlebnego.

Kiedy stoję w kolejce do kasy w sklepie jubilerskim Argos, dociera do mnie, że podarowanie Ivy kompletu kluczy do mojego mieszkania znaczy niewiele więcej niż zaoferowanie jej szuflady w bieliźniarce. Kocham Ivy, uwielbiam dzielić z nią łóżko, kanapę i łazienkę, nawet jeśli nie zamyka drzwi podczas załatwiania czynności fizjologicznych. Nie zapominajmy też o naszym dziecku, teraz już wielkości kumkwata, z uszami, nozdrzami i sercem bijącym sto osiemdziesiąt razy na minutę. Najrozsądniej – a przy tym najwłaściwiej i najromantyczniej – byłoby poprosić Ivy, żeby się do mnie przeprowadziła, ciałem, duszą i z zapasem bielizny. Jedyna trudność, jaka przychodzi mi do głowy, polega na tym, że Ivy musiałaby upaść na głowę, by porzucić zadrzewiony spokój Wimbledon Village na rzecz ostrej, nieprzyjemnej kakofonii Brixton. Nadchodzi moja kolej, żeby zostać obsłużonym, więc zmawiam rozpaczliwą modlitwę do patrona wszystkich idiotów i proszę znużoną kasjerkę o parę najtańszych kolczyków.

* * *

Jestem pijany, Ivy nie.

Dwa kieliszki wina kosztują więcej niż cała butelka, więc zamówiłem butelkę, ale jestem zdenerwowany, przez co piję zbyt szybko. Skończyliśmy jeść przekąski i dania główne i właśnie czekamy na deser. Pudełko z kluczami w przedniej kieszeni moich džinsów uwiera mnie tak bardzo, że nie jestem w stanie o nim zapomnieć choćby na sekundę. Czekałem na odpowiedni moment, żeby je wręczyć, ale za każdym razem, kiedy rozmowa zamiera, tracę animusz. Uciekam się więc do głupkowatych konwersacyjnych sztuczek godnych nastolatka na pierwszej randce. Na szczęście Ivy jest tak zmęczona, że albo tego nie zauważa, albo ma to w nosie. Próbowałem zainicjować rozmowę o dziecięcych imionach, lecz Ivy stwierdziła, że to jeszcze za wcześnie. Zapytałem, czy wolałaby chłopca czy dziewczynkę, na co odparła, że zależy jej wyłącznie na zdrowym dziecku. Chciałem wiedzieć, czy woli poród w domu czy w szpitalu, ale poprosiła, żebyśmy zmienili temat. Zacząłem więc gadać o pogodzie. Gołym okiem widać, że Ivy

wolałaby teraz być w domu i drzemać na kanapie przed telewizorem wyświetlającym jakąś szmirę, co zważywszy na jej stan, wydaje się zrozumiałe.

- Smakował ci makaron? – pytam.
- Był całkiem niezły. A twoja ryba?
- Dobra.
- To super.
- Tak, lubię rybę.

Na szczęście w tym momencie zjawia się kelnerka z deserami. Nie jest to może doskonały moment, ale do końca randki zostało nam jakieś dziesięć minut, co oznacza wóz albo przewóz. Zbieram się na odwagę, biorę głęboki wdech, sięgam do kieszeni... i dopiero w momencie, gdy pudełeczko wynurza się spod stolika, dociera do mnie, co zwykle daje się w takich pudełeczkach.

– Tak sobie myślałem – mówię, żałując, że nie przemyślałem tego troszeczkę lepiej.

Ivy niemal się wzdryga.

To pewnie tylko wytwór wyobraźni, ale mam wrażenie, że rozmowy przy sąsiednich stolikach nagle cichną. Jestem boleśnie świadomy obecności gitarzysty w kącie sali, nucącego cichutko piosenkę o... właśnie tak, *amore*. W filmowej wersji mojego życia wszystkie głowy odwróciłyby się wyczekująco ku mnie: gruba kobieta zamarłaby w bezruchu, z uniesionym do ust deserem, frywolny kelner puściłby do mnie oczko na zachętę, starsza pani chwyciłaby męża za rękę i spojrzała w jego zasnutę mgłą oczy i wreszcie – dla wprowadzenia akcentu komicznego – łysiejący okularnik zerknąłby na swoją szkaradną żonę i przeszyłby go dreszcz. Ale to nie jest film, tylko prawdziwe życie, bez scenariusza i prób, i jedyną osobą, która na mnie patrzy, jest Ivy. Zapewniłem sobie sto procent jej uwagi, tyle samo, ile zyskałbym, wymachując – powiedzmy – zakrwawioną siekierą.

– Nie! – wołam i usiłując jak najszybciej pokazać, że w pudełku nie ma pierścionka, upuszczam je do swojego tiramisu. – Kurwa!

Tym sposobem udało mi się skupić na sobie uwagę pary przy sąsiednim stoliku. Uśmiecham się do siedzącej tam kobiety, w odpowiedzi na co ona do mnie mruga.

Ivy kurczowo ściska widelec niczym bohaterka horroru próbująca się uchronić przed tym, co nieuchronne.

– W porządku – mówię, otwierając wreszcie to głupie pudełko. – To tylko klucze.

Ivy spogląda na nie, jakby nigdy wcześniej nie widziała podobnego przedmiotu. Kobieta przy stoliku obok wraca do swoich klopsików, wyraźnie zawiedziona.

– Do mojego mieszkania – wyjaśniam. – Dla ciebie.

– Klucze – powtarza Ivy, nadal analizując całą tę sytuację. Na jej twarzy malują się kolejno: strach, zmieszanie, ulga i znowu zmieszanie.

– Wprowadzisz się do mnie? – pytam, kładąc niepotrzebnie duży nacisk na znak zapytania. Brzmi to tak, jakbym ją błagał.

Ivy bierze klucze do ręki, wsuwa palec w przytrzymujące je kółko, dociera do niej, co właśnie robi, i odkłada pęk kluczy na stolik, jakby mógł jej zrobić krzywdę.

– A to niespodzianka – stwierdza.

Wykonuję rękami gest godny rasowej gwiazdy kabaretu.

– Tadaaam!

Ivy uprzejmie się śmieje.

– Czy to oznacza „tak”?

Ivy przygryza dolną wargę.

– Jak państwu smakują desery? – pyta kelnerka.

Deser Ivy stoi nietknięty, w moim znajduje się wgłębienie w kształcie pudełka.

– Pyszny – mówię – ale więcej już nie zmieszczę.

– A pani? – dopytuje kelnerka.

– Skończyłam – odpowiada Ivy. – Dziękuję.

– Przynieść państwu kawę?

– Tylko rachunek – prosimy z Ivy jednym głosem.

W drodze powrotnej do mojego mieszkania nie rozmawiamy. Jest zimny, bezgwiezdny wieczór, lecz mimo to prowadzę nas malowniczym szlakiem. Idziemy ramię przy ramieniu, wdychamy ostre powietrze i patrzymy na tłukących się pijaków, spitych do nieprzytomności meneli, wyniszczone dziwki i ich zdrowo stukniętych alfonsów. Wieczór jest piękny. Kiedy skręcamy w dość bezpieczną Chaucer Road, Ivy gwałtownie się zatrzymuje się i ciągnie mnie za rękę.

– Co się stało? – pytam, rozglądając się na boki.

Ivy uśmiecha się i ściska moją dłoń.

– A może to ty się do mnie wprowadzisz? – pyta.

Przytulam ją i całuję.

– Czy to oznacza „tak”? – pyta ze śmiechem.

– Myślałem, że nigdy tego nie zaproponujesz.

Ivy marszczy brwi.

– Czy to... zastawiłeś na mnie pułapkę?

– Niezbyt romantycznie to ujęłaś.

– No nie wiem – mówi Ivy i zaczyna iść, ciągnąc mnie za sobą. – Możliwe, że było to coś najbardziej romantycznego, czego doświadczyłam w życiu.

Rozdział 8

W ciągu ośmiu tygodni od powrotu Ela z San Francisco jego opalenizna zbladła, a głowa wydaje się mniejsza, chociaż to pewnie efekt uboczny zapuszczenia brody.

– Moja gęba s... swędzi jak di... diabli.

– Pozwól mi ją zgolić, na litość boską – prosi Phil.

– P... p... pewnie mnie p... przy okazji zabijesz – mówi El, a po chwili wybucha śmiechem. – Cho... chociaż m... może i powinieś.

Drżenia Ela nasiliły się do tego stopnia, że przy każdym goleniu zaczyna się przynajmniej pół tuzina razy. Jego temperament i upór sprawiają, że nie pozwala się w tym Philowi wyręczyć.

– Zresztą t... to modne.

– Przypominasz włóczkę – zauważa Phil, który sam sprawia wrażenie zaniedbanego, co zupełnie nie jest w jego stylu. Pod oczami ma sińce i wygląda jakby płakał, nie spał albo i jedno, i drugie.

El nie odpowiada; jest całkowicie pochłonięty swoim iPadem, zresztą jak przez większość wieczoru. Na stoliku do kawy leżą dwie pizze, ale Phil nie je, a El stracił zainteresowanie posiłkiem w połowie drugiego kawałka.

El wyciąga w moim kierunku iPada.

– T... ten jest d... dobry.

– Co to takiego?

– Fi... filmik. Ktoś z mojej p... paczki.

Phil wzdycha.

– Nie pokazuj mu tego, El. To strasznie przygnębiające.

Biorę iPada i odpalam nagranie. Na kanapie leży kobieta z lewym ramieniem pod głową, jej palce zaciskają się i rozwierają jak u spastycznego kraba. W tle słychać męski głos informujący o tym, że bohaterka filmu – czyjaś żona – choruje na Huntingtona od ośmiu lat i kręci ten film dla swojego siedmioletniego syna, dopóki nadal jest w stanie to zrobić. Kobieta mamrocze coś niewyraźnie, głośno oddycha i jęczy przez całe chwytające za serce nagranie: mówi synkowi, że go kocha i przeprosza za to, że nie może zobaczyć, jak dorasta. Podczas gdy jej lewa ręka napina się i rozluźnia, kobieta uderza się prawą dłonią w czoło, jakby chciała się ukarać za to, że umiera akurat na tę chorobę. Po jakichś pięćdziesięciu sekundach zaczyna płakać.

– Ro... rozwala mnie to – odzywa się El, wybuchając nieszczerym śmiechem.

Phil gwałtownie wstaje i wychodzi z pokoju.

– P... pękł – odzywa się głośno El.

– Daj mu spokój, El.

Za każdym razem, gdy odwiedzam Ela, Phil znika w pubie na godzinę, więc nie jestem przesadnie zaniepokojony, słysząc trzask zamykanych frontowych drzwi.

El szczyrzy zęby w uśmiechu.

– Teraz m... możemy się n... napić.

– Wstawię wodę – mówię.

– S... s...

– Daj spokój, El. Nic nie mów.

Nie spieszę się z zaparzeniem herbaty i kiedy wreszcie przynoszę czajniczek do salonu, iPad Ela jest już wyłączony.

– Z... za... zachowałem się jak k... kawał f... – Wykonuje gest masturbowania się.

– Tak – przyznaję – ale Phil nie będzie się na ciebie długo gniewał.

El wygląda na szczerze skruszzonego.

– N... nie chcę być t... taki – oznajmia.

– Nie chcesz być fiutem?

El wzrusza ramionami.

– To też. – Wskazuje głową na iPada. – Nie chcę t... tak sko... skończyć.

Zauważam w brodzie Ela okruszki i resztki jedzenia; ich widok przeszkadzał mi przez ostatnich pięć minut, więc nachyliłam się, żeby wytrzeć mu twarz chusteczką.

– Pierdol się! – warczy z zaciekłością, która mnie przeraża.

– OK, przepraszam. – Prostuję się i staram się nie oddychać zbyt głośno. Wiem, że to wina choroby, a nie Ela, ale ta myśl wcale nie uspokaja, wprost przeciwnie – jeszcze bardziej wkurza.

El łapie za pilota, by po chwili upuścić go na podłogę.

– Cholera!

Zaczynam sprzątać pizzę ze stołu, wykorzystując to jako pretekst, żeby wstać z fotela i podnieść upuszczonego pilota. Bez słowa i nawiązywania kontaktu wzrokowego z Elem odkładam pilota na podłokietnik jego fotela. Kiedy wracam z kuchni, ogląda jakiś serial sensacyjny. Siadam po cichu na swoim miejscu.

Po kilku minutach El się odzywa:

– N... nie m... mam piep... pieprzonego p... pojęcia, o co chodzi w t... tym serialu.

– Czarna żmija? – proponuję.

Kiwa głową z takim entuzjazmem, że mam ochotę zmierzić mu włosy, ale boję się, że ten skurczybyk mógłby mnie ugryźć.

El nie potrafi się już skoncentrować na fabule, ale nadal pamięta większość scen i dialogów z programów telewizyjnych, które wspólnie oglądaliśmy piętnaście lat temu. Phil kupił mu nagrane na płytach sezony *Czerwonego Karła*, *Hotelu Zacisze*, *Wiecznie młodych* i oczywiście *Czarnej żmii*.

– Który odcinek? – pytam.

– K... każdy, byle z Kró... Kró... Królową – mówi El. – H... hej, co u twojej ko... kobiety?

– Przeprowadzam się do niej.

– Sz... szybko. Chyba nie w... w... wpadliście?

– Zabawne – mówię.

– Wiem, za... zabawny ze mnie skur... skurczybyk.

Phil wraca z pubu krótko po dziesiątej. El drzemie przed telewizorem, a ja jestem w trakcie oglądania trzeciego odcinka.

– Boże, uwielbiam Królową – stwierdza Phil. – Jak się czuje Baldrick? – dodaje, wskazując na Ela.

Śmieję się.

– W porządku, śpi jak niemowlę.

– Słusznie. Posłuchaj, jeśli chodzi o tamten melodramat...

– Zapomnij o tym, naprawdę.

– Jak się zachowywał?

– W porządku. Kazał mi spierdalać, kiedy próbowałem mu wyczyścić brodę, ale poza tym OK.

– Nie... nieładnie tak ko... kogoś obgggadywać.

– Obudził się – mówi Phil. – Pozwól mi wyczyścić sobie brodę, zachowujesz się jak pieprzony zarośnięty dwulatek.

El wysuwa brodę do czyszczenia.

– Dwu... dwulatek? – śmieje się. – Z... zaczekaj, aż zacznę s... srać w pie... pieluchy. T... to już nie... niedługo.

– Proszę bardzo – odzywa się wesoło Phil. – Gotowe. – Ma na zębach plamy od wina i zaczyna połykać głoski. Ciężko pada na kanapę i mocno opiera dłonie na kolanach, chyba po to, żeby się uspokoić.

W pokoju zapada niezręczna cisza, tym niezręczniejsza, że nie wiadomo, czym jest spowodowana.

– Wy... wyduś to wreszcie – odzywa się El.

– Trudno to nazwać miłą wiadomością – wzdycha Phil.

– O co chodzi? – pytam.

Phil bierze głęboki wdech i wstaje z kanapy. Podchodzi do antycznego sekretarzyka i wraca z dokumentem formatu A4.

– To jest decyzja o zaprzestaniu leczenia.

– O w... właśnie – mówi El, rozpromieniony.

– Oznacza to, że jeśli... – kontynuuje Phil.
– K... kiedy!
– ...stan Ela się pogorszy, lekarze nie będą go próbowali podtrzymywać przy życiu.

– Dobrze, co? – odzywa się El.

– To jego pomysł, prawda?

Phil bierze go za rękę.

– Nasz wspólny – odpowiada.

– J... ja to z... znalazłem, ku... kurwa – oponuje El. – Nie spi... spijaj ś... śmietanki.

– Chcemy, żebyś był naszym świadkiem.

Phil kładzie dokument na stoliku kawowym i podaje mi długopis. Nie wyciągam ręki po żadną z tych rzeczy.

– A co będzie, jeśli on... zrobi sobie krzywdę, złamie nogę? Albo zakrztusi się kawałkiem pizzy? Będziesz stał i patrzył?

Nie jestem pewien, czy Phil wierzy w moje oburzenie, zresztą sam nie wiem, czy jest szczere. Rozumiem ideę i tę ich potrzebę, ale podpisując dokument bez słowa protestu, czułbym się jak zdrajca.

– Oczywiście, że nie – odpowiada łagodnie Phil.

– O... o... owszem tak.

– El, ucisz się na moment. Po podpisaniu tego dokumentu El nigdy nie zostanie podłączony do maszyny, która oddychałaby za niego. A jeśli dostanie ataku serca, nie będzie reanimowany.

– To oznacza, że b... będę mógł u... u...

– El, proszę – przerywa mu Phil.

– Psu... psu... psujabawa.

Na progu mieszkania Phil zaczyna płakać, często mu się to zdarza. Jednak dzisiaj jego płacz jest inny, podszyty rozpaczą – jakby płakał nie tylko w imieniu Ela, lecz także swoim.

– Powinieneś spędzić trochę czasu sam – mówię mu. – Odpocząć od tego wszystkiego.

– Nic mi nie jest.

– Wprost przeciwnie. Spędziłem z tym gnojkiem raptem trzy godziny i ledwo żyję.

– W przyszłym tygodniu mam wizytę u lekarza.

– W sprawie...?

Phil wzrusza ramionami i znów wybucha płaczem.

– Chcesz, żebyśmy się nim zajął? Przez cały dzień?

Phil pociąga nosem, bierze się w garść.

– Poradzę sobie – zapewnia.

Chciałbym mu wierzyć.

Rozdział 9

Właśnie przeżywam to, co Francuzi nazywają *jamais vu*, czyli przeciwieństwo *déjà vu*.

Jest to uczucie obcości w sytuacji, o której wiem, że już wcześniej ją przeżyłem. Dziwnie mi z tym.

Ivy śpi z głową na moich kolanach. W zlewie stoją naczynia po zjedzonej sałatce Cezara. W telewizji puszczają komedię romantyczną. Różnica polega chyba tylko na tym, że tym razem jestem w domu. Naszym domu.

Wynająłem swoje mieszkanie w Brixton dwa dni po tym, jak zamieściłem ogłoszenie. Nowi lokatorzy wprowadzili się w następny weekend. I tak oto zamieniłem się z kawalera mieszkającego w Brixton w przyszłego ojca mieszkającego w leciutko zniewieściałym mieszkaniu w Wimbledon Village.

Biegam teraz po błoniach zamiast po parku, robię zakupy w Waitrose, a nie w Sainsbury's, miejsce uroczej starszej pani z mieszkania na dole zastąpił posępny czternastoletni gnojek. Zamiast plakatu Jamesa Bonda w sypialni mam wydrukowany portret Fridy Kahlo w łazience.

Wszystko się zmieniło, choć w gruncie rzeczy nie zmieniło się nic.

W przeprowadzce pomogli nam Esther i Nino. Właściwie to Nino pomógł w przeprowadzce, a Esther siedziała na kanapie, popijając herbatę z Ivy. A gdy skończyliśmy, Nino upiekł pizzę i zjedliśmy razem kolację. Ivy, co oczywiste, nie piła alkoholu. Esther stwierdziła, że Wimbledon to świetne miejsce do wychowywania dzieci, lecz zamiast przyznać jej rację, zapytałem ją o dzieci. Esther opowiedziała nam o urodzeniu pierwszego syna na własnym łóżku („zniszczyłam materac”), w mieszkaniu, w którym – po czterdziestu latach! – nadal mieszka. Rozpłakała się i kazała Ivy dobrze się mną opiekować, Ivy też się rozpłakała, a i mnie niewiele brakowało, żeby się rozbeczeć. Chwała Bogu, przynajmniej Nino zachował milczący stoicyzm. Esther coraz bardziej się upijała, wylewnie dziękując Ninowi za to, że zgodził się zamieszkać w obcym kraju, więc ona już nie musiała. „Teraz twoja kolej” – zauważył Nino, a Esther znowu się rozpłakała na myśl o tym, że będzie musiała zostawić Londyn i wszystkie związane z nim wspomnienia.

W dzisiejszym filmie para bohaterów wybiera się na wiele idealnych randek: homar, przejażdżka na diabelskim młynie, opera, kino, skuter wodny. Ivy i ja nie zrobiliśmy niczego takiego. Zamiast spacerować po plaży o zachodzie słońca, przeskoczyliśmy fazę romansu prosto do założenia rodziny i zalegnięcia przed telewizorem.

Jutro rano czeka nas pierwsze badanie USG, a wieczorem pojedziemy do Bristolu odwiedzić rodziców Ivy. Ale ponieważ wszystko jest teraz na opak, zamiast powiedzieć im o ciąży, Ivy przedstawi mnie jako swego nowego chłopaka. Przez cały weekend będzie nosiła workowate bluzy, żeby jej staruszkowie mogli się oswoić z myślą, że ma faceta, zanim dowiedzą się, że będzie miała dziecko. Będziemy udawać, że spotykamy się od lutego, ale nie mieliśmy wcześniej czasu, żeby ich odwiedzić. Zgodnie z naszą bajeczką, jesteśmy parą od ośmiu miesięcy. Według mnie wygląda to nieco podejrzanie, lecz Ivy zapewnia, że dopracujemy szczegóły we właściwym czasie. W teorii brzmi to dobrze, ale w praktyce mamy zaledwie dwadzieścia osiem tygodni, zanim na świecie pojawi się pewien kluczowy szczegół.

Dzisiejszy film przenigdy nie trafiłby na listę moich stu ulubionych, a to, że oglądałam go w rzęchowym telewizorze Ivy, jeszcze bardziej mi go obrzydziło. Ivy uwielbia czytać i całe jej mieszkanie jest tego żywym dowodem. Po obydwu stronach kominka stoją regały na książki sięgające od podłogi po sufit, a kolejny ich zestaw znajduje się w sypialni – wszystkie półki uginają się od literatury. Książki piętrzą się w kuchni, w łazience i na szafce w przedpokoju. (Dokładnie dwadzieścia trzy książki – liczyłem! – mają wsuniętą zakładkę gdzieś w połowie. Zgodnie z poglądami Ivy na to, że rezygnowanie z książek w trakcie czytania to brzydki nawyk, istnieje grupa powieści: *Paragraf 22*, *Zbrodnia i kara*, *Władca Pierścieni* itp., z których absolutnie nie zrezygnowała. „Skoro zaznaczyłam miejsce, do którego doczytałam, to nie porzuciłam lektury, po prostu jej nie skończyłam”). W każdym razie Ivy zdecydowanie woli czytać, niż oglądać telewizję, i chlubi się tym, że ma taki stary odbiornik. Z kolei mój telewizor, czterdziestodwucalowa ślicznotka, stoi na komodzie w nieużywanej sypialni – wygląda na to, że zabrakło dla niego miejsca w salonie. W tym samym pokoju kurzy się mój Xbox, skórzany fotel, patelnia Le Creuset, pościel i pudełko po butach pełne zdjęć. Nie mam pojęcia, jak upchniemy tam dziecko.

Zalewa mnie fala gorąca, która może być zapowiedzią ataku paniki, chociaż prawdopodobnie jest wynikiem przegrzania stóp. Po przeprowadzce Ivy sprezentowała mi parę kapci w kształcie wombata z kreskówki *The Wombles*: „Skoro już mieszkasz w Wimbledonie...”. Nigdy nie nosiłem kapci i nie przypominam sobie, że bym obejrzał chociaż jeden odcinek tej kreskówki, ale pewnie tak było; przez cały wieczór w głowie kołatała mi się melodia z serialu. Tak czy owak, jestem teraz dumnym (i przegrzanym) właścicielem kraciastych kapci rozmiar dziesięć w kształcie postaci Wujka Bułgarii.

Na ekranie rzęchowego telewizora Ivy para bohaterów komedii romantycznej właśnie uprawia seks na plaży we wszystkich ulubionych pozycjach, kłapiąc przy tym w usta, splatając palce i z rozmarzeniem patrząc sobie w oczy. Po jednoczesnym orgazmie padają na złocisty piasek, w pełni zaspokojeni i nadal

idealnie uczesani.

Przesuwam dłoń wzdłuż ciała Ivy aż do jej powiększającego się brzuszka.
Ivy zmienia pozycję na moich kolanach i zaczyna chrapać.

Wszystko zostało po staremu... Wszystko się zmieniło.

Jamais vu.

Rozdział 10

Lekarka, która zrobi badanie USG, ma na imię Valerie.

– Uwaga, żel jest zimny – mówi, sięgając po tubkę.

Jesteśmy w szpitalu Świętego Jerzego w Tooting, w którym Ivy planuje urodzić nasze dziecko. Ivy leży na plecach z rozpiętymi górnymi guzikami dzinsów, spod których wystaje biały rąbek jej bielizny. Podciągnęła koszulę aż do mostka, odsłaniając gładką, zaokrąglającą się kopytkę do niedawna płaskiego brzucha. Lekarka nakłada żel na brzuch Ivy, a ta mocniej ściska mnie za rękę. Założyła dzisiaj parę postarzaných spinek do mankietów w kształcie czterolistnych koniczynek. Nie mam pojęcia, czy był to świadomy wybór.

Pomieszczenie jest jasne i przyjemne; kolorowe obrazki na ścianach równoważą zimne szpitalne szarości i biele masywnego sprzętu medycznego. Dłoń Ivy jest gorąca i lepka w dotyku. Tego ranka wymiotowała dłużej i bardziej obficie niż kiedykolwiek wcześniej. Zapytałem ją, czy cieszy się, że po raz pierwszy zobaczy nasze dziecko, na co odpowiedziała, że się boi. Usiadłem w przedpokoju pod łazienką i kiedy ona myła zęby, zapytałem, czy wie, że dziecko jest wielkości limonki? Tak, odparła. Czy wie, że ma już paluszki, nerki, mięśnie i kości? Ivy zamknęła drzwi od łazienki. Kiedy z niej wyszła, wgramoliła się z powrotem do łóżka i otworzyła książkę – chyba w ten sposób daje mi do zrozumienia, że bym zostawił ją w spokoju.

Valerie przesuwa białą sondę po brzuchu Ivy.

– Oto i ono – mówi. – Tu jest główka. – Na wiszącym na ścianie monitorze pojawia się okrągły niewyraźny kształt.

Ivy zaczyna płakać.

– Moje dziecko? – raczej pyta, niż stwierdza fakt, jakby nadal nie była pewna, czy to wszystko dzieje się naprawdę.

– Twoje dziecko – odpowiada lekarka, uśmiechając się tak, jakby wykonywała najlepszy zawód pod słońcem.

Przesuwa sondę w bok i marszczy brwi – nie jest to mina, którą chciałoby się oglądać w pomieszczeniu takim jak to. Ivy niczego nie zauważa, ponieważ nie spuszcza wzroku z monitora. Valerie odwraca się od ekranu i spogląda na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Yyy... – zaczyna.

– Co się stało? – pytam.

Możliwe, że Valerie się uśmiecha, ale trudno to stwierdzić, bo przygryza dolną wargę.

- No cóż...
- Ivy odwraca głowę i wlepia spojrzenie w lekarzkę.
- Co? Czy coś jest nie w porządku...
- Wszystko dobrze – odpowiada wreszcie Valerie. – A nawet lepiej – dodaje.
- Widzicie ten obszar...? – Objeżdża kursorem na ekranie okrągły obszar tuż poniżej główki mojego dziecka.
- Oboje kiwamy głowami.
- To jest druga główka – oświadcza lekarka.
- Druga...? – wykrztuszam z siebie po chwili dłużej jak wieczność.
- Drugie – poprawia Valerie. – Drugie dziecko.
- * * *

Podnoszę do ust kubek z kawą. Dociera do mnie, że mam już otwarte usta, lecz dochodzę do wniosku, że wcale nie chcę kawy, i odstawiam kubek z powrotem na stolik. Czuję, że moja dłoń powinna drżeć, ale jestem chyba zbyt odrętwiały i odłączony od własnej fizyczności, żeby zdobyć się na tak metodyczny gest jak drżenie.

Ivy wpatruje się w niewielkie czarno-białe zdjęcie, wydruk USG, przedstawiające nasze dzieci.

– Bliźniaki – mówię.

Ivy przytakuje.

Nie tknąłem kawy. Mimo to sięgam po kubek, podnoszę go i tym razem upijam łyk. Kawa jest zimna – nie letnia, tylko zimna jak woda z kranu – i pozostawia na zębach ścięty kożuch z mleka. Możliwe, że jestem głodny, ale ciężko mi to stwierdzić. Prawdę powiedziawszy, nie potrafię sobie przypomnieć, czy jadłem tego ranka śniadanie. Spoglądam na zegarek i widzę, że do lunchu zostały jeszcze dwie godziny. Wprawdzie nie rozwiązuje to kwestii tego, czy jestem głodny, ale wiem na pewno, że za pięć minut powinienem się znaleźć w metrze. Agencja poprosiła mnie, żebym nakręcił dla nich reklamę papieru toaletowego, a za godzinę muszę rozpocząć casting na aktora, który zagra rolę gigantycznego królika.

Moja siostra, Maria, wychowuje bliźniaczki. Uwielbia opowiadać każdemu, kto tylko zechce jej wysłuchać, że jest to coś najtrudniejszego, czego w życiu dokonała. I mówi to kobieta, która urodziła pierwsze dziecko jako szesnastolatka i wychowała je bez pomocy wiecznie nieobecnego gnojka, czyli jego ojca. Maria zdała maturę, mając jedno dziecko, i skończyła studia, wychowując trójkę dzieci. Przebiegła trzy maratony, każdy z nich w czasie krótszym niż cztery godziny. Złamała na nartach nogę i musiała wyczołgać się z lasu, brnąc przez ponadmetrową warstwę śniegu i ciągnąc za sobą pękniętą kość piszczelową. Bliźniaczki? Nie doświadczyłam w życiu niczego trudniejszego – usłyszycie od niej.

– Bliźniaki? – odzywa się Ivy, nie podnosząc wzroku znad ziarnistego dowodu, który trzyma w dłoniach. Na zdjęciu dzieci – w liczbie mnogiej! – są zwrócone w tym samym kierunku, jakby jedno z nich siedziało na kolanach drugiego. Niezły tam musi być tłok.

Ponownie upijam łyk kawy, zapominając, że jest zimna i pozbawiona smaku. Pociągam kolejny łyk, żeby zająć się czymś w miarę normalnym.

– Bliźniaki – mówię.

– Bliźniaki – przyznaje mi rację Ivy.

* * *

Casting odbywa się w pomieszczeniu nad sklepem z butami przy Carnaby Street. Biorą w nim udział: Joe, Suzi, dyrektor artystyczna z agencji reklamowej, Henry (kobieta), producentka z agencji i ja – chociaż moja obecność jest co najmniej dyskusyjna.

– Fisher? – zwraca się do mnie Joe.

– Tak?

– Przeprowadzisz nas przez scenariusz?

Pomieszczenie jest białe i anemiczne, długie i szerokie na prawie sześć metrów. Na wyklejonej czarnej taśmie na podłodze literze „X” stoi aktor w średnim wieku.

– Scenariusz? – pytam.

– Po to tu jesteśmy – odpowiada Joe z wymuszonym śmiechem.

– Mogę to zrobić za ciebie, jeśli chcesz – odzywa się dyrektor artystyczna, śliczna dziewczyna, która wygląda, jakby kilka lat temu skończyła college.

– Może tak będzie lepiej – mówi Joe, częstując nas kolejną dawką wystudiowanego śmiechu. – Mam coś do załatwienia w listopadzie.

– Kojarzycie reklamy papierów toaletowych? – zaczyna Suzi. – W każdej z nich występują słodkie kotki, szczeniaki lub misie. No cóż, zamierzamy z nich wszystkich zadrwić.

– Jasna sprawa – odzywa się aktor. Ma piwny brzuch, jest nieogolony, a jego głos brzmi tak, jakby od dziecka palił papierosy bez filtra.

– Będzie pan królikiem – kontynuuje Suzi. – Panem Skocznym.

– Jak to: królikiem?

– Takim jak w jednej z tych sztabowych reklam papieru toaletowego – tłumaczy mu Suzi. – Później reżyser – inny aktor – zawoła „cięcie”, a pan zdejmie głowę swojego kostiumu, pokazując, że również jest pan aktorem, a nie prawdziwym królikiem. – Suzi śmieje się z idiotyzmów, które sama wygaduje. – Przepraszam, to wszystko brzmi trochę, sama nie wiem...

– Schizofrenicznie? – podpowiada Joe.

– Postironicznie? – próbuje Henry.

– Żałośnie! – mówi ze śmiechem Suzi.

– Żałośnie – powtarza aktor. – Jasna sprawa.

Miło jest spotkać ludzi od reklamy, którzy nie traktują siebie zbyt poważnie. Ludzi, którzy nie mają złudzeń dotyczących tego, co robią, w tym przypadku – sprzedawania srajtaśmy. Suzi nie może mieć więcej niż dwadzieścia cztery lata; za kilka lat niewątpliwie stanie się tak arogancka, fałszywa i przemądrzała, jak tego wymaga jej stanowisko.

– Chodzi o to – włącza się Henry – że nie gra pan królika, tylko aktora grającego królika.

– Jasna sprawa – odzywa się aktor.

– I nienawidzi pan swojej roboty – ciągnie Henry. – Pod kostiumem jest pan twardzielem.

– Takim jakby gangsterem? – pyta z nadzieją aktor.

– W przebraniu królika – odpowiada Joe. – Dokładnie.

– W porządku.

– Trochę jak rolka papieru toaletowego – wtrąca Suzi. – Miękki, lecz wytrzymały.

– Oki-doki. Królik twardziel.

Od tej pory będziemy potrzebowali dwóch sztuk wszystkiego: dwóch łóžeczek, fotelików samochodowych, wielkich pluszowych królików.

– Williamie? – zaczyna Joe lekko podniesionym głosem.

Joe mówi w ten sposób tylko wtedy, kiedy chce okazać swoją wyższość, niezadowolenie albo mnie zdyscyplinować, więc pewnie znowu coś mi umknęło.

– Słucham?

– Chciałbyś coś dodać? – pyta Joe.

– Nie. – Kręcę głową. – Nie, dziękuję.

Robimy próbę z aktorem. Dajemy mu tekst roli i prosimy, żeby przeczytał go z różnymi akcentami: londyńskim, nowojorskim, ze wschodniej dzielnicy. Każemy mu skakać, jakby był królikiem. A później to samo powtarzamy z kolejnym aktorem, i jeszcze jednym i następnym, i sam już nie wiem, z iloma. Przez cały casting ludzie coś do mnie mówią, pytają o opinię i czy czegoś nie chcę. Na ogół nie mam pojęcia, o co im chodzi, więc ograniczam swoje odpowiedzi do serii niejednoznacznych chrząknięć, monosylab i różnorodnych form klasycznego grania na zwłokę: Sam nie wiem, a ty co sądzisz? Chociaż z tego ostatniego musiałem zrezygnować, kiedy stało się jasne, że ktoś właśnie zapytał mnie, czy mam ochotę napić się kawy czy herbaty.

– Świetna robota, ludzie – podsumowuje Joe i wygląda na to, że skończyliśmy. – Myślę, że znaleźliśmy kilka fajnych królików.

– Jest z czego wybierać – przyznaje mu rację Henry.

– Zdecydowanie – zgadza się Suzi.

– Williamie? – zwraca się do mnie Joe.
– W pełni się z wami zgadzam – oznajmiam. – To może... prześpijmy się z tym? I podejmijmy decyzję w przyszłym tygodniu?
– Bardzo rozsądnie – przytakuje Henry. – Nie ma co się spieszyć.
– Fajnie – mówię.
– Ale będziemy potrzebowali decyzji do poniedziałku do dziewiątej rano, OK?

– Do poniedziałku – odpowiadam, ponieważ mój umysł jest zbyt zaaferowany (Bliźniaki! Bliźniaki! Bliźniaki!), żeby sformułować bardziej wyrafinowaną odpowiedź.

Joe czeka, aż znajdziemy się na ulicy i pozbędziemy się towarzystwa ludzi z agencji, łapie mnie za biceps i pyta:

– Co się z tobą, kurwa, dzieje?
– Ze mną?
– A kto inny do ku... Suzi – krzyczy nad moim ramieniem, bez trudu przechodząc od wściekłości do udawanej uprzejmości.
– Przepraszam – odzywa się Suzi. – Zastanawiałam się... Byłam ciekawa, czy...

Joe nadal trzyma mnie za ramię, jego palce boleśnie wbijają się w ciało. Suzi wyciąga coś w moją stronę. Przypomina to różowy klocek lego. Jedyne w miarę możliwe do przyjęcia wytłumaczenie, jakie przychodzi mi do głowy, jest takie, że Suzi posiada zdolności parapsychologiczne, wyczuła, że niedługo zostanę ojcem, i postanowiła dać prezent dla dzieci. Mam już na końcu języka, że będę potrzebował dwóch, bo spodziewam się bliźniaków, jednak ostatecznie tylko jej się przyglądam, jakby była niespełna rozumu.

– To jest scenariusz – wyjaśnia Suzi. – To znaczy pendrive, na który go zgrałam...

Biorę do ręki klocek, otwieram go i stwierdzam, że faktycznie, to jest pendrive.

– Oczywiście tylko jeśli będziesz miał czas – dodaje.
– Czas?
– Żeby go przeczytać.
– Ja?
– Wiem, że znasz się na filmach – mówi, rumieniąc się – i byłabym wdzięczna za twoją... no wiesz, opinię.

Lubię filmy, ale nie powiedziałbym, że się na nich znam. Potrafię nadać filmikowi reklamowemu sznyt prawdziwego filmu, żeby ludzie z agencji zapomnieli, że pracują nad, sam nie wiem, reklamą papieru toaletowego. Ale nie znam się na filmach.

– Będę zaszczycony – oznajmiam.

Suzi się uśmiecha.

– Dziękuję.

Wyciąga dłoń, lecz po chwili wpada na lepszy pomysł i wspina się na palce, żeby pocałować mnie w policzek.

– Dziękuję – powtarza i szybko odchodzi.

Joe, który nadal ściska moje ramię, obraca mnie w taki sposób, że stoimy teraz twarzą w twarz.

– Dojdziemy do tego – kiwa głową w kierunku Suzi – za chwilę, ale najpierw powiedz, co się z tobą do diabła dzieje? Gdybym nie wiedział, jaka z ciebie dupa wołowa, przysiągłbym, że coś zmalowałeś.

– Puścisz mnie wreszcie? Ręka mi prawie odpadła, ty cholerny matole.

Joe zwalnia uścisk palec po palcu.

– I wcale nie jestem dupą wołową. Jeśli któryś z nas nią jest, to chyba ty.

– Co się dzieje?

– Pójdziemy na drinka?

* * *

– O ja pierdole – mówi Joe. – Jesteś pewien? Nie ma mowy o pomyłce?

– No cóż, nie planowaliśmy tego.

– Bliźniaki – powtarza po mnie, pocierając kilkudniowy zarost, jakbym właśnie oświadczył, że mam raka. – Fisher, tak mi przykro, stary. Jak się czujesz?

– Dobrze – odpowiadam. – Właściwie to się nawet cieszę. To znaczy tak, jestem szczęśliwy.

Joe kładzie dłoń na moim ramieniu, ściska je, kiwa głową i uśmiecha się, podziwiając moją odwagę.

– A więc wpadka.

– Właściwie to... nie do końca.

Przypominam sobie ten pierwszy raz, kiedy kochałem się z Ivy i zapytałem ją (co prawda nie wprost, ale w sposób jednoznaczny), czy potrzebujemy zabezpieczenia. Ivy pokręciła z uśmiechem głową i odparła: w porządku. Co właściwie miała na myśli? Bo dopiero co widziałem niezaprzeczalny dowód na nieco inną wersję zdarzeń. Nie chodzi o to, że nie jest w porządku, dla mnie to wspinała wiadomość, lecz nie mogę się pozbyć uczucia, że umknął mi jakiś kluczowy detal. Wszystko dzieje się tak szybko i nie po kolei, że czasami – pogrążając się we śnie, zapadając w drzemkę przed telewizorem czy jadąc metrem – trudno to sobie przyswoić, poukładać czy... jak to się stało? choćby w to uwierzyć. Raz czy dwa byłem bliski zapytania Ivy, co wtedy miała na myśli, ale czas nigdy nie był odpowiedni (mdłości, zmęczenie, zbyt intymna chwila), a to nigdy niewypowiedziane na głos pytanie wydaje się niedelikatne i oskarżycielskie.

Joe kiwa głową, jakby mnie rozumiał. Może naprawdę tak jest i będzie mi to

potrafił wyjaśnić.

– Znasz już płęć?

Kręcę głową.

– Módl się, żeby to nie byli chłopcy. Możesz mi wierzyć na słowo: chłopcy to istny koszmar. Dostałeś kiedyś w jaja od trzylatka?

– Nie, odkąd sam skończyłem trzy lata.

– A ja tak. Siedzę sobie na podłodze, układając czteroelementowe puzzle, a Sammy podchodzi do mnie, jakby chciał przytulić, i nagle – łup! – kopie z całych sił w krocze. To byłby prawdziwy cud, gdybym od tamtej pory nie strzelał ślepakami. – Wypija ostatni łyk piwa. – Jeszcze jedno?

– Zawsze.

* * *

Ostatecznie skończyło się na pięciu piwach i teraz mam początki kaca. Nie tak wyobrażałem sobie dzień spotkania z rodzicami Ivy.

– Jak głowa? – pyta Ivy.

– Dobrze – odpowiadam.

Nie mam pojęcia, dlaczego kłamię; po prostu wydaje mi się, że to właściwa odpowiedź, coś jak uszanowanie tradycji. Marzę o tym, żeby się przespać, ale właśnie siedzimy w należącym do Ivy renault kangoo i jedziemy autostradą M4 na zachód z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Próbowałem oprzeć głowę o szybę, ale nawet kiedy podłożyłem sobie pod nią złożoną kurtkę zamiast poduszki, drgania przyprawiły mnie o mdłości.

– Teraz wiesz, jak się czuję każdego ranka – zauważa Ivy, nieco zbyt radośnie jak na mój gust.

– Nie obwiniaj mnie, tylko... swoje jajniki.

– A więc powiedziałeś Joemu?

Plan był taki, żeby poczekać, aż zostanę przedstawiony rodzinie Ivy, za jakieś dwa tygodnie powiedzieć o ciąży jej i moim rodzicom, a dopiero później znajomym.

Plan spalił na panewce.

– Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać.

– I? Jak zareagował?

– Cieszy się naszym szczęściem. Powiedział, że dzieci to prawdziwe błogosławieństwo.

Ivy się śmieje.

– Taaa, akurat.

Przez chwilę jedziemy w milczeniu; jest ciemno, a światła na autostradzie – hipnotycznie kojące.

– W porządku? – pyta Ivy. – Jesteś jakiś milczący.

To dlatego, że myślę o naszej pierwszej wspólnej nocy. Jestem ciekaw, co miałaś na myśli, mówiąc: w porządku. Pamiętasz tamtą sytuację? Nie zrozum mnie źle, jestem szalenie szczęśliwy, ale... skoro spodziewasz się bliźniaków, to co dokładnie miałaś wtedy na myśli? Jednak jak to zwykle bywa, pytanie (i tak pozbawione większego sensu w obliczu rażących biologicznych faktów) wydaje mi się przykre i nie na miejscu. Ivy promienieje szczęściem po porannym badaniu USG, żadne z nas nie doszło jeszcze do siebie na wieść o tym, że będziemy mieli dwoje dzieci, a za kilka godzin spotkamy się z rodzicami Ivy i będziemy musieli udawać, że jesteśmy parą od ośmiu miesięcy i że nie spodziewamy się bliźniąt.

– Tak. W porządku. Po prostu to wszystko jest trochę... niespodziewane.

– Mnie to mówisz? Zastanawiałeś się kiedyś, ile byś chciał? – pyta po chwili.

– Dzieci?

– Nie, kufla piwa. Oczywiście, że dzieci.

– Mniej, niż ich dzisiaj wypilem – odpowiadam. – A ty?

Ivy nie waha się nawet przez chwilę.

– Troje. Zawsze chciałam mieć trójkę dzieci, nawet jako mała dziewczynka, ale... Już nią nie jestem, prawda? Niedługo skończę czterdzieści jeden lat.

– Masz tyle lat, na ile się czujesz.

– Pewnie pogodziłabym się z faktem, że trójka dzieci nie wchodzi w grę – kontynuuję Ivy. – Ale skoro spodziewamy się bliźniaków...

Kątem oka widzę, że Ivy patrzy na mnie wyczekująco.

– Nie wiemy jeszcze, jakiej są płci, prawda? Bliźniaki?

– Nie – stwierdza Ivy. – Jest na to za wcześnie.

– No jasne. Głowa mnie...

– Nie odpowiedziałeś – przerywa mi Ivy.

– Na co?

– Na pytanie, czy trójka dzieci wchodziłaby dla ciebie w grę.

– Nie wiedziałem, że to pytanie.

– Owszem.

– Potrzebowalibyśmy większego mieszkania – odpowiadam.

– Jasne – mówi, a ja nie wiem, czy się w ten sposób wycofuje, czy dobija ze mną targu.

Po dwóch godzinach jazdy i stania w korkach zatrzymujemy się na stacji benzynowej, żeby zrobić siku, zatankować i kupić skittlesy. Kupuję też kwiaty dla matki Ivy i butelkę czerwonego wina dla ojca. Ostatni etap podróży trwa niewiele ponad godzinę, lecz kiedy Ivy parkuje na podjeździe przed domem rodziców, kwiaty są już zwiędnięte, a mój kac przechodzi od konceptu do wersji pełnoobjawowej.

Tak jak podczas wizyty u taty dwa miesiące wcześniej rodzice Ivy wychodzą z domu, zanim ktorekolwiek z nas zdąży odpiąć pas. Ojciec Ivy to kawał chłopca.

Jest o pół głowy wyższy ode mnie. I to głowy wielkiej, nierównej, ospowatej, przypominającej z wyglądu halloweenową przejrzałą dynię. Widok takiej głowy przyprawiłby dzieci – i niektórych dorosłych – o senne koszmary. Podobno kobiety upodabniają się z wiekiem do swoich matek i pewnie bym się tym przejął, gdyby nie fakt, że Ivy i jej mama różnią się od siebie tak bardzo, że aż trudno uwierzyć w tak bliskie pokrewieństwo. Pani Lee jest niską, kręłą kobietą z wyłupiastymi oczami i rozwichrzonymi włosami, których linia biegnie wysoko ponad szerokim, wysklepionym czołem. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko podziwiać matkę naturę za to, że zdołała stworzyć coś równie pięknego jak Ivy z tak intrygujących genetycznie składników. Na szczęście państwo Lee nadrabiają niedostatki w fotogeniczności pogodą ducha. Chociaż są co najmniej dwadzieścia lat starsi niż mój ojciec, oboje wprost tryskają energią.

– Moja córka – odzywa się pani Lee, całując Ivy. Odwraca się ku mnie, obrzuca spojrzeniem z góry na dół i kiwa głową, jakby oceniała parę zasłon. – Ty pewnie jesteś William. A teraz – prosi, klepiąc mnie po tyłku – okreć się, żebyśmy ci się mogli przyjrzeć.

– Evo! Zostaw chłopaka w spokoju – upomina ją mąż, podczas gdy ja obracam się niepewnie w miejscu z butelką wina w jednej ręce i bukietem zwiędłych kwiatów w drugiej. – Nie zachowuj się jak jędza, kobieto. – Ujmuje głowę Ivy w swoje wielgachne dłonie i całuje kolejno jej czoło, czubek nosa i usta. – Cześć, kwiatuszku. – Ivy obejmuje go za szyję, odrywa stopy od ziemi i wiesz się ojcu na ramionach jak małe dziecko.

Jeśli będziemy mieli córkę, też będę ją nazywać kwiatuszkiem.

– To dla mnie? – pyta pani Lee, biorąc podwędłe kwiaty, zanim udaje mi się odpowiedzieć. – Ooo, musiałyście nieźle nabroić. Ha ha, tylko żartuję. Chodźcie, wstawimy je do wody. Wyglądają gorzej niż ty, chłopcze. Wszystko w porządku, Williamie? Masz trochę niewyraźną minę.

Do tej pory nie odezwałem się słowem i boję się otworzyć usta, bo mogłoby mi się wypsnąć, że jestem ojcem ich wnucząt wielkości limonki.

– Idź do domu, kobieto – odzywa się ojciec Ivy. – Jeszcze go odstraszysz. A tak przy okazji, mam na imię Ken. – Klepie mnie po plecach tak mocno, że omal nie upuszczam na podjazd butelki wina.

– Wino – odzywam się w końcu, podając mu butelkę.

– Wygląda przyzwoicie – ocenia Ken. – Zaraz je otworzymy.

Przekraczamy próg domu państwa Lee i już zaczynam się cieszyć na myśl o relaksie, kiedy w korytarzu wyrasta kolejny potężny przedstawiciel męskiego gatunku. Przygotowuję się na mocne zderzenie, lecz facet – ważący pewnie ze sto piętnaście kilogramów – mija mnie i podnosi Ivy do góry.

– Siostrzyczko – cieszy się, kręcąc nią w powietrzu tak, że zaczynam się martwić o zdrowie naszych trzymanyh w sekrecie, nienarodzonych dzieci. –

O rajuśku, czyżbyś przytyła?

– Jeśli nie chcesz, żebym zwymiotowała ci do ucha wielką paczkę skittlesów, lepiej mnie postaw – odzywa się Ivy.

Jej brat tylko się śmieje i podrzuca ją jeszcze wyżej.

– Frank! – krzyczy Ivy, tłukąc go w ramię. – Nie żartuję, puść mnie, ty gorylu.

– W porządku – odpowiada Frank, stawiając ją na ziemi. – Wyluzuj, Willameno.

– A później pytacie, dlaczego tak długo nie zapraszałam Fishera do domu.

Czyżby naprawdę ją o to pytali? – zastanawiam się.

– Myślałem, że jest po prostu brzydki – mówi Frank.

Można by pomyśleć, że rodzice Ivy wzniosą się ponad żarty o brzydalach albo będą ich woleli unikać – lecz obydwoje parskają śmiechem i klepią się po udach, podczas gdy Ivy ma ochotę zapaść się pod ziemię.

– Tylko żartuję – tłumaczy Frank, klepiąc mnie dokładnie w to samo miejsce, co wcześniej jego ojciec. – Miło cię poznać. – Wyciąga rękę, a jego uścisk okazuje się zadziwiająco delikatny. – Frank – przedstawia się. – Młodszy brat Ivy.

– Młodszy? – dziwię się. – Już się boję poznać tych starszych.

Frank zanosi się śmiechem, jakbym był królem dowcipu.

– Możesz wyluzować. Starszy brat numer jeden mieszka w Australii, a drugi w Edynburgu i obu widujemy równie rzadko. Otwórzmy wreszcie to wino – to mówiąc, wyrywa ojcu butelkę i znika w pokoju obok.

* * *

Chociaż prawdą jest, że przed poznaniem Ivy nie przedstawiłem rodzinie żadnej ze swoich dziewczyn, nie był to pierwszy raz, kiedy sam zostałem przedstawiony. Zanim związałem się z Ivy, mieszkałem z Kate – jedyną dziewczyną poza Ivy, z którą wytrzymałem dłużej niż tydzień i która po blisko trzech miesiącach bycia razem uparła się (a właściwie postawiła mi ultimatum), żebym poznał jej rodziców. Rodzice okazali się całkiem w porządku, za to Kate przemieniła się w karykaturę „odnoszącej sukcesy córki w poważnym związku”. Przysiadła na brzegu każdego krzesła, na którym siadałem ja, przeczesywała mi palcami włosy, co chwilę mnie całowała i okazywała więcej czułości niż w domu. Szczegółowo opowiedziała rodzicom o każdej naszej wizycie w restauracji czy winiarni, cytowała fragmenty naszych dowcipnych rozmów; miałem nawet wrażenie, że poprawiła jej się dykcja. Chwaliła się nie tyle mną, ile... sobą. Całe to trzydniowe przedstawienie przypominało sposób, w jaki moje siostrzenice opisałyby zwycięstwo w wyścigu z jajkiem na łyżce lub ich występ przed resztą rodziny z którąś z piosenek ze szkolnego teatryku. Z Ivy jest zupełnie inaczej. Zachowuje się przy rodzicach dokładnie tak samo jak wtedy, gdy jesteśmy sami.

Obserwując, jak rozmawia, żartuje i odpręża się w towarzystwie swoich bliskich, czuję się tak, jakbym pasował do ich rodziny, nie wspominając już o tym, jak Ivy i ja do siebie pasujemy. Resztką sił powstrzymuję się przed tym, żeby nie przycupnąć na brzegu jej krzesła i nie przeczesać palcami włosów.

Mimo to potrzebuję około pół godziny i pełnego kieliszka wina, żeby się rozluźnić. Siedzę w salonie państwa Lee i pozwalam, żeby rozmowa toczyła się obok; odzywam się tylko wtedy, gdy ktoś bezpośrednio mnie zagadnie. Podczas gdy oni nadrabiają rodzinne zaległości, ja sączę wino i obserwuję otoczenie. Dom jest pełen zdjęć Ivy, jej braci, Kena i Evy. Zdjęcia stoją na półkach, wiszą na ścianach i wzdłuż schodów prowadzących do łazienki na pierwszym piętrze. Podoba mi się szczególnie jedno z nich, stojące w niewielkiej ramce na kominku. Jeśli wierzyć pani Lee, Ivy ma na nim sześć lat; jest piewogata i ma szczerbaty uśmiech. Czuję przypływ miłości – bez dwóch zdań – do tego dziecka, które teraz, trzydzieści pięć lat później, nosi pod sercem moje dzieci. To uczucie jest całkiem inne niż to do dorosłej Ivy, która siedzi naprzeciwko i udaje, że pije wino; jest ono przeznaczone dla dziewczynki na zdjęciu, takiej, jaką była w dniu, gdy stanęła przed obiektywem aparatu. Na tym zdjęciu Ivy nie ma na skórze blizn, a kiedy to do mnie dociera, zauważam, że w pokoju brakuje zdjęć Ivy z lat bezpośrednio po wypadku. Widzę zdjęcia niemowlaka, dwu-trzyletniej, wreszcie sześciu- i siedmioletniej Ivy... a później dopiero Ivy dwunastoletniej i starszej. Na tych późniejszych zdjęciach Ivy jest wyraźnie skrępowana obiektywem aparatu i stara się ukryć część twarzy naznaczoną bliznami. To w tym pokoju Ivy przeleciała przez szklany blat stolika kawowego i poraniła sobie twarz. Patrząc na dziecko na fotografii, żałuję, że nie mogę go ostrzec. Ale co by się wtedy stało ze mną i bliźniakami? Szkoda mi czasu na banały w rodzaju: „Nic nie dzieje się bez przyczyny”, ale fakt pozostaje faktem: gdyby Ivy nie rozbiła tamtego stolika, byłaby inną kobietą niż ta, którą jest dzisiaj. Być może byłaby już mężatką i matką dzieci jakiegoś innego mężczyzny.

– Williamie? – zwraca się do mnie Eva.

– Przepraszam, ja tylko...

– Zanudziliśmy cię, co? – pyta ze śmiechem Frank.

– Przepraszam – powtarzam. – Miałem długi dzień.

– Pytałam, gdzie mieszkasz, skarbie? – mówi matka Ivy.

Na to pytanie nie byłem przygotowany. A sama myśl o kłamstwie w tak błahej sprawie jeszcze bardziej upośledza mój ośrodek mowy.

– W... mieszkaniu? – próbuję.

– A niech mnie – odzywa się tata Ivy. – To musiał być cholernie długi dzień.

– Kenneth! – upomina go Eva.

– Mieszkamy razem – wyrzuca z siebie Ivy, odchodząc od ustalonego scenariusza.

Nikt się nie odzywa.

Staram się uniknąć ich wzroku i wpatruję się przed siebie z przyklejonym do twarzy bezmyślnym uśmiechem.

– Szybko wam poszło – zauważa Ken.

Upijam potężny łyk wina.

W pokoju słychać tykanie stojącego na kominku zegara oficerskiego.

– No cóż – odzywa się Ivy. – Uznaliśmy, że warto to zrobić, skoro jestem...

Odwracam gwałtownie głowę i piorunuję Ivy wzrokiem: Nie!

– ...skoro jestem w ciąży! – Ostatnie cztery słowa wypowiada w ułamku sekundy, a każda z sylab brzmi dwa razy głośniejszy niż poprzednia, więc przy słowie „cięży” Ivy praktycznie krzyczy.

Jej matka również.

– W ciąży! Będziecie mieli dziecko?!

– Bliźniaki! – odpowiada Ivy.

– Bliźniaki?! – wrzeszcza Ken, Frank i Eva.

– Bliźniaki – odpowiadam, robiąc minę, jakbym popełnił drobne faux pas w rodzaju naniesienia błota do korytarza lub zbitcia krasnala ogrodowego.

– A niech mnie – odzywa się Ken, wstaje i wychodzi z pokoju.

Eva płacze, całuje Ivy i głaszcze ją po brzuchu.

– Szybki z ciebie zawodnik – odzywa się Frank z porozumiewawczym mrugnięciem; mam nadzieję, że jest to forma wyrażenia braterskiej sympatii.

Rewanżuję mu się idiotycznym gestem uniesienia kciuków.

Ken wraca do salonu z pięcioma kieliszkami do szampana w jednej ogromnej dłoni i butelką cava w drugiej.

– Możesz wypić kropelkę, prawda, kwiatuszku? – zwraca się do Ivy.

– Oczywiście, że nie może – protestuje Eva, obejmując córkę ramieniem w obronnym geście. – Głuptasie.

Ivy wymownie się krzywi.

– Tym razem spasuję.

Ken przewraca oczami i nalewa szampana pozostałej czwórce.

– Za bliźniaki – wznosi toast.

– Niepotrzebnie szykowałam dla was dwa łóżka, co? – odzywa się Eva.

– Nie ma sensu zamykać drzwi stajni, skoro koń wykonał swoje zadanie – ripostuje Ken i niezależnie od tego, czy się przejęczył, czy właśnie zaserwował nam najgorszy żart świata, oblewam się rumieńcem.

– A więc, Williamie – odzywa się Frank – od jak dawna jesteście razem?

– O rany, niech pomyślę... To już chyba będzie...

– Dostatecznie długo, nie bądź taki ciekawski – strofuje go Ivy.

– Najwyraźniej – odpowiada Frank.

– Co twoi rodzice na to? – zwraca się do mnie Eva.

– Mam tylko ojca, ale...
– Och, skarbie, tak mi przykro, ja... – Eva przykładła dłoń do ust.
– Minęło wiele lat – mówię. – Naprawdę, nic się nie stało.
– Och, Williamie – wzdycha, a po chwili, podczas której zachowuje się tak, jakby chciała sobie odgryźć dolną wargę, wraca do tematu: – No więc co z twoim tatą? Jak zareagował na... – pokazuje gestem wielki ciążowy brzuch.
– Tata jeszcze nie wie – wyjaśniam. – Dowiedzieliście się jako pierwsi.
– W porządku – odzywa się Ken, dźwigając się z kanapy. – Zaraz to naprawimy. – Sięga po bezprzewodową słuchawkę telefonu. – Jaki jest numer do twojego taty?

– Słucham?
Frank szczyrzy zęby w uśmiechu, napawając się moim skrepowaniem.
– Och, Kennecie, odłóż ten telefon – prosi bez większego przekonania Eva.
Spoglądam na Ivy, szukając u niej ratunku, lecz ona tylko się uśmiecha i wzrusza ramionami.

– Numer – nie odpuszcza Ken.
W taki właśnie sposób mój tata dowiaduje się, że będzie miał dwoje nowych wnucząt – przez zestaw głośnomówiący, z trojgiem rozgorączkowanych nieznajomych pokrzykujących w tle. Trzeba przyznać, że rozgrywa tę partię po mistrzowsku. W przeciwieństwie do państwa Lee tata doskonale wie, jak długo ja i Ivy jesteśmy razem, ale tego nie komentuje, nie zdradza naszej przykrywki. Po opadnięciu emocji i wymianie dwóch tuzinów telefonicznych całusów Eva i Ken postanawiają lepiej poznać tatę: pytają go, jakim byłem dzieckiem, czy mam rodzeństwo, czy ma wnuki, gdzie pracuje – jednym słowem, pytają o wszystkie sprawy, które są ważne dla rodziców dorosłych dzieci. Kiedy dociera do nas, że nie jesteśmy nikomu potrzebni, wycofujemy się z Ivy i Frankiem do kuchni.

Pomimo moich zapewnień, że nie chcę już pić, Frank otwiera kolejną butelkę wina.

– Chyba nie pozwolisz, żebym pił sam, co? – zwraca się do mnie. – Jesteśmy teraz rodziną. – I nalewa dwa kieliszki.

– No więc co u ciebie, Frank? – odzywa się Ivy.
Frank ciężko wzdycha, jakby ktoś odkręcił ukryty w nim zawór. Opuszcza ramiona, zwiesza głowę i cały jakby się w sobie zapada.

Frank okazuje się nieszczęśliwie żonaty. Nie mówi na ten temat zbyt wiele; Ivy zna szczegóły jego małżeńskich kłopotów i wie, że trwają od dawna. Frank i jego żona, Lois, przebyli etap rozmów, kłótni, szukania pomocy u specjalistów, a obecnie mieszkają pod jednym dachem, ale w osobnych pokojach. Najwyraźniej oboje zdają sobie sprawę z tego, że ich małżeństwa nie da się już uratować, lecz – głównie ze względu na trzyletniego syna – nie zdążyli jeszcze konstruktywnie przedyskutować kolejnego kroku. Eva i Ken nie mają o tym wszystkim bladego

pojęcia. Frank, z zawodu dentysta, powiedział rodzicom, że przyjechał do Bristolu na konferencję poświęconą nowemu rodzajowi implantów ceramicznych. W ten oto sposób Lois i Frank – zbierając się na odwagę przed tym, co nieuniknione – spędzają co drugi weekend u niczego nieświadomej rodziny lub przyjaciół, gdy tymczasem ich nieszczęsna druga połówka zostaje w domu, gdzie obmyśla nowe sposoby na to, jak stać się ulubionym rodzicem ich dziecka.

Mam za sobą koszmarny dzień – jestem pijany, skacowany, zmęczony, podminowany, szczęśliwy, przerażony i wyżęty jednocześnie.

– Nigdy się nie żęń – mówi do mnie Frank z powiekami ciężkimi od wypitego alkoholu.

Spoglądam na Ivy; Ivy odwraca wzrok.

– A co u Freddy’ego? – pyta.

Frank kiwa głową: w porządku.

– Wy dwoje macie szczęście – stwierdza.

– Dzięki – odpowiadam. – Wiem o tym.

– Bliźniaki – powtarza Frank, dotykając brzucha siostry. – Jeśli wam nie wyjdzie, przynajmniej będziecie się mogli łatwo nimi podzielić. Ha, ha, ha!

Rozdział 11

Brzoskwinia.
Cytryna.
Jabłko.
Awokado.
Cebula.
Słodki ziemniak...

Rozdział 12

– Co słyhać u twojej lepszej połówki? – pyta Joe.

W osiemnastym tygodniu ciąży dzieci przypominają rozmiarem słodkie ziemniaki; są już dostatecznie duże, by dało się zauważyć, że Ivy jest w ciąży. Dwa tygodnie temu ktoś ustąpił jej miejsca w metrze. Opowiedziała mi o tym wieczorem z udawanym oburzeniem, ale sądząc po uśmiechu, ten drobny rytuał przejścia sprawił Ivy ogromną przyjemność.

Dzieci mają już wykształcone palce u rąk i stóp, a ich mięśnie stają się coraz silniejsze. Mają też kubki smakowe, rzęsy i paznokcie. Trzy tygodnie temu wybraliśmy się z Ivy na festyn w Wimbledon Common. Gdybyśmy poszli tam dzisiaj, usłyszałyby wybuchające fajerwerki, bo uszy bliźniąt sprawnie funkcjonują. Normalna – czyli pojedyncza – ciąża trwa zwykle około trzydziestu dziewięciu tygodni. Bliźnięta rodzą się mniej więcej dwa tygodnie wcześniej, co oznacza, że jesteśmy prawie w połowie drogi do wyznaczonego na jedenastego kwietnia terminu porodu.

– Wszystko dobrze – odpowiadam. – Mają wielkość słodkich ziemniaków.

– Co? – dziwi się Joe, pokazując gestem dwie piersi. – Masz na myśli jej... cycuszki?

– Bliźniaki, ty jełopie. Bliźniaki są wielkości słodkich... -Chryste.

– A jej... no wiesz? – I znowu przykłada do piersi złożone w miseczkę dłonie.

– Większe niż słodkie ziemniaki – oznajmiam.

Właściwie to są ogromne – dawno prześcignęły rozmiarem melony. Miesiąc temu Ivy miała urodziny i kupiłem jej bieliznę – biustonosz ciążowy w rozmiarze 36DD, który okazał się seksowniejszy, niż mógłbym przypuszczać. Jednak za każdym razem, gdy usiłuję się zbliżyć do nowych, ulepszonych piersi, Ivy mnie przegania, skarżąc się, że są nadwrażliwe na dotyk. Nie kochaliśmy się od dnia przed wizytą u mojego taty, czyli od ponad trzech miesięcy – prawdziwa tortura.

Nie jest to jednak czas ani miejsce, żeby o tym myśleć. Tkwimy w przyciemnionym studiu nagraniowym w Soho, pracując nad ostatnimi ujęciami reklamy papieru toaletowego. Henry i Suzi z agencji reklamowej siedzą za moimi plecami, pogrążone w mroku. Na ekranie Pan Skoczny płąsa w dzikim tańcu z szóstką dzieci, z których każde ciągnie za sobą kolorową rolkę papieru firmy Softex.

– Co o tym sądzisz, Suzi? – pytam.

– O biuście twojej dziewczyny?

– Nie – odpowiadam, wskazując na monitor – o reklamie.

– Żartowałam – wyjaśnia Suzi.

– Daaa – odzywa się Joe.

– Myślę, że jest super – mówi Suzi. – Nic dodać, nic ująć.

– Henry? – pytam.

Henry unosi wzrok znad iPhone'a.

– Mnie podobała się już wczoraj – odpowiada nieco zgryźliwie.

Studia nagraniowe, takie jak to, mogą kosztować nawet siedemset funtów za dzień zdjęciowy, więc trudno jej się dziwić.

– W takim razie – oświadcza Joe, klaszcząc w dłonie – ogłaszam fajrant. Kto postawi mi browarka? Fisher?

– Jestem z kimś umówiony, stary. Przykro mi.

– Z kim? Gdzie?

– Gdzieś.

– Masz być świadkiem na moim ślubie.

– Jesteśmy na planie zdjęciowym, Josephie, nie na twoim ślubie.

– W porządku – odpowiada. – Panie?

– Przykro mi – odpowiada Suzi. – Ja też mam spotkanie.

Henry wzrusza ramionami.

– Do Bożego Narodzenia pozostały dwadzieścia dwa dni hand-lowe – zauważa, wychodząc z pomieszczenia. – A tak przy okazji, lubię wszystko, co ma na sobie metkę Chanel.

– Do zobaczenia – mówi Suzi, idąc śladem Henry. Posyła mi znaczący uśmiech, a później i ona znika.

– Po co w ogóle się staram? – pyta retorycznie Joe. – Branża reklamowa? Równie dobrze mógłbym pracować w cholernym banku.

– Do zobaczenia w piątek – żegnam się. – Wtedy się napijemy.

– Proszę. – Joe wręcza mi brązową kopertę. – Miałem ci ją dać później, ale najwyraźniej masz coś ważniejszego do roboty.

– Co to? – pytam.

– Twoja kolejna misja.

– Scenariusz?

Joe przytakuje, a ja biorę do rąk kopertę i od razu wkładam ją do torby.

– Nie zamierzasz go przeczytać, zrobić kwaśnej miny i strzelić focha?

– Czego dotyczy ta reklama?

– Sera – odpowiada Joe.

– Super – mówię. – Kiedy spotykamy się z agencją?

– Jak naj-kurwa-szybciej, stary. Musimy się wyrobić przed świętami.

To oznacza pojawienie się kolejnych od pięciu do dziesięciu tysięcy funtów na moim koncie. Powinno starczyć na kilka paczek pieluszek.

– W takim razie umawiaj ludzi.
Joe przygląda mi się z niedowierzaniem.
– Serio?
– Nigdy nie żartuję w kwestii sera – odpowiadam.
– Coś ci powiem, Williamie Fisherze – mówi Joe, mierzwiąc mi włosy. –
Bycie przyszłym tatuśkiem ci służy. I to bardzo.
* * *

Nasze spotkanie nie jest tak do końca tajne, lecz mimo to wybraliśmy bar, w którym mały kieliszek wina kosztuje więcej, niż Joe kiedykolwiek wydałby na całą butelkę, więc jest bardzo mało prawdopodobne, że nas tu wytropi. Poza tym jest pierwszy poniedziałek miesiąca, co oznacza, że Ivy będzie na spotkaniu klubu książki aż do dziewiątej wieczorem, więc mogę się bezkarnie wstawić.

– No więc? – odzywa się Suzi. – Czytałeś? – Nerwowo bawi się pierścieniem, grubą srebrną obrączką z owalnym turkusem, przekręca go o pół obrotu zgodnie z ruchem wskazówek zegara i z powrotem.

– Owszem – mówię i przyłapuję się na tym, że powtarzam nerwowy gest Suzi, kręcąc kieliszkiem wina po stole.

– I...?

Scenariusz Suzi to zbiór dziewięciu połączonych ze sobą historii. Tematem trzech z nich jest seks, bohaterką jednej z opowieści jest kobieta ze słabością do podduszania. Mnie to nie podnieca, ale co kto lubi, co kogo kręci lub w tym przypadku – co komu odcina dostęp powietrza do mózgu. Seks w ogóle, a fetysze w szczególności, odgrywają w scenariuszu znaczącą rolę. Mój problem polega na tym, że te sceny są cholernie dobre – pomysłowe, erotyczne, po prostu... seksowne. Podczas ich czytania nie mogłem sobie przestać wyobrażać uczestniczącej w nich Suzi. Czyż nie jest tak, że każe nam się „pisać o tym, co znamy”? Weźmy chociażby tę bohaterkę ze skłonnością do podduszania: kiedy zaciska szczupłe dłonie wokół szyi faceta, z którym jednocześnie się bzyka, kamera zatrzymuje się na pierścionku noszonym przez nią na małym palcu prawej dłoni. Widzimy go, kiedy pozbawia tchu swojego kochanka i później, podczas pracy, gdy przykłada stetoskop do piersi któregoś ze swoich pacjentów. Ów rekwizyt łączy i jednocześnie ukazuje kontrast pomiędzy rozbieżnymi cechami jej skomplikowanej, niewiarygodnej, pełnej paradoksów natury. Wszystko to jest w porządku i wydaje się bardzo filmowe. Jednak sam pierścionek – gruba złota obrączka z owalnym onyksem – przypomina pierścionek, którym Suzi nie może się przestać bawić. Niezwykle trudno jest się powstrzymać wyobraźnię i już widzę ją wijącą się nago na kolanach jakiegoś szczęściarza.

– Podoba mi się – mówię. – I to bardzo.

I chociaż powiedziałem to bez żadnych podtekstów, rumienię się.

– Fabuła – uściślam. – Udane historie i bohaterowie.
– Tylko udane? – podpuszcza mnie Suzi, ale nie wychodzi jej to nawet w połowie tak przekonująco jak Ivy.

– To przecież komplement – oznajmiam i odruchowo, bezwiednie puszczam do niej oczko.

– Dziękuję – odpowiada Suzi, kręcąc pierścionkiem wokół palca.

– Ale scenariusz... – dodaję, a brew Suzi nieznacznie się marszczy. Prosząc mnie o opinię, okazała mi sporo zaufania i nieszczerze pochwały byłyby nie fair. Zachowałbym się wtedy jak tchórz, więc kontynuuję: – jest nierówny.

Zmarszczka na czole Suzi się pogłębia, lecz odnoszę wrażenie, że mówię to, czego jest już świadoma.

Po kilku minutach popijania wina i lania wody udaje mi się wyrazić swoją krytykę w nieco bardziej konstruktywny sposób. Wyjaśniam Suzi, że kilka spośród jej historii jest nieprawdopodobnych – w pełnym tego słowa znaczeniu – i w porównaniu z nimi pozostałe elementy fabuły wydają się płaskie i niekonsekwentne.

– A który wątek podoba ci się najbardziej? – pyta Suzi.

– Chyba ten ze studentem sztuki.

Suzi kiwa potakująco głową i się uśmiecha.

– Dlaczego?

– Bo to dobra historia – mówię, odginając pierwszy palec.

– To zawsze pomaga – odpowiada ze śmiechem Suzi. Patrzy mi prosto w oczy, upijając łyk wina.

Przechodzę do drugiego palca.

– Ciekawi bohaterowie – to znaczy dziewczyna wydaje się nieco jędzowata, ale dobrze ją przedstawiłaś.

Suzi kiwa głową, jakby czekała, aż dojdę do sedna.

Palec numer trzy:

– Scena na dachu – bardzo kinowa, dramatyczna.

– Dwie sceny na dachu – poprawia mnie Suzi z udawaną nieśmiałością.

– Tak – przyznaję, przechodząc do palca numer cztery – co prowadzi nas do...

Suzi unosi brwi.

– Seksu.

Czytasz w moich myślach – omal nie powiedziałem tego na głos; na szczęście w porę ugryzłem się w język, zanim ta niezamierzona insynuacja przeszła mi przez usta. Gdybym był sing-lem i nie spodziewał się bliźniąt, możliwe, że taki tekst byłby OK. Ale nie jestem i się spodziewam – i świetnie się z tym czuję. Mimo to nie przestaję się zastanawiać, czy Suzi, podobnie jak jej bohaterka, uprawiała kiedyś seks na dachu budynku związku studenckiego.

– Tak – śmieję się. – W branży reklamowej kręci się niewiele scen erotycznych.

– Właśnie – przyznaje mi rację Suzi. – Rzadko nam się to zdarza.

– Biedni jesteśmy – oznajmiam, robiąc głupią minę, i upijam duży łyk wina.

– A więc... chcesz to zrobić? – pyta po chwili wahania Suzi.

– Słucham?

Suzi się śmieje.

– Nakręcić film o studentce sztuki.

Bierze mnie tym pytaniem z zaskoczenia.

– Chciałbym, naprawdę, ale musiałabyś najpierw zapoznać się z kosztami.

Będziesz potrzebować ekipy, sprzętu, aktorów.

Suzi uśmiecha się do mnie z wyrozumiałością.

– Mówisz jak Joe.

– Powiniennem się obrazić?

– Mam trochę pieniędzy – wyjaśnia.

– Może i tak, ale nie rozmawiamy o scenie z udziałem dwóch autorów siedzących przy kuchennym stole. – Ma rację: mówię jak Joe. – Potrzebujesz dwóch aktorów pierwszoplanowych, kilku epizodystów, trzy lub cztery lokalizacje, dach nocą. Nawet jeśli część osób zgodzi ci się pomóc za darmo, całość będzie kosztowała... Boże, sam nie wiem. Dużo pieniędzy. Będziesz też potrzebowała producenta, i to cholernie dobrego.

– Mam dziesięć tysięcy.

– To sporo pieniędzy, Suzi, ale mimo wszystko... nie jestem pewien.

– W tym roku zmarł mój tata – wyznaje i w jednej chwili znika cała jej odwaga, flirciarstwo i fantazja.

– Tak mi przykro. Wiem, co czujesz. Moja mama zmarła, kiedy miałem czternaście lat.

Suzi kładzie dłoń na mojej i smutno się uśmiecha, po czym – jak gdyby nigdy nic – zabiera swoją rękę, upija łyk wina i znów jest sobą.

– Chodzi o to – wyjaśnia – że odziedziczyłam dość pieniędzy, by wpłacić depozyt na mieszkanie. Mama chce, żebym tak właśnie zrobiła. Ale przecież to tylko mieszkanie; pewnego dnia je sprzedam, wyprowadzę się i nic mi po nim nie zostanie. Jeśli nakręcę ten film, niezależnie od tego, czy okaże się gówniany, genialny czy uplasuje się gdzieś pośrodku... – Suzi znów upija łyk wina – ludzie zawsze będą mówili: Och, spełniło się życzenie jej ojca, mam rację?

– Myślisz, że naprawdę by sobie tego życzył?

– Co prawda, pewnie wolałby, żebym kupiła mieszkanie. – Suzi zanosi się śmiechem tak zaraźliwym, że się do niej przyłączam i przez chwilę jesteśmy pewnie parą najbardziej wkurzających ludzi w całym lokalu.

– W każdym razie – kontynuuje – ja o tym marzę. Nie chcę do końca życia

pisać scenariuszy reklam papieru toaletowego, wiesz, co mam na myśli?

Kiwam głową. Doskonale wiem, co masz na myśli.

* * *

Leżymy z Ivy w łóżku, w tle słychać ściszony głos Niny Simone, na szafce nocnej Ivy pali się świeczka o zapachu wiciokrzewu, obok stoi otwarta butelka oliwki dla dzieci. Za wybór muzyki i oświetlenia odpowiadam ja.

– Jesteś kochany, ale wiesz, że mogę to zrobić sama.

– Rozluźnij się – mówię. – Połóż się wygodnie.

Wmasowuję oliwkę w napięty jak bębenek brzuch Ivy. Błyszcząca warstwa oliwki uwydatnia biegnącą przez niego bliznę i jestem pewien, że to głównie z tego powodu Ivy tak bardzo boi się pojawienia rozstępów.

– Co sądzisz o imieniu Henry? – pyta.

Nadal nie mamy pojęcia, jakiej płci są nasze bliźniaki.

– Dla chłopca czy dziewczynki? – dociekam.

– Dla dziewczynki.

– Pracuję z jedną Henry, taki z niej trochę wymoczek.

– Czy można nazwać dziewczynę wymoczkem?

– Skoro można ją nazwać Henry, to czemu nie? W każdym razie ta Henry mówi przez telefon *ciao*.

– Skąd ona jest?

– Chyba z Wigan.

– W porządku – oznajmia Ivy. – Henry odpada.

Zmieniam kierunek masażu. Niespiesznie kreślę dłonią coraz większe koła zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

– A co powiesz na Zarę? – pytam.

– Chodziłam do szkoły z Zarą; nazywała mnie Foką.

– Co, czyżbyś była...? – Wydymam policzki, obejmuję rękami niewidzialny brzuch i zarzucam ramionami z boku na bok.

Ivy daje mi po łapach.

– Nie, wzięło się to od skrótu F.K. jak Freddy Krueger. – Wskazuje bliznę na policzku.

– A to suka.

Ivy wzrusza ramionami.

– Miewałam gorsze przezwiska. Zresztą potrafiłam się odgryźć. Zara miała bardzo szeroko osadzone oczy i nos jak kartofel, więc nazywałam ją Mureną. I to przezwisko przylgnęło do niej na dłużej niż do mnie Foka.

– *Touché* – mówię, wracając do masażu, i kreślę jeszcze większe koło, tak że moje palce muskają rąbek majtek Ivy.

– A więc – odzywa się Ivy, uwodzicielsko przeciągając drugą sylabę – jak

brzmi twój porno-przydomek?

Masaż, muzyka i świece miały ją co prawda wprowadzić w odpowiedni nastrój, ale nie spodziewałem się tak bezpośredniego pytania.

– Moje... co?

– No wiesz – wyjaśnia Ivy – bierzesz imię swojego pierwszego zwierzaka, dodajesz panięskie nazwisko matki i już masz swój porno-przydomek.

– Aha, rozumiem. Imię pierwszego zwierzaka i...?

– Panięskie nazwisko matki.

– W takim razie... Złotko MacCluskey.

Ivy klaszcze z uciechy.

– Genialne! To nie ściema? Nie robisz mnie przypadkiem w konia?

Kręcę głową.

– Złota rybka plus mama katoliczka.

– Podoba mi się! Złotko MacCluskey.

– A jak brzmi twoje?

– Moje jest do kitu.

– No dalej... Sama zaczęłaś ten temat.

Ivy wzdycha.

– Niech będzie – Margaret Smith.

– Oj, rzeczywiście lipa.

– Wiem.

– Kto nazywa swoje zwierzątko Margaret?

Ivy wskazuje na siebie.

– Ja. Chciałam dostać psa lub kota – nigdy nie mieliśmy w domu zwierząt, reszta domowników za nimi nie przepadała – i tak długo wierciłam rodzicom dziurę w brzuchu, aż udobruchali mnie królikiem.

– A ty go nazwałaś Margaret.

– Miałam cztery lata! To było moje pierwsze zwierzątko i nikt mi nie powiedział, że nadaje się im imiona takie jak Fafik, Puszek czy... Złotko. A skoro już o tym mowa, skąd ten pomysł? Można wprawić rybkę w kompleksy.

– Trudno o lepsze imię dla rybki Fisherów. A skoro już o tym mowa, Złotko i tak brzmi mniej obciachowo niż Ernest.

– Stul dziób!

– Zdażyłaś chyba rozgryźć zasady, masz czterdzieści jeden lat, a to bardzo du...

– Uważaj, Złotko. Mogę cię kopnąć w ekstremalnie unerwione miejsce. – Podnoszę ręce w geście kapitulacji. – Skoro musisz wiedzieć, nadałam mu to imię na cześć Hemingwaya.

– Tego pisarza?

– Hemingway napisał książkę *Stary człowiek i morze*, a do tego miał fioła na

punkcie wędkowania, więc miałam aż dwa powody... Czy ty się ze mnie śmiejesz?

– Tylko troszkę. A w zasadzie śmieję się z tobą.

Ivy pochmurnieje.

– Nadal uważam, że to lepsze imię niż Złotko.

Wypaliliśmy dwie świece, album Niny też się kończy, więc wylewam na dłoń trochę więcej oliwki i zaczynam masować prawe udo Ivy.

– Czy ciężarne kobiety miewają rozstępy również tam? – dziwi się Ivy.

– To zależy, jak duża urośniesz. Odpręż się – mówię i Ivy rzeczywiście się odpręża.

Kiedy wróciła z klubu książki trzy godziny wcześniej, zastała mnie na kanapie śpiącego i chrapiącego jak wieprz. Było już po dziesiątej, ale umierałem z głodu, więc ugotowałem spaghetti z pesto i tartym serem i zjedliśmy późną kolację. Rozmawialiśmy o tym, co spotkało nas w ciągu dnia, a ja miałem poczucie winy, że spędziłem popołudnie i początek wieczoru w winiarni, w towarzystwie pięknej kobiety. Oczywiście nie zdarzyło się nic strasznego – żadnych zakazanych kontaktów fizycznych, pocałunków czy innych zapowiedzi niewierności. Pewnie trochę flirtowaliśmy, ale bez ciągu dalszego. Mimo to doświadczam irytującego poczucia, że źle się zachowałem. Przesuwam dłońmi w dół uda Ivy, masuję kolano i łydkę, ujmuję stopę i naciskam kciukami na jej podeszwę. W scenariuszu Suzi jest scena, w której mężczyzna przywiązuje jedwabnymi apaszkami kostki swojej kochanki do krańców żelaznej ramy łóżka. Odsuwam od siebie ten obraz i wylewam na dłoń kolejną porcję oliwki.

– Ellie? – sugeruje Ivy.

Spałem kiedyś z jedną Ellie, lecz nie jest to najlepszy moment, żeby o tym wspominać.

– Mieliśmy w szóstej klasie Smrodliwą Ellie – wyjaśniam, co w zasadzie nie jest całkowitą nieprawdą.

– Dzieciaki bywają okru... och! – Ivy szeroko otwiera oczy, chwytając się instynktownie za brzuch.

– Co się dzieje? Wszystko w porządku?

Ivy się uśmiecha.

– Ktoś – wyjaśnia, głaszcząc się po brzuchu, jakby był szczeniakiem, kotkiem, albo... no cóż, dzieckiem – lubi się wiercić.

– Naprawdę? Które z nich?

– Trudno powiedzieć. Kto się tak wierci, co? – zwraca się do brzucha.

– Czy to pierwszy raz? – pytam.

Ivy kiwa głową.

– Żadne z was nie chce się przyznać, co? – Gładzi ręką brzuch, czekając na jakąś odpowiedź.

– I...? – dociekam.

Ivy kręci smutno głową...

– Już po wszystkim.

Nie mówię co prawda: Tak ci się tylko wydaje, ale unoszę znacząco brew, wracając do masowania nóg Ivy.

Ivy zaczyna jęczeć.

– Tak ci dobrze? – pytam.

Jednak gdy podnoszę wzrok, zauważam, że cała krew odpłynęła jej z policzków.

– Chyba jednak całe to masowanie nie było najlepszym pomysłem – mówi, po czym przykłada rękę do ust i biegnie do łazienki z wymiotować.

* * *

Kiedy następnego ranka się budzę, Ivy nie ma obok. Mieszkamy razem od prawie ośmiu tygodni i budzenie się w pustym łóżku nie jest dla mnie niczym niezwykłym. Dawniej Ivy lubiła zaczynać dzień od czegoś, co eufemistycznie nazywała „poranną rozgrzewką”, ale odkąd nosi w sobie parę słodkich ziemniaków traktujących jej pęcherz jak trampolinę, tuż po przebudzeniu myśli tylko o zrobieniu siusiu i wypiciu filiżanki herbaty.

Moja wiekowa sąsiadka, Esther, ma pewną teorię dotyczącą kamyczków w słoiku. Jeśli za każdym razem, gdy będziesz uprawiać seks w ciągu pierwszego roku związku, wrzucisz do słoika kamyk, a później wyciągniesz po jednym kamyku za każdym razem, gdy będziesz uprawiać seks w kolejnych latach, nigdy nie opróżnisz słoika. Rozumiem to i nie wątpię, że jest w tej teorii ziarenko (kamyczek) prawdy. Mam tylko nadzieję – tak samo jak w stosunku do wielu innych zjawisk w naszym krótkim związku – że wybuch niespożytej seksualnej energii nie jest fenomenem, który udało nam się z Ivy odfajkować w ciągu pierwszych dziewiętnastu dni zamiast dwunastu miesięcy. Istnieją naturalnie czynniki usprawiedliwiające. Przez te siedem i pół tygodnia, odkąd wprowadziłem się do mieszkania w Wimbledonie, oboje pracowaliśmy i trudno wyobrazić sobie dwa bardziej rozbieżne grafiki niż nasze. Dodatkowo w te wieczory, które spędzamy razem, Ivy zwykle zasypia na kanapie w kilka sekund po dwudziestej pierwszej. Nawet w weekendy nie potrafimy się zsynchronizować. Ja biegam, a Ivy ćwiczy jogę, ale nigdy nie robimy tego w tym samym czasie, co oznacza, że i w sobotę, i w niedzielę spędzamy około dwóch godzin osobno. Ona czyta, ja oglądam *Columbo*; ja łączę po sklepach, ona drzemie. Nie jest to nieprzyjemne; wprost przeciwnie, jest komfortowe. Jednak za dużo komfortu bywa trochę... nudne. Lubię nasz styl życia, ale po prostu czuję, że przyjęliśmy go o jakieś dwadzieścia lat za wcześnie.

Tego ranka zastaję Ivy w salonie, ćwiczącą jogę. Ubrana w parę niebieskich legginsów i pomarańczowy podkoszulek na ramiączkach, przyjęła pozycję psa

z głową w dół. Jej sylwetka tworzy doskonale „A”: Ivy stoi zgięta w pasie, dłonie i stopy opiera o matę, nogi i ręce ma idealnie wyprostowane.

– Dzień dobry, pupeczko – mówię do jej uniesionych pośladków.

Ani Ivy, ani uniesione pośladki nie odpowiadają.

Klepię ją w tyłek, idąc do kuchni, gdzie nastawiam czajnik.

– Powinniśmy kupić pełnotłuste – stwierdzam.

Ivy wsunęła głowę między kolana, więc nie widzi trzymanej przeze mnie butelki chudego mleka, lecz doskonale wie, o co mi chodzi. Już kilka razy poruszaliśmy temat zawartości tłuszczu w mleku. Ivy uważa, że skoro chcę mieć tłuste mleko, powinienem je sobie kupić. Sęk w tym, że zakupy przez Internet robi w tym domu Ivy i jedyny moment, w którym myślę o mleku, jest wtedy, gdy stoję przed otwartą lodówką z kartonem białej wody w ręce. Czy naprawdę oczekuję od życia zbyt wiele, prosząc o odrobinę mleka w mleku?

– Do kawy – wyjaśniam.

Ivy przechodzi do pozycji kota.

Woda się gotuje, zaparzam pełen dzbanek kawy.

Ivy zmienia pozycję z kota w krowę, z krowy w kobrę.

– Nalać ci? – pytam.

Ivy burczy coś pod nosem – trudno stwierdzić, czy to z wysiłku, czy właśnie tak brzmi jej odpowiedź.

– Uznaję to za odmowę – mówię.

– Jestem zajęta – dobiega głos Ivy spomiędzy nóg.

Siadam na kanapie z kubkiem chudej kawy w dłoni i przyglądam się Ivy. Wiele razy oglądałem ją wykonującą te wszystkie pozycje. W ciągu pierwszych kilku tygodni naszego związku Ivy zachęcała mnie, żebym do niej dołączył, a ja się godziłem; kilka razy zdarzyło nam się zakończyć ćwiczenia w pozycji, której nie moglibyśmy powtórzyć w miejscu publicznym. Ivy przechodzi do pozycji stonogi – głowa na macie, plecy wygięte w łuk, pupa w górze.

– Pamiętasz, jak kiedyś ćwiczyliśmy razem jogę? – rzucam.

– Uhm.

– Wydaje się, jakby to było wieki temu.

– Uhm.

Ivy przenosi ciężar ciała do tyłu, opiera się teraz na dłoniach i kolanach. Zaczyna kręcić biodrami raz w jedną, raz w drugą stronę. Wątpię, żeby ta pozycja nazywała się „na seksowną lisicę”, ale taka właśnie nazwa przychodzi mi do głowy.

– Jak nazywa się ta pozycja? – pytam.

– Nie mam bladego pojęcia.

– Zabawne.

Ivy nie odpowiada.

– Mógłbym się do ciebie przyłączyć, jeśli chcesz?
– Nie masz nic do roboty? – pyta Ivy.
– Mam – odpowiadam, lekko urażony. A później przypominam sobie coś, co powiedział jej brat Frank, kiedy odwiedziliśmy rodziców Ivy: – Wyluzuj, Willameno.

– Chryste, ależ to wkurzające – mówi Ivy, chociaż nie przypominam sobie, żeby zareagowała w ten sposób, kiedy Frank to powiedział.

Zostawiam niedopitą kawę na podłokietniku kanapy, wiedząc, że zdenerwuję tym Ivy jeszcze bardziej, i idę do sypialni przebrać się w strój do biegania. Przypinam iPoda i wsuwam do kieszeni spodenek dziesiątaka, żeby w drodze powrotnej kupić sobie kanapkę z bekonem i karton pieprzonego tłustego mleka.

Pierwszą milę pokonuję wściekły. Nie mając w głowie żadnej ustalonej trasy, zamiast pobiec w stronę parku Wimbledon Common, oddalam się od niego. Nie biegnę wśród drzew, wokół stawu i po ścieżkach; wybieram twarde chodniki, zatłoczone ulice i napełniam płuca spalinami. Po niespełna godzinie docieram do swojego starego mieszkania w Brixton.

Kiedy zbliżam się do mieszkania Esther, widzę, że zamiast tabliczki „na sprzedaż” wisi na nim tabliczka z napisem „sprzedane”. Nie powinienem się dziwić; mieszkanie wystawiono przed kilkoma tygodniami, a ona i Nino planowali ucieczkę do Włoch już od lata. Mimo to jest mi smutno.

– Dzień dobry, złotko – mówi Esther, jakby na mnie czekała. – Zgubiłeś się?
– Coś w tym stylu. Czy mogę skorzystać z twojego prysznicza?

Nie przemyślałem sobie tego, więc muszę pożyczyć ubrania od Nina, który jest dobre trzydzieści centymetrów niższy i szerszy w pasie niż ja. Ubrania, które położyła na łóżku Esther, nie należą do ekstrawaganckich, ale nie uwierzylibyście, jak idiotycznie można wyglądać w parze džinsów i wełnianym swetrze. Dżinsy sięgają mi do połowy łydek, odsłaniając parę brązowych skarpetek, które wyglądałyby okropnie, nawet gdyby nie były bezuciskowe. (Esther przyniosła też parę poszarzałych slipek Nina, ale nie mogę się zmusić, żeby je założyć, więc upycham je do kieszeni pajacowatych spodni). Sweter wybrany przez Esther ma luźny splot, jest w fioletowo-zielone paski i czuję się w nim jak strach na wróble. Wyglądam jak pacjent szpitala psychiatrycznego i nic dziwnego, skoro zachowałem się jak skończony dureń.

Esther przygotowuje klasyczne angielskie śniadanie i niezbyt subtelnie usiłuje wy badać naturę mojej niespodziewanej wizyty. Przez chwilę chcę jej powiedzieć, że przyszedłem sprawdzić lokatorów, którym wynająłem swoje mieszkanie, ale to by się wiązało z kłamstwem, koniecznością odwiedzenia tychże najemców i z przekroczeniem progu dawnego mieszkania, na co, jak się nagle okazuje, kompletnie nie mam ochoty. Owszem, mieszkając w Brixton, miałem wygodny skórzany fotel i telewizor HD, i tak, lodówka pękała w szwach od

kartonów pełnotłustego mleka, ale też robiłem mnóstwo głupot. Z perspektywy czasu uświadamiam sobie, że jedyną dobrą rzeczą, która mnie wtedy spotkała, było poznanie Ivy, a jedyną dobrą decyzją była ta o wyprowadzce.

– Sprzeczka – mówię w końcu.

Esther się śmieje.

– Wasza pierwsza?

– No, może druga.

– Coś poważnego?

– Czasami bywam wkurzający.

– Gdybym dostawała pensa za każdym razem, kiedy... – Esther patrzy znacząco i kręci głową – wyprowadzilibyśmy się stąd dawno temu. Sprzeczka – powtarza ze śmiechem.

– A więc je sprzedaliście? – pytam, wskazując gestem na mieszkanie.

Wyraz twarzy Esther się zmienia; rubaszna wesołość ustępuje miejsca łzom, śmiech gładko przechodzi w rozdzierający szloch. Przesuwam krzesło i przytulam Esther, która wypłakuje mi się w ramię.

– Co się dzieje? – dociekam. – Wydawało mi się, że to dobra wiadomość.

– Bo jest dobra – odpowiada Esther, zalewając się łzami. – Oczywiście, że tak.

– W takim razie dlaczego płaczesz?

Esther prostuje się, wyciera oczy rękawem i pociąga nosem jak rasowy robotnik.

– Jesteś dla mnie jak syn – mówi, uspokajając się.

Wypowiadam w myślach słowa: A ty dla mnie jak matka, lecz nawet niewypowiedziane na głos wyznanie więźnie mi w gardle i czuję, że też zbiera mi się na płacz. Uśmiecham się w nadziei, że ten gest będzie równie dobitny jak słowa.

Esther robi kolejne tosty, chociaż nie uporałem się jeszcze z pierwszą porcją, i wtajemnicza w logistykę przeprowadzki swojej i Nina – pakowanie, loty, nowy dom na włoskiej wsi. Po rodzinnym Bożym Narodzeniu w Exeter, w towarzystwie córki, dwóch synów i ośmiorga wnucząt, wyjadą z Ninem do Urbino.

– Gdzie jest teraz Nino?

– Po czterdziestu kilku latach przestajesz o to pytać – oznajmia Esther. – Dać ci dobrą radę?

Kiwam głową.

– Nie starajcie się za wszelką cenę być idealną parą, złotko. Schodźcie sobie z drogi, nie bójcie się sprzeczek, przemilczeń czy drobnych kłamstewek. Sprzątaj w domu, nie zostawiaj wywróconych na lewą stronę brudnych majtek na dywanie, opuszczaj deskę, kupuj jej kwiaty raz w miesiącu, a raz w tygodniu uszczypnij ją w tyłek – reszta zależy od was.

Zastanawiam się, czy nie powiedzieć Esther, że uszczyplenie w tyłek (a w zasadzie jego klepnięcie) przyczyniło się do dzisiejszej sprzeczki, ale postanawiam tego nie robić.

– U was zadziałało, prawda?

– U naszych dzieci też. Wszystkie mają już dzieci i związane z tym problemy, ale żadne z nich się nie rozwiodło – oświadcza z dumą.

– Powinnaś napisać książkę – mówię.

– Masz cholerną rację, złotko – odpowiada, dolewając sobie herbaty. – Co nie znaczy, że obyło się bez rzucania patelniami i garnkami. Słowo ci daję, złotko, że zdarzały nam się kłótnie. Kilka razy byliśmy bliscy rozstania. – Łagodny śmiech Esther łączy w sobie ciepłą nostalgię z wyrzutami sumienia. A może po prostu świadczy o rozbawieniu. – Pamiętajcie o tym, że się kochacie – dodaje. – Czasami bywa ciężko, ale na tym polega cały sekret: pamiętajcie, że się kochacie. – Esther uważnie mi się przygląda. – Bo chyba ją kochasz?

Przytakuję.

– Całym sercem.

– W takim razie przestań się nad sobą użalać, głuptasie.

Powrót do Wimbledonu autobusem trwa dłużej niż przebieżka w przeciwnym kierunku. Nie żebym był takim świetnym biegaczem, po prostu Londyn jest strasznie zakorkowany. Autobus sunie w ślimaczym tempie, a ja zapadam w drzemkę; głowa mi się kiwa, tracę świadomość i dopadają mnie głupie myśli. Kiedy kładę się spać pijany – tak jak wczoraj – przesypiam całą noc, a mimo to po przebudzeniu czuję się niewyspany. Zupełnie jakby wyłączał się cały mój organizm, łącznie z mechanizmami regeneracyjnymi. W autobusie linii 57 jadącym do Wimbledonu budzę się co jakiś czas z otwartymi ustami, śliną na pod-bródku i echem własnego chrapania rozbrzmiewającym wewnątrz czaszki. Jeśli dodać do tego strój uciekiniera z wariatkowa i torbę z Lidla wypchaną zapoconymi ubraniami do biegania, mam pewność, że nikt obok mnie nie usiądzie. Po raz kolejny zapadam w sen. Po dotarciu do Village czuję się jak nowo narodzony (pomimo stroju starego lumpa).

Kiedy docieram na naszą ulicę, dostrzegam Harolda, dziwaczego nastoletniego sąsiada Ivy, siedzącego na schodach prowadzących do jego mieszkania. W przeciwieństwie do mojego mieszkania w Brixton – które na pewnym etapie historii było po prostu górnym piętrem większej, pojedynczej rezydencji – te dwupoziomowe mieszkania celowo tak zaprojektowano. Mimo to mamy wspólną bramę i ścieżkę, a nasze frontowe drzwi przylegają do siebie niczym bliźnięta syjamskie. Harold trzyma w dłoni połowę talii kart, reszta leży rozłożona na ścieżce między jego stopami. Macham mu na przywitanie, na co Harold podnosi na chwilę wzrok i burczy coś pod nosem. Mamy początek grudnia i chociaż temperatura jest dość wysoka jak na tę porę roku, jest trochę zbyt zimno,

żeby siedzieć na schodach w samym T-shircie.

– Nie jest ci zimno?

Harold kręci głową.

– Czekasz na kogoś?

Zerka przez ramię.

– Właściwie to nie.

Przysiadam się do niego.

– Ćwiczysz cierpliwość? – pytam, wskazując głową na leżące u jego stóp karty.

Harold śmieje się krótko i bez przekonania.

– O co chodzi z tym debilnym strojem?

– To ostatni krzyk mody – wyjaśniam. – Wszystkie fajne dzieciaki się tak noszą.

Po minie Harolda widać, że tego nie kupuje, ale nie jest zainteresowany kontynuowaniem tematu. Od naszego pierwszego spotkania (walka o klucze na progu mieszkania Ivy) Harold odnosi się do mnie z mieszaniną podejrzliwości i pogardy. Na szczęście przestał mi okazywać wrogą zazdrość, odkąd stało się jasne, że Ivy jest w ciąży. Jego matka, Maureen, traktuje nas uprzejmie, chociaż niezbyt przyjaźnie, jakby była stale podminowana, zmartwiona lub zmęczona. Ma chłopaka, którego nigdy nie poznałem. Ivy zaprosiła Maureen na kawę, kolację i wino przy trzech różnych okazjach – nie żeby pałała pragnieniem zaprzyjaźnienia się z tą nieśmiałą, wiecznie zaganianą okularnicą, po prostu wstyd było jej nie zaprosić. Za każdym razem Maureen uprzejmie odmawiała, podając prawdopodobną, chociaż kiepską wymówkę, coś w stylu zaległej papierkowej roboty czy prasowania. Ivy przestała ją więc zapraszać i wszyscy troje odetchnęliśmy z ulgą.

– Chłopak twojej mamy – jak mu tam na imię – jest w domu?

– Lol – odpowiada Harold.

– Przepraszam. To nie był żart, ja tylko...

Harold patrzy na mnie, jakbym rzeczywiście był tak głupi, jak wskazuje na to mój strój.

– Nie *lol*[10], tylko Lol, zdrobnienie od Laurence.

– Lol? Mówisz poważnie?

Harold wzrusza ramionami.

– Nie miałem pojęcia – wyjaśniam. – Mój najlepszy kumpel ma na imię Laurence, ale nazywamy go El. Nigdy nie słyszałem o Lolu. – Ostatnie słowo wypowiadam z pietyzmem, kładąc szczególny nacisk na obydwie głoski „L”.

Harold śmieje się i powtarza po mnie.

– Wydaje się miłym facetem – stwierdzam.

– To zbok.

Spoglądam na Harolda.

– Dlaczego tak myślisz?

– Ciągłe szczypie mamę w tyłek – odpowiada, nie patrząc mi w oczy.

– Nie on jeden.

– Co?

– Nieważne, pokaż te karty. – Zbieram je z ziemi, zanim Harold zdąży zaprotestować.

– Hej, grałem nimi!

Tasuję je, przekładam, znów tasuję.

– Wybierz jedną.

Harold spełnia moje polecenie w milczeniu i bez cienia entuzjazmu. Ostentacyjnie odwracam wzrok, tasuję karty i marszczę brew, zanim udaje mi się namierzyć kartę, która w cudowny sposób leży teraz w talii odwrócona. Harold wzrusza ramionami, stwierdza, że widział podobną sztuczkę w wykonaniu Davida Blaine'a zwisającego z helikoptera. Dopiero po dwóch kolejnych sztuczках ten mały gnojek zdobywa się na uśmiech, a do tego czasu mój tyłek zdążył już ścierpnąć od siedzenia na zimnym twardym stopniu.

– Haroldzie, czy jest szansa, żebyś skoczył do mieszkania po zapasowy klucz do mieszkania Ivy?

– Zastanawiałem się, kiedy o to zapytasz – mówi, uśmiechając się jeszcze szerzej.

– Lol – odpowiadam, a Harold ponownie się śmieje.

* * *

Wchodząc po schodach do mieszkania, czuję zapach bekonu, kiełbasek i jajek. Ivy leży na kanapie i czyta książkę. Siadam obok niej.

– Dzień dobry – wita się ze mną. – Co u Esther?

– Kto powiedział, że byłem u Esther? Może mam na mieście elegancką kochankę?

– Która lubi cię przebierać za staruszka? A sama nosi wałki i podomkę?

– To tak zwany styl hobo.

– Pasuje do ciebie.

Ivy odkłada książkę i idzie do kuchni. Bierze talerz z angielskim śniadaniem i wkłada go do mikrofalówki.

– Tosta?

Brzuch mam wciąż pełny smażeniny Esther, więc dziękuję. Ivy czeka, aż jedzenie się zagrzeje, i zaczyna parzyć kawę. Słysząc brzęczyk mikrofalówki i Ivy zamienia pierwszy talerz na drugi. To cudowne, że zrobiła mi śniadanie, ale to, że zaczekała na mnie z jedzeniem jest już dowodem miłości. Wciśnięcie w siebie dwóch kiełbasek z podwójnym bekonem, połówki pomidora, fasoli i kopiastej

porcji jajeczniczy to najbardziej zapierająca dech w piersiach sztuczka ze wszystkich, jakie zaprezentowałem tego ranka. Odgrzewanie jedzenia tylko to utrudniło – jajka są gumowate, bekon i kielbaski twarde, pomidor rozpačkany, a fasolka skrzepnięta – a mimo to pałaszuję je z szerokim uśmiechem szaleńca na twarzy. Davidzie Blaine, możesz mi naskoczyć.

Ivy najwyraźniej postanowiła zamieść wydarzenia kilku minionych godzin pod dywan, to dobrze. Oboje uczestniczyliśmy w kłótni, oboje byliśmy winni (jak widać jedni czuli się bardziej winni od drugich) i rozgrzebywanie całej tej sytuacji żadnemu z nas nie wyszłoby na dobre. Moja była dziewczyna i ja pokłóciłibyśmy się, później przeprosili, przeanalizowali całe zajście, rozłożyli winę pomiędzy siebie i – najczęściej – znowu pokłócili się o to samo. Taktyka Ivy jest dużo lepsza, szczególnie że sam zachowałem się jak idiota.

Ivy zmywa naczynia, ja wycieram.

– Co robisz w czwartek? – pyta.

– Chyba nic. A dlaczego?

– To świetnie – mówi Ivy. – Zapraszam cię na randkę.

– Genialnie. Dokąd?

Ivy poklepuje wilgotnym palcem skrzydełko nosa.

– Będziesz się musiał uzbroić w cierpliwość.

10 *Lol* – skrót od *laugh out loud* (ang.), co znaczy uśmieć się, śmiać się głośno.

Rozdział 13

Siedemnaście i pół roku temu, jadąc do kina, żeby odebrać stamtąd Ela i mnie, moja matka zginęła w wypadku samochodowym. Ciężarówka hipermarketu uderzyła w bok jej żółtego datsuna, wypychając go prosto na nadjeżdżający z przeciwka motocykl. Łańcuch złożony z miliona zdarzeń i okoliczności doprowadził do tego, że wszystkie elementy – ciężarówka, motocykl, matka – znalazły się na drodze w tym samym momencie. Nie obwiniam się za śmierć matki, ale gdybym nie poszedł wtedy do kina, istnieje cholernie duża szansa, że matka nadal by żyła.

Nadal nie wiemy o sobie z Ivy zbyt wiele – tego nie wspomina się w rozmowie, ot tak, lecz stopniowo odkrywa w miarę, jak związek się rozwija i umacnia. Nasz trwa dopiero od czterech miesięcy, więc pozostało jeszcze sporo elementów do odkrycia. Ivy wie, że moja matka zginęła w wypadku samochodowym, ale nie ma pojęcia, że jechała po mnie do kina ani że od tego czasu ani razu tam nie byłem.

Kiedy czekam na nią przed stacją metra, mam złe przeczucie – z naciskiem na złe – że właśnie kino okaże się miejscem randki, którą dla nas zaplanowała. Z miejsca, w którym stoję, mam doskonały widok na Wimbledon Odeon i na samą myśl o wejściu do środka robi mi się słabo. Czuję, jak moje serce wali, żołądek podchodzi do gardła, a po plecach i głowie, pomimo zimna, leje się pot. Ale niech tak będzie, myślę sobie. Nie mogę do końca życia nie pójść z dziećmi do kina i jeśli nie dzisiaj, to i tak wkrótce będę musiał się zachować jak mężczyzna, podnieść przyłbicę i przełknąć popcorn. W zasadzie czułbym się rozczarowany, gdybyśmy nie poszli tego wieczoru do kina. Nikt się przecież po mnie nie pofatyguje, żeby stąd później odebrać.

Odwracam się plecami do budynku kina i patrzę na przelewający się przez bramki biletowe tłum. O tej porze dnia przepychają się przez nie setki ludzi.

– Czekasz na kogoś wyjątkowego? – słyszę za plecami jej szept i czuję ciepły oddech przy uchu.

Ivy wsunęła włosy pod białą wełnianą czapkę, która na kimś innym wyglądałaby wieśniacko, ale nie na niej.

– Podekscytowany? – pyta.

– To zależy, dokąd się wybieramy.

– Cóż, skoro to nasza pierwsza oficjalna randka, pomyślałam, że powinniśmy zrobić coś tradycyjnego.

– Czy to ma jakiś związek z popcornem?

- Masz go jak w banku, słodki tyłeczku.
 - W takim razie jestem podekscytowany.
- Idziemy ramię w ramię do kina.

Film zdobył nominację do Oscara. Ivy informuje mnie o tym, kiedy w drodze powrotnej do domu wspinamy się po Wimbledon Hill, trzymając się za ręce. Na pytanie, czy film mi się podobał, odpowiadam, że rozumiem, dlaczego dostał nominację, ale jest to „drobne kłamstewko”, jak powiedziała by Esther. Nie chodzi o to, że się nie podobał. Kiedy już koncentrowałem uwagę na tym, co się działo na ekranie, uważałem, że warto było wydać pieniądze na bilet. Sęk w tym, że przez większą część tych dwóch godzin myślami byłem gdzie indziej.

Rozmyślałem o mamie i dniu jej śmierci. Pamiętam, jaki byłem zdziwiony, kiedy to tata Ela odebrał nas z kina – jak opowiedział o wypadku i że kiedy podrzucił mnie pod dom, na podjeździe stał policyjny radiowóz. Myślałem o tym, jak cenne i kruche jest życie, jak łatwo jest je wziąć za pewnik. We wtorek Suzi przesłała mi e-mailem piętnastostronicowy scenariusz swojego krótkometrażowego filmu. A gdy film będzie gotowy, roześle go agentom i producentom, żeby zainteresować ich nakręceniem wersji pełnometrażowej. Siedząc z Ivy w Wimbledon Odeon, fantazjowałem o tym, jak by to było wyreżyserować film zamiast reklamy papieru toaletowego. Ale przecież nie chodzi już tylko o mnie, prawda? Mam teraz zobowiązania wobec swoich dzieci i ich matki. Muszę zarobić na ich utrzymanie. W głowie miałem kompletny mętlik: rozpamiętywanie przeszłości, sny na jawie, obawy, fantazjowanie.

Gdy już prawie jesteśmy w Village, Ivy pyta:

- Jak sądzisz, co ten facet – ten ksiądz – miał na myśli, mówiąc: „Nigdy trwa o wiele dłużej niż zawsze”?
 - To tam występował jakiś ksiądz? – dziwię się.
- Ivy zatrzymuje się w pół kroku.
- Byliśmy na tym samym filmie, prawda?
 - Tak jakby – stwierdzam, po czym opowiadam jej o dniu, w którym zmarła moja matka.

* * *

Jest piątkowe popołudnie, do Bożego Narodzenia zostały niespełna trzy tygodnie, więc pub jest wypakowany szczególnie niczym worek Świętego Mikołaja. Mimo to udało nam się z Joem zdobyć stolik w samym rogu. Po raz drugi w tym tygodniu wytworzyłem wokół siebie niemożliwe do przekroczenia pole siłowe. W zeszły wtorek był to strój uciekiniera z wariatkowa, dzisiaj są to cztery kilogramy sera limburskiego. Po południu mieliśmy przedprodukcyjne spotkanie dotyczące reklamy sera, na którym klient sprezentował każdemu z nas po wielkim kawałku swojego produktu. Rozdając ser, manager do spraw marketingu

poinformował nas, że ów ser został uznany za „siódmy co do intensywności zapachu” ser na świecie. Już sama świadomość faktu, że istnieje sześć bardziej cuchnących serów niż ten, wystarczy, żeby nabawić się sennych koszmarów. Potrzebowaliśmy dwóch godzin, żeby dopiąć szczegóły reklamy; dwóch godzin spędzonych w maleńkim pokoju z ośmioma kawałkami siódmego najbardziej cuchnącego sera na świecie – kawałkami wielkości ludzkiej głowy – i pracującymi na pełnych obrotach grzejnikami. Chociaż scenariusz był tylko odrobinę bardziej strawny niż sam produkt, uśmiechałem się, byłem skoncentrowany, wybuchałem śmiechem i przekonywałem wszystkich o tym, jaki to przywilej z nimi pracować. I robiłem to nie tylko dlatego, że jestem znakomitym profesjonalistą; po prostu Joe uwielbia takie gadanie, a ja potrzebuję Joego.

Sztuczka najwyraźniej zadziałała, bo Joe emanuje nie tylko zapachem sera, lecz także doskonałym humorem. Wraca do stolika z dwoma kuflami piwa i w przekrzywionej czapce elfa na głowie.

– Wszystkiego najelfiego – mówi, wznosząc kufel.

– Bardzo zabawne – odpowiadam i chociaż wcale takie nie jest, nie mogę się powstrzymać od śmiechu.

– A skoro już jesteśmy w świątecznych nastrojach, mam dla ciebie prezent...

– Joe sięga do torby, wyjmuje z niej brązową kopertę formatu A4 i przesuwa ją w moją stronę.

– Nie trzeba było. – Sięgam po kopertę i chowam ją do torby.

– W porządku, sam ci powiem, chodzi o...

– Jaka stawka?

– Mniejsza, kurwa, o to – oznajmia Joe. Jego świąteczny nastrój ulatnia się w jednej sekundzie. – Dam to komuś innemu, kto okaże mi chociaż cień wdzięczności.

– Coś ty taki nerwowy? Nie obchodzi cię, co myślę o scenariuszu, tylko czy się zgodzę.

Joe bierze głęboki oddech, wzdycha.

– Posłuchaj, rozumiem, że twój plan na życie niespodziewanie się zmienił, i cieszę się, że do wszystkiego jesteś chętny. Ale ja lubię swoją pracę, sprawia mi ona przyjemność. I kiedy zachowujesz się wobec mnie tak cholernie zarozumiale – unoszę brwi – właśnie tak – kontynuuje Joe – jak nadęty fiut, to się robi po prostu słabe. Wiesz o czym mówię?

Znamy się z Joem od lat i wiem, że nie należy się zbytnio przejmować tym jego utyskiwaniem. Szczególnie przy trzecim piwie. Mimo to nikomu nie jest miło, kiedy ktoś nazywa go nadętym fiutem.

– Jedną chwileczkę! To był żart. Żartowałem, do jasnej cholery.

– No cóż, w takim razie niezbyt zabawny.

– Tak? W przeciwieństwie do „wszystkiego najelfiego”?

Joe już chce coś powiedzieć, lecz w końcu decyduje się wypić spory łyk piwa.

Unoszę dłonie w geście kapitulacji.

– Przepraszam. Czego to reklama?

– Tamponów.

Zamykam oczy i liczę w myślach do trzech, a kiedy je otwieram, Joe przygląda mi się niewzruszony, krzyżując ramiona na piersi.

– Ile? – pytam.

– Sześć.

Nic nie mówię.

– Sześć to cholernie dobrze – odzywa się Joe. – Za jeden dzień zdjęciowy.

– Pod jednym warunkiem.

– Co? Kolejne gierki?

Tym razem to ja wyciągam z torby kopertę ze scenariuszem Suzi, który ma już tytuł: *Reinterpretacja Jacksona Pollocka* lub po prostu *Pollock*, jak go nazywamy po wymianie kilku e-maili, telefonów i wprowadzeniu do scenariusza wielu poprawek. Podaję kopertę Joemu.

– Co to takiego?

– Otwórz.

Joe otwiera kopertę, spogląda na tytuł na pierwszej stronie, kiwa głową i zaczyna czytać, nie odrywając wzroku od tekstu. Wypijam swoje piwo, kufel Joego stoi prawie nietknięty.

– I...? – pytam, kiedy wreszcie kończy.

Opowiadam mu o Suzi, jej scenariuszu i budżecie dziesięciu tysięcy funtów. Joe chowa scenariusz z powrotem do koperty i upija niewielki łyk piwa.

Spoglądam najpierw na kopertę, później na niego.

– I...?

– W porządku, chociaż tytuł lekko chujowy.

– To wszystko?

– O co ty mnie właściwie pytasz, Williamie? Czy mi się podoba? Czy chciałbym zainwestować w ten projekt? Czy mam coś przeciwko temu, żebyś pracował dla jakiegoś innego pieprzonego studia produkcyjnego? O co?

– Chciałbyś wyprodukować ten film?

Joe lubi udawać, że nie jest sentymentalny, lecz w głębi duszy miękki z niego skurczybyk i na jego twarzy pojawia się mimowolny uśmiech.

– Ja? – pyta, celując palcem we własną pierś.

Osusza kufel jednym potężnym haustem, beka i znów przyjmuje zblazowany wyraz twarzy.

– W porządku – mówi. – Mógłbym się tym zająć.

* * *

Zanim wychodzimy z Gęsi, piątkowe popołudnie zamienia się w piątkowy wieczór. Nie jestem pijany, ale po linie raczej bym nie przeszedł. Ivy pracowała dzisiaj na planie reklamy perfum, więc może wrócić do domu za jakąś godzinę, góra trzy. Dzwonię do niej, ale od razu łączę się z pocztą głosową. Nie ma jeszcze siódmej, kiedy dojeżdżam na stację Wimbledon, ale słońce już dawno zaszło i mam wrażenie, że jest później. Wlokę się do Village na ciężkich nogach i z pełnym pęcherzem; tego wieczoru spacer wyjątkowo mi się dłuży. Kiedy wspinam się na Wimbledon Hill, drogi jak diabli rzeźnik właśnie zaczyna zamykać swój sklep. Chociaż zdążyłem częściowo wytrzeźwieć, w moich żyłach krąży dostatecznie dużo alkoholu, żeby z własnej woli wejść do sklepu i wydać ponad czterdzieści funtów na kawałek wołowiny, kilka plasterków boczkusa i pęto kiełbasy.

Ivy nie ma jeszcze w domu, więc włączam głośno radio, otwieram wino i zabieram się do gotowania. Zaczynam się tu czuć jak u siebie i gdy jedzenie bulgocze w garnku, spulchniam poduszki, karmię złotą rybkę, zerkam na półki z książkami i przeglądam kolekcję niedoczytanych powieści Ivy, rzucając okiem na akapity, po których przerwała lekturę.

Rozkładałam na stole dwa nakrycia, robię prowizoryczny świecznik z kieliszka na jajko i wybieram piosenki na swoim iPodzie. Od czterech miesięcy Ivy stanowi istotną część mojego życia, a nasze dzieci są już w połowie drogi do tego, żeby się urodzić i zająć miejsce pomiędzy nami, w naszym łóżku. Mimo to żadne z nas nie wypowiedziało jeszcze tych dwóch najważniejszych słów, a przynajmniej nie bez ust zakneblowanych kaszmiem.

Kiedy mieszkaliśmy z Kate, co noc przed snem mówiliśmy sobie „kocham”. Czasami tego nie robiliśmy. W nocy – a zdarzyło się ich kilka – kiedy kładliśmy się do łóżka skłóceni, te dwa krótkie słowa pozostawały niewypowiedziane, co było równoznaczne z komunikatem: dzisiaj cię nie kocham. Podoba mi się, że nie powtarzamy z Ivy tych słów z przyzwyczajenia, traktując je – w zależności od nastroju – jak oczywistość lub jak broń. Ale przecież naprawdę kocham Ivy i tego wieczoru zamierzam jej to powiedzieć.

* * *

Z drzemki na kanapie wyrywa mnie głośne pukanie Ivy do frontowych drzwi i dopiero po chwili uświadamiam sobie, gdzie jestem. Jeśli wierzyć zegarowi na kominku, jest prawie dwudziesta pierwsza. Znowu rozlega się pukanie i wygląda na to, że bogata w żelazo dieta Ivy przynosi efekty, bo brzmi to tak, jakby zamierzała staranować drzwi. Wołam „już idę”, zapalam świecę, sprawdzam fryzurę i – jako że jestem zwariowanym, postrzelonym i zabawnym gościem – rozpinam koszulę aż do pępka, wyjmuję z wazonu kwiatek i wsuwam go sobie między zęby. Ivy znowu wali do drzwi.

– Już idę! – wrzeszczę, chociaż trudno coś wyraźnie powiedzieć z kwiatkiem w ustach.

Nie dziwię się, że Ivy puka, zamiast otworzyć drzwi kluczem. Zwykle tak robi, kiedy wraca do domu z planu zdjęciowego – samochód ma wypchany drogimi kosmetykami i sprzętem, i coraz trudniej jest jej wnieść do mieszkania te wszystkie pudła.

Tym większym szokiem jest widok stojącego na progu brata Ivy, Franka.

– Nie trzeba było – żartuje.

– Frank – odpowiadam z gerberą w ustach.

– Ale skoro już zadałeś sobie ten trud... – Od jego niedźwiedziego uścisku zaczyna łupać mnie w czaszce. – Cholercia – mówi, opuszczając ramiona. – Co tak cuchnie?

– Ser limburski – wyjaśniam, zapinając koszulę.

– O rany. Mogę wejść, czy będziemy tak stać?

Kiedy Frank i jego walizka znajdują się w mieszkaniu, pytam, co go sprowadza do Londynu, na co Frank zaczyna nieskładnie tłumaczyć się pracą, chęcią odwiedzenia przyjaciół, siostry i własną spontanicznością.

– Kiedy... zdecydowałeś się na przyjazd?

Frank wzrusza ramionami i wydmuchuje z ust powietrze.

– Och, sam nie wiem, przed paroma godzinami? Jakoś w porze lunchu. – Zauważa stół nakryty dla dwojga, świeczkę w kieliszku do jajka i robi skruszoną minę. – Ojej.

– Nie martw się, mamy mnóstwo jedzenia.

– Co ugotowałeś?

– Wołowinę po burgundzku.

– Francja elegancja.

– Napijesz się czegoś?

– Zrobimy tak: ty wskoczysz pod prysznic, a ja zajmę się tym – mówi, wyjmując z siatki butelkę merlota. – Czerwone! Jasnowidz ze mnie.

Oniemiały z wrażenia, robię dokładnie to, co mi każe. Kiedy wracam do salonu – czysty, suchy i ubrany w ciuchy, które nie śmierdzą serem – Ivy jest już w domu, wszystkie okna są otwarte na oścież i wpada przez nie ostre zimowe powietrze.

– Cześć, skarbie – odzywa się z kanapy. – Zgadnij, kto wpadnie do nas na kolację!

Chociaż czuję się postawiony pod ścianą, i tak się śmieję.

Całuję Ivy w czoło.

– Gorąco ci?

– Co? Nie, dlaczego?

– Otworzyłaś okna.

– Ja to zrobiłem – odzywa się Frank, wachlując sobie nos. – Żeby pozbyć się serowego smrodku.

– Serowego? – dziwi się Ivy.

Opowiadam jej o reklamie, a gdy okazuje się, że Ivy nie może jeść sera, a Frank nie zrobiłby tego nawet z pistoletem przystawionym do skroni, pakuję cuchnący, oślizgły kawał sera limburskiego do trzech toreb i wyrzucam go do stojącego przed domem kosza. Przynajmniej będzie odstraszał lisy.

Podczas gdy Frank i Ivy nadrabiają zaległości i wymieniają się rodzinnymi żartami, zbieram ze stołu nakrycia i doprawiam wołowinę winem, które przywiózł Frank. Jemy przed telewizorem, trzymając talerze na kolanach, ściśnięci we troje na kanapie. Siedzący na krańcu kanapy Frank jest tak szeroki w barach, że dla mnie zostaje już tylko skrawek miejsca po przeciwnej stronie, na dodatek z wbijającym się w żebra twardym podłokietnikiem. Młodszy brat Ivy jest dziś w nastroju do picia i mniej więcej co pięć minut wydaje mi komendę:

– Williamie, kieliszek. – Po czym sięga przez Ivy, by upewnić się, że mój kieliszek jest pełny po brzegi.

– No to jak – rzucam tak nonszalancko, jak to tylko możliwe. – Zostaniesz u nas na noc?

– Jeśli nie masz nic przeciwko, Williamie.

– Fisher.

– Racja, Fisher.

– A jakie masz plany na resztę weekendu? – pytam, starając się, żeby nie zabrzmiało to tak, jakbym za wszelką cenę chciał się go pozbyć.

Nie chodzi o to, że nie lubię Franka – typowy z niego równy gość: potężny, misiowiaty, z sercem na dłoni, a do tego zabawny w głośny, gamoniowaty sposób. Nietrudno nas sobie wyobrazić jako kumpli (lub też, wybiegając nieco w przyszłość, jako szwag-rów spędzających popołudnie w pubie bez swoich żon – o ile Frank nadal będzie ją wtedy miał, rzecz jasna). Wyobrażenie nas sobie spędzających cichy weekend we troje na tej kanapie okazuje się jednak nieco trudniejsze. Miałem plany na ten wieczór i nie uwzględniały one towarzystwa stuczternastokilogramowego dentysty.

– Pomyśleliśmy, że coś sobie porobimy – mówi enigmatycznie Ivy.

– Jasne – odpowiadam. A kiedy próbuję objąć Ivy ramieniem, okazuje się, że ramię Franka już tam jest.

– Williamie, kieliszek!

Zanim zdążę coś powiedzieć, przed twarzą miga mi prawie pusta druga butelka wina. Frank zaczyna je nalewać, ale w butelce prawie nic nie ma, więc udaje mu się napełnić tylko mój kieliszek niemal po sam brzeg.

– Oj! Otworzę następną, co?

Kiedy wstaje z kanapy, Ivy i ja rozsuwamy się na boki, bo nagle okazuje się

to możliwe.

Podczas gdy Frank wybiera kolejną butelkę mojego wina, zwracam się w stronę Ivy i przesyłam jej subtelny sygnał: unoszę ramiona, rozkładam ręce, przechylam głowę w prawo i otwieram szeroko oczy. Każdy z tych gestów jest przemyślany co do milimetra. Co się dzieje? Ivy marszczy brwi: Co masz na myśli? Unoszę brwi i wskazuję podbródkiem przez ramię na Franka, który właśnie szuka korkociągu. Twojego brata! Ivy przygryza dolną wargę i nieznacznie kręci głową: Nie teraz. Opuszczam kącik ust i wymownie wzdycham: Niech ci będzie.

– W niczym wam chyba nie przeszkodziłem? – pyta Frank, pakując się z powrotem na swoje miejsce.

Chcę mu odpowiedzieć, ale znowu nie mam czym oddychać, wciśnięty w skraj kanapy.

– Kieliszek – mówi Frank, sięga przez Ivy i dolewa pinot noir do mojego merlota.

* * *

Kiedy byłem chłopcem i mieszkalem z rodzicami, w telewizji rzadko pokazywano seks, ale gdy już się tak zdarzyło, tata zrywał się z fotela jak rażony prądem i zmieniał kanał. Później, kiedy byłem nastolatkiem, po prostu wychodził z pokoju, mruczając coś pod nosem, i wracał dopiero wtedy, gdy owe obrzydlistwa zniknęły z ekranu. I chociaż czułem się wtedy skrępowany, było to nic w porównaniu z oglądaniem miłosnych igraszek w towarzystwie ciężarnej dziewczyny i jej gamoniowatego brata. Frank radził sobie z krępującymi scenami erotycznymi, komentując je na bieżąco zabawnym głosem lub z regionalnym akcentem:

Witaj! Ktoś tu się napalił! Masz w kieszeni banana, czy po prostu cieszysz się na mój widok? Ha, ha, ha. Pozwól, że ci w tym pomogę, skarbie... Ooo, różowe koronki, pikantnie. I już ich nie ma! Bang, bang! Może przeniesiemy się na kuchenny stół? Naczyniami się nie przejmuj, wpadniemy jutro do Ikei. Wtrąbimy hot-doga, ha, ha, ha. Spójrzcie na minę tego gościa! Wygląda, jakby głowił się nad krzyżówką. Jeden w dół, hasło na cztery litery, zaczyna się na B, kończy na K... BZYK! Kochanie, dobrze ci było? Ha, ha, ha!

Przez całe to nieznośne przedstawienie jednego aktora czekam, modlę się o to, żeby Ivy kazała mu się zamknąć, lecz ona nic nie mówi. Rzucam na nią ukradkowe spojrzenie i wiem, dlaczego milczy. Wciśnięta między nas niczym zwiędnięty kwiat, Ivy nadal siedzi, z opadniętym na klatkę piersiową podbródkiem. Unoszę jej głowę najdelikatniej, jak tylko potrafię, i widzę, że ma zamknięte oczy. Z otwartych ust dobiega cichutkie chrapanie.

Frank trzyma pilota, więc proszę go, żeby ściszył dźwięk, wskazując na jego śpiącą siostrę.

– Pospało się dziecko – stwierdza, głaszcząc policzek Ivy grzbietem wskazującego palca. – Jasne – mówi, kierując pilota w stronę odbiornika. – Wyłączyć to badziewie?

Zakładam, że ma na myśli telewizor i że chce się wreszcie położyć, jednak zamiast tego Frank przeskakuje z kanału na kanał, aż wreszcie odnajduje gdzieś na szarym końcu listy kanałów satelitarnych film z Chuckiem Norrisem.

– Masz smaka na Chucka? – pyta.

Mieszkając z ciężarną dziewczyną, rzadko (mniej więcej tak rzadko, jak rzadko urządza się w piekle zawody w lepieniu bałwanów) mam okazję się upić i oglądać w telewizji stare filmy akcji, więc dlaczego miałbym się nie zgodzić? Pozwalam Frankowi dolać sobie wina, biorę śpiącą Ivy za rękę i moszczę się w swoim mikroskopijnym kąciku kanapy. Nie tak go sobie zaplanowałem (i nie jest to dla mnie nic nowego), ale ten zimny piątkowy wieczór mógł się skończyć dużo gorzej. Jednak wstałem o wpół do siódmej rano, a służbowe spotkanie, piwo z Joem i wino z Frankiem porządnie dały mi w kość. Chuck Norris skopał, pobił, zadźgał i udusił prawie pięćdziesięciu zbirów, zanim i moje oczy zaczęły się kleić. Oznajmiam Frankowi, że idę spać, i zaczynam budzić Ivy. Frank zgłasza się na ochotnika do zmywania naczyń, Ivy do wycierania, a ja – nie chcąc być pominięty – nalegam, że pochowam wszystko do szafek. Tak naprawdę za naszym barkiem śniadaniowym nie ma miejsca dla trzech osób (szczególnie gdy jedna z nich ma gabaryty Franka), więc to prawdziwy cud, że niczego nie rozbijamy podczas całej tej żenującej sceny.

Po umyciu, wytarciu i odłożeniu naczyń na miejsce mówimy sobie dobranoc. Frank wymierza mi kumpelskiego kuksańca w ramię, po czym zamyka Ivy w długim niedźwiedzim uścisku. Całuje swoją starszą siostrę w bok głowy i oznajmia, że ją kocha. Ivy odwzajemnia to wyznanie, po czym staje na palcach, żeby – ostatni raz przed snem – dać mu całusa. Takie zachowanie jest bardzo w ich stylu, ale podcina mi skrzydła. Jeśli teraz powiem Ivy, że ją kocham, będzie to wyglądało tak, jakbym dołączył do nich w obawie przed wykluczeniem.

* * *

Tradycją naszych piątkowych wieczorów stała się lektura książki dla przyszłych rodziców, zgrabnie zatytułowanej: *Odliczanie do narodzin: zmiany w twoim ciele i rozwój maleństwa tydzień po tygodniu*. Co tydzień czytamy jeden rozdział; w tym tygodniu przyszła pora na rozdział dziewiętnasty i kolej Ivy, żeby czytać. Ivy mówi mi, że u naszych dzieci kształtują się nerwy łączące mózgi z mięśniami i organami. Maleństwa mają teraz tyle samo nerwów co dorośli i mogą już podskakiwać w brzuchu, reagując na szok.

– Na przykład w razie niespodziewanej wizyty ich wujka?

– Zamknij się i słuchaj – odpowiada Ivy.

– Trzymałem w ustach kwiatek – kontynuuję. – I świeczkę, co prawda nie w zębach, ale na stole.

Ivy przykłada palec do ust, uciszając mnie.

– Słyszałam o tym od Franka.

Czyta dalej. Łóżysko jest w pełni ukształtowane, ale nadal się rozwija. W dziąsłach dzieci formują się załączki zębów. Maleństwa mają już języki, ich ciała pokrywają delikatne włoski i oleista substancja, dzięki której ich skóra jest miękka i sprężysta. Nasze dzieci urodzą się za osiemnaście tygodni i chociaż świetnie sobie radzą w dziedzinie włosów, skóry i zębów, nadal nie mają imion.

– Co powiesz na Angusa?

– Trochę zbyt szkockie – stwierdza Ivy.

– W takim razie Hamish.

Ivy się śmieje.

– Podoba mi się Agatha.

– A jeśli będzie chłopiec?

– Może Dashiell?

– Istnieje takie imię?

– Nosił je autor *Sokoła maltańskiego*.

– Aggy i Dash – mówię. – Brzmi całkiem, całkiem.

Ivy się krzywi.

– A mnie się nie podoba.

– Przypomnij mi, jak ma na imię syn Franka?

– Freddy – odpowiada Ivy, wzdychając. Oto nadszedł ten moment.

– Co się dzieje między nim i...?

– Lois. Frank wyprowadził się z domu.

– Co się stało?

– Nic... Takie tam.

– Zdradził ją?

– Nie.

– Ona zdradziła jego?

– Ciszej. Frank jest za ścianą.

– Po prostu jestem ciekaw, kto komu zrobił świństwo – wyjaśniam scenicznym szeptem.

– I świetnie się przy tym bawisz. To po prostu bardzo smutne. Gdybyś ich widział, kiedy się poznali... Byli dla siebie stworzeni. Wszyscy tak twierdzili. – Ivy wolno wypuszcza powietrze, kręcąc głową. – To tragiczne, po prostu... tragiczne.

– Przepraszam, nie chciałem... no wiesz.

Ivy uśmiecha się do mnie.

– Tak to już w życiu bywa. Ludzie się zmieniają, ich relacje też. – Mówi to

z takim przekonaniem i pewnością siebie, że doświadczam paranoicznego lęku przed tym, że jej słowa odnoszą się również do nas. Postanawiam (parafrazując Esther) rzadziej puszczać bąki i częściej kupować Ivy kwiaty.

– Jak długo u nas zostanie?

– Niezbyt długo.

– To znaczy?

Ivy wzrusza ramionami.

– Przecież to mój brat.

– Miły z niego facet, nie zrozum mnie źle, ale ta kanapa jest za mała dla nas trojga. – Chciałem to powiedzieć żartobliwie, ale jestem trochę wkurzony i w efekcie moje słowa zabrzmiały trochę zbyt zaczepnie. – Potrzebujemy większej łodzi – dodaję, starając się rozluźnić atmosferę.

– Zawsze możesz usiąść w fotelu – mówi Ivy.

Ale nie w swoim.

Ivy rzeczywiście ma fotel – starego grata, którego osobiś-cie wypiąskowała, posklejała, wypełniła, polakierowała i obiała różowym aksamitem w kwiaty. Żaden z tych zabiegów nie przełożył się na wygodę – siedzieć na nim to jak próbować się zrelaksować na szkielecie przykrytym kwiecistym kocem. Z kolei mój fotel, czekoladowobrązowy i wyposażony w schowek na gazetę i inne przydatne drobiazgi, ma w sobie tyle mięciutkiej wyściółki, że mógłby zatrzymać rozpędzony pociąg. Gdyby rzucić na niego niemowlę z trzeciego piętra, odbiłoby się od niego i znów zasnęło. Rzecz jasna rozmawialiśmy na jego temat, lecz zdaniem Ivy mój fotel gryzie się z jej dywanem, zasłonami i kanapą. „Skóra pasuje do wszystkiego” – tłumaczyłem, na co Ivy (sądząc pewnie, że to urocze) odparła: „W takim razie będzie świetnie wyglądał w wolnym pokoju”. Dałem wtedy za wygraną, bo cóż innego miałem zrobić? Ludzie idą na kompromisy, zacis-kają zęby, dostosowują się, machają ręką na różne rzeczy. Powinienem się tak zachować i teraz, ale (z winy Franka) jestem na to zbyt pijany.

– Ale nie w swoim – mówię na głos.

Ivy spogląda na mnie – znów to samo – jakbym ją rozczarował.

Wolny pokój sąsiaduje z naszą sypialnią i przez cienkie ściany słyszemy krzątającego się Franka. Sądząc po nagłej kakofonii wystrzałów, eksplozji i wrzasków, Frank właśnie włączył mój czterdziestodwucalowy telewizor HD. Tym razem to ja posyłam Ivy udręczone spojrzenie.

Ivy wstaje z łóżka, wali w ścianę i woła:

– Ścisz to! – Frank ścisza dźwięk o połowę, tak, że ledwie go u nas słychać.

Ivy ponownie wali w ścianę. – Jeszcze!

– Przepraszam! – krzyczy Frank.

Dźwięk zostaje ściszony do tego stopnia, że zza ściany dolatuje już tylko irytujące dudnienie.

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie – zauważam. – Co oznacza „niezbyt długo”?

Ivy wdrapuje się z powrotem do łóżka.

– Nie wiem, tydzień, może dwa.

– Za trzy cholerne tygodnie będą święta.

– Dobrze, w takim razie wyniesie się przed świętami.

– W porządku.

Ivy wyłącza światło i żadne z nas nie mówi Kocham cię.

* * *

Słyszę, jak po obejrzeniu filmu z Chuckiem Norrisem Frank gramoli się z łóżka i zaczyna kręcić się po pokoju. Brzmi to tak, jakby coś składał, i dopiero słysząc kolejne wystrzały i znajomy warkot silnika, dociera do mnie, że Frank znalazł i podłączył mojego Xboxa i gra teraz w *Grand Theft Auto*. Ivy, jakżeby inaczej, głęboko śpi, wydając z siebie dźwięk przypominający cięcie drewna. Po *Grand Theft Auto* Frank włącza jakąś strzelankę, której nie potrafię zidentyfikować, a później – jestem tego prawie pewien – *Resident Evil*. Nie wiem, o której zasnąłem, ale na pewno nie przed drugą, i kiedy wreszcie odplynałem, mój umysł utknął w przykłej, drażniącej pętli, której główną bohaterką była Ivy i niespodziewani goście; najpierw dzieci (to akurat OK), a później Frank. Śniły mi się banalne, stresujące sny pełne zamkniętych drzwi, zgubionych kluczy i skrzypiących krzesel, a kiedy wreszcie się budzę, kilka minut przed siódmą, prawie odczuwam ulgę. Za oknem nadal jest ciemno, ale stojący na nocnym stoliku Ivy budzik rzuca dostatecznie dużo światła, żeby oświetlić jej twarz. Wygląda, jakby uśmiechała się przez sen, ale może po prostu przycisnęła sobie twarz do poduszki. Całuję ją w policzek, wyślizguję się z łóżka, zakładam parę spodni do joggingu, podkoszulek i wymykam się z pokoju.

* * *

Siedzę na kanapie, sącząc kawę i czytam rozdział *Paragrafu 22*, z którym dała sobie spokój Ivy, kiedy do salonu w samych bokserkach wchodzi Frank. Naprawdę niezły z niego okaz: grubokościsty, potężnie umięśniony, mocno otluszczony i gęsto owłosiony. Podczas wizyty u państwa Lee w Bristolu Ivy nazwała brata gorylem i to, co teraz widzę – w pełnej krasie – wydaje się tylko drobnym krokiem ewolucyjnym w stosunku do tegoż. Gdy tak stoi przede mną, ziewając i drapiąc się pod pachą, Frank wygląda jak coś, co właśnie wytoczyło się z jaskini, a nie z sypialni.

– Dobry, brachu – mówi pełnym głosem, a ja przykładam palec do ust, wskazując na drzwi sypialni, w której, miejmy nadzieję, nadal śpi Ivy.

Frank wzrusza ramionami z grymasem „nie pomyślałem” i idzie sobie

zaparzyć kawę. Podchodzi do kanapy i siada obok mnie ze skrzyżowanymi nogami, mocno przyciskając jedno ze swoich owłosionych kolan do mojego uda. Jego bokserki mają rozcięcie w rozporku i widzę więcej, niżbym sobie tego życzył, przez rozchyłony materiał.

– Dzień dobry – powtarza scenicznym szeptem Frank. – Dobrze spałeś?

– Nieszczególnie – odpowiadam.

Frank kiwa głową, jakby wcale go to nie interesowało.

– Co czytasz? – pyta, sięgając po odłożoną na podłokietnik kanapy książkę.

Zamykam oczy, gdy klatka piersiowa Franka przesłania mi świat i czuję na policzku łaskoczący dotyk jego włosów.

Kiedy ponownie otwieram oczy, Frank przygląda się okładce *Paragrafu 22*.

– Klasyka – stwierdza ze śmiechem. – Major Major Major Major.

Ale nie chwytam jego żartu.

Frank upija łyk kawy, drapie się po brzuchu i się przeciąga.

– Nie jest ci zimno? – pytam z nadzieją.

– Nigdy – odpowiada, pocierając dłonią owłosiony tors. – Ale za to jestem głodny jak wilk.

Moje myśli pędzą ku czterem drogom kielbaskom, które wczoraj kupiłem na dzisiejsze śniadanie.

– W szafce są płatki śniadaniowe – mówię. – Częstuj się.

– Z miłą chęcią – odpowiada, zeskakując z kanapy i lądując z głośnym łubu-du na podłodze.

– W szafce nad zlewem – informuję go. – Miski są po lewej, a łyżki w szufladzie po twojej prawej.

Frank decyduje się na pudełko płatków z otrębami i wysypuje sobie do miseczki potężną stertę. Puszcza bąka, ale pozostawia ten fakt bez komentarza.

– Chcesz trochę? – pyta, potrząsając w moją stronę płatkami.

– Nie jestem głodny – odpowiadam, co tylko po części jest prawdą. Czekam, aż Ivy wstanie, żebym mógł sobie zrobić kanapki z piekielnie drogą kielbasą.

Frank otwiera drzwi lodówki.

– Mleko, mleko, mleko. – Szuka. – Macie pełnotłuste?

– Obawiam się, że tylko chude.

Frank wzdycha.

– Mówi się tru... Jedną chwileczkę, widzę kielbaski! To rozumiem! Mogę? – pyta, ciskając kielbaski na blat.

– Właści...

Do pokoju wchodzi Ivy, ziewając i przecierając oczy.

– Cześć, chłopcy.

– Cześć, siostra. Masz ochotę na kielbaski?

– Pychota – stwierdza Ivy. – Patelnia jest w szafce obok zmywarki.

- Zmywarki? Mogliście wczoraj powiedzieć.
- Teraz to bardziej niszcarka do naczyń. Przestaliśmy z niej korzystać po tym, jak zbiła mój ulubiony kubek.
- W ekspresie jest kawa – informuję.
- Już nie ma – odpowiada Frank. – Zaparzyć świeżej?
- Kochany jesteś – komplementuje brata Ivy.

Mam ochotę to wyjaśnić, ale po namyśle zamieniam małosłowną uwagę na głośne, przeciągłe ziewnięcie. Ivy przysiadła się na kanapie. Całuje mnie w policzek i mruga – to taki nasz drobny porozumiewawczy gest, którym Ivy komunikuje, że przeprasza i mi wybacza, że oboje jesteśmy głuptasami, a ja nadal jestem najważniejszym facetem w jej życiu.

- Nie jesz śniadania? – pyta.

Kręcę głową.

- Idę pobiegać.
- Jeśli zaczekasz pół godziny, pójdę z tobą.

Frank smaży kielbaski i zapach skwierczącego na patelni mięsa jest oszałamiający. Posyłam Ivy porozumiewawcze, błagalne spojrzenie, na co ona wyrozumiale się uśmiecha i kiwa głową w stronę drzwi.

- Zaczekałbym – mówię – ale jeśli nie pójdę teraz, to nie pójdę wcale.
- No to innym razem – stwierdza Frank.
- Masz to jak w banku – odpowiadam, chociaż na jego miejscu nie wpłaciłbym do tego banku złamanego pensa.

Nie mam pojęcia, jak długo mnie nie było, ale przebiegłem spory kawał Wimbledon Common, a kiedy wracam truchtem na naszą ulicę, jestem wyczerpany i nie mogę złapać tchu. Na pewno byłem poza domem dostatecznie długo, żeby Frank zdążył zjeść śniadanie – moje śniadanie – wziąć prysznic i narzucić jakieś ciuchy na kudłaty bebech. A przynajmniej tak by się mog--ło wydawać. Kiedy wchodzę do domu, słyszę głośne trzaśnięcie drzwiami od łazienki zamykającymi się za Frankiem. Tak jakby ten wielki włochaty jaskiniowiec przyciął się za oknem i tylko czekał, aż wsunę klucz do zamka, żeby pobiec, rechocząc, do łazienki. Ivy leży na kanapie z książką.

- Hej, skarbie – mówi, dźwigając się do pozycji siedzącej, i odkłada *Paragraf 22* na podłokietnik kanapy.

Opieram się o framugę drzwi i zaczynam się rozciągać, a Ivy zsuwa nogi z kanapy i idzie do kuchni, gdzie sięga po ściereczkę i nalewa dużą szklanekę wody. W dziewiętnastym tygodniu ciąży z bliźniakami jest niepokojąco duża i porusza się adekwatnie do sylwetki, czyli ociężale.

- Proszę. – Podaje mi szklanekę.

Wypijam połowę wody jednym haustem i wycieram ściereczką pot z twarzy i szyi.

– Przepraszam za kielbaski – mówi, padając z powrotem na sofę. – I wołowinę po burgundzku.

– Nic się nie stało – odpowiadam, zamierzając usiąść w fotelu.

– Ani mi się waż – upomina mnie Ivy, wskazując na podłogę obok kanapy.

– Nie rozumiem, dlaczego martwisz się odrobiną potu – stwierdzam. – Za kilka miesięcy twój fotel będzie cały w rzygowinach i siuśkach, tak jak reszta mebli.

– Cudowna wizja, prawda? – stwierdza Ivy, kładzie mi dłonie na ramionach i zaczyna masować.

Rozpływam się pod jej dotykiem, a ona całuje mnie w kark. W oddali słyszę śpiewającego pod prysznicem Franka. Nie potrafię rozpoznać melodii, ale nie sądzę, żeby fałszował.

– Ktoś tu wydaje się szczęśliwy – zauważam.

– Wytrzymaj z nim jakoś – prosi Ivy. – Sporo ostatnio przeszedł. Wiem, że czasem zachowuje się jak słoń w składzie porcelany, i to do kwadratu.

– *Elefantus maximus?*

– Tak, właśnie. – Ivy uciska kciukami mój kark, przesuwając je od ramion po podstawę czaszki. – W każdym razie... wiem, że nie powinno się nikogo faworyzować – nie tylko wśród rodzeństwa – ale, no cóż, Frank jest moim ulubionym bratem; mamy prawie tyle samo lat, a w szkole to on zawsze stawał w mojej obronie.

Czuję mrowienie w czaszce i skroniach i wydaję z siebie cichy pomruk, którym mam nadzieję zakomunikować, że jej słucham i że doceniam to, co mi teraz robi.

– Najgorzej było w szkole średniej – kontynuuje Ivy. – No wiesz, przez te blizny. W podstawówce, sama nie wiem, może dzieciaki były wtedy zbyt niewinne albo bały się problemów. Za to w szkole średniej... Szrama, Brzydula, Freddy Krueger...

Poznaliśmy się z Ivy na planie „Małych Potworów”, czterech reklam, w których dzieci przemieniały się w rozmaite straszdyła: wampiry, wilkołaki, zombie i właśnie Freddy’ego. Nie po raz pierwszy zastanawiam się nad tym, jakie to dla niej musiało być krępujące.

– Był taki jeden gnojek – ciągnie Ivy. – Aaron Harding. Przeżywał mnie Humpty – tak jak w tym wierszyku o rozbitym jajku, którego nie da się poskładać z powrotem. Ze wszystkich przezwisk akurat to przyłgnęło najbardziej. Nucił w klasie tę przeklętą rymowanąkę, a dzieci zaczynały się śmiać. Kiedy się czerwienię, blizny wyglądają jak paski tłuszczu na bekonie... Nie, raczej... Przykro mi, jestem beznadziejna w wymyślaniu porównań.

– Nie przejmuj się. – Zaczynam się gramolić z podłogi, lecz Ivy przytrzymuje moje ramiona i zaczyna mi masować mięśnie pleców. – Nie

będziemy tego uczyć naszych dzieci.

- Czego, wymyślania porównań?
- Nie, rymowanki o Humptym Dumptym, gąsko.
- Bardzo to poetyckie.
- Taki już masz na mnie wpływ – mówię.
- Że nazywasz mnie gąską?
- Jasne, to skrót od: gorąca, seksowna, kochana.

– Na twoim miejscu nie brnęłabym dalej. W każdym razie to się zdarzyło w trzeciej klasie. Frank chodził do klasy niżej i zawsze był olbrzymem – po urodzeniu ważył dobre cztery i pół kilograma, Boże miej moją biedną mamę w opiece. W każdym razie kiedy był w drugiej klasie, umieścili go w drużynie rugby trzecioroczników, razem z tym okropnym Hardingiem.

- I bardzo dobrze – mówię. – Pewnie spuścił mu łomot?

Ivy się śmieje.

– Frank? Przecież on nie skrzywdziłby muchy. Nie, zrobił coś lepszego: rozpuścił plotkę, że Harding ma maciupieńkiego penisa.

- A miał?

– Podobno nie, ale widocznie był dostatecznie mały, żeby plotka się przyjęła. Frank zaczął go nazywać Żołędziem[11] zamiast Aaronem, później podchwyciła to reszta drużyny, dzieciaki w jego klasie i wreszcie cała szkoła. Najzabawniejsze jest to, że do końca czwartej klasy nikt już nie nazywał mnie Humptym; właściwie nikt nikogo nie przezywał, poza Aaronem, który pozostał Żołędziem aż do matury.

- I wszystko dzięki Frankowi.
- I wszystko dzięki Frankowi.

Ulubiony brat Ivy nadal tkwi pod prysznicem, wyśpiewując partię chóru z *Bohemian Rhapsody*.

- A więc taki z niego mięczak?
- Frank jest mięciutki jak kaczuszka.
- Myślisz, że pokonałbym go w bójce?

Ivy wybucha śmiechem tak gwałtownym, że czuję na karku drobinki jej śliny, smarków lub też jednego i drugiego.

– Boże, przepraszam! Po prostu... pamiętasz tę scenę z *Toma i Jerry'ego*, w której buldog tłucze Toma jak szmacianą lalkę?

- To nie moje czasy – mówię. – Czy ta kreskówka była w kolorze?

Ivy wymierza mi prztyczka w ucho.

- Jeszcze jeden taki żart i poszczuję cię buldogiem.

* * *

Wieczorem dla odmiany to Frank zasypia przed telewizorem, a Ivy rozpiera energia pięciolatek, który najadł się czekoladowego ciasta – opowiada mi, jak jej

minął dzień, pyta, co u mnie, wierci się na kanapie i dzieli ze mną uwagami na temat wszystkiego: od sobotniego filmu począwszy, a na kolorze moich skarpetek skończywszy. Kiedy Frank gwałtownie się budzi (po tym, jak siostra wsunęła mu do ucha wilgotny palec), kładzie się do łóżka, Ivy zaś oznajmia, że idziemy na spacer.

– Jest prawie dwudziesta trzecia – oponuję.

– I...?

– I jest zima.

– Tak?

– A ty jesteś w dziewiętnastym tygodniu ciąży. Z bliźniakami.

– Wiem – odpowiada Ivy – to już drugi trymestr! Zakładaj kurtkę.

Powiedzieć, że zeskoczyła z kanapy, byłoby przesadą, ale podniosła się z niej w niespełna minutę, co w zaistniałych okolicznościach (dodatkowe dziewięć kilogramów wagi) jest nie lada osiągnięciem.

Pora schadzek dawno minęła, okrążamy więc samotnie staw z kaczkami i idziemy w stronę porośniętej lasem części Wimbledon Common.

– Ale tu strasznie – zauważa Ivy. – Boisz się? Założę się, że tak.

– Raczej trzęsę się z zimna.

Ivy trzyma mnie pod rękę i przyciąga do siebie.

– Mam trochę zbędnego ciepła – mówi. – Przytul się.

– Mam nadzieję, że takie spacerunki nie wejdą nam w krew.

– Ciii, nie psuj nastroju. Przez następnych siedemnaście tygodni będę uziemiona na kanapie. Korzystaj, póki możesz.

– Wydaje się, że to niezbyt długo, prawda? Siedemnaście tygodni.

– Uhm. Wkrótce będzie nas czworo.

– Pewnie będziemy tu spędzać mnóstwo czasu z bliźniakami: pikniki, rowery, latawce.

– Poszukiwanie skarbów.

– Łódki z papieru.

– Widzisz tamte drzewa? – pyta Ivy.

– Niczego nie widzę.

– Jesienią aż się uginają od kasztanów. Są ich setki.

– W takim razie lepiej, żebyś urodziła chłopców.

Ivy wymierza mi kuksańca.

– W naszym domu to ja byłam mistrzynią w zbieraniu kasztanów. Sztuczka polega na tym, żeby namoczyć je w occie przed upieczeniem.

– Czy to nie jest drobne oszustwo?

– Z takim podejściem nigdy nie... – Ivy zatrzymuje się w pół kroku. – Ciii, spójrz.

– Co? Gdzie? – Ivy ujmuję mnie za podbródek i kieruje moją głowę w stronę

rzadkiego zagajnika. Dobiega stamtąd szelest i nagle pośród splątanego runa pojawia się para świecących w ciemności oczu. Puls mi przyspiesza. – Co to, kurwa, jest?

– Wombat.

– Da się go zjeść?

– Tak, ale lepiej przerobić go na kapcie.

Śmieję się niepewnie.

– Zaczekaj, a gdzie się podziały te kapcie, które ci kupiłam?

– Było mi w nich za gorąco, a futro Wujka Bułgarii gryzło mnie w kostki.

Ivy wzdycha.

– Powinnam je oddać do sklepu.

– Boże, nie, uwielbiam je. Po prostu nie lubię ich mieć na stopach.

Wombat wyskakuje z zarośli, jakby zamierzał nas zaatakować.

– Jezu Chryste! – wrzeszczę.

– Uspokój się, to tylko lis.

Lis znajduje się najwyżej osiemnaście metrów od nas i patrzy prowokująco. Wyraźnie słyszę swój oddech, gdy tak stoimy naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem, w dudniącej ciszy.

– Jak szybko twoim zdaniem biegają lisy?

– Nie bądź cykorem – drwi Ivy. – On się nas boi bardziej niż my jego.

– Szczerze w to wątpię. Nie cierpię lisów.

– A co takiego zrobiły ci lisy? – dziwi się Ivy.

– A co takiego zrobiły dla mnie lisy?

– No cóż, lisy zjadają szczury. Gdyby nie one, potykałbyś się o szczury wielkości niemowląt.

– Ładny obrazek. Czy możemy już iść do domu?

Ivy klaszcze kilka razy.

– No dalej, zmykaj stąd!

Lis przez chwilę patrzy na nią z pogardą, po czym odwraca się i spokojnie odchodzi.

– Widzisz? – mówię. – Wyraźnie miał jakiś problem.

– Jedyne problem z lisami polega na tym, że mają kiepski PR – stwierdza Ivy.

– Co takiego?

– Czy wiedziałeś na przykład, że lisy potrafią tworzyć silne więzi rodzinne?

– Nic o tym nie słyszałem.

– Otóż potrafią – stwierdza Ivy, ruszając przed siebie. – I mnożą się jak opętane.

– Szczęściarze.

– A kiedy już pojawią się młode, lisie ciotki i wujaszki pomagają w ich

wychowaniu. Niektóre ludzkie rodziny mogłyby się od nich uczyć.

– Odkąd to stałaś się ekspertką od lisów?

– Nie mam pojęcia – nuci pod nosem Ivy. – Pewnie gdzieś to wyczytałam.

– OK, cofam to, co wcześniej powiedziałem. Lisy są niesamowite.

– Fox to ładne imię – zauważa Ivy.

– Jak dla kogo.

– Albo Vixen.

– Pod warunkiem że urodzisz dziecko obdarzone supermocami.

– A którą z supermocy byś wybrał? – pyta Ivy, chwytając moją rękę, i wciąga mnie głębiej w ciemny gęsty las. – Bo ja kontrolę nad ludzkim umysłem albo zdolność do podróżowania w czasie.

– A co powiesz na widzenie w ciemności?

Ivy rozpoczyna długi wywód na temat zalet i niebezpieczeństw podróżowania w czasie. Minęły cztery miesiące, odkąd spontanicznie wybraliśmy się w podróż z Londynu do Northwest. Ivy była już wtedy w ciąży, ale nie mieliśmy bladego pojęcia o podwójnym cudzie rozwijającym się w jej brzuchu. Mam wrażenie, jakby to się wydarzyło w innym życiu, i w pewien sposób tak właśnie jest – nawet dwa życia temu. Kiedy nie byliśmy w łóżku, samochodzie lub w pubie, snuliśmy się bez celu po wiejskich drózkach, rozmawiając o niczym. Trochę tak jak w tej chwili. Dopiero za jakieś osiemnaście lat odzyskamy ten rodzaj ekstrawaganckiej swobody, lecz w zamian zyskamy pikniki, latawce, poszukiwania skarbów, wombaty i tyle kasztanów, ile dusza zapragnie. Z mojej pozycji – stoję w zimnym błocie, podczas gdy Ivy plecie bzdury na temat wzajemnych zależności przyczyny i skutku – wydaje się to całkiem korzystny układ. A gdy Ivy zagłębia się w nieunikniony dylemat związany ze zmienianiem historii (zamordowanie Hitlera, ocalenie Hendrixa) jednego jestem pewien: gdybym mógł się cofnąć w czasie do dnia, w którym Ivy zaszła w ciążę, niczego bym nie zmienił.

11 Żołędź – po angielsku *acorn*.

Rozdział 14

Zwykle spotykamy się z Elem we wtorki, ale jutro Ivy pracuje, więc oto spotykamy się we trójkę – Ivy, El i ja – w Muzeum Historii Naturalnej w rzeński grudniowy poniedziałkowy poranek.

Moje ostatnie spotkanie z Elem – to sprzed sześciu dni – miało taki sam przebieg jak co wtorek: zjedliśmy pizzę, napiliśmy się piwa bezalkoholowego, po czym El zasnął przed telewizorem, oglądając film na DVD. Tylko Phil był jakiś inny: bardziej pijany niż zwykle po powrocie z pubu, a tym samym bardziej rozżalony i ckliwy. Jestem pewien, że po części było to spowodowane decyzją o przerwaniu leczenia leżącą w szufladzie biurka Phila – podpisanym czterostronicowym świadectwem faktu, że El nie jest po prostu chory, lecz umiera w bliżej nieokreślonym tempie – a po części, o czym Phil tylko napomknął, samotnością. Chociaż spędzał z Elem praktycznie każdą chwilę, nie była to ta sama osoba, w której się zakochał. Phil został sam z marną kopią oryginału, która stale mu przypominała o tym, kogo utracił. Tamtego wieczoru Phil wrócił z pubu tak pijany, że bał się zanieść Ela na górę i poprosił mnie, żebym sam to zrobił. El śpi teraz w osobnym pokoju, w czymś w rodzaju dziecięcego kojca. Na materacu leży dmuchany czworoboczny kokon o nazwie SafeSides, który chroni go przed spadnięciem z łóżka lub zderzeniem z drewnianą ramą. I jedno, i drugie stanowi dla Ela poważne ryzyko, odkąd jego drżenia przybrały na sile.

– Biedaczek nie ma chwili spokoju nawet we śnie – powiedział do mnie Phil przez łzy.

Phil bierze teraz antydepresanty, ale sądząc po tym, jakie ma worki pod oczami, leki nie działają najlepiej.

Po raz kolejny zaproponowałem, że zabiorę Ela na cały dzień, i po raz kolejny Phil odmówił.

Kiedy w sobotę wieczorem opowiedziałem o tym Ivy, stwierdziła, że powinniśmy „porwać Ela” i spędzić z nim dzień w Muzeum Historii Naturalnej. Chyba z takich właśnie drobiazgów utkana jest miłość, bo nigdy (w ciągu czterech długich miesięcy naszego związku) nie czułem się tak bliski Ivy jak w tamtym momencie. Rzecz jasna były też inne momenty – pierwszy raz, kiedy się kochaliśmy, zobaczyliśmy nasze dzieci na ekranie ultrasonografu, wieczór, kiedy Ivy zaproponowała, żebym się do niej wprowadził – i chociaż wszystkie one były cudowne i znaczące, były również, do pewnego stopnia, nieuniknione: miliony par przeżywają podobne chwile każdego dnia. Empatia, jaką okazała Elowi i Philowi Ivy, jej chęć włączenia się w tę sprawę, przypomniały mi, jak bardzo ją kocham.

Tego ranka zadzwoniłem do Phila, żeby upewnić się, że są z Elem w domu, i enigmatycznie zapowiedziałem, że „muszę coś od nich zabrać”. Ani Phil, ani El nie poznali wcześniej Ivy, więc jej niespodziewana wizyta zaskoczyła ich do tego stopnia, że Phil nie protestował, kiedy oznajmiliśmy, że zabieramy Ela na cały dzień. Zadzwoniliśmy po taksówkę, która przyjechała, jeszcze zanim dopiliśmy pierwszą filiżankę kawy. Mam tylko nadzieję, że Phil dobrze wykorzysta ten dzień.

Co zaś się tyczy Ela, od dawna nie widziałem go szczęśliwszego ani bardziej podekscytowanego. El korzysta teraz z wózka; nadal może chodzić, ale szybko się męczy, a schody są dla niego przeszkodą praktycznie nie do przebycia. Ivy również porusza się wolniej i częściowo odciąża stopy, opierając się na rączkach wózka Ela, który popycha w kierunku centralnej części muzeum.

Podniecenie Ela po części wywołała wizja spędzenia dnia w muzeum, ale wiem, że jest przeszczęśliwy, mogąc wreszcie poznać Ivy, z którą nie przestał rozmawiać, odkąd załadowaliśmy go do taksówki. Udało mu się nawet poprawnie zapamiętać jej imię. Jednak po przekroczeniu progu muzeum El gwałtownie milknie. Pierwsze słowo, jakie przychodzi mi na myśl, to „przepaścisty”, ale nie znam ani jednej przepaści, która byłaby tak ogromna i doskonale oświetlona. Przestrzeń szerokiej, pokrytej płytkami podłogi z obydwu stron zamykają dwa potężne łuki z terakoty, z których każdy ma pewnie z sześć metrów wysokości i kieruje wzrok w stronę sklepionego sufitu z dekoracyjnymi panelami i szerokimi szklanymi elementami. Na końcu sali znajduje się rząd wysokich witrażowych okien, przez które do środka wpada zabarwione na różowo światło słoneczne. Majestatyczne, eteryczne, wspaniałe, wykwintne – wszystkie te określenia pasują do tego wnętrza jak ulał. O mały włos można przez nie przegapić wystawę, z której słynie to muzeum, chociaż naturalnie nikt tego nie robi. Pora jest dosyć wczesna, dzieciaki siedzą w szkolnych ławkach, więc zwiedzających jest mniej, niż mogłoby być, lecz mimo to po sali głównej krąży kilkaset osób, całkowicie pochłoniętych dwudziestosześcioletnim szkieletem dinozaura, chlubą tego miejsca.

– Je... Jezu! – El wskazuje na gigantyczną stertę kości w kolorze mahoni. – Pa... patrzcie ty... tylko n... na roz... rozmiary t... tego pie... pieprzonego dizona! – mówi, a jego słowa odbijają się echem po wspaniałym obiekcie. – N... no tak, chodźmy zwie... zwiedzać.

Gdyby nie El, pewnie poszlibyśmy za tłumem, ale jego wózek i nieskrępowany zachwyty zmuszają nas do zwolnienia tempa. Po dyplomie z biologii na Uniwersytecie w Bristolu El przyjechał do Londynu, żeby zrobić doktorat na kierunku, który miał jakiś związek z robakami i DNA. Może właśnie dlatego z takim skupieniem – by nie powiedzieć nabożeństwem – ogląda skamieliny, modele i wypchane okazy prehistorycznych zwierząt, które dawno wyginęły albo – można by pomyśleć – były wytworem czyjejś wyobraźni. Oglądamy szklane witryny pełne skorup, minerałów, zębów i skamieniałych

odchodów („dino kupa!”). Zatrzymujemy się przy gablotach z motylami, czaszkami i śladami łap zwierząt sprzed setek milionów lat. Odcisk archeopteryksa w kwadratowej bryle skały przypomina prehistoryczną książkę z bajkami, a na widok czaszki delfina włosy na karku stają mi dęba. Z otwartymi ustami przyglądamy się kudłatemu mamutowi, tygrysowi szablozębem, dziobakowi australijskiemu i goryłowi, który niepokojąco przypomina brata Ivy, Franka.

– Chcesz, żebym pchał wózek? – pytam Ivy, a ona się zgadza.

– To d... dobre ćwiczenie – odzywa się El. – Przed pchaniem dziecie... dzieciowego wózka.

Zatrzymujemy się, by obejrzeć czaszkę neandertalczyka. Pożółkła kość jest połamana i niekompletna, jakby ktoś ją upuścił i rozbił w ciągu ostatnich kilkuset tysięcy lat. Po minucie przyglądania się eksponatowi El odwraca się w stronę Ivy i wlepia wzrok w jej twarz. Przykłada trzęsącą się dłoń do policzka, jakby chciał sprawdzić, czy jego twarz jest naznaczona bliznami tak samo jak twarz Ivy.

– F... Fisher mi nie wy... wyjaśnił – mówi. – C... co...

– Co się stało? – domyśla się Ivy.

El przytakuje.

Ivy uśmiecha się i przykuca obok wózka, żeby jej twarz znalazła się na tej samej wysokości co twarz Ela.

– Kiedy miałam osiem lat, wpadłam na pomysł stepowania na stoliku ze szklanym blatem.

Głowa Ela zaczyna się trząść; jego mina sugeruje, że nie wierzy w tę historię.

– Naprawdę. Błat był z hartowanego szkła, więc myślałam, że to bezpieczne. Chociaż to się wydarzyło tak dawno temu, że nie pamiętam, czy w ogóle o czymś wtedy myślałam.

– Cho... cholera – kwituje jej słowa El. – Za... za... założę się, że wię... więcej t... tego nie zrobisz.

Ivy śmieje się i kręci głową. Obawiałem się ich spotkania – tego, że El powie Ivy coś przykrego lub obraźliwego. Jednak patrząc na nich, zaczynam się rozluźniać i żałować, że nie przedstawiłem ich sobie wcześniej.

Przed wyjściem zatrzymujemy się przy szklanej gablocie z pierwszym wydaniem *O powstawaniu gatunków* Karola Darwina, które (nie licząc kupy dinozaura) interesuje Ela najbardziej ze wszystkich eksponatów obejrzanych tego dnia.

– Stary do... dobry Cha... Charlie – odzywa się El. – Mój bo... bo...

– Bohater?

El zbywa to słowo machnięciem dłoni, jakby go irytowało, ale kiwa głową. Wiekowa kopia książki Darwina leży obok imponującego marmurowego posągu tego wybitnego człowieka siedzącego w ogromnym fotelu, z opadającą na pierś

brodą i udrapowanym wokół kolan płaszczem. Trudno nie zauważyć podobieństwa między moim siedzącym na wózku inwalidzkim przyjacielem i usadowionym na białym marmurowym tronie Karolem Darwinem.

– Pie... genetyka.

Widok Ela siedzącego naprzeciwko swojego idola, Ela pokonanego, wstrząsanego drzeniami, przy odpowiednim podkładzie muzycznym mógłby mnie doprowadzić do łez.

– N... no i tak – odzywa się El. – Muszę się wy... wysikać, a j... jedno z w... was będzie mu... musiało przy... przytrzymać mój impo... imponujący ekspoz... eksponat. – Uśmiecha się do nas, zadowolony z efektu, jakie wywarły na nas jego mozolnie wydobyte z gardła słowa.

Karol Darwin może i opracował teorię selekcji naturalnej, ale założę się, że nie był nawet w połowie tak zabawny jak mój przyjaciel El.

Jemy późny lunch w eleganckiej restauracji w South Kensington. El ma problemy z korzystaniem ze sztuczków, więc zabraliśmy własne: nóż i widelec wyposażone w uchwyty rowerowe, które łatwiej jest mu utrzymać. Za każdym razem, kiedy kelner przynosi coś do naszego stolika, El unosi swój nóż i uderza w wyimaginowany dzwonek od roweru. Chociaż to lokal nagrodzony gwiazdką Michelina, kelner wydaje się raczej rozbawiony niż urażony jego zachowaniem. W tej okolicy mieszka wielu sławnych i bogatych ludzi, może więc jest przyzwyczajony do ekscentryków. Tak czy owak zostawiam mu duży napiwek, lecz i to nie robi na kelnerze wrażenia.

– Po... powinieneś osz... oszczędzać. – El wskazuje drżącym palcem na brzuch Ivy.

– Ma rację – mówi z uśmiechem Ivy. – Jesteś teraz głową rodziny.

– Mo... mogę dotknąć? – pyta El z miną dziecka pytającego, czy można pogłaskać szczeniaczka.

Ivy przysuwa krzesło bliżej Ela, bierze jego dłoń i wkłada ją sobie pod koszulę. Spodziewam się po Elu jakiegoś sprośnego komentarza lub insynuacji, lecz on tylko zamyka oczy i siedzi bez ruchu (na ile jest to w ogóle możliwe) z dłonią spoczywającą na nagim brzuchu Ivy.

– Czułeś ich ruchy? – dopytuje Ivy, kiedy El zabiera rękę.

El kiwa głową, a kiedy otwiera oczy, błyszczą od łez.

– O... o... o... oświadczysz się jej wre... wreszcie? – mówi do mnie.

Ivy śmieje się, skrzępowana, a ja wychodzę do toalety.

W taksówce wiozącej nas do Earl's Court El siedzi na tylnym siedzeniu obok Ivy, trzymając ją za rękę i już po kilku minutach zasypia z głową opartą na jej ramieniu. Ivy głaszcze go po włosach z nieobecny wyrazem twarzy.

Kiedy podjeżdżamy pod dom Ela, jest prawie piąta. Pomagam mu wejść po schodach prowadzących do frontowych drzwi, podczas gdy taksówkarz wyjmuje

wózek Ela z bagażnika. Phil zaprasza nas na wino, ale jesteśmy z Ivy wykończeni i czeka na nas taksówka, która zawiezie nas do Wimbledonu. Posadziwszy Ela bezpiecznie przed telewizorem, Phil schodzi na dół, żeby się z nami pożegnać.

– Powtórzmy to za tydzień? – pyta i wybucha śmiechem na widok malującego się na naszych twarzach przerażenia. – Gdybyście mogli zobaczyć swoje miny! – mówi, śmiejąc się do łez. Od miesiący nie widziałem go tak odprężonego i jestem z siebie dumny, że mu to umożliwiłem, chociaż nie aż tak dumny, żeby chwycić przynętę.

– Wiesz, że istnieją specjalne ośrodki, które mogłyby zapewnić Ełowi właściwą opiekę? – odzywa się Ivy.

Phil spogląda w niebo, chowa ręce do kieszeni i natychmiast wyciąga je z powrotem.

– Obaj moglibyście na tym skorzystać – dodaje Ivy.

Phil wzdycha i chyba oznacza to, że się zastanowi. Wsuwa głowę do taksówki, całuje Ivy w policzek, a później zwraca się do mnie:

– Na twoim miejscu jak najszybciej poprosiłbym tę dziewczynę o rękę – i oczywiście wybucha po tych słowach płaczem.

Ivy przesypia całą drogę powrotną do Wimbledonu i jeśli w tym popołudniowym korku utknął chociaż jeden szczęśliwszy mężczyzna niż ja, chętnie uściskałbym mu dłoń.

Kiedy Frank wraca z pracy parę minut przed ósmą, drzemię przed telewizorem, a Ivy czyta książkę na spotkanie klubu. Frank dźwiga cztery torby z zakupami i po szybkim przywitaniu się zaczyna gotować spaghetti po bolońsku dla całej naszej trójki. Oczywiście jest to miły gest, lecz jak dla mnie za bardzo sugeruje, że Frank chce się do nas wprowadzić na dobre.

To dopiero jego czwarta noc w tym mieszkaniu, więc jest za wcześnie, żeby wyrobić sobie rzetelną opinię na temat tego faceta, lecz podczas kolacji wydaje się wyjątkowo milczący. Może jest zmęczony – w końcu to pierwszy dzień, kiedy musiał pójść do pracy. Jako lekarz Frank dzieli swój czas między Szpital Świętej Marii w Paddington i prywatną praktykę w północnym Londynie. Nie mam pojęcia, gdzie był dzisiaj, lecz obydwie te miejsca leżą daleko od Wimbledonu, a Frank musi zarabiać dostatecznie dużo, żeby mógł sobie wynająć mieszkanie gdzieś bliżej. Pragnąc zasiać tę ideę w jego umyśle, pytam, ile czasu zajął mu rano dojazd do pracy, lecz on tylko wzrusza ramionami i burczy coś pod nosem. Wygłaszam komentarz na temat zawodności District Line[12], na co Frank zbiera ze stołu brudne naczynia, wynosi je do zlewu i bierze się do zmywania.

Włączam telewizor i zaczynamy oglądać, jak pewna siebie para przekształca opuszczony browar w wartą milion funtów, przyjazną środowisku, wpisującą się w lokalny koloryt posiadłość z basenem. Ivy zasypia w ciągu pięciu minut, ale dla mnie, pomimo zmęczenia, godzina za minutę dziewiąta to po prostu zbyt wcześnie,

żeby do niej dołączyć. Zaczynam skakać po kanałach, a Frank pada na kanapę dokładnie w momencie, w którym natrafiam na pierwszą scenę filmu z Arnoldem Schwarzeneggerem.

– Piwo – oznajmia, wręczając mi otwartą butelkę asahi.

Podczas filmu gawędzę z Frankiem nie dlatego, że jestem ciekaw, jak mu minął dzień, ile sypialni ma jego dom w Bushey i czy gra w miejscowej drużynie rugby... Pytam go o to wszystko w nadziei, że zatęskni za domem. Pytam o Boże Narodzenie, bo to czas stworzony dla dzieci, a ja chciałbym ustalić, czy Frank pragnie ratować swoje małżeństwo, żeby mógł pozostać częścią życia syna. Frank na każde z moich pytań odpowiada półsłówkami, wygłasza za to niezwykle elokwentną uwagę po scenie, w której Schwarzenegger strzela Sharon Stone, swojej obłudnej żonie, w głowę.

– Potraktuj to jak rozwód – mówi Arnie.

– Aleś jej, kurwa, przygadał, bracie – kwituje jego słowa Frank.

To by chyba było na tyle w kwestii jego małżeństwa z Lois.

* * *

Zegar przy łóżku wskazuje drugą pięćdziesiąt osiem, kiedy Frank wstaje, żeby wysikać cztery butelki piwa Asahi, po czym włącza Xboxa i zaczyna grać w strzelankę. I chociaż sobie współczuję, pocieszam się, że nie jestem nieszczęśnikiem, któremu za sześć godzin będzie wiercił w zębach zmęczony, załamany życiem i skacowany goryl.

12 Jedna z linii londyńskiego metra.

Rozdział 15

Urządzanie wieczoru kawalerskiego w piątek to kiepski pomysł, ale żaden inny termin nie wchodzi w grę przy grupie dwunastu mężczyzn, z których wszyscy – poza jednym – są żonaci lub z kimś mieszkają i większość z nich ma dzieci, co w gruncie rzeczy oznacza, że muszę pogodzić plany i oczekiwania ponad trzydziestu osób. W grudniu trzeba kupić prezenty, odkurzyć dekoracje, pójść na kilka przyjęć, odwiedzić rodzinę, zaprowadzić dzieci na jasełka... i tylko ten dzień pasował wszystkim kolegom Joego. Następnego ranka Ivy i ja jesteśmy umówieni na USG w dwudziestym tygodniu ciąży – jednoznacznie nazywane „badaniem anomalii” – i to, że będę w nim uczestniczył z potwornym kacem, stało się powodem niemałych tarć pomiędzy nami. Najwyraźniej jednak priorytety drużby (a także jego dziewczyny i nienarodzonych bliźniąt) zajmują ostatnie miejsce na liście. Joe bierze ślub dopiero w połowie lutego, więc urządzenie wieczoru kawalerskiego w styczniu wydawałoby się znacznie rozsądniejsze. Jednakże przeciętny wiek zaproszonych gości oscyluje bliżej czterdziestki niż trzydziestki i dla przygnębiająco dużej liczby z nich styczeń jest miesiącem dobrowolnej lub wymuszonej abstynencji. Luty jest z kolei zbyt bliskim terminem w stosunku do daty ślubu z punktu widzenia Jen, narzeczonej Joego, więc oto wylądowaliśmy w barze ze striptizem w centrum Londynu w przedostatni piątek przed świętami.

Powodem, dla którego wieczory kawalerskie urządza się najczęściej w soboty, jest możliwość znalezienia sobie w ciągu dnia zajęcia w postaci gokartów, strzelania do rzutek, wyplatania koszy czy czego tam jeszcze. Dzięki temu można się zrelaksować i rozłożyć picie na wiele godzin. Jeśli wieczór kawalerski odbywa się w piątek, łąduje się w pubie prosto po wyjściu z biura. Myśli się o nim przez cały dzień, śledzi ruch wskazówek zegara i nienawidzi się swojej pracy, czując w ustach smak pierwszego drinka. Przed szóstą trzydzieści zdążyliśmy obalić po trzy kufle piwa na głowę, godzinę później dobraliśmy się do tequili, a o ósmej byliśmy już zgrają napruty, ryczących jak osły, poklepujących się po plecach facetów. O dziewiątej zaczynamy w zastraszającym tempie tracić siły i Joe – z oczami jednocześnie zasnutymi alkoholową mgłą i błyszczącymi niezdrowym entuzjazmem – proponuje, żebyśmy „zajęli się dupeczkami”.

Jesteśmy otoczeni – dosłownie otoczeni – agresywnie pięknymi, bezwstydnie atletycznymi, nadmiernie wymalowanymi, półnagimi kobietami. Jest to spełnienie naszych nastoletnich fantazji, jednak patrząc na twarze tych dwunastu pijanych mężczyzn (na których malują się pogarda, rozpacz, strach, wstyd, wyrzuty sumienia), można by pomyśleć, że są oni świadkami jakiegoś brutalnego,

niewyobrażalnego okropieństwa.

– Spójrzcie tylko, panowie. Spójrzcie na to! – odzywa się Malcolm, wskazując na sprężyste jak balony pośladki striptizerki wywijającej biodrami parę centymetrów od jego twarzy, i z westchnieniem łapie się za głowę.

– Nic mi nie mów, stary – kwituje jego słowa Tom, kładąc dłoń na ramieniu kolegi.

– Przed urodzeniem dzieci moja żona miała tyłek jak chińska pływaczka – mówi Finn, kreśląc w powietrzu łagodnie zaokrąglony łuk. – A teraz... – Spogląda na swoje złożone dłonie, ważąc w nich wyimaginowany ciężar i marszczy brwi, jakby się zastanawiał, co u licha trzyma. – Cycki, to rozumiem – ciągnie. – Karmienie piersią i takie tam. Ale jaki jest związek pomiędzy urodzeniem dziecka a tyłkiem wiszącym do połowy ud? Wytłumaczy mi ktoś?

Męski kolektyw cmoka z dezaprobatą, kręci głową, głośno wydmuchuje powietrze i sący piwo.

Oto i nasze ofiary, stare koguciki, kierownicy średniego szczebla, nauczyciele, prawnicy, mężowie i ojcowie, którzy nie potrafią pogodzić się z faktem, że nie są już osiemnastolatkami. I właśnie to – życie, czas, rzeczywistość – jest dla nich okropne.

– Wykaż się odrobiną pieprzonego taktu, fiutku – odzywa się Steve, zerkając wymownie w moją stronę.

– Przepraszam – mówi Finn, klepiąc mnie po plecach. – Bez urazy. Niektórym kobitkom ciąża uchodzi na sucho. Ile dzieciaków wycisnęła z siebie Posh Spice?

– Mnóstwo – odpowiada Tom.

– Faktycznie – kwituje Finn. – A i tak byś ją przeleciał. Przynajmniej ja bym to zrobił.

– I to dwa razy – dodaje Malcolm.

– Tak, więc może twoja pani... – Finn strzela palcami.

– Ivy – podpowiadam.

– Ładnie – odzywa się któryś z nich, pewnie Dave.

– Może ciało Ivy nie obróci się w ruinę – kontynuuje Finn. – Może jej się poszczęści.

– Dzięki, stary – mówię, stukając kuflem przesadnie drogiego, wodnistego piwa w kufel Finna. – Twoje słowa wiele dla mnie znaczą.

– Nie ma za co – odpowiada, nie chwytając ironii.

– Ivy i Fisher spodziewają się bliźniaków, prawda? – odzywa się Steve.

– Tak jest, okrągłej dwójki – potwierdzam.

– Hm – mruży Finn, kręcąc głową. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że Ivy ma takie same szanse na to, że poszczęści jej się z ciążą, jak on na to, że poszczęści mu się ze striptizerką o dźwięcznym imieniu Destiny.

Poprzedniego wieczoru wybraliśmy się z Ivy na randkę. Znowu poszliśmy do kina, tym razem na komedię romantyczną kręcącą się wokół tematu ciąży, w której jakimś cudem nie było nic zabawnego. Jedyłą w miarę śmieszną sceną była ta, którą wcześniej widzieliśmy w zwiastunie. Siedziałem w ciemności, jedząc popcorn, i rozmyślałem nad scenariuszem Suzi. Ivy dwa razy wychodziła na siku i ziewała tak szeroko i często, że stało się to zaraźliwe. Należało wstać i wyjść, ale była to dopiero nasza druga randka, więc żadne z nas nie paliło się do tego, żeby ją zakończyć. Po kinie miałem ochotę wrócić do domu i zalec na kanapie, i jestem przekonany, że Ivy (z bolącymi plecami, spuchniętymi kostkami i niestrawnością) marzyła o tym samym. Ale na naszej kanapie tkwił Frank, więc zaleganie na niej nie oznaczało już tego samego co kiedyś. Wybraliśmy się na późną kolację do Village i przez większą część posiłku siedzieliśmy w znużonym, zobojętniałym milczeniu. W tym tygodniu Ivy pracowała na planie jakiejś reklamy i kiedy zapytałem ją, jak było, powiedziała: „W porządku. Wiesz, jak to jest... Było w porządku”. Zapytała mnie, jak nam idzie praca nad reklamą sera, ale co miałem jej powiedzieć? Nienawidzę tego. Do dupy. Czuję się jak prostytutka... Odparłem, że dobrze.

Zacząłem opowiadać Ivy o scenariuszu Suzi i wreszcie się ożywiłem; streściłem fabułę *Reinterpretacji Jacksona Pollocka*, na co powiedziała, że to kiepski tytuł. Przyznałem Ivy rację i poprosiłem, żeby pomogła mi wymyślić lepszy, ale niewiele z tego wyszło; miałem wrażenie, że jej się nie chce. Ivy zgodziła się zająć fryzurami i make-upem na planie zdjęciowym filmu. Zapytałem, czy ma już jakieś pomysły. Nie miała. Wyznałem, że denerwuję się wizją nagrywania sceny erotycznej, i nerwowo się roześmiałem. W odpowiedzi Ivy wydała z siebie ciche chrząknięcie, lecz nie miało ono wiele wspólnego ze śmiechem.

Od świąt dzieli nas jedenaście dni, a nie zdążyliśmy przedyskutować, gdzie je spędzimy. Jeśli akurat byłem w kraju, w Boże Narodzenie zawsze odwiedzałem tatę, choć w zasadzie nigdy nie miałem innej możliwości. Pytam Ivy, czy kupiła mi już prezent pod choinkę, na co odpowiada: „Nie, jeszcze nie”. Dodaję, że będzie musiała kupić dwa prezenty, ponieważ moje urodziny przypadają w Boże Narodzenie, a ona na to, że wie.

– Jezu – nie wytrzymuję – mogłabyś chociaż udać zainteresowanie.

Jestem zaskoczony swoim zachowaniem. Mój wybuch, chociaż niezbyt gwałtowny, bojaźliwy i, co tu dużo gadać, w pełni usprawiedliwiony, przechodzi gładko jak stek, który, skoro już jesteśmy przy tym temacie, okazał się rozczarowaniem.

– Co chcesz, żebym ci powiedziała? – pyta Ivy.

– Sam nie wiem. Cokolwiek?

– Praktycznie nie dajesz mi dojść do słowa.

- A ty prawie się nie odzywasz.
- Jestem zmęczona.
- Wiem – odpowiadam. – Jesteś zmęczona od dwudziestu tygodni.

Ivy milczy. Przecina kawałek brokułu na pół, ale go nie zjada, tylko odkłada nóż i widelec na talerz. W tym momencie powinienem się wycofać, ale decyduję się na kolejną uwagę.

– Przykro mi, że się tym tak ekscytuję – mówię. – To po prostu jedyna rzecz, którą teraz mam. – Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało, i sądzę, że Ivy o tym wie, ale jesteśmy w ferworze sprzeczki i zgodnie z regułami gry Ivy nie może mi puścić tego komentarza płazem.

– Jedyna rzecz? – powtarza.

– Jedyna rzecz dotycząca tylko mnie. Jedyna rzecz, którą robię wyłącznie dla siebie.

– W porządku. Może w takim razie powinieneś sobie znaleźć inną makijażystkę.

- Nie bądź taka.
- Jaka?

Ivy jest z natury spokojna i dowcipna, podobnie jak Frank i ich rodzice. Wniosek z tego taki, że w przypadku rodziny Lee charakter i wychowanie idą ze sobą w parze. Opanowanie i poczucie humoru były jednymi z pierwszych cech, które mnie w niej zachwyciły, i jednymi z najlepszych rzeczy w mieszkaniu z nią. Weźmy na przykład sposób, w jaki wyprowadza mnie z równowagi, po czym z uśmiechem rysuje w powietrzu jedynekę za każdym razem, kiedy łapię się na haczyk. Jednak w pytaniu, które właśnie zadała: Jaka? nie ma drugiego dna. Może powinienem się zastanowić, dlaczego Ivy zachowuje się inaczej, niż to wynika z jej natury, lecz z kolei w mojej naturze leży zachowanie skończonego idioty; podpinięcie do robaka – choćby nie wiem jak sztucznego, tłustego lub odstrasającego – i połknięcie go w całości.

- Małostkowa – odpowiadam.
- Małostkowa?

Wzruszam ramionami i przełykam kęs twardego jak podeszwa steku.

- Czy wiesz, co będzie pojutrze? – pyta.
- Sobota?
- USG w dwudziestym tygodniu ciąży.
- Wiem. Przypominałaś mi o tym z pięć razy w ciągu ostatniego tygodnia.
- Bo ktoś musi.
- Dlaczego? Bo wybieram się na wieczór kawalerski kumpla? Wydawało mi się, że już o tym rozmawialiśmy.

– Wcale nie dlatego. Mówiłam ci, że nie mam nic przeciwko wieczorowi kawalerskiemu.

– Nie brzmiało to zbyt przekonująco.

Kelner pyta, czy skończyliśmy; odpowiadamy, że tak. Próbuje nas zapytać, czy mamy ochotę na deser, ale przerywam mu w pół słowa, prosząc o rachunek.

– Wiesz, jak nazywają to badanie? – pyta Ivy i muszę przyznać, że nie wiem. – Gdybyś zadał sobie trochę trudu i przeczytał książkę albo posiedział pięć minut w Internecie, wiedziałbyś, że nazywają je badaniem anomalii. – Wypowiada słowo „-anomalii” w taki sposób, jakbym był kretynem.

– Teraz już wiem, prawda? – Trudno powiedzieć, żeby wyraz twarzy działał na moją korzyść.

– Mógłbyś przynajmniej udawać zainteresowanie – Ivy powtarza słowa, które wcześniej powiedziałem. Kiedy jednak wypowiada je w reakcji na moje szczeniackie zachowanie, mają one dziesięciokrotnie większą siłę rażenia.

Zapłaciłem rachunek i wróciliśmy do domu; razem, a jakby osobno. Rozmawialiśmy o rzeczach abstrakcyjnych – chłodzie, ciszy, ciemności. Czas dłużył mi się niemiłosiernie.

Kiedy Ivy myła twarz i zęby, ja siedziałem na brzegu łóżka i zastanawiałem się, jak ją przeprosić. Jednocześnie myślałem o tym, czy w ogóle powinienem ją przeproszać. Nie prosiłem się o to wszystko, nikt mnie nie zapytał, czy jestem gotowy, żeby założyć rodzinę, i w świetle tego, jaki obrót przybrały sprawy między nami, miałem poczucie, że zachowałem się zadziwiająco wielkodusznie. W porządku – powiedziała Ivy za pierwszym razem, kiedy się kochaliśmy. Ale czy rzeczywiście? Czy naprawdę było w porządku? Jeśli ktoś tu powinien przeproszać, to z całą pewnością ona. Odtworzyłem w głowie nasz wieczorny konflikt niezliczoną ilość razy, usiłując zasnąć, przeanalizowałem słowa, gesty i tony głosu. Tak na chłopski rozum prawie zdołałem sobie wmówić, że nie zrobiłem nic złego, lecz pod każdym innym względem wiedziałam, że mogłem rozegrać całą tę sytuację ze znacznie większą dozą elegancji, współczucia, empatii, czułości i całej reszty arsenału pozytywnych, dorosłych emocji. Kiedy wreszcie udało mi się w nocy zasnąć, postanowiłem, że rano przygotuję dla Ivy śniadanie do łóżka i jeśli czas pozwoli, zbiegnę na dół i (za radą Esther) kupię kwiaty. Jednak kiedy się obudziłem, okazało się, że Ivy i Frank są już na nogach, a ja zasnąłem.

Tego ranka Ivy, Frank i ja musieliśmy się znaleźć w trzech różnych miejscach przed dziewiątą trzydzieści. Krążyliśmy między łazienką, sypialniami i kuchnią, mijaliśmy się w korytarzu, półprzytomni i z mokrymi włosami, z kawą i tostem w dłoni, mamrocząc „dzień dobry” oraz „nie, ty pierwsza”. Żeby spędzić pięć minut (albo chociaż dwie) sam na sam z Ivy, zaparzyłem trzy kubki kawy i dwukrotnie wyszczotkowałem zęby, ale bezskutecznie. Za każdym razem, gdy zdołałem się znaleźć w tym samym miejscu co matka moich przyszłych dzieci, ona właśnie opuszczała to miejsce z pełną buzią (śniadanie, szczoteczka do zębów, kawa) lub też towarzyszył jej Frank.

Wyszliśmy z mieszkania we troje – czyści, ubrani i jakimś cudem niepoparzeni kawą – jednak wspomnienie wieczornej sprzeczki (kłótni? awantury? Niewątpliwie było to coś więcej niż zwykłe nieporozumienie) pozostało. Pomimo wymiany uśmiechów, uścisków dłoni i uwag na temat jakości snu dało się między nami wyczuć napięcie, które mógł rozładować jedynie pocałunek, słowo „przepraszam” i długie przytulenie się do siebie. Zeszliśmy ze wzgórza na stację metra, gawędząc o naszych planach na wieczór i weekend. Po pracy Frank wybierał się na weekend do przyjaciela w Watford, ja naturalnie miałem do zorganizowania wieczór kawalerski, a Ivy umówiła się na babski wieczór z długoletnią przyjaciółką, Sophie.

Na stacji Wimbledon kupiłem wszystkim kawę i wsiedliśmy do jednego pociągu; znaleźliśmy nawet trzy wolne miejsca obok siebie. Szybko oceniłem, że będzie mi się łatwiej pogodzić z Ivy, jeśli usiądę naprzeciwko niej – mogłem skorzystać z arsenału ukradkowo przesłanych buziaków, zabawnych min i wypowiedzianych bezgłośnie przeprosin – lecz zanim zdążyłem je zająć, Frank mnie ubiegł, oferując miejsce obok Ivy. Pociąg jechał najpierw na północ, później na zachód, a ja musiałem się zadowolić położeniem ręki na kolanie Ivy i przytuleniem się do jej ramienia, którym to gestem próbowałem okazać jednocześnie miłość i skruchę. Wysiadałem z pociągu jako pierwszy i kiedy całowałem Ivy na pożegnanie, przycisnęła dłoń do mojego policzka, co mogło oznaczać, że zdołałem chociaż częściowo odkupić swoje winy. Frank serdecznie mnie uścisnął i poklepał po plecach, jakby chciał powiedzieć, że wszystko się ułoży. Później prześlizgnąłem się przez zamykające się drzwi i dołączyłem do tłumu ludzi, którzy jak co piątek rano jechali do pracy.

Mieliśmy z Joem umówione spotkanie z reżyserem lokalizacji, działem artystycznym i działem produkcji od reklamy sera, a resztę dnia spędziłem w biurze Sprocket Hole, przygotowując się do poniedziałkowych zdjęć. O piątej trzydzieści miałem za sobą długi dzień pracy poprzedzony nieprzespaną nocą; najchętniej walnąłbym się na kanapę i wcześniej poszedł spać. Jedną z ostatnich rzeczy, na jakie miałem ochotę, było upić się i wylądować w barze ze striptizem z dwunastoma – w większości niefartownymi – mężczyznami.

Najwyraźniej nie wszyscy się tak czują. Gaz, młodszy reżyser ze Sprocket Hole, z szerokim uśmiechem na twarzy nie może oderwać wzroku od dosiadającej jego kolan kobiety. Wiem, że zarabia niewiele i że tego wieczoru musiał wpakować całą swoją tygodniówkę w stringi striptizerki. Bob, niedawno rozwiedziony, wpatruje się w tancerkę z tak przerysowanym pożądaniem (można odnieść niepokojące wrażenie, że jego wybałuszone oczy lada moment wypadną z czaszki i trafią prosto w jej dekolt), że zwrócił na siebie uwagę kanciasztygłowego ochroniarza. Chyba nawet Joe dobrze się bawi. I możecie sobie o mnie myśleć, co chcecie, ale jeśli piękna dziewiętnastolatka chce się dla mnie rozebrać,

z przyjemnością popatrzę.

Stan, przyjaciel Joego ze szkolnych lat, wysunął hipotezę, że striptiz jest aktem skrajnie feministycznym.

– Kto ma władzę? No, sami powiedzcie. One same wybrały takie zajęcie. Połowa z nich to pieprzone studentki; mogłyby pracować w barach, restauracjach lub gdziekolwiek indziej, ale wolą tutaj. Dlaczego? – Stan wymownie pociera kciukiem swój palec wskazujący. – Dokładnie tak. Z powodu pieniędzy, naszych pieniędzy. Nie ma tu mowy o handlu żywym towarem; te dziewczyny zarabiają więcej niż my. Chcecie porozmawiać o władzy? Spójrzcie tylko na Boba – czy wygląda, jakby miał kontrolę? No właśnie, nie, to on tu jest wykorzystywany. Striptiz? Powtarzam, to przejaw skrajnego feminizmu. Palenie staników – wszystko ładnie, pięknie, ale rozbieranie się do rosołu dla pieniędzy – to dopiero pieprzony feminizm, bracie.

Wątpię, by płomienna retoryka Stana przemówiła do serca Germaine Greer. A może wprost przeciwnie? Z feministkami nigdy nic nie wiadomo. Osobiście uważam, że niegrzecznie byłoby okazać striptizerkom brak zainteresowania. Przecież one ciężko pracują, utrzymują ciała w formie, pilnują diety, ćwiczą układy (spróbujcie zsunąć się z rury głową w dół, bez użycia rąk, i do tego w butach na wysokim obcasie), a ich makijaż przez cały czas pozostaje nienaganny, chociaż niekoniecznie subtelny. Te kobiety są profesjonalistkami i należy im się przynajmniej uśmiech. Joe najwyraźniej uważa tak samo.

– Na litość boską! – mówi, głośno odstawiając kufel. – Ja tu się, kurwa, próbuję dobrze bawić.

– Przepraszam – odzywa się Malcom.

– Tak – wtóruje mu Finn. – Wybacz, stary.

– Bawmy się jak mężczyźni! – proponuje Joe, uderzając Gaza w plecy tak mocno, że jego nos prawie ląduje między pośladkami tancerki.

– Ostrrra sztuka! – komentuje bez przekonania Tom.

– Kręć tyłeczkiem! – dodaje niepotrzebnie Stan.

I kiedy wszyscy zaczynają się rozkręcać, sprawy przybierają niespodziewanie groteskowy obrót.

– Aaarrggghhh! – wrzeszczy Bob, zwracając na siebie uwagę wszystkich dookoła, łącznie z tancerką (o imieniu Mercedes) i ochroniarzem.

Ochroniarz ma zaciśnięte szczęki, żyły na jego szyi są tak napięte, jakby próbował wyrwać dwulatкови samochodzik. Nawet w przyciemnionym niebieskawym świetle widać, że jego twarz poczerwieniała z wysiłku, tak bardzo chce zachować nad sobą kontrolę. Mercedes robi pół kroku w tył, spogląda niepewnie na ochroniarza i – chwala jej za to – tańczy dalej.

Bob rozchyła usta, odsłaniając zęby w brzydkim, zdziczałym grymasie, za który mógłby trafić do strzeżonego skrzydła więzienia Wandsworth.

– Ffftrasznnniebli – wyrzuca z siebie, kręcąc głową z wyraźną odrazą.

Zerkam na ochroniarza, którego sylwetka przywodzi mi na myśl wojownika w klatce czekającego na sygnał do rozpoczęcia walki.

– Co ty, u diabła, wyprawiasz, Bob? – odzywa się Joe z wymuszonym śmiechem.

Cała ekipa przygląda się teraz Bobowi. Zamieramy w bezruchu z uniesionymi szklankami, kompletnie zapominając o reszcie tancerek.

Mercedes – nagusieńka, nie licząc tiary i garstki brokatu – uśmiecha się niepewnie, podnosi ramiona i zaczyna się wić niczym wąż wysuwający się z kosza, co okazuje się dla Boba gwoździem do trumny.

Bob chwieje się do przodu z wysuniętą przed siebie dłonią – rozcapierza palce, jakby chciał nimi złapać piłkę do koszykówki – drugą zaś chwyta się za krocze. Ochroniarz reaguje błyskawicznie, rzuca się na Boba, jeszcze zanim ten na dobre poderwie się z taboretu; owija palce jednej dłoni wokół szyi Boba, a drugą blokuje jego wyciągnięty nadgarstek. Bobowi niespodziewanie opada szczęka i wydaje z siebie wrzask – czy raczej ryk – przepełniony cierpieniem do tego stopnia, że ochroniarz rozluźnia chwyt, a Bob osuwa się na ziemię jak rażony gromem.

Kierowca karetki nazywa ten przypadek przepukliną pachwinową. Nie jest to „ani rzadka, ani zagrażająca życiu” dolegliwość, za to „piekielnie bolesna”. Chociaż tego akurat nie trzeba tłumaczyć nikomu, kto ma oczy i uszy. Być może w obawie przed tym, że wijący się z bólu i wrzeszczący na całe gardło mężczyzna zepsuje zabawę pozostałym gościom, dwóch ochroniarzy próbowało dźwignąć Boba z podłogi, lecz wtedy Bob zaczął się drzeć jeszcze głośniejszym głosem, więc ktoś przyniósł mu koc. Mercedes (studentka pielęgniarstwa, „możecie mi mówić Sharron”) głaskała Boba po czole i poiła go wodą aż do przyjazdu karetki.

– To trochę tak, jakby pękła mu uszczelka – wyjaśnia sanitariusz o imieniu Carlo, przystojny mężczyzna, którego uniform wygląda jak skrojony specjalnie dla podkreślenia rozmiaru jego bicepsów. Spogląda wymownie na Sharron. – I istotnie, trudno mu się dziwić.

– Pękła mu uszczelka? – dziwi się Stan.

Carlo zwraca się do Sharron; nawiązała się między nimi nie zawodowej sympatii, a może i coś więcej.

– Wiesz, gdzie znajduje się pachwina?

Sharron kręci głową.

– Chyba tego jeszcze nie przerabialiśmy.

– Tutaj – odpowiada Carlo, przykładając dwa palce do krocza. – Doszło do gwałtownego pęknięcia, rozerwania się błony, wskutek czego kawałek dolnej części jego jelita – z tego, co widzę, całkiem spory – wyskoczył na zewnątrz. Brzydka sprawa.

– Jezu Chryste! – odzywa się Joe, nadymając policzki, i przykłada rękę do ust.

– Jelita?! – nie dowierza Stan.

– Wyobraźcie to sobie w ten sposób – kontynuuje Carlo. – Kupujecie u rzeźnika kielbaski, a ten pakuje je do plastikowej torebki. Później wy z całych sił napieracie na tę torebkę... – Zaciska pięści, napinając bicepsy, jakby próbował zgiąć żelazny pręt albo rozerwać książkę telefoniczną na pół. – Jeśli torebka jest słaba, tak jak te małe białe siateczki, które dają przy kasie w supermarketach... No cóż, musi w końcu pęknąć. – Carlo rozluźnia mięśnie i z jego pełnych, wilgotnych ust dobiega ostre, rezonujące „bum!”.

– Fascynujące – mówi Sharron.

– Chyba się porzygam – stwierdza Joe.

Wszyscy uczestnicy wieczoru kawalerskiego stoją przed lokalem, ubrani w płaszcze, czekając, aż karetka zabierze Boba. Ulga jest wprost namacalna; tylko Gaz ma ochotę się dalej bawić. Zaproponowałem, żebyśmy przenieśli się do restauracji, ale Joe (który nie zdołał odzyskać kontroli nad swoim żołądkiem po tym, jak się dowiedział, że Bob właśnie rozpoczął proces wywracania się na lewą stronę) nie mógł znieść myśli o jedzeniu; zresztą nie on jeden. Poza tym wszyscy mają jutro coś do załatwienia i to „coś” będzie o wiele znośniejsze bez kaca: odwiedziny u teściów, kupowanie indyka, naprawianie deski klozetowej. Sharron odprowadza nas do wyjścia (wcześniej wymienili się z Carlem numerami telefonów); ubrana w buty Ugg, spodnie od dresu i rozciągniętą bluzę sprawia wrażenie drobnej i onieśmiałej. Robimy szybką zrzutę (ojcowie są zdecydowanie hojniejsi) i wręczamy jej ponad stu funtowy napiwek. Wieczór okazał się całkiem przyjemny dla Sharron i Carla, gorzej z Bobem.

Joe i ja nie rozchodzimy się jeszcze do domów; ściskamy się na niedźwiedzia, żegnając gości wsiadających kolejno do metra i taksówek, aż wreszcie na placu boju zostajemy tylko my dwaj.

– I po kłopotcie – odzywa się Joe, zacierając ręce. – Burger King?

– Myślałem, że cię zemdliło.

– Zemdliło mnie od towarzystwa tej bandy starych bab. To jak rozkoszować się cielęcina na zjeździe pieprzonych wegan, wiesz, co mam na myśli?

– Poważnie?

– No chodź – mówi Joe, ciągnąc mnie na drugą stronę ulicy. – Kupię ci Whoppera. A, i nocuję dzisiaj u ciebie.

– Naprawdę?

– Tak. A gdyby Jen cię zapytała, balowaliśmy do czwartej nad ranem, naćpaliśmy się koką, spiliśmy do nieprzytomności, wyrzucili nas z nocnego klubu, a Malcom wdał się w bójkę z taksówkarzem.

* * *

Wracamy do mieszkania przed jedenastą.

– Wcześniej wróciliście – zauważa Ivy, gdy wchodzimy do salonu. Siedzą z Sophie przykryte kocem, z miską popcornu. Na ekranie telewizora widać rozmazany kadr z zastopowanego filmu na DVD (chyba z Rowanem Atkinsonem).

– Nie mów Jen – zastrzega Joe. – Wścieknie się na mnie, że nie potraktowałem wieczoru kawalerskiego serio. Jestem Joe – przedstawia się, wyciągając rękę do Sophie.

– Sophie, miło mi cię poznać.

– Jak leci, piękna? – zwraca się Joe do Ivy, całując ją w policzek.

– Jakoś – odpowiada, głaszcząc się po brzuchu, i przesuwa się, żeby zrobić mu miejsce na kanapie.

Joe wciska się pomiędzy dziewczyny, naciąga koc na nogi i stawia sobie na kolanach miskę z popcornem,

– Co oglądamy? – pyta, wskazując podbródkiem telewizor. – *Jasia Fasole?*

– *To właśnie miłość* – odpowiada Ivy, zerkając na mnie.

– Świetny film – zauważa Joe.

– Mogę cię kiedyś zacytować?

– Ani mi się waży. To, co się wydarzy podczas wieczoru kawalerskiego, nigdy nie powinno ujrzeć światła dziennego.

Do tej pory nie zdjąłem płaszcza i nie odezwałem się słowem.

– Jeśli chodzi o wczorajszy wieczór – mówię, a Sophie i Joe w jednej sekundzie przenoszą uwagę z popcornu na mnie – to chciałem cię przeprosić.

Joe odwraca się w stronę Sophie, znacząco unosząc brwi: A to ciekawe.

– Ja też przepraszam – odpowiada Ivy i wygląda na to, że ma w oczach łzy. Pokazuje mi na migi, żebym do niej podszedł. Podchodzę, całuję ją i przytulam; marzyłem o tym od dziewiątej rano.

– Zabiłbym za filiżankę herbaty – odzywa się Joe.

– Dla mnie z mlekiem, bez cukru – włącza się Sophie.

– A dla mnie z liści malin – dodaje Ivy.

– Ooo, ja też taką chcę – zmienia zdanie Joe.

– Czyli obyło się bez striptizerek? – pyta Ivy, a ja idę zaparzyć dla wszystkich herbatę.

– Jakoś tak wyszło – odpowiada Joe. – Zwinęliśmy się po półgodzinie.

– Cóż za strata – stwierdza Sophie.

– Za to Bob miał śmieszny przygodę – odzywam się.

– Puściły mu hamulce – mówi Joe i śmieje się tak bardzo, że Sophie musi mu zabrać miskę z popcornem.

– Opowiedzcie nam o tym? – pyta Ivy.

– Innym razem – odpowiada Joe. – Straciłybyście apetyt na popcorn.

Rozdaję wszystkim kubki z herbatą i zajmuję miejsce w niewygodnym fotelu Ivy.

– Gotowi? – pytam, celując pilotem w odtwarzacz DVD.

– Gotowi – odpowiadamy i Rowan wraca do pakowania naszyjnika kupionego przez Alana Rickmana.

* * *

Sophie wyszła od nas krótko po tym, jak skończył się film, a Joe położył się spać w sypialni zwolnionej przez Franka na weekend. Miałem nadzieję, że rano obudzę się w cichym domu, ale powinienem już wiedzieć, że to nie takie proste. Po umyciu zębów i wysłaniu SMS-a do Jen (*Joe się ubzdryngolił. Przykro mi. Będzie nocował u mnie, nie czekaj. Pzdr.*) zastaję Ivy w łóżku, w pozycji półleżącej.

– Wszystko w porządku? – pytam, kładąc się obok niej.

– Miałam zamiar dać ci to jutro – szepcze Ivy – ale skoro wróciłeś wcześniej...

– Jest prawie pierwsza.

– W porządku, skoro nie wróciłeś zalany... – Sięga pod poduszkę i wyjmuje niewielkie pudełeczko zapakowane w ozdobny papier.

Wpadam w panikę. Do świąt został ponad tydzień i nie ustaliliśmy jeszcze, jak je spędzimy, ale widok paczuski sugeruje, że Ivy wybiera się do swoich rodziców wcześniej, niż się spodziewałem. Kiedy wróciłem wieczorem do domu z Joem, sądziłem, że Ivy mi wybaczyła, ale teraz, w konfrontacji z gwiazdkowym prezentem o pierwszej w nocy, myślę się, że mogłem niewłaściwie ocenić sytuację.

– O co chodzi? – dziwi się Ivy, wyciągając w moją w stronę to cholerne pudełko. – Przecież nie wybuchnie.

– Przepraszam – mówię. – Za wczoraj. Byłem zestresowany. Pracą, wieczorem kawalerskim i ciążą. Wiem, że tobie też jest ciężko, ciężiej niż mnie, ale ja po prostu...

– Fisher?

– Co?

– Usiłuję dać ci prezent.

– Wyjeżdżasz?

– Co? Dokąd?

– Wracasz do Bristolu?

Ivy patrzy na mnie, jakbym się naćpał.

– Nie w tej chwili, nie.

– W takim razie dlaczego dajesz mi świąteczny prezent? Nie ro...

– To nie jest świąteczny prezent – wyjaśnia Ivy. – Weź go ode mnie, zanim mi ręka odpadnie.

Biorę pudełko i obracam je w dłoniach. Oglądam prezent ze wszystkich

stron, jakbym właśnie oblewał egzamin.

– Co to takiego?

– Coś na przeprosiny. Otworzysz wreszcie? – pyta z uśmiechem.

Ostrożnie rozrywam papier.

– Nie masz powodu, żeby mnie przepraszać, skarbie.

– Bywam o wiele zabawniejsza, kiedy nie jestem w ciąży. – Jej uśmiech wydaje się szczery, chociaż przekorny.

– Będę musiał ci uwierzyć na słowo.

– Auć.

– Przepraszam, żartowałem.

Ivy wzdycha.

– To nie jest łatwe, wiesz? Obnażam przed tobą duszę i...

– Nie mówiłem tego poważnie, kochanie. Daj spokój... – Próbuję wziąć Ivy za rękę, ale ją odsuwa.

– Może weźmiesz mnie za idiotkę, ale miałam nadzieję, że wykazesz się większą klasą.

– Ivy, proszę... – Ivy kręci głową, szeroko się przy tym uśmiechając. – Aha, ty żartujesz. Robisz sobie ze mnie jaja.

Ivy wzrusza ramionami.

– Powinieneś zawsze mieć się na baczności.

– Skarbie, nie wytrzymałbym z tobą, gdybyś była jeszcze zabawniejsza. – Całuję Ivy, a ona odwzajemnia mój pocałunek.

– Wiem – odpowiada z uśmiechem. – A teraz otwórz prezent.

Pod papierem kryje się pudełeczko od jubilera, a w nim para czarno-srebrnych spinek do mankietów w kształcie filmowych klapsów.

– Są niesamowite – mówię. – Dziękuję.

Ivy znowu mnie całuje.

– Nie ma za co.

– Tylko że nie mam do nich odpowiedniej koszuli – pokazuję na nadgarstki.

– Naprawdę? – Ivy dziwi się niezbyt przekonująco i zabiera mi spinki. – To może zaopiekuję się nimi, dopóki sobie nie kupisz takiej koszuli?

– To bardzo miłe z twojej strony.

– Tak – przyznaje mi rację Ivy. – I za każdym razem, kiedy będę je zakładać, pomyślę o tobie.

Rozdział 16

Obraz bliźniąt na monitorze jest wyraźniejszy; poruszają się, biją im serduszka i wyglądają po prostu doskonale. Mimo to jesteśmy spięci. Lekarka mierzy główki, brzuszki i kręgosłupy. Mamrocze coś pod nosem, wpisując cyferki do arkusza. Liczy nóżki, rączki i paluszki. Sprawdza, czy dzieci nie mają rozszczepionego podniebienia, kręgosłupa, wad serca, mózgu, poprzesztawianych organów i zbyt krótkich kończyn. Chociaż wystąpienie każdej z tych anomalii jest możliwe, nigdy nie brałem pod uwagę żadnej z nich. Nazwijcie to głupim optymizmem lub podświadomym wyparciem, ale odkąd badanie USG w dwunastym tygodniu nie wykazało zespołu Downa, ani razu nie pomyślałem, że nasze dzieci mogłyby mieć uszkodzone serduszka lub zniekształcone kończyny. Teraz uświadamiam sobie, że padłem ofiarą naiwnego samozadowolenia i czuję, jak mocno dudni mi serce pod żebrami, kiedy lekarka potwierdza, że żołądki, jelita i wątroby bliźniąt znajdują się na swoim miejscu, kręgosłupy pokryte są skórą, a komory serc funkcjonują prawidłowo. Gdy przesuwam kursor i mruży oczy, bacznie przyglądając się monitorowi, wstrzymuję oddech i ścis-kam Ivy za rękę.

* * *

Znowu siedzimy w kawiarni w Tooting serwującej kiepską kawę. Jednak tym razem odczuwam raczej ulgę niż szok, więc spokojnie popijam beżowy, letni płyn udający latte. Smakuje jeszcze gorzej, niż to sobie zapamiętałem.

Tego ranka Joe opuścił nasze mieszkanie po przespaniu ośmiu godzin i zjedzeniu angielskiego śniadania; świeży, wypoczęty i gotowy do wysłuchania tradycyjnego ochrzanu po powrocie z wieczoru kawalerskiego. Przez cały dzisiejszy dzień i wieczór – po raz pierwszy od dawna – będziemy mieli mieszkanie wyłącznie dla siebie; tylko ja, Ivy i nasze doskonale bliźniaki.

Ivy wpatruje się w najbardziej aktualne zdjęcie naszych dzieci i uśmiecha się tak szeroko, że blizny na twarzy napinają się, przybierając formę głębokich zmarszczek. Nigdy nie była piękniejsza.

– No co? – pyta. – Z czego się tak cieszysz?

– Z ciebie – mówię, nachyliłam się przez stół i ją całuję. – Kocham cię.

Kiepska kawiarnia to nie górski szczyt, łąka, restauracja nagrodzona gwiazdką Michelina ani żadne inne wyjątkowe miejsce, w którym planowałem wypowiedzieć te słowa. Nie sądziłem, że Ivy będzie w stanie uśmiechnąć się jeszcze szerzej, lecz okazuje się, że jednak tak – na jej twarzy pojawia się kolejna zmarszczka, na której widok sam się rozjaśniam.

– Nie spieszyleś się z tym wyznaniem – zauważyła, rumieniąc się.

Jestem bliski wyjawienia Ivy, że już raz to powiedziałem, z ustami pełnymi bawełny. Zostawię to sobie jednak na inny moment – może wtedy, gdy będziemy parą siwowłosych staruszków.

Ivy nachyliła się przez stół i całuje mnie leciutko w czoło, nos i usta – jeden, dwa, trzy pocałunki.

– Ja też cię kocham.

Mount Everest, wodospad Niagara, wiszące ogrody Babilonu... kto ich potrzebuje? Ten moment przy brudnym, chwiejącym się stole w południowo-zachodnim Londynie jest absolutnie perfekcyjny.

Rozdział 17

Wczoraj nakręciłem reklamę sera. Jak na pół minuty sztampy kosztowało nas to mnóstwo czasu i wysiłku. Skończyliśmy pracę dopiero po dziesiątej wieczór, co oznacza czternaście godzin w studiu nagraniowym pod rozgrzanymi lampami, z zapasem siódmego najbardziej cuchnącego sera na świecie. Kiedy wreszcie wróciłem do mieszkania, wziąłem dwudziestominutowy prysznic i umyłem włosy aż trzy razy. Rano moja poduszka nadal cuchnęła serem limburgskim. Pewnie będę musiał wyrzucić ubrania, które miałem na sobie poprzedniego dnia. Poranne mdłości Ivy ustąpiły kilka tygodni temu, ale dzisiaj rano, gdy poczuła serowy odór, omal nie powróciły. Przed śniadaniem moczyłem się w gorącej wodzie przez kolejne trzydzieści minut i powtórzyłem to przed wyjściem do Phila i Ela dwie godziny temu.

Urządzamy sobie wcześniejszą kolację wigilijną. Do wielkiego dnia pozostał mniej niż tydzień, więc to ostatnia szansa dla nas trzech, żeby się spotkać przed moim wyjazdem. Tylko że przy stole jest nas czterech: El i Phil siedzą naprzeciwko siebie, a ja siedzę naprzeciwko mężczyzny o imieniu Craig, który na pierwszy rzut oka wydaje się rówieśnikiem Phila. Phil przedstawił go po prostu jako „przyjaciela”; lakoniczny i jakby lekko bojaźliwy ton jego głosu powstrzymał mnie od zadawania dalszych pytań. Gdybym nie znał sytuacji, mógłbym przysiąc, że zostałem wmanewrowany w randkę w ciemno, bo przy stole panuje właśnie taka napięta atmosfera. El również powstrzymał się od komentarza, tak że doszedłem do przekonania, że dzieje się tu coś dziwnego.

– Prz... Przysięgłbym, że czu... czuję ser – odzywa się El.

– To pewnie kielki – mówi Phil.

Craig prostuje się i zaczyna węszyć. Trochę przypomina ptaka i niezależnie od tego, czy zrobił to celowo czy nie, jego zachowanie wydaje mi się absurdalnie zabawne.

– Wiecie co? – odzywa się Craig. – Ja chyba też to czuję.

– See... ser.

– To psychosomatyczne – zwraca się do Craiga Phil. – Jak wtedy, gdy ktoś w towarzystwie wspomina o pchłach.

– Tak – przyznaje mu rację Craig. – Pewnie tak. – Ale nie wygląda na przekonanego. Uśmiecha się do mnie przez stół. Nie sędzę, żeby ze mną flirtował, chociaż można by to tak odebrać.

Zaczyna mnie swędzieć skóra na głowie, nie wiadomo czy od nadmiaru szamponu, uwagi Phila na temat pcheł czy całej tej sytuacji. W tle słyhać

święteczną składankę piosenek Binga Crosby'ego, Raya Charlesa, Nata „Kinga” Cole'a i Deana Martina. Zauważam nieliczne świąteczne dekoracje: gałązkę ostrokrzewu, niewielką choinkę, tęczową lametę zawieszoną na lustrze nad kominkiem i kompozycję z balonów w kształcie męskiego przyrodzenia w kącie salonu. Wszyscy mamy na sobie bożonarodzeniowe czapeczki, a mimo to nie czuję świątecznego nastroju.

Urodziłem się w Boże Narodzenie, można by więc pomyśleć, że to mój ulubiony dzień w roku. Nigdy jednak nie lubiłem świąt i chociaż rodzina zawsze starała się jakoś uczcić moje urodziny, wydawało mi się to wymuszone i pozbawione klimatu. Już samo wyczekiwanie na to, co nastąpi, od momentu otworzenia oczu w bożonarodzeniowy poranek psuło cały dzień. Sam nie wiem, może po prostu marudzenie mam we krwi. Nadal nie ustaliliśmy z Ivy, gdzie spędzimy święta, i wciąż mnie to trapi.

– Po... podajcie świ... świnkę – prosi El, pokwikuując dla podkreślenia efektu. Jego broda jest teraz długa i gęsta, na wąsach osadził mu się sos, z podbródka zwisają drobinki ziemniaka.

– Zjedz indyka – prosi Phil, celując nożem w talerz Ela. – Nawet go nie spróbowałeś.

El ma problemy nie tylko z koncentracją uwagi i koordynacją ruchową, lecz także z przeżuwaniami i połykaniem jedzenia, przez co zwykły posiłek potrafi mu zająć ponad godzinę. Nauczyłem się przy nim jeść wolno, żeby nie musiał kończyć posiłku sam. W rezultacie siedzę teraz przed wielkim talerzem pełnym zimnego jedzenia w tężejącym sosie.

El ponownie kwiczy.

– Świnka! – mówi i Phil z westchnieniem kładzie dwie owinięte w bekon kielbaski na jaskraworóżowym plastikowym talerzu Ela. Prawdę powiedziawszy, wszyscy jemy z plastikowych talerzyków w geście solidarności. Jednak tylko El pije skromny łyk szampana z plastikowego kubka-niekapka z dwoma uchwyty. Wyglądamy jak nieproszeni goście na przyjęciu dla dwulatków.

– Indyk jest przepyszny – zauważam.

– Tak – zgadza się ze mną Craig. – Bardzo soczysty. – Ostatnie słowo wymawia z teatralną przesadą. – A przecież czasem z indyka robi się stare, wysuszone ptaszysko.

– Fisher pracuje w reklamie – oznajmia Phil. – Jest reżyserem.

Craig unosi brwi.

– Tylko pozazdrościć.

– N... n... nie ma czego.

– Wyjąłeś mi to z ust – mówię.

– Pracujesz teraz nad czymś interesującym? – pyta Craig.

– Nad filmem krótkometrażowym.

– No wreszcie – komentuje Phil. – O czym ten film?

– O miłości, jak sądzę.

– To chyba jak wszystkie filmy? – odzywa się Craig.

– J... jaki tytuł?

Wydaję z siebie krótkie westchnienie.

– *Reinterpretacja Jacksona Pollocka.*

Przy stole zapada cisza.

– Ciekawe – zauważa Craig.

– Pollock – mówi Phil.

– Po... Pollock-śmolok! – odzywa się El; nie spodziewałem się po nim niczego innego.

– Sam nie jestem fanem tego tytułu – przyznaję.

Phil chce wiedzieć, o czym dokładnie jest film, więc streszczam fabułę: student sztuki poznaje dziewczynę i uprawia z nią seks na dachu biblioteki pod rozgwieżdżonym niebem, dziewczyna go zostawia, student chce się rzucić z dachu biblioteki, ale ostatecznie rezygnuje z tego pomysłu.

– Chcce się za... zabić, bbbo go rzu... rzuciła dzie... dziewczyna?

– Chodzi o coś więcej.

– Bo d... dostał k... k... kosza?! – El wydaje się urażony tym pomysłem.

– To nie jest przemyślana decyzja.

– Co za pie... piep... pieprzony dureń! – El marszczy brwi, sfrustrowany. Odkłada nóż i widelec; przez chwilę nie ma drgawek, a jego ruchy są jakby spowolnione. Mimo to podczas odkładania sztućców niechcący strąca na podłogę swój kubek. – Ku... kurwa!

– Elly, skarbie – odzywa się Phil. – Uspokój się.

Craig podnosi kubek i stawia go na stole.

– Pie... pie... głupi ten film – oświadcza El i nikt nie wyprowadza go z błędu.

W ciszy pobrzmiwają tony piosenki *Chestnuts roasting on an open fire*[13] Vala Doonicana.

– Nagrywam też reklamę tamponów – mówię.

El przez sekundę siedzi nieruchomo, napięcie powoli opuszcza jego drobne, ułomne ciało. Phil, Craig i El patrzą na mnie, jakby próbowali ocenić, czy przypadkiem nie zwariowałem.

– Tam... tamponów!

Craig wybuchają śmiechem jako pierwszy, później dołącza do niego Phil, a po kolejnych kilku sekundach El. Po chwili wszyscy czterej śmiejemy się tak, że Phil musi wstać od stołu, żeby powstrzymać Ela przed spadnięciem z krzesła, Craigowi po policzkach cieką łzy, a ja czuję, jakby ktoś wsadził mi głowę w imadło.

Po zjedzeniu świątecznego puddingu rozrywamy bożonarodzeniowe

crackery[14], po czym przenosimy się do salonu, żeby wymienić się prezentami. Daję Elowi zestaw płyt DVD z odcinkami serialu *Allo, allo*, a Philowi zestaw kosmetyków nawilżających. Od nich dostaję książkę kucharską pod choinkę, na urodziny zaś książkę poświęconą wychowaniu dzieci. El zasypia w połowie pierwszego odcinka *Allo, allo* z głową na udzie Phila.

– Jak on się czuje? – pytam.

Phil wzrusza ramionami.

– Jego stan raczej się nie poprawi – odpowiada ze smutnym uśmiechem.

Craig siedzi w fotelu stojącym obok kanapy, a teraz wychyla się do przodu i kładzie dłoń na nadgarstku Phila. Do tej pory żaden z nich nie wyjaśnił mi, kim tak naprawdę jest Craig i jaką rolę odgrywa w całej tej sytuacji. Jeśli nawet coś go łączy z Philem, nie poczuje się urażony, podobnie jak El. Phil o tym wie (a przynajmniej powinien wiedzieć), bo omówiliśmy ten temat boleśnie wyczerpująco. El nie jest już tym samym facetem co kiedyś, a Phil jak każdy człowiek zasługuje na romantyczne towarzystwo. Świadomość tego faktu nie umniejsza jednak w żaden sposób mojego skrępowania.

– Wydaje mi się, że rzadziej miewa drżenia – zauważam.

– Ma to swoją nazwę – wyjaśnia Phil – Zaczyna się na literę B. B... br... Boże, zaczynam mówić jak on.

– Bradykinezja – odpowiada Craig; skąd u licha to wie?

– Czym jest ta brady...

– Bradykinezja to coś w rodzaju zastygania mięśni – tłumaczy Craig, zaciskając pięści na wysokości klatki piersiowej. – Drżenia całkowicie nie zniknęły, ale czasem zastępują je te niewiarygodnie powolne ruchy.

Spoglądam na Phila, szukając u niego potwierdzenia.

– W obydwu rękach – mówi Phil. – Jak na razie.

– A ty jak się czujesz? – pytam.

– W porządku – odpowiada. Zerka na Craiga, a później na swoje paznokcie, czy raczej na to, co z nich pozostało. – Po Nowym Roku... zamierzam go umieścić w ośrodku, gdzie będzie miał zapewnioną opiekę przez jeden dzień w tygodniu.

– Na początek – wtrąca Craig i patrzy pytająco na Phila, szukając u niego potwierdzenia.

Phil się nie odzywa.

– To dobrze – stwierdzam. – Najwyższy czas.

Phil się uśmiecha.

Nadal czujemy się skrępowani i raczej się to nie zmieni, dopóki Phil mi nie powie, co łączy go z Craigiem albo co ich nie łączy. Przed dziesiątą w nocy zbieram się do wyjścia, ściskam na pożegnanie Phila i podaję rękę Craigowi.

Gdy już stoję przy drzwiach, niespodziewanie budzi się El.

– Wesołych świąt – mówi zaspany i o dziwo bez zajknięcia. – Po...

pozdrow ro... rodziców.

Phil patrzy na mnie lekko osłupiały, zastanawiając się pewnie, czy przypomnę Elowi, że moja matka zmarła, kiedy byliśmy nastolatkami, i że byliśmy z Elem w kinie, gdy jej samochód zderzył się z ciężarówką.

– Pozdrowię – zapewniam, a El opuszcza głowę na poduszkę i zasypia.

* * *

Kiedy wracam do domu, Ivy i Frank leżą na kanapie i oglądają jakiś film na głównym telewizorku. Ivy opiera głowę na ramieniu Franka, Frank trzyma spocone giry na stoliku obok tłustego pudełka z pizzą.

– Miałeś przyjemny wieczór? – pyta Ivy.

Wzdycham.

– Powiedzmy.

– Cholercia – odzywa się Frank. – Nie chciałbym oglądać twojej miny po kiepskim wieczorze. – Frank rechocze, a Ivy posyła mi słaby, przeprasający uśmiech.

Biorę pudełko po pizzy i wynoszę je do kosza na śmieci w kuchni, który okazuje się zbyt przepełniony, żeby cokolwiek do niego wepchnąć. Wyciągam z kosza pękaty worek, z którego na podłogę wylatuje kilka puszek, pudełek i wilgotnych torebek herbaty.

– Niech to szlag!

– Co się stało? – pyta Ivy.

– Kosz na śmieci – wyjaśniam. – Czy nikt nie wpadł na to, żeby go opróżnić?

– W porządku – mówi Ivy i zaczyna się dźwigać z kanapy.

– Hola, hola – odzywa się Frank, kładzie dłoń na ramieniu Ivy i sam się podnosi. Nie pozwolę jednak, żeby ten skurczybyk odgrywał teraz rolę pana idealnego.

– Ja się tym zajmę – oznajmiam. – Oglądaj swój film.

– Jak sobie chcesz – odpowiada Frank, a ja wyobrażam sobie, jak ciskam brudną puszką po pomidorach w ten jego tłusty kark.

Wynoszę worek ze śmieciami do kontenera przed domem. Na dworze panuje piekielny ziąb i kiedy wracam do domu, cieknie mi z nosa, łupie w głowie i czuję, że zaczyna mnie boleć gardło. Musiałem być chyba ślepy, kiedy wróciłem od Ela, bo dopiero kiedy wszedłem do mieszkania po raz drugi tego wieczoru, zauważam dekoracje: zasypane śniegiem spreju na okiennych szybach, lamety zdobiące bufet śniadaniowy, srebrne gwiazdki zwisające z oświetlenia.

– Przyłączysz się do nas? – pyta Ivy, poklepując leżącą obok siebie poduszkę.

Jestem jednak zbyt zmęczony, żeby gnieździć się na dwóch trzecich

poduszki i oglądać końcówkę filmu, który akurat leci w telewizji.

– Widzimy się w łóżku – mówię.

– Karaluchy pod poduchy – odzywa się Frank, a jego słowa irytują mnie bardziej, niż powinny.

* * *

Musiałem być bardziej zmęczony, niż mi się wydawało, bo kiedy otwieram oczy, jest pierwsza trzynaste w nocy, a Ivy chyba rodzi.

W moim śnie Ivy stękała, dyszała, parła i wykrzykiwała najróżniejsze przekleństwa, ale kiedy odwracam się w jej stronę z szalejącym tętnem, leży na łóżku cicho i spokojnie. Ktoś jednak nadal jęczy i dyszy, i to coraz głośniej.

Wyślizguję się z łóżka i zakładam bokserki.

Frank śpi w pokoju, o którym myślę już jako o „sypialni Franka”. Zasnął w moim drogim skórzanym fotelu przed moim telewizorem HD, na którym właśnie leci film porno. Z punktu obserwacyjnego w progu pokoju dostrzegam rolkę papieru toaletowego zawieszoną na podłokietniku fotela i wystarczająco dużo skóry, żeby wiedzieć, że Frank jest prawie na pewno nagi.

Pokój jest niewielki, więc odległość, którą muszę pokonać, żeby dostać się do telewizora – odwracając wzrok od Franka i bałaganu pozostawionego na nim samym oraz na moim pięknym fotelu – nie jest duża. Kiedy wyłączam telewizor, na ułamek sekundy przed tym, jak w pokoju zapada ciemność, zauważam leżące na podłodze pudełko po płycie DVD i pomimo ciemności oblewam się rumieńcem. Film nosi tytuł *Octopusia* – wieloręka kobieta z ogromnymi piersiami stoi za ubranym w smoking gwiazdorem porno; jedną rękę trzyma na jego klatce piersiowej, drugą w jego włosach, a trzecią w spodniach. Tak jak to często bywa z pornografią, nie mam pojęcia, skąd wziął się u mnie ten film, i jestem zszokowany faktem, że nadal go mam. Wyrzuciłem – a przynajmniej tak mi się wydawało – całą kolekcję pornosów, kiedy moja była dziewczyna, Kate, wprowadziła się do mnie w Brixton ubiegłej wiosny. To DVD najwyraźniej jakimś cudem przetrwało czystkę i mogę się tylko cieszyć, że znalazł je Frank, a nie Ivy. Chyba. Wyjmuję płytę z odtwarzacza, wkładam ją do pudełka i wsuwam za szafę, zapamiętując, żeby pozbyć jej się przy najbliższej okazji.

Wymknięcie się z pokoju w całkowitej ciemności okazuje się tym trudniejsze, że boję się zderzyć z – niewątpliwie lepkiemi – udami Franka. Potrzebuję na to aż dwóch minut i kociej zwinności, ale udaje mi się opuścić pokój niezauważenie i w jednym kawałku. Wślizguję się do naszej sypialni, omijając po drodze wszystkie skrzypiące deski w podłodze, zdejmuję bokserki, nie wydając przy tym najlżejszego dźwięku i padam na materac niczym piórko na miękkie podłoże.

– Obudziłeś mnie – mówi Ivy. Z głośnym sapaniem dźwiga się z łóżka

i idzie do toalety.

A gdy wraca, jest już pierwsza trzydzieści.

– Strasznie długo cię nie było – szepcze.

Rozważam, czy nie powiedzieć jej, że Frank oglądał pornosa, ale postanawiam tego nie robić. Zachowałbym się jak bydlę, poza tym chodziło przecież o mój film.

– Frank zostawił włączony telewizor. Musiałem go wyłączyć.

Ivy wzdycha. Całuję ją w kark.

– Co u Ela?

– Bez zmian. Na kolacji był jakiś facet – o imieniu Craig – którego nigdy wcześniej nie widziałem. Sam nie wiem... to było dziwne.

– Dlaczego dziwne?

– Wydaje mi się, że coś go może łączyć z Philem.

– Krępująca sytuacja.

– Właśnie.

Ivy zna ich historię i chociaż nie powiedziała tego wprost, odnoszę wrażenie, że popiera – a przynajmniej akceptuje – pomysł, że Phil mógłby się związać z kimś innym.

– Przystojny ten Craig?

Pomimo późnej godziny i lekkich obaw śmieję się, chociaż bardzo cicho.

– Nie w moim typie.

– Śpij dobrze, skarbie.

– Za tydzień święta – mówię.

Ivy mruczy coś pod nosem.

– Nie rozmawialiśmy jeszcze o tym, gdzie je spędzimy.

Ivy milczy.

– Śpisz? – pytam.

– Niestety, nie.

– W takim razie jest nas dwoje i chyba wiemy, czyja to wina.

Cisza.

– Wiesz, gdzie zamierza spędzić święta? – nie ustępuję.

– Frank? Pewnie tutaj. Sam jak palec, biedaczek.

– Nie pojedzie do rodziców?

– Bez Lois i Freddy’ego raczej nie; rodzice mają śmieszne podejście do tych spraw.

– Jakich spraw?

– Rozvodu.

– Jak to „śmieszne”?

– Po prostu śmieszne.

Włączam światło.

Ivy naciąga kołdrę na głowę.

– Chryste, co ty wyprawiasz?

Ściągam z niej kołdrę, odkrywając skrzywioną i odgniecioną od poduszki twarz Ivy.

– Nie rozmawialiśmy o świętach. – Ivy bardzo niechętnie otwiera oczy. – O tym, gdzie je spędzimy.

– Zamierzałam pojechać do rodziców – mówi.

– Ja też. To znaczy planowałam spędzić święta z tatą.

– OK.

– Co? Pojedziesz ze mną?

– OK, spędź je ze swoim tatą.

– Sam?

Ivy unosi się na łokciach, sięga po stojącą na nocnym stoliku szklankę i upija łyk wody.

– Możesz pojechać ze mną.

– Czy to znaczy, że chcesz, żebym z tobą pojechał?

– Tak, ale nie pogniewam się, jeśli tego nie zrobisz.

– No cóż, ja naprawdę chciałbym, żebyś pojechała ze mną – mówię.

– Mama i tata zostaliby sami.

– Mają siebie.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– A co z resztą twoich braci?

Ivy kręci głową.

– Długa podróż, duże rodziny, a to przecież tylko kilka dni.

– W jeden z tych dni wypadają moje urodziny.

– Wiem, przepraszam, ale... To ostatnie Boże Narodzenie przed narodzinami dzieci. Chcę je spędzić z rodzicami, w miejscu, gdzie czuję się komfortowo.

– W odróżnieniu od domu mojego taty, gdzie nie będziesz się tak czuła?

Ivy wzrusza ramionami. Tak.

– Uroczo.

– Nie o to chodzi. Przecież nie robię wielkiej afery z tego, żebyś pojechał ze mną, prawda?

– Nie. – I może w tym też tkwi problem. Może byłbym szczęśliwszy, gdyby Ivy zrobiła z tego wielką aferę – przynajmniej wtedy wiedziałbym, że zależy jej na spędzeniu ze mną czasu.

– Możemy urządzić ci urodziny po powrocie – proponuje Ivy. – Tylko ja i... – urywa.

– Co? Tylko my dwoje? A co z Frankiem? Zamkniemy go w jego pokoju z butelką wina i paczką precelków?

– Ciii – Ivy marszczy brwi i zerka na ścianę oddzielającą nasze sypialnie.

– Poważnie? Uciszasz mnie? Mnie uciszasz?

– To chyba nic strasznego.

– W porządku – mówię, gaszę światło i padam na poduszkę niczym worek z brudnym praniem.

Po mniej więcej trzydziestu sekundach Ivy zaczyna oddychać powoli i głęboko; to, że zdołała zasnąć w momencie, kiedy ja leżę, dysząc gniewem, tylko jeszcze bardziej mnie wkurza. W pokoju obok Frank głośno gramoli się z łóżka, idzie do łazienki i przez bite dwie minuty przy szeroko otwartych drzwiach sika prosto do wody w muszli. A Ivy ma czelność mnie uciszać. Mój tata opisał stan zakochania jako bieg na złamanie karku. Przez pierwsze dwa tygodnie po tym, jak poznałem Ivy, właśnie tak się czułem. Jeśli jednak mam być szczery, ostatnio czuję się tak, jakbym potykał się o własne nogi. W każdej chwili mogę się wywrócić i zaryć twarzą w chodnik.

13 *Chestnuts roasting on an open fire* (ang.) – Kasztany pieczone na otwartym ogniu.

14 *Christmas cracker* (ang.) – przypominająca cukierek tekturowa tuba wypełniona słodyczami i drobnymi upominkami; jej rozrywanie stanowi jedną z bożonarodzeniowych tradycji w krajach anglosaskich.

Rozdział 18

Nie byłem w kinie od siedemnastu lat aż do tej zimy, i oto wybieram się tam po raz trzeci w ciągu trzech tygodni. Suzi zanurza dłoń w popcornie, który kupiłem, a mnie dopada całkowicie nieuzasadnione poczucie winy.

Wczoraj przyjechała do nas furgonetka ze sklepu Johna Lewisa, a w niej dwa kartonowe pudła z łóżeczkami, dwa bujaki, dwa foteliki samochodowe, dwie kołyski, podwójny wózek, dwa pluszowe słonie i duże opakowanie ochraniaczy na sutki. Korytarz w naszym mieszkaniu zamienił się w tor przeszkód: szafka gospodarcza pęka w szwach i grozi wybuchem jak w scenie z komedii slapstickowej. Tego ranka uderzyłem paluchem w leżący pod stołem nierozpakowany karton z wózkiem. Na swój perwersyjny sposób lubię ten bałagan przypominający nam, że pokój, który powinniśmy przekształcać w pokój dziecięcy, okupuje wielki gruby Frank. Upchnąłem kołyski po stronie łóżka Ivy, żeby nieco jej utrudnić nocne wstawanie do toalety. Kiedy o szós-tej trzydzieści rano rzuciła scenicznym szeptem: „pieprzone kołyski”, wyobraziłem sobie jaskrawo biały napis w dole ekranu: „pieprzony Frank”. Pewnie powinienem się czuć winny, ale poza pluszowymi słoniami w szafce gospodarczej w naszym domu nadal rezyduje ogromny pieprzony słoń – do Bożego Narodzenia pozostały cztery dni, a ja w dalszym ciągu nie wiem, gdzie rozpakuję swoje prezenty, a ustalenie tego wieczorem jest mało prawdopodobne.

Powinniśmy mieć dzisiaj wychodne, lecz Ivy spotyka się na świątecznego drinka ze znajomymi z klubu książki, a ja pałaszuję w ciemności popcorn w towarzystwie Suzi.

Umówiłem się z nią na lunch, żeby porozmawiać o *Pollocku*. Jak dotąd Joe znalazł operatora filmowego i dźwiękowca, obejrzeliliśmy kilka lokalizacji, wprowadziliśmy w temat reżysera obsady i wygląda na to, że naprawdę uda nam się zrealizować ten projekt. Podczas lunchu omówiliśmy scenę seksu, która może się okazać wyzwaniem z kilku powodów. Po pierwsze, zamierzamy ją nakręcić na dachu czteropiętrowego budynku w środku nocy. Będzie zimno, ciemno i trudno pod względem logistycznym. Zastanawialiśmy się z Suzi, w jakiej pozycji lub pozycjach powinni odbyć stosunek bohaterowie filmu. Rozmowa została podkolorowana – możliwe, że nie dało się tego uniknąć – subiektywnymi komentarzami w rodzaju: „Gdyby chodziło o mnie...”, „na ich miejscu...”, „dla mnie zawsze...”. A później, gdy już skończyliśmy nasz drogi lunch i wyimaginowany seks, Suzi oznajmiła, że pójdziemy na randkę. Co prawda powiedziała to ironicznie, jednak wydarzenia tego popołudnia mają tak niewiele

wspólnego z żartem, że nie zamierzam o nich opowiadać Ivy.

Film wybrany przez Suzi zawiera niemal tyle samo seksu i nagości co DVD upchnięte za szafą w pokoju Franka. Obejrzelśmy trzy różne pary uprawiające seks w rozmaitych nastrojach, konfiguracjach i tempach: od powolnego i czułego do szybkiego i brutalnego, przez co czuję się nieziemsko podkręcony. Weźmy choćby tę ochoczo kopulującą parę. Pracowali ze sobą przez wiele lat i wcale się nie polubili; wprost przeciwnie, szczerze się nie cierpieli. Oboje kłamali, oszukiwali i knuli przeciwko sobie, rywalizując o to samo stanowisko. Kiedy wreszcie ich wzajemna niechęć i stawka, o którą grają, sięgają zenitu, postanawiają, że żadne z nich nie opuści biura jako pierwsze. Wyobraźcie sobie parę atrakcyjnych prawników samych, w pustym biurze, o trzeciej w nocy. Po ogłoszeniu chwilowego zawieszenia broni znajdują kilka schłodzonych piw i wypijają je przed wielkim oknem z widokiem na centrum Nowego Jorku. Zanim jednak dopiją piwo, spódnica idzie w górę, spodnie w dół i rywalizujący ze sobą prawnicy zaczynają się ze sobą bzykać przy oknie, osiem pięter nad ziemią. Ujęcie z zewnątrz pokazuje pośladki aktorki przyciśnięte do szyby; wyglądają niczym para piklowanych jajek w słoiku. Mężczyzna wykonuje serię miarowych, gwałtownych pchnięć, a uderzenia dwóch ciał o szkło rozbrzmiewają w pustym biurze jak dźwięk bębna na łodzi wikingów. Scena jest w równym stopniu naładowana erotyzmem co przerażająca, wywołuje we mnie jednocześnie podniecenie i zawroty głowy; podoba mi się to.

Suzi pochyla się w moją stronę, a kiedy szepcze mi do ucha, wyczuwam w jej oddechu woń piwa i popcornu:

– Nie wiem, czy powinnam sobie zasłonić oczy czy wsunąć dłonie pod pupę.

Zdobywam się na sztuczny śmiech, gdyż nie bardzo wiem, jak zinterpretować ten komentarz. Poznaliśmy się z Suzi jakieś dziesięć tygodni temu i spędziliśmy razem mnóstwo czasu – niekoniecznie na rozmowach o papierze toaletowym i Jacksonie Pollocku. Bawią nas, cieszą i irytują te same rzeczy, potrafimy się rozśmieszyć i rozmawiać na osobiste tematy. Tego popołudnia podczas lunchu Suzi zwierzyła mi się, że zerwała z chłopakiem. Najwyraźniej to on ją rzucił i nie wiedzieć czemu poczułem z tego powodu radość. Nie poznałem tego gościa i nic o nim nie wiem, ale świadomość, że Suzi jest wolna, przemawia wprost do mojego kodu DNA. Suzi zapytała, jak się miewają Ivy i bliźnięta, więc opowiedziałem jej o niedokończonej kłótni o to, gdzie spędzimy święta. Wspomniałem też o Franku i o tym, że jego obecność burzy nasz domowy spokój.

Prawnicy na filmie jakimś cudem nadal kopulują. Przenoszą się na biurko – tak jak to mają w zwyczaju pary uprawiające seks w biurze – rozrzucając po dywanie samoprzylepne karteczki i spinacze do papieru.

Nachylam się do Suzi.

– Lepiej wsuń dłonie pod pupę – mówię, czując, jak między moimi nogami

budzi się coś pierwotnego.

Rozdział 19

Wieczorem w Sprocket Hole odbywa się przyjęcie gwiazdkowe. Nie mam ochoty brać w nim udziału, ale Joe się uparł. Na takich przyjęciach można się nie tylko zalać w pestkę i opowiadać wszystkim, jacy to jesteśmy wspaniali. Uczestniczy w nich również wielu naszych klientów, a im bardziej się im podlizę, tym więcej zarobię po Nowym Roku. Jest już po jedenastej i przyjęcie trwa w najlepsze. Powoli wyczerpują mi się słodkie słówka i czuję, jak pod wpływem alkoholu buntuje się mój żołądek.

Wczoraj po południu, po wyjściu z kina, wybraliśmy się z Suzi do winiarni, gdzie za dużo wypiliśmy. Mimo to zdążyłem wrócić do domu i położyć się do łóżka, zanim Ivy wróciła ze spotkania klubu książki. Nie mam pojęcia, o której dokładnie się to stało, bo kiedy obudziłem się następnego dnia o piątej trzydzieści, skacowany, Ivy spała u mojego boku. Pocałowałem ją w policzek, wyślizgnałem się z łóżka – co ostatnio zaczęło mi wchodzić w krew – ubrałem się w korytarzu i przejechałem (pewnie nadal z niedozwoloną ilością alkoholu we krwi) przez Londyn, żeby spędzić kolejnych dwanaście godzin na planie zdjęciowym reklamy tamponów. Potrzebowałem sześciu pastylek panadolu extra, czterech nurofenu expres i jednej ibumu forte oraz czterech litrów odtłuszczonego latte, żeby przetrwać do ostatniego ujęcia i słów: „gotowe, skończyliśmy”. Miało to miejsce trzy godziny temu, gdy marzyłem już tylko o tym, żeby zawlec się do domu i przyłożyć głowę do poduszki. Zamiast tego tkwię na przyjęciu gwiazdkowym. Czuję się potwornie zmęczony, głowa nadal mi pęka, dręczą mnie bliżej niesprecyzowane, napędzane alkoholem wyrzuty sumienia i tęsknię za Ivy.

Zbieram w sobie resztki energii, dźwigam się z miejsca i rozpoczynam karkołomną wędrówkę w stronę wyjścia. Idąc po linii najmniejszego oporu, omijam szerokim łukiem ludzi, których udaje mi się rozpoznać. Niespełna metr od drzwi na mojej drodze wyrasta Suzi.

Wiedziałem, że też tu jest, ale tego wieczoru nie mam najmniejszej ochoty jej widzieć. Świetnie się wczoraj bawiliśmy w kinie i barze, śmialiśmy się, piliśmy i flirtowaliśmy. I chociaż czuję się z tego powodu trochę winny, potrafię z tym żyć. Jednak chodzi o coś więcej. Opowiedziałem Suzi takie rzeczy na temat Ivy, które powinienem był zachować dla siebie – po raz kolejny narzekałem na Franka i święta, wyznałem Suzi, że Ivy jest dziesięć lat starsza ode mnie, że nie zamyka drzwi w toalecie i że od czterech miesięcy nie uprawialiśmy seksu. I właśnie te jakże intymne zwierzenia uważam za zdradę. Dzisiaj rano obudziłem się ze świeżym wspomnieniem tej niedyskretnej paplaniny i zabołało mnie to bardziej niż

kać. To ubiegłonocne wyznanie, że od czterech miesięcy żyję w celibacie, sprowadziło rozmowę na niebezpieczne tory. Seks, do tej pory w wersji scenariuszowej, stanowił kluczowy temat rozmów, jednak tym razem przeszliśmy od spekulacji do omawiania faktów. Rozmawialiśmy o naszych pierwszych, najlepszych i najgorszych razach. Kręciliśmy się wokół tematu naszych potrzeb i preferencji, a kiedy zapadała między nami cisza – nie tak znów krępująca – taksowaliśmy się wzrokiem, z uniesionymi brwiami i półuśmiechem na ustach. Jestem w grze od tak dawna, że wiem, kiedy dostaję od kobiety zielone światło, i w każdym innym momencie wylądowałbym z Suzi w łóżku lub przy ścianie w jakiejś ciemnej alejce. Ta wiedza nie poprawia mi samopoczucia. Choć mieszkamy na dwóch przeciwnych krańcach Londynu, odprowadziłem Suzi na stację metra. Zanim pocałowaliśmy się na dobranoc, patrzyliśmy na siebie o ułamek sekundy dłużej, niż to było konieczne. Możliwe, że próbowaliśmy ocenić, na jaki rodzaj pocałunku możemy sobie pozwolić. Suzi zainicjowała pocałunek w usta, ale ze złączonymi wargami. Nie miało to nic wspólnego z francuskim pocałunkiem, chociaż było czymś więcej niż pocałunek w policzek. Przez cały dzisiejszy dzień kilkakrotnie zerkaliśmy na siebie jak kociaki na kłębek włóczki, czy może raczej myszy na dorodny kawał sera, a ja zastanawiałem się nie tyle nad tym, jaka okazałaby się w łóżku (na pewno świetna), ile nad tym, jaka by była następnego dnia rano, i dwa dni później... Kiedy Suzi roześmiała się, oblała rumieńcem i zapytała, o czym myślę, odparłem „o niczym” tonem, który sugerował, że jednak o czymś. Myślałem – podjudzony alkoholem i pożądaniem – o tym, że byłoby nam razem cudownie.

Jednak już jadąc metrem w kierunku południowym, wiedziałem, że nie mam racji. Stracilibyśmy dla siebie głowę, włóczyli się po barach, spotykali z przyjaciółmi, może nawet spędzilibyśmy weekend nad morzem. Aż wreszcie prysnąłby urok nowości. Zaczęlibyśmy działać sobie na nerwy, ignorować telefony od siebie, wymyślać wymówki i – po jednym numerku na odchodne za dużo – zerwalibyśmy ze sobą, niszcząc wszystko, co było dobre między nami. Nie mam pojęcia, skąd to wiem, ale jestem pewien; bywałem w podobnych sytuacjach i moja (mądrzejsza) podświadomość rozpoznała symptomy: być może chodziło o wymuszony śmiech, tendencję do egocentryzmu lub asymetryczne uszy. Niezależnie od przyczyny ona z całą pewnością istnieje, ukryta pod powierzchnią niczym kielkujący pod skórą pryszcz. Kiedy metro dojeżdżało do Wimbledonu, moje uczucia zaczęły się przeradzać w urazę. Suzi doskonale wie, że Ivy jest w ciąży z bliźniakami i flirtowanie ze mną to bezsprzecznie machanie mi przed nosem perspektywą... No cóż, jak to o niej świadczy? A sposób, w jaki ochoczo tę perspektywę podchwyciłem, włączyłem się do gry i odwzajemniłem flirt, co mówi o mnie?

Sprzecząmy się teraz z Ivy częściej i z rosnącym poirytowaniem. Zwykle

chodzi o jakieś błahostki i nie potrafię zdecydować, czy to łagodzi czy zaostrza problem. Wszystko dzieje się w niewłaściwej kolejności, co wpływa na mnie niekorzystnie. Weźmy chociażby święta. Możliwe, że gdyby Ivy nie była w dwudziestym pierwszym tygodniu ciąży, nie miałbym nic przeciwko spędzeniu ich osobno. Jednak, czy nam się to podoba czy nie, jesteśmy rodziną i skąd wiemy, że pisane jest nam bycie razem, skoro to okoliczności dyktują nam warunki? A towarzystwo Suzi tylko komplikuje sprawę. No więc tak, jest ona ostatnią osobą, z którą mam ochotę rozmawiać tego wieczoru. A jednak stoi przede mną, blokując mi drogę ucieczki ze świątecznego przyjęcia.

– Wymykasz się? – pyta.

– Miałem długi dzień.

– Jak tam reklama?

– Niezbyt inspirująca. – Nie staram się być celowo opryskliwy, po prostu nie wiem, co innego mógłbym powiedzieć.

Suzi sprawia wrażenie lekko zbitej z tropu.

– W porządku – mówi, wręczając mi niewielki prezent zapakowany w ozdobny papier w stylu Jacksona Pollocka. – Wesółych świąt.

A ja czuję się w tym momencie jak złamas.

– Niczego ci nie kupiłem. Przepraszam, byłem... no wiesz.

– Nie przejmuj się – odpowiada Suzi. – To tylko książka. – Wspina się na palce i całuje mnie w policzek. – Wesółych świąt raz jeszcze.

– Tak, do zobaczenia w nowym roku.

Ale jej już nie ma.

Kurs taksówką kosztuje czterdzieści sześć funtów, a kiedy docieram do mieszkania, jest po północy; do Bożego Narodzenia zostały zaledwie trzy dni. Mimo to nie ruszam się z taksówki i kierowca zaczyna szukać czterech funtów reszty.

– Rozchmurz się pan – odzywa się taksówkarz, podając mi drobne przez szparę w dzielącej nas szybie. – Będzie dobrze.

– Już jest źle – odpowiadam.

A gdy taksówka odjeżdża, dociera do mnie, że na tylnym siedzeniu zostawiłem nierozpakowany prezent od Suzi.

Mieszkanie jest ciche i czyste, zdejmuję na schodach buty i rozbieram się w łazience, żeby nie obudzić Ivy. Cichutko myję zęby i staram się trafić strumieniem moczu w ścianę muszli, a nie prosto do wody. Piłem alkohol, lecz nie jestem pijany, więc udaje mi się ominąć wszystkie skrzypiące deski w podłodze w drodze do sypialni. Zegarek przy łóżku wskazuje osiemnaście minut po północy i w rzucanej przez cyfry na tarczy poświacie dostrzegam widmo twarzy Ivy. Po raz ostatni oglądałem ją w dziennym świetle w czwartek rano, czyli prawie dwa dni temu. Kładę się po cichutku do łóżka, ale kiedy przekręcam się na bok, w ciszy

sobotniej nocy kołdra wydaje dźwięk przypominający zejście lawiny.

Ivy odwraca się i mnie całuje.

– Hej.

– Hej – odpowiadam.

Ivy unosi się na łokciach.

– Popchnij mnie – mówi. A gdy to robię, udaje jej się usiąść i zwiesza nogi z łóżka. Prawie dociera do drzwi, gdy nagle wpada na przeszkodę złożoną z dwóch kołysek. – Auć! Jezu!

Moja samoocena pikuje na łeb na szyję.

– Jak ci minął dzień? – pytam, kiedy Ivy wraca do pokoju. Przeniosłem kołyski na drugą stronę łóżka, żeby Ivy nie musiała się o nie więcej obijać.

– W porządku – odpowiada, ziewając. – A tobie? Jak zdjecia?

– Mogło być gorzej. Chyba.

Ivy naciąga kołdrę na ramiona i mości się w łóżku.

– Może chciałabyś ze mną poczytać książkę dla przyszłych rodziców? – szepczę.

– Już to zrobiłam z Frankiem.

– Co takiego? A ja? Zapomniałaś, że piątek to nasz dzień czytania?

– Mamy sobotę.

– Powiedz, że żartujesz.

– Ani trochę. Jest po północy, ledwo żyję i chcę spać.

Koniec dyskusji.

Nie mogę zasnąć, gotuje się we mnie od bezradności i gniewu. Gdybym mógł się położyć w drugim pokoju, chętnie bym to zrobił. Tylko że drugi pokój – podobnie jak całe to mieszkanie i moje życie – zajmuje Frank. Przespałbym się na kanapie, ale nie wiem, gdzie Ivy trzyma zapasowe koce. Mam mieszkanie w Brixton, ale zdążyłem je wynająć. I gdy tak leżę w ciemności, w tej sypialni, nie wyobrażam sobie gorszej pułapki poza więzienną celę.

Rozdział 20

Nino upiekł pizzę, założyliśmy papierowe czapeczki, a Esther nakryła stół serwetkami z nadrukiem drozda przycupniętego na zaśnieżonej gałęzi. Większość ich dobytku jest już spakowana przed przeprowadzką do Włoch; pudła i skrzynki ozdobili łańcuchami, świecidełkami i mrugającymi lampkami. Ho, ho, ho.

Odkąd wróciłem w nocy do domu z firmowego przyjęcia, Ivy i ja z powodzeniem się unikamy. Spałem do dziesiątej, wstałem z łóżka i włożyłem strój do biegania. Dotarło do mnie, że przeziębienie objęło również moje nogi, łyknąłem aspirynę i wróciłem do łóżka na kolejne półtorej godziny. Ivy poszła na zakupy, a później na lunch z Frankiem i jego synem, Freddym. Zostałem co prawda zaproszony, lecz odmówiłem, i to nie z powodu kaprysu. Wyprawa do kina, McDonalda i centrum handlowego w Wimbledonie to jedyna namiastka rodzinnych świąt, na jaką może w tym roku liczyć Frank, i nie chciałem mu jej zepsuć. Pragnę tylko, żeby wyniósł się z naszego cholernego mieszkania. Ivy i Frank wrócili do domu koło szóstej, Ivy zasnęła na kanapie z książką, a ja upiekłem szarlotkę i pograłem z Frankiem w *Grand Theft Auto*. Później ona wzięła prysznic, ja wzięłem prysznic i pojechaliśmy taksówką do Brixton.

Po drodze uprzejmie, choć ostrożnie, gawędziliśmy o tym, co spotkało nas w ciągu kilku ostatnich dni. Rozmawialiśmy o pogodzie, synu Franka, mojej reklamie i książce, którą czytała Ivy. Nie poruszyliśmy tematu świąt, wyprawkki Franka, ustaleń wyjazdowych ani naszej nocnej kłótni. Jednak to właśnie te sprawy najbardziej leżą mi na wątrobie i przysparzają najwięcej kłopotu – nie radzę sobie z tym.

Esther dolewa mi wina. Głowa mnie boli z powodu przeziębienia i powinienem uważać z alkoholem, lecz mam ochotę się ubzdryngolić.

– Jeszcze soku jabłkowego? – zwraca się Esther do Ivy.

– Nie, dziękuję.

– Mamy własne drzewka – odzywa się Nino.

– We Włoszech? – pyta Ivy.

Nino przytakuje.

– Jabłoń, drzewko cytrynowe i pomarańczowe.

– Niesamowite.

– Prawda?

– Odwiedzicie nas? – pyta Esther.

– Nic nas nie powstrzyma – odpowiada Ivy, zerka na mnie i odwraca wzrok, jakby sama nie była pewna co do „nas”. A może tylko to sobie wyobraziłem.

– Jesteś dzisiaj milczący, złotko – zauważa Esther.
– Zmęczony – odpowiadam. – Miałem wczoraj zdjęcia, a później firmowe przyjęcie.

– Co kręciliście?

– Nic ciekawego.

– Dobry Boże, złotko – irytuje się Esther. – To nasz ostatni wspólny wieczór, wysił się trochę.

– Przepraszam. Reklamę tamponów.

– *Gesù Cristo*. – Nino wstaje od stołu, żeby zajrzeć do piekarnika.

– To miło – stwierdza Esther i chce mi dolać wina, ale zauważa, że mój kieliszek jest nadal pełny.

– No więc... – odzywa się Ivy – Włochy.

– Włochy – potwierdza Esther.

– Denerwujecie się?

Esther zerka na plecy krzątającego się przy kuchence męża i konspiracyjnie potakuje.

– Trochę – przyznaje cicho.

– Będzie dobrze – mówię.

– Poza tym Nino tyle dla mnie zrobił – kontynuuje Esther. – Zamieszkał w obcym kraju, dał mi trójkę dzieci i zawsze dbał o to, żeby niczego nam nie brakowało. Przyszedł czas, żeby mu się odwdziżyć.

Nino siada przy stole, Esther nachyla się i całuje go w szczękę. Nino uśmiecha się do żony. W jego zwykle niewzruszonym spojrzeniu zapalają się miłosne iskierki.

– Ciasto za pięć minut – oznajmia.

* * *

Przez pół drogi powrotnej do domu nie odzywamy się do siebie. Jest już po północy, więc technicznie rzecz biorąc, mamy Wigilię. I chociaż oficjalnie nie omówiliśmy z Ivy naszych planów, wydaje się jasne, że ona pojedzie w swoją stronę, a ja w swoją. Ivy położyła mi głowę na ramieniu, ludzie śpiewają na ulicach, w szybach taksówki odbijają się świąteczne światełka. Powinno być pięknie, ale głowa Ivy jest ciężka i boli mnie od niej kark. Przygryzam dolną wargę i jeśli szybko czegoś nie powiem, lada chwili poleje się krew. Uwalniam ramię spod ciężaru głowy Ivy.

Ivy wydaje taki odgłos, jakby drzemała.

– Miło, prawda? – pytam.

– Co masz na myśli?

– Esther i Nino.

– Uhm.

– Esther poświęca się dla Nina, wyjeżdżając za nim do kraju, w którym nikogo nie zna i nawet nie mówi w lokalnym języku – wypowiadam to trochę niewyraźnie, przeciągając słowa.

– Będzie się świetnie bawić. – Ivy kompletnie nie rozumie, o co mi chodzi. – Chciałabym mieszkać we Włoszech.

– Wcale nie.

Ivy milczy.

– Pojechałabyś beze mnie?

– Co takiego?

– Do Włoch.

– Proszę, tylko nie dzisiaj.

– Jest Wigilia – przypominam.

Ivy nie odpowiada.

– Po prostu nie mieści mi się to w głowie... Esther jest gotowa przeprowadzić się dla Nina aż do Włoch. Zamieszkać w obcym kraju. A ty nie chcesz się ze mną wybrać do północnej Walii na święta.

– A ty do Bristolu.

– Może bym pojechał, gdybyś mnie o to poprosiła, jakby naprawdę ci na tym zależało.

– W porządku, jedź ze mną.

– Rzeczywiście, bardzo przekonujące. Poza tym jutro są moje urodziny.

– A ja jestem w ciąży.

– Z moimi dziećmi.

Kurs kosztuje dwadzieścia trzy funty i mówię taksówkarzowi, żeby zatrzymał resztę z trzydziestu, chociaż w gruncie rzeczy nie wiem, komu usiłuję zaimponować; kiedy wysiadam z samochodu, Ivy jest już w połowie drogi do mieszkania. Frank siedzi w swoim pokoju, a my kończymy naszą kłótnię w łazience. Siedzę na sedesie, Ivy myje twarz, oboje mamy usta pełne pasty.

– Twoi rodzice mają siebie – przypominam Ivy. – Możemy ich odwiedzić w drugi dzień świąt.

– Do twojego taty przyjedzie dużo gości, a ja nie mam ochoty pokonywać ponad trzystu kilometrów w drugi dzień świąt.

– Jezu, dlaczego musisz być tak cholernie uparta?

Ivy szeroko otwiera oczy i cofa głowę, jakby zszokowana czymś potwornym.

– Uparta?

Patrzę na nią wymownie, jakby ta jej cecha nie ulegała najmniejszej wątpliwości.

Ivy kręci głową, wypłukuje pianę z pasty do zlewu i wychodzi z łazienki, zatrząskując za sobą drzwi.

Kiedy wchodzę do sypialni, leży już pod kołdrą.

Przechodzę na stronę łóżka Ivy i siadam obok niej.

– Czuję się tak, jakbyśmy przestali się widywać, odkąd się wprowadziłem – stwierdzam ze spokojem.

– To nie ja pracuję w wolnym czasie nad scenariuszem.

– A więc o to ci chodzi?

– O nic mi nie chodzi, po prostu...

– Ten scenariusz – mówię – to jedyne, co robię dla siebie. Ty masz klub książki.

– Po prostu chcę spędzić święta ze swoją rodziną.

– Ivy, my mieszkamy z twoją cholerną rodziną, dzi...

– Moją „cholerną rodziną”. – W oczach Ivy pojawiają się łzy i czuję się okropnie, ale jestem zdenerwowany, poza tym to nie ja ponoszę winę za to wszystko.

– Twój brat płacze nam się pod nogami od dwóch tygodni.

Ivy przykłada palec do ust i z kwaśną miną pokazuje na ścianę dzielącą naszą sypialnię od pokoju Franka.

– Poważnie? To ja mam być cicho?

– A mógłbyś?

– Nie musiałbym tego robić, gdybyśmy nie mieli pieprzonego współlokatora.

– Przecież to moje mieszkanie.

– Co?!

– Nic. Nie chciałam...

– Twoje mieszkanie?

Ivy zamyka oczy.

– W porządku. – Podnoszę się z łóżka. – Czy masz jakieś zapasowe koce w swoim mieszkaniu?

– Fisher... Nie musisz tego robić. – Wyciąga rękę. – Chodź tutaj.

Omam tego nie robię. Wyobrażam to sobie. Chcę tego... ale nogi mam jak z ołowiu.

– Proszę – mówi Ivy. – Nie zachowujmy się tak.

– Jestem wkurzony – stwierdzam. – Lepiej się wyśpisz, jeśli nie będzie mnie obok.

– W porządku – odpowiada Ivy.

Wtedy coś we mnie pęka.

– To twoja odpowiedź na wszystko, prawda?

– Co takiego? – pyta Ivy, szczerze zdumiona.

– W porządku. Czy pamiętasz pierwszy raz, kiedy to powiedziałaś?

– Fisher, ja...

– Za pierwszym razem, kiedy... kiedy się kochaliśmy. Zapytałem cię, czy

masz prezerwatywy.

– Nie pamięć...

– A ty powiedziałaś w porządku. Myślałem o tym – wiele razy – i...

Ivy patrzy na mnie jak na wariata, i to obcego. Wyciągam ręce i kręcę głową, szukając właściwych słów lub zbierając się na odwagę, żeby je z siebie wreszcie wydusić.

Odwracam się do niej plecami i otwieram szafkę nad komodą.

– Potrzebuję tylko koca. Chce mi się spać.

– W porządku – odpowiada Ivy. – Niech będzie po twojemu; w szafce na korytarzu znajdziesz koc.

Nie zatrząskuję drzwi, ale upewniam się, że są cholernie dobrze zamknięte.

Muszę opróżnić szafkę w korytarzu z kilku pudeł – większość z nich zawiera rzeczy dla naszych dzieci – zanim udaje mi się znaleźć cieniutki koc, który okazuje się brudny i częściowo pokryty żdźbłami wyschniętej trawy.

W salonie jest zimno, więc nie zdejmuję ubrania. Robię sobie legowisko z poduszek i owijam się piknikowym kocem, lecz nie mogę zasnąć. Za oknem świeci uliczna latarnia, której bursztynowe światło sączy się przez żaluzje. Z miejsca, w którym leżę, widzę upchnięte pod stołem pudło z wózkiem. Otwierają się drzwi i po kilku sekundach słyszę stłumiony bas Franka. Nie słyszę, co mówi Ivy, a po chwili drzwi się zamykają. Zaschło mi w ustach, więc owijam ciasno koc wokół ramion i idę do zlewu po szklankę wody.

Na blacie leży książka dla przyszłych rodziców.

W dwudziestym pierwszym tygodniu ciąży system krwionośny dzieci jest w pełni ukształtowany, ich uszy znajdują się na właściwym miejscu, czyli po bokach głowy, można je więc uspokoić łagodną muzyką lub zdenerwować kłótnią. Mogą już posiadać cechy charakterystyczne dla swoich rodziców, czyli na przykład oczy Ivy lub moje rude włosy. Poruszają oczami, mają rzęsy i brwi. Mogą się bawić pępowiną; chwytać za nią i pociągać. Mózgi moich dzieci nadal pozostają w fazie rozwoju, podobnie jak mózg ich ojca. Niektórzy eksperci twierdzą, że na tym etapie zaczynają się kształtować wspomnienia, a jeśli tak rzeczywiście jest, mam nadzieję, że nie zapamiętają, jak krzyczałem na ich matkę. W dwudziestym pierwszym tygodniu ciąży kobieta czuje się coraz cięższa i bardziej niezdarna. Mogą puchnąć kostki i pojawić się hemoroidy. Może też doświadczać napadów nocnego strachu przed bólem i traumą związanymi z porodem i czekającym jej dzieci ryzykiem. W wieku trzydziestu dwóch lat, pięćdziesięciu jeden tygodni i sześciu dni ojciec nadal nie jest w pełni ukształtowany. Nie ustalił sobie jeszcze priorytetów, ma nadwrażliwe ego, brakuje mu wyczucia czasu, taktu, empatii i powściągliwości. Musi wydorosnąć.

* * *

Na telefonie wyświetla się siódma czterdzieści trzy, kiedy w wigilijny poranek Ivy idzie wziąć prysznic. Wydawało mi się, że nie wypilem wieczorem zbyt dużo, lecz kac przenika każdą komórkę mojego ciała, gdy budzę się, trzęsąc się z zimna pod cienkim piknikowym kocem. Od spania na starej kanapie, o jakieś dwadzieścia centymetrów za krótkiej, boli mnie głowa, brzuch i kręgosłup, ale najbardziej cierpi urażona duma.

Muszę się wysikać, lecz nie jestem gotowy stawić czoła Ivy, więc idę do kuchni, żeby wydalić półtora litra moczu do zlewu. Sądząc po jego zawartości – talerze, patelnie, durszlak, tarka do sera – Frank i Ivy zjedli wczoraj wieczorem przypalone spaghetti po bolońsku i na sam widok pozostałości po ich kolacji robi mi się niedobrze.

Zwykle Frank porusza się po domu z gracją słonia w składzie porcelany, więc prawie wyskakuję ze skóry, słysząc za plecami jego głos:

– Dzieńdoberek, Fish.

Jestem dopiero w połowie i nie mam jak przerwać, więc sikam dalej na niezmyte naczynia.

– Oj – śmieje się Frank. – Nie wiedziałem, że jest zajęte. Ha, ha.

Kończę, co miałem do zrobienia, zapinam rozporek i zaczynam napełniać zlew gorącą wodą.

Z łazienki dobiega pisk Ivy:

– Woda!!!

Oto jeden z dylematów współczesnego mężczyzny: zakręcić kran, żeby twoja ciężarna dziewczyna mogła w zimowy poranek dokończyć swój gorący prysznic, czy dalej napełniać zlew, żeby zmyć siuśki z jej naczyń. Ignorując wrzaski Ivy („WODA!!!”) i komentarze Franka, czuję się tak, jakby napełnienie zlewu do połowy trwało bite dwa tygodnie.

– Znowu święta, co? – zagaja Frank. – Mam wycierać?

– Poradzę sobie.

Frank sięga po ściereczkę i zaczyna wycierać talerz, podczas gdy ja próbuję usunąć paznokciem zaschnięty mięsny sos z dna patelni.

– W porządku? – pyta Frank.

– Bywało lepiej.

– Jedziesz na święta do taty?

– Na to wygląda.

– Ivy jest bardzo zżyta ze swoją mamą – wyjaśnia Frank.

– To miło.

Koncentruję całą swoją uwagę na patelni.

– Wyjeżdżasz dzisiaj? – pyta.

– Czy mogę skorzystać z twojego pokoju?

– Słucham?

- Muszę się przespać.
- No tak, jasne, to w końcu twoje mieszkanie.
- Właściwie twojej siostry, ale... Mniejsza o to.

Frank zabiera parę dzinsów i koszulę, a ja gramolę się do jego łóżka i zamykam drzwi. Pościel jest jeszcze ciepła, poduszka przesiąkła pierwotnym zapachem Franka, ale zapadam w sen, zanim zdążę się tym przejąć.

Kiedy Ivy wślizguje się do pokoju Franka, mój kac okazuje się silniejszy i bardziej upiorny niż wcześniej. Jestem podwójnie wybity z rytmu tym, że nie leżę w naszej sypialni ani nawet na kanapie; tak jakby moja świadomość za mną nie nadążała niczym dwulatek usiłujący dotrzymać kroku swojemu tatusiowi.

Ivy siedzi na brzegu łóżka i głaszcze mnie po włosach.

- Dzień dobry.
- Hej. Która godzina?
- Parę minut po dziesiątej. Jak twoja głowa?
- Fatalnie. Jak twoje... wszystko?

Ubiegłej nocy, kiedy się budziłem – czy to z powodu zimna, pragnienia czy wbijającej mi się w wątrobę sprężyny – miałem w głowie jedno pytanie: czy Ivy zależy na dzieciach bardziej niż na mnie? Pierwsza nasuwająca się na myśl odpowiedź brzmi: oczywiście, że tak. To również moje dzieci i jeśli tylko odłożę na bok swoje maluteńkie ego, chcę, żeby bardziej zależało jej na nich. Tak właśnie powinno być, tak jest urządzone życie. Chyba. Trudniejsze pytanie dotyczy momentu sprzed dwudziestu jeden tygodni: czy wówczas Ivy pragnęła dzieci bardziej niż mnie? Czyżby moją najbardziej atrakcyjną dla niej cechą był materiał biologiczny w moich majtkach? Odpowiedź na to pytanie jest mniej oczywista, ale jeśli brzmi twierdząco, znacznie trudniej będzie mi z nią żyć.

Kocham Ivy: uważam, że jest mądra, zabawna i piękna... Ale chociaż nie chcę dopuścić do siebie tej myśli, nie czuję się, jakbym pędził na złamanie karku. Odsuwam ją od siebie, ale wraca jak natrętna mucha – czy właśnie z tą kobietą powinienem spędzić resztę życia? Czy to ta jedyna? A może po prostu tkwię przy niej z poczucia obowiązku w nadziei, że wszystko się w końcu ułoży?

Prawdę powiedziawszy, nie mam pojęcia. Frankowi z całą pewnością się nie ułożyło.

- Wstajesz?
- Kiepsko się czuję.
- Jeśli wyjdę z domu już teraz, może uda mi się ominąć korki – mówi Ivy. – Przy odrobinie szczęścia.
- OK.
- Chcesz, żebym na ciebie zaczekała?
- Nie, jedź, przed tobą długa droga.
- Twój prezent leży pod łóżkiem – oznajmia Ivy.

Śmieję się, mimo wszystko.

– Twój też.

– Wielkie umysły myślą podobnie. Mam je tu przynieść?

– Głowa mi pęka.

– Chcesz jakieś tabletki?

– Niedawno łykałem.

– Obejrzymy prezenty, kiedy wrócę? – pyta Ivy.

Kiwam głową, zamykam oczy i zbiera mi się na płacz. Nie tak to miało wyglądać. Powinniśmy się ubrać w identyczne bluzy z wyhaftowanymi reniferami, spacerować po parku, puszczać płyty Binga Crosby'ego i piec kasztany w piekarniku ustawionym na siódmkę. Zamiast tego Ivy usiłuje się zmusić do uśmiechu, podczas gdy ja leżę w cuchnącym łóżku jej brata, rozłożony na łopatki przeziębieniem, wątpliwościami i kacem gigantem.

– Hej – odzywa się Ivy, pociera moje pulsujące czoło i szepcze mi do ucha: – Rozchmurz się, skarbie, Boże Narodzenie i tak jest przereklamowane.

Unosi brwi i uśmiecha się szerzej, czekając na reakcję. Próbuje mnie pocałować w usta, lecz odwracam głowę.

– Dzieci... jeszcze się zarazisz.

Ivy przekręca moją głowę i całuje mnie prosto w usta.

– Do zobaczenia w środę – mówi.

Nie wiem nawet, jaki jest dzień tygodnia, więc nie mam pojęcia, czy Ivy wyjeżdża na jeden, dwa czy trzy dni.

– Do zobaczenia w środę.

Ivy zatrzymuje się w progu i kładzie dłoń na brzuchu.

– Nie wiedziałam – oznajmia. – Proszę, uwierz mi.

Wierzę. Niezależnie od wytłumaczenia, wiem, że nie kłamię.

– Wierzę.

Ivy kiwa głową i dodaje bezgłośnie: dziękuję.

Gdy wychodzi, zamykając za sobą drzwi, na jej nadgarstku coś błyska. Słuchając dźwięku oddalających się kroków w korytarzu, uświadamiam sobie, że założyła spinki do mankietów w kształcie klapsów, które podarowała mi trochę ponad tydzień temu.

Kiedy znów się budzę, jest już po dwunastej, a w mieszkaniu panuje cisza jak w grobowcu. Nie słyszę nawet sąsiadów. Idę do naszej sypialni, kładę się po stronie łóżka Ivy i ponownie zasypiam. Po przebudzeniu biorę długi prysznic, a gdy wreszcie jestem suchy i ubrany, czuję taki głód, że aż mnie mdli.

Frank siedzi na kanapie i czyta.

– Zrobiłem ci kanapkę z kielbasą – mówi, celując egzemplarzem *Paragrafu 22* w barek śniadaniowy. – Jest też kawa.

I kawa, i kanapka okazują się gorące.

– Dziękuję – odpowiadam, sadowiać się obok niego na kanapie. – Przepyszna.

– Kupiłem je u tego szpanerskiego rzeźnika w The Village.

– I jak to zniósł twój portfel?

– Na szczęście nie muszę w tym roku wydawać pieniędzy na prezent dla Lois.

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

– Wiesz, że ona za tobą szaleje? – Frank kiwa głową w stronę drzwi, przez które jakieś dwie godziny wcześniej wyszła Ivy.

Prawdę mówiąc, nie wiem.

– Szaleje za tobą – powtarza Frank, jakby czytając w moich myślach. – Możesz mi wierzyć.

– Zamierzasz tu spędzić święta?

Frank wzdycha.

– Na to wygląda. Nie mogę pojechać do rodziców sam.

– Dlaczego?

– Rodzice mają śmieszne podejście do kwestii rozwodu.

Przypominam sobie, że Ivy użyła kiedyś tych samych słów.

– Jak to śmieszne?

Frank wzrusza ramionami.

– Po prostu śmieszne.

Włączam telewizor i zjadam kanapkę z kielbasą, oglądając program pełen półgłówkowatych gwiazdek w świątecznych czapeczkach. Tematy oscylują wokół najlepszego sposobu na upieczenie indyka, najlepszych bożonarodzeniowych filmów, piosenek, bożonarodzeniowego programu telewizyjnego i porąbanego mieszkańca Wigan, który konsumuje indyka ze wszystkimi świątecznymi dodatkami przez trzysta sześćdziesiąt pięć – lub sześć w latach przestępnych – dni w roku. Zwykle przyjeżdżam do taty z bagażnikiem pełnym składników potrzebnych do ugotowania świątecznej kolacji dla niego i rodziny Marii, ale ponieważ w tym roku nie znałem swoich bożonarodzeniowych planów (czy raczej nie chciałem się z nimi pogodzić), jestem zupełnie nieprzygotowany. Przed wyjazdem będę musiał odwiedzić piekielnie drogiego rzeźnika i przełknąć ceny, które mi zaśpiewa.

– O której wyjeżdżasz? – pyta Frank, wyjątkowo tego ranka zrelaksowany.

Zegar na kominku wskazuje dwunastą dwadzieścia trzy.

– Za chwileczkę – odpowiadam.

– Zanim to zrobisz... – Frank zrywa się z kanapy i pędzi do korytarza.

Wraca po jakichś dziewięciu sekundach z niewielkim pudełeczkiem i kartką. – Wszystkiego najlepszego z okazji świąt i urodzin – mówi, przyciągając mnie niezgrabnie do siebie.

– Dziękuję, Frank. Obawiam się, że nic ci... – Wzruszam ramionami, pokazując Frankowi puste dłonie.

Pod łóżkiem obok prezentu dla Ivy (i drugiego dla mnie) leży książka poświęcona trikom karcianym oraz znaczona talia kart, zapakowana i gotowa do wręczenia Haroldowi. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie podarować ich Frankowi – który z pewnością doceniłby ten prezent bardziej niż mój ponury nastoletni sąsiad – ale wydaje mi się to trochę wredne.

Frank tylko macha ręką.

– Nie wygłupiaj się. Naprawdę doceniam to, że przyjąłeś mnie pod swój dach, stary.

– To nic wielkiego.

– No cóż... – Frank ponownie zerka w stronę drzwi w korytarzu. – Dla mnie to dużo. Wiem, że nie jest wam łatwo... Zdaję sobie sprawę... W każdym razie dzięki.

– To ja ci dziękuję – zapewniam, unosząc niezdarnie zapakowany prezent. Jeśli pod papierem w śnieżynki nie znajdę zestawu płyt DVD, będę bardzo zdziwiony.

Nie przywiązuję wielkiej wagi do Bożego Narodzenia, lecz mimo to nie lubię wcześniej otwierać gwiazdkowych prezentów. Może dlatego, że dwudziestego piątego grudnia przypadają również moje urodziny i próbuję wycisnąć z tego dnia, ile tylko się da. Kiedy więc kładę nierozpakowany prezent od Franka na stoliku kawowym, nie kieruję się złościwością; ot, siła nawyku.

– Nie otworzysz?

– Wolałbym poczekać do jutra – mówię.

– No otwórz, otwórz.

Odkąd Frank się do nas wprowadził, spędziliśmy okropnie dużo czasu przed telewizorem, z wciśniętą między nas Ivy. W ciągu pięciu minut po tym, jak Ivy odpływała w sen, Frank nieodmiennie zaczynał skakać po kanałach, dopóki nie trafił na jakiś stary film akcji z lat osiemdziesiątych lub dziewięćdziesiątych – *Nieśmiertelny*, *Pierwsza krew*, *Delta Force*, *Cyborg*. Chociaż mieszkamy razem niespełna trzy tygodnie, zakrawa to na stary żart, kiedy rozpakowuję zestaw filmów z Arnoldem Schwarzeneggerem, na który składają się: *Terminator*, *Predator*, *Komando* i *Conan Barbarzyńca*.

– Nie trzeba było.

– No cóż, gdybym tego nie zrobił, pewnie skończyłbym, oglądając *Kevina samego w domu*. Widziałeś, jakie gówno puszczają w święta w telewizji?

Robię minę, która ma odzwierciedlić moje jednoczesne rozczarowanie i urazę.

– Chcesz powiedzieć... – wskazuję najpierw na płyty, a później na Franka – że kupiłeś je... dla siebie?

– Co? Nie, to znaczy... Nie do końca, pomyślałem... pomyślałem, że moglibyśmy je obejrzeć ra... – Frank zauważa iskielki rozbawienia w moich oczach. – Och, ty skurczybyku.

– Mam cię!

– Cholera. Ivy też mnie tak podpuszcza.

– Tak – mówię. – To w jej stylu.

– Posłuchaj – odzywa się Frank, nagle poważniejąc, jakby wcale nie dał mi się podejść, tylko szykował sobie grunt do własnego numeru. – Wiem, że wam zawadza i że ostatnio różnie się między wami układa – wymownie przy tym gestykuluje.

– Doce...

– Ale... ja i Lois... Nigdy nie łączyło nas to, co ciebie i Ivy.

– Ivy twierdzi, że byliście dla siebie stworzeni.

Frank wzdycha, kręci głową.

– Byliśmy dobrymi przyjaciółmi, potrafiliśmy się rozśmieszyć, byliśmy dla siebie atrakcyjni. Ba, nawet wyglądamy podobnie.

– Lois wydaje się... miła.

Frank zmusza się do uśmiechu.

– Ma ciemne włosy i owszem, była miła. Pewnie nadal jest, ale to wszystko... – Uśmiech znika z jego twarzy. – Możesz mi wierzyć, że nie łączyło nas to, co ciebie i Ivy. Po prostu nie i kropka. Nie spieprz tego, OK?

Kiwam głową.

– Albo cię, kurwa, zabiję.

I chociaż Frank śmieje się, gdy mnie obejmuje, nie mogę się pozbyć obrazu muskularnego buldoga z *Toma i Jerry'ego*, zdolnego przerzucić niezniszczalnego kota przez deski w podłodze.

Rozdział 21

Drogi są dokładnie tak zakorkowane, jak należało się tego spodziewać o czternastej w Wigilię. W bagażniku leżą warte blisko dwieście funtów mięsiwa: glazurowana szynka, kiełbaski z indyka i organiczna jagnięcina z wolnego chowu. Od zapachu tego wszystkiego aż mnie zemdliło. Nie zważając na zimno i spaliny, otworzyłem okno po swojej stronie, ile tylko się dało, jednak przy średniej prędkości pięciu kilometrów na godzinę nie pomogło to oczyścić powietrza.

Wszystkie trzy pasy autostrady M25 stoją. Za tylnymi szybami samochodów piętrzą się maskotki, pudła z prezentami i strojące głupie miny dzieciaki. Całe rodziny siedzą upchnięte w swoich autach. Niektórzy bez wątpienia śpiewają, rozmawiają, grają w idiotyczne gry; inni się kłócą, wrzeszczą lub siedzą w ciszy i marzą o tym, żeby znaleźć się gdzieś indziej w zupełnie innym towarzystwie. W tym tempie dotarcie do domu zajmie mi jakieś pięć dni, ale nigdzie się nie spieszę: potrzebuję czasu, żeby wszystko sobie przemyśleć i wygląda na to, że go nie zabraknie. Frank stwierdził, że nigdy nie łączyło go z Lois to, co łączy mnie i Ivy. Ładnie powiedziane, ale żaden z nas nie jest w stanie stwierdzić, czy to prawda. Frank nie ma pojęcia, co łączy mnie i Ivy, tak samo jak ja nie wiem, co poszło nie tak między nim i jego wkrótce już byłą żoną.

Powody, dla których jestem wściekły na Ivy:

1. Zaproponowała bratu, żeby wprowadził się do naszego mieszkania.
2. Mieszkania, które nadal traktuje jak swoje.
3. Czyniąc ze mnie uprzykrzonego najemcę.
4. Okazuje więcej zrozumienia dla sytuacji, w której znalazł się jej brat, aniżeli mojej. I chyba słusznie, zważywszy na to, że Frank wkrótce się rozwodzi i ma ograniczony kontakt ze swoim synem.
5. Brak seksu. Zgoda, istnieją okoliczności łagodzące, ale to już cztery cholerne miesiące, na litość boską.
6. Wołała spędzić święta ze swoją rodziną zamiast z moją.
7. Nie kupuje pełnotłustego mleka.

Ruch na krótki moment przyspiesza; udaje mi się przejechać może z kilometr i dojechać do trzeciego biegu, po czym znów wracam do prędkości sześciu kilometrów na godzinę. Zaczyna padać, grube krople deszczu odbijają się od szyby. Pierwszy raz całowaliśmy się z Ivy w tym samochodzie zaparkowanym przy czwartej latarni po lewej stronie. Wtedy też padał deszcz.

Chcąc potraktować Ivy sprawiedliwie, wymyślam kilka argumentów w jej obronie. Uwielbiam to, że umawia się na spotkania klubu książki z ludźmi dwa

razy starszymi niż ona, że chociaż jest makijażystką, sama nie nosi makijażu, że jest mądra, rozważna, pewna siebie, opiekuńcza i zabawna. Kocham to, że wierzy w spełniającą życzenia wróżkę, że nie umie gwizdać, że nazwała swoją złotą rybkę Ernest. I że wpadła na pomysł, by zabrać Ela do Muzeum Historii Naturalnej. Uwielbiam sposób, w jaki smaży jajecznicę. Oraz to, że mnie kocha, a ja z kolei kocham fakt, że jest w ciąży z moimi bliźniakami (niezależnie od okoliczności, w jakich do tego doszło). Nie muszę robić listy; w głębi serca wiem, że jest dla mnie stworzona.

Gdy tak tkwię w korku na drodze M25, wszystko to wydaje mi się oczywiste. Może powinienem był tu przyjechać tydzień temu, zamiast snuć się z kąta w kąt jak obrażony na cały świat nastolatek.

W filmowej wersji mojego życia deszcz zamieniłby się w śnieg, autostrada by się odkorkowała, a ja włączyłbym radio i pokonał resztę drogi do domu taty, śpiewając *Driving home for Christmas*.

Nadal poruszamy się w ślimaczym tempie, deszcz nie przestaje padać, ale to nic. I tak jestem szczęśliwy.

Sięgam po leżący na siedzeniu pasażera telefon i wysyłam Ivy wiadomość: *Całuję*.

Odkładam telefon i czekam na piknięcie oznaczające, że Ivy przesłała mi wyrazy swojej miłości.

Telefon nie pika.

Potrzebuję aż siedmiu godzin i czterdziestu pięciu minut, by pokonać trzysta dwadzieścia kilometrów dzielących mieszkanie Ivy od domu mojego taty i przez cały ten czas komórka nie pika ani razu. Docieram na miejsce parę minut przed dwudziestą drugą. Tata musiał usłyszeć dźwięk nadjeżdżającego samochodu, bo otwiera frontowe drzwi, kiedy zatrzymuję się przed domem. Gaszę światła, a on macha mi z progu i wychodzi w grudniową noc w skarpetkach i koszuli z krótkimi rękawkami. Jeszcze w listopadzie zasugerowałem tacie, że odwiedzimy go z Ivy w święta, a później – jak ten skończony optymista, idiota, zakuty łeb – nie wyprowadziłem go z błędu.

Tata marszczy brwi i zerka mi przez ramię, kiedy tak idę w jego stronę.

– Ivy śpi? – pyta szeptem.

Kręcę głową i robię wymowną minę.

– Nie przyjechała?

– Jest u swoich rodziców.

Tata mnie przytula.

– Synku – mówi – co poszło nie tak?

* * *

Tata podkręca gaz w piecyku, dolewa mi whisky i siada na kanapie. Byłaby

to idealna scena, gdyby matka moich nienarodzonych dzieci siedziała między nami. Ale miło jest dla odmiany mieć dla siebie trochę więcej miejsca na kanapie.

– Dzwoniłeś do niej? – pyta.

Po przyjeździe streściłem tacie wydarzenia ostatnich kilku miesięcy, łącznie z ostatnią nocą, którą spędziłem na kanapie. Podczas tej spowiedzi tata cmoknął z niezadowoleniem, pokręcił głową, zaparzył herbatę i stwierdził, że powinienem porozmawiać z Ivy. Jednym słowem trafił w sedno.

– Wysłałem jej SMS-a.

Tata przewraca oczami, jakby całe to SMS-owanie było jednocześnie czymś niezrozumiałym i śmiesznym jak pofarbowanie włosów na zielono albo słuchanie eksperymentalnego techno.

– Odpisała ci?

Ponownie kręcę głową.

– Może powinieneś zadzwonić?

– Pewnie już śpi. Zadzwonię jutro.

– Jaki masz plan?

– Ten sam co zwykle: paść jej do stóp i błagać o wybaczenie.

Tata się śmieje.

– Nie bądź dla siebie taki surowy. – Upija łyk drinka.

– Kocham ją – mówię, sam nie wiem dlaczego. Być może po to, żeby samemu sobie o tym przypomnieć.

Tata kiwa głową.

– Wiem.

Prawie się krztuszę whisky ze śmiechu.

– No co?

– Przypominasz mi pewną osobę.

– Kogo?

– Hana Solo. – Tata marszczy brwi. – *Z Gwiezdných wojen*. On... jest całkiem w porządku – dodaję i takie wyjaśnienie zdaje się całkowicie satysfakcjonować mojego staruszka.

– Co w niej najbardziej kochasz? – pyta.

Wzruszam ramionami.

– Wiesz, trudno wskazać jedną rzecz... Kocham ją za mnós-t-wo błahostek.

Tata się uśmiecha.

– Tak jest najlepiej – stwierdza.

– Cofam to, co przed chwilą mówiłem. Przypominasz mi Yodę.

Tata klepie mnie w udo.

– Ty łobuzie.

Siedzimy przez chwilę w milczeniu, słuchając syczenia i skwierczenia w piecyku.

– Twoja mama i ja... – zaczyna tata. – Nie zawsze nam się układało.

– Nie?

– Raz zagroziła nawet, że mnie zostawi. Wiedziałeś o tym?

– Nie.

Tata kiwa głową.

– Krótco po tym, jak się urodziłeś.

– Przepraszam – mówię.

Tata uśmiecha się do mnie z miłością.

– To nie była twoja wina. Wiesz, takie po prostu jest... życie.

– Co się stało?

Tata kręci głową.

– Zachowałem się samolubnie, to wszystko. Czasy były nerwowe. Myślę, że twoje pokolenie radzi sobie dużo lepiej.

– I...?

Tata uśmiecha się do swoich wspomnień.

– Kupiłem kwiaty, zmyłem naczynia, nauczyłem się prze-wijać.

– Niezłe poświęcenie.

Tata kończy drinka, sięga po butelkę i proponuje mi dolewkę whisky.

Kręcę głową.

– Mam dosyć na dzisiaj.

Tata wygląda na rozczarowanego; waha się, czy powinien sobie nalać kolejnego drinka.

– Ale ty się nie krępuj – oznajmiam. – Posiedzę z tobą jeszcze ze dwadzieścia minut.

Tacie nie trzeba tego dwa razy powtarzać.

– Twoja mama mawiała, że przypominam Roberta Redforda – mówi, unosząc brwi, jakby czekał, aż zaprzeczę.

Ale ja tylko na niego patrzę.

– Taka kobieta – ciągnie tata – jest warta każdego poświęcenia.

Przed zaśnięciem wysyłam Ivy kolejnego SMS-a: *kocham cię*.

Rozdział 22

Nienawidzę świąt.

Pierwsze, co robię po przebudzeniu, to sprawdzam telefon, ale nie dostałem ani jednej wiadomości.

Raczej nie urosłem przez ostatni rok, lecz moje stare wąskie łóżko wydaje się mniejsze, niż to zapamiętałem. W zeszłym roku zniszczyłem swój związek z Kate. W tym roku zniszczyłem swój związek z Ivy. To już chyba początek tradycji.

Zwykle leżę w łóżku, dopóki nie usłyszę, jak ojciec wychodzi z domu na mszę, po czym idę biegać. Ale pieprzyć tradycję, i to na całego, w tym roku pójdę do kościoła. I nawet wezmę prysznic. Kiedy budzę ojca kubkiem kawy i nowiną, że zamiast biegać, idę z nim na mszę, twarz mu się rozjaśnia, jakby – no cóż – były święta.

Naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego się na to zdecydowałem: czy to pierwszy krok do stania się mniej samolubną wersją samego siebie, czy raczej akt nikkczemnej desperacji? Nie wierzę w Boga i łączy nas jedynie to, że obchodzimy z jego synem urodziny w tym samym dniu, lecz kiedy reszta kongregacji klęka i pogrąża się w cichej modlitwie, mocno zaciskam powieki i się przyłączam. Modlę się, żeby Ivy nadal mnie kochała. Trudno jednak poprzestać na jednej intencji. Modlę się, żeby bliźniaki urodziły się zdrowe i miały szczęśliwe dzieciństwo. Modlę się za tatę, Marię, moje siostrzenice, Hectora, Franka, Esther, Nina, Ela, Phila, Joego i jego rodzinę – bo pominięcie kogokolwiek oznaczałoby, że Bóg ma się nimi nie przejmować. Rozpaczam właśnie petycję o chrupiące ziemniaczki z pieca i fajny film na wieczór, kiedy ksiądz podrywa wiernych z kolan. I chyba na tym to polega – modlitwa uzależnia, nie sposób wymienić wszystkich intencji podczas jednej sesji, więc za tydzień wracasz do kościoła. Bardzo sprytne.

Chociaż jestem zagorzałym ateistą, podoba mi się na mszy. Pieś-ni podnoszą na duchu, ksiądz (możliwe, że pijany) okazuje się zadziwiająco zabawny, a serwowane w kruchcie kościoła sherry i bakaliowe babeczki całkiem nieźle nadają się na śniadanie.

Kiedy jednak wracamy z tatą do domu, okazuje się, że Ivy nadal nie odpisała na mojego SMS-a. Dzwonię do niej, ale łączę się z pocztą głosową. To tyle w kwestii siły modlitwy.

* * *

Dzisiaj kończę trzydzieści dwa lata, chociaż jeszcze nikt nie złożył mi

życzeń. Tradycją w domu Fisherów jest niewspominanie o moich urodzinach aż do piętnastej czterdzieści pięć, czyli dokładnej godziny, w której przyszedłem na świat. Pierwotnie miało to służyć temu, żebym mógł spędzić przynajmniej część swojego święta tak, jak zechcę, lecz przez lata zamieniło się w przedstawienie odgrywane moim kosztem. Wszyscy celowo nie składali mi życzeń lub omawiali plany spędzenia własnych urodzin, od których dzieliły ich długie miesiące. W ciągu tych trzydziestu dwóch lat tylko jedne urodziny spędziłem poza rodzinnym domem – podróżowałem wtedy po świecie, co pozwoliło bliskim na jeden rok odstąpić od tradycji.

Maria z mężem i dziewczynkami zjawiają się u taty po dwunastej. Po złożeniu mi życzeń wesółych świąt i niczego więcej zabieramy trzy kieliszki wina i wynosimy je do ogrodu – oto kolejna z naszych tradycji. Latem po śmierci mamy postawiliśmy w ogrodzie kamienne poidelko dla ptaków i od dziesięciu lat przychodzimy tu z Marią w każde święta, żeby uczcić pamięć mamy. Zdarzają się lata, kiedy Maria się rozkleja, kiedy indziej wydaje się wręcz zawstydzona ckliwością tego gestu. Jednak dopóki żyjemy, trzymamy się rytuału.

Sączymy w milczeniu wino. Kątem oka zauważam, jak moja siostra ociera z policzka łzę. Próbuję ją wziąć za rękę, ale mi na to nie pozwala.

– Dobrze się czujesz?

– Nie – odpowiada.

Odwracam się do niej, lecz na jej twarzy zamiast smutku maluje się gniew.

– Co się stało?

– No więc co tym razem spieprzyłeś?

Wskazuję gestem na poidelko mamy, marszcząc brwi.

– Czy to nie może zaczekać?

Maria kręci głową, poirytowana.

– Spodziewacie się bliźniaków!

– Wiem o tym.

– Czy wiesz, jakie to trudne?

– Wiem, że robisz z tego wielkie halo.

Maria uderza mnie w ramię tak mocno, że wylewa mi połowę wina z kieliszka.

– No więc...?

– To skomplikowane.

– Tata powiedział, że spałeś na kanapie.

– Naprawdę? To może pójdziesz do niego, niech ci opowie resztę.

– Ale z ciebie matole.

– Spałem na kanapie jeden jedyny raz.

– Twierdziłeś, że ją kochasz, że to ta jedyna, twoja bratnia dusza i takie tam.

– Maria mówi to ironicznym tonem podwórkowej wyliczanki.

– Pamiętam.
– I...?
– I co?
– I wydorósłej wreszcie, Williamie. Wesołych świąt, mamó. – Maria dopija wino i wraca do kuchni, zostawiając mnie na zimnie z na wpół opróżnionym kieliszkiem.

* * *

– Słyszałem, że spałeś na kanapie – odzywa się Hector.
– Raz. Przespałem się na kanapie jeden jedyny raz.
Hector sięga przez stół po butelkę wina.
– Dolać ci?
Przykrywam dłonią kieliszek.
– Dziękuję.
– Hm – chrząka Maria, podstawiając mężowi swój kieliszek.
– Dlaczego spałeś na kanapie? – pyta Rosalind.
– Bo jest bałwanem – odpowiada Maria.
Rosalind chichocze i szepcze coś siostrze na ucho.
– Dlaczego jest bałwanem? – pyta Imogen.
– Bo to facet – odpowiada Hermione, po czym stukają się z matką kieliszkami.

Wypowiadam bezgłośnie ironiczne dziękuję w kierunku ojca, a ten stary skurczybyk tylko się śmieje. Później zaczyna się śmiać Hector, następnie Hermione, aż w końcu wszyscy się śmieją.

Zdążyliśmy zjeść prawie całe rodzinne opakowanie cukierków Celebrations i obejrzeć połowę filmu *Powrót do przyszłości, część druga*, kiedy rozdzwania się moja komórka. Ktoś zatrzymuje film, a ja wstaję z fotela i wyciągam telefon z tylnej kieszeni. Nie rozpoznaję numeru.

– Kto dzwoni? – pyta Hermione.
– Nie twoja sprawa.
– Jeśli to Ivy, chcę z nią porozmawiać.
– I co jej powiesz?
– Nie twoja sprawa – papuguje mnie moja siostrzenica i pokazuje mi jęzor.

Jest mało prawdopodobne, żeby Hermione była trudniejsza czy bardziej zbuntowana niż reszta prawie osiemnastoletnich dziewcząt. Jednak przynajmniej kilka razy do roku pomiędzy nią a jej matką dochodzi do wielkiej kłótni. A gdy przestają się do siebie odzywać, dzwonią do mnie – żeby spuścić nieco pary, nawrzucać tej drugiej i, najczęściej, się wyplakać. Chociaż w ciągu ostatnich kilku miesięcy (nie jestem pewien, jak doszło do tej zamiany) to Ivy stała się ulubioną powiernicą Hermione i jest to kolejna z listy rzeczy, które kocham w kobiecie tak

parszywie potraktowanej przeze mnie w Wigilię.

– Oglądajcie dalej – mówię do wszystkich i wychodzę do przedpokoju, żeby odebrać telefon.

– Halo?

– Wesołych świąt, skarbie.

– Ivy?

– Nie poznajesz mnie?

– Oczywiście, że poznaję. Nie rozpoznałem tylko numeru.

– A kogo innego się spodziewałeś? – pyta zaczepnie, ale dzisiaj nie dam się na to nabrać.

– Wesołych świąt, piękna. Zakładam, że dzwonicz z telefonu mamy i taty?

– Tak, zapo...

– Zaczekaj chwilę. – Hermione wysuwa głowę z pokoju. Przepędzam ją i wchodzę po schodach na piętro do swojej sypialni. – Wysłałem ci SMS-a. Nie odpisałaś.

– Padła mi bateria i zostawiłam ładowarkę w Londynie. Wychodziłam z mieszkania... w pośpiechu. Przepraszam.

– Nie – odpowiadam. – To ja przepraszam.

– No cóż, masz za co.

– Tęsknię za tobą.

– Nie mów tak, bo zaraz się...

Nie słyszę tego, co mówi później, bo do pokoju wpada Hermione, Imogen i Rosalind. Hermione usiłuje mi wyrwać telefon, ale ją odpycham. Imogen i Rosalind krążą wokół mnie jak stado rekinów.

– No dawaj – prosi Hermione, podejmując kolejną próbę. Wchodzę na łóżko, żeby ochronić telefon przed lepkimi mackami moich siostrzenic. – Ivy, musimy skończyć, bo...

– Co się dzieje? Co to za hałasy?

– Trolle – odpowiadam, kopiąc Rosalind trochę mocniej, niż planowałem, i zrzucając ją przy okazji z łóżka.

– Trolle?

– Moje siostrzenice.

Imogen gryzie mnie w kostkę, a Hermione łąduje się na łóżko i zaczyna po nim skakać, żeby wyrwać mi telefon.

– Kocham cię – mówię, a chwilę później Hermione chwyta mnie za nadgarstek.

I wreszcie zostaję pokonany niczym żyrafa przez stado lwów.

* * *

Bóg jeden raczy wiedzieć, jakie wspólne tematy łączą matkę moich dzieci

z moimi siostrzenicami, ale ich omówienie zabiera im pół godziny.

– Ivy życzy wesołych świąt – oznajmia Rosalind, zwracając mi telefon.

– To wszystko?

– Kazała cię też ucałować – przyznaje Imogen, marszcząc nos.

– No i? Kto mi da buziaka? – Udaję, że podnoszę się z kanapy, na co wszystkie trzy uciekają.

– A więc – zwraca się tata do Hermione – niedługo twoje urodziny?

– Osiemnaste – mówi Hector.

– Boże, miej nas w swojej opiece – odzywa się Maria.

Spoglądam na wyświetlacz komórki i widzę, że do moich urodzin zostało dziesięć minut.

Bliźniaczki śmieją się, zasłaniając usta.

– Lubię urodziny – stwierdza Imogen.

Oto sygnał dla mnie, żeby udać zdegustowanego i wyjść z pokoju. Z ciężkim westchnieniem wspinam się po schodach. Schodzę z nich o trzeciej czterdzieści cztery ze spakowaną torbą. Jeśli drogi okażą się przejezdne i niedługo wyjadę, może uda mi się dotrzeć do domu rodziców Ivy na kanapki z indykiem. Najpierw jednak muszę odbębnić urodzinowy tort.

Potrzeba nadludzkiego wysiłku, żebym nie zwymiotował swojego kawałka wiktoriańskiego biszkoptu i nie rzucił się na prezenty jak dwulatek. Nie spieszę się jednak, przeżuвам tort z zamkniętymi ustami i zachwycam się każdym prezentem. Zostaję nawet do końca filmu, bo kto wie, być może jest to ostatni rok, w którym przeżyвам tę w równej mierze okropną co cudowną farsę.

Tata nie wygląda na zaskoczonego, kiedy mówię, że zamierzam wsiąść w samochód i przejechać blisko trzysta kilometrów do Bristolu. Wydaje mi się, że planowałem to od chwili, kiedy otworzyłem rano oczy.

Cała rodzina odprowadza mnie aż do frontowych drzwi. Hector bierze moją torbę i wkłada ją do bagażnika fiata.

– Jedź ostrożnie – prosi Maria, po czym znowu szturcha mnie mocno w ramię – matole.

– Ja też cię kocham – odpowiadam, wsiadając do samochodu.

Gdy tak jadę przez apokaliptycznie puste drogi, z gazem wciśniętym do dechy, pochylony nad kierownicą, jestem w stanie wyciągnąć z fiata maksymalną prędkość stu trzydziestu kilometrów na godzinę. W drodze na południe przekraczam limit prędkości o okrągłe dwadzieścia kilometrów. Mijają mnie dwa radiowozy, lecz policjanci tylko machają i trąbią. „Zatrąb, jeśli jesteś napalony” głosi naklejka na jednym ze zderzaków zwariowanego autka Ela i chociaż nie mogę powiedzieć, żebym był napalony – jestem szczęśliwy, oszołomiony i rozemocjonowany, więc może jednak...? – naciskam na klakson, szeroko się uśmiecham i również macham do rozpędzonych gliniarzy.

Podróż zabiera mi dokładnie dwie godziny i pięćdziesiąt siedem minut. Dzwonię do drzwi domu państwa Lee cztery minuty po ósmej w bożonarodzeniowy wieczór, a moje serce wali tak, jakbym pokonał całą tę drogę biegiem.

Drzwi otwiera Frank.

– Co ty tu u diabła robisz?

– Wesołych świąt, mógłbym cię zapytać o to samo, łachudro.

Frank przykłada dłoń do skroni, jakby właśnie nabawił się migreny. Kręci z niedowierzaniem głową.

– A niech mnie... – mówi i wybucha śmiechem.

– Wszystko w porządku?

– Wpuszczasz zimno do domu – krzyczy ze środka matka Ivy. – Kto przyszedł?

– Fisher! – odkrzykuje Frank.

– A niech was diabli! – słychać powitalny ryk taty Ivy, po którym następuje wybuch tubalnego śmiechu.

– Wpuścisz mnie do środka, Frank? Co się dzieje? Gdzie jest Ivy?

Frank zerka na swój nagi nadgarstek, jakby sprawdzał godzinę.

– Pewnie gdzieś na M szóstce. Myślę, że zjawi się u twojego taty za jakieś... dwadzieścia minut.

* * *

Gdy tak jadę drogą M4 w kierunku Londynu w bożonarodzeniowy wieczór, usiłując wywiercić pedałem gazu dziurę w podłodze, fiat Ela osiąga przerażającą i oszałamiającą prędkość stu trzydziestu dziewięciu kilometrów na godzinę. Wiatr najwyraźniej mi sprzyja, a może to siła woli tak mnie niesie?

Frank pomylił się o dziesięć minut i dopiero o wpół do dziewiątej Ivy zadzwoniła do swoich rodziców z domu mojego taty. Spędziłem trzydzieści dość przyjemnych minut w towarzystwie mamy, taty i brata Ivy; ja popijałem herbatę i jadłem kanapkę z indykiem, oni sączyli odpowiednio wino, whisky i adwokata. Okazało się, że Frank wytrzymał niespełna dwadzieścia cztery godziny świątecznej samotności, zanim dotarło do niego, że znajduje się o krok od popadnięcia w obłąd lub upicia się do nieprzytomności. Po zjedzeniu bożonarodzeniowego śniadania złożonego z przypalonych kanapek z bekonem przez godzinę oglądał w telewizji kreskówki, bijąc się z myślami, czy powinien otworzyć butelkę likieru Cointreau. W połowie *Opowieści wigilijnej Muppetów* wrzucił torbę do bagażnika swojego audi i wyruszył do Bristolu. Przyjechał do rodziców akurat w porze świątecznej kolacji. Opowiedział mi o tym wszystkim w kuchni, kiedy przygotowywaliśmy następną kolejkę drinków. Zapytałem go, czy poinformował rodziców o sytuacji z Lois, lecz zanim zdążył odpowiedzieć, do kuchni weszła Eva po pudełko

czekoladek Quality Street.

Mimo protestów ze strony syna i męża pani Lee uparła się, żeby rozegrać rundę kalamburów (*To wspaniałe życie, Żyje się tylko dwa razy, Most na rzece Kwai*). Ken chciał, żebym koniecznie się napił, a Eva namawiała, żebym u nich przenocował, lecz nie skorzystałem z żadnej z tych propozycji, bo nadal miałem jeszcze odrobinę nadziei.

Na autostradzie panuje spokój, ale ruch o dwudziestą drugą trzydzieści i tak jest większy, niżbym się spodziewał, i to mnie martwi. W wielu samochodach jadą samotni kierowcy – ludzie, którzy powinni być teraz z bliskimi. Być może właśnie wracają do domów po mile spędzonym dniu w towarzystwie rodziny i przyjaciół, lecz ja wyobrażam ich sobie jako samotnych i zagubionych. Możliwe, że to samo myślą o mnie. O dziesiątej trzydzieści w Boże Narodzenie nikt nie trąbi.

Ivy zadzwoniła o ósmej czterdzieści, kiedy Frank akurat naśladował wymioty (Bez tchu? Niestrawność? Choroba morska? Wallace i Vomit[15]!). Maria i jej stadko zdążyli już wyjść, więc po drugiej stronie naszej świątecznej telekonferencji byli tylko mój tata i Ivy. Doszliśmy do wniosku, że każde z nas powinno spędzić tę noc u „teściów”, jednak ostatecznie zwyciężyła głupota i Ivy wcisnęła się z powrotem do swojej furgonetki, a ja – za kółko fiata.

Nawet gdybyśmy oboje jechali z prędkością ponad stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę (do której żaden z naszych pojazdów nie jest zdolny), było niezwykle mało prawdopodobne, żebyśmy dotarli do Wimbledonu przed północą. Obliczyliśmy jednak, że przy odrobinie szczęścia, wiary i pomyślnego wiatru powinniśmy oboje dotrzeć do stacji benzynowej w Oxfordzie jeszcze przed północą. Nie jest nam to co prawda po drodze, ale czy ja kiedykolwiek wybieram proste rozwiązania?

Parking przed stacją jest niemal pusty i natychmiast zauważam furgonetkę z napisem „Ekipa piękna” z boku. Ivy siedzi na masce, jej oddech przybiera w zimnym powietrzu postać białych obłoczków. Zatrzymuję się obok i gramolę z mojego maleńkiego samochodziku dokładnie sześć minut i kilka sekund przed północą.

– Udało ci się – mówi Ivy, delikatnie się uśmiechając. Daje mi w ten sposób do zrozumienia, że nie powinienem psuć tej chwili żadnym efekciarskim tekstem.

Obejmuję ją ramieniem i przytulam najmocniej jak to tylko możliwe bez zmiążdżenia jej żeber lub naszych dzieci.

– Wesółych świąt.

Ivy mnie całuje, z początku niewinnie, a później coraz mocniej i namiętniej, aż wreszcie całujemy się w sposób, który zawstydziłby każdego, kto zbłądziłby na ten parking.

– Wesółych świąt – odpowiada. Siedzimy ramię przy ramieniu na masce jej białej furgonetki, trzymając się za ręce i nic nie mówimy, aż wybija północ i Ivy

ponownie mnie całuje. – Jeśli nie zrobię siku w ciągu najbliższych dwóch minut, eksploduje mi pęcherz.

Gdybym spodziewał się jakichkolwiek śladów świątecznej atmosfery na stacji benzynowej w nocy z pierwszego na drugi dzień Bożego Narodzenia, byłbym idiotą. Szczątkowy personel (w opadających na oczy czapkach Świętego Mikołaja) obserwuje nas obojętnie, kiedy spoglądamy sobie w oczy nad stołem z formiki i dwoma parującymi kubkami przepalanej kawy.

– Sądziś, że minęliśmy się gdzieś po drodze? – pyta Ivy.

– W sensie metaforycznym?

– Za późna pora na metafory. A może za wczesna? Nigdy nie potrafię się zdecydować.

– Pewnie tak – odpowiadam na jej pytanie. – Przepraszam.

Ivy wzrusza ramionami.

– Będziemy mieli co opowiadać dzieciom.

Uśmiecha się do mnie, a ja mam pewność, że będę pamiętał ten uśmiech, dopóki nie stracę włosów, zębów i rozumu.

– Jedziemy do domu?

* * *

Parkujemy przed domem tuż po drugiej w nocy. Ivy pada z nóg, więc mnie obejmuje, a ja prawie ją wlokę po schodach na górę. Pokonałem blisko tysiąc kilometrów w ciągu trzydziestu sześciu godzin, żeby tu dotrzeć, ale było warto.

– Czy mam nastawić wodę na herbatę? – pytam, gdy Ivy zwija się w kłębek na kanapie, nie zdjęwszy nawet płaszcza i butów.

– Mamy jeszcze sherry?

Otwieram drzwi szafki i zaczynam buszować między puszkami i paczuszkami.

– Niestety, nie. Cointreau czy porto?

– Hm, trudne pytanie. Cointreau może być za mocne, nie sądziś?

– Możesz sobie pozwolić na mały kieliszek.

– Zrób mi niespodziankę.

Nalewam dwa kieliszki porto i zanoszę je na kanapę.

– Szczęśliwego drugiego dnia świąt, skarbie – mówię, zamierzając się stuknąć z Ivy kieliszkiem.

Ivy odsuwa swój kieliszek.

– Boże Narodzenie nie skończy się, dopóki nie położymy się spać.

– Poważnie?

– Jasne, że tak.

– A co jeśli nie położymy się przez kolejne dwa dni?

– Nadal będą święta.

– W takim razie wesołych świąt, kochanie.

Tym razem stukamy się kieliszkami. Ivy sączy porto, zamyka oczy i rozkoszuje się słodkim likierem.

– To mój pierwszy drink od dwudziestu tygodni.

– I jak smakuje?

Ivy zaciska usta.

– Cholernie dobrze. – I upija kolejny łyk.

– Przepraszam cię... za wszystko.

Ivy leciutko wzrusza ramionami.

– Ja też – mówi. – Mnie też jest przykro.

– Wybaczam ci.

Ivy chce mnie kopnąć w nogę, ale chwytam jej stopę, kładę sobie na kolanie i zaczynam masować grzbiet, podeszwę i palce. Chyba jest już po wszystkim. Oczywiście mogliśmy wypowiedzieć te słowa dwa dni wcześniej, ale chyba nie znaczyłyby wtedy tyle, co po spędzeniu dwóch dni w drodze i pokonaniu prawie tysiąca kilometrów.

– Pewnie jesteś wykończona – stwierdzam.

Ivy kiwa głową.

– Obawiam się, że nie wytrzymam kolejnych dwóch dni bez snu.

– A wytrzymasz dziesięć minut na rozpakowanie prezentów?

Mój prezent jest wielkości paczki chipsów, prezent Ivy ma rozmiar odpowiadający mniej więcej egzemplarzowi *Modlitwy za Owena* z pierwszego wydania, z autografem autora.

– Ty pierwszy – mówi Ivy z chytrym uśmiechem.

Rozrywam papier w bałwanki i znajduję pod nim opakowanie dziesięciu haczyków do wieszania ramek.

Poza ignorowaniem faktu moich urodzin do godziny trzeciej czterdzieści pięć po południu w Boże Narodzenie moja rodzina zawsze (a przynajmniej przez ostatnie piętnaście lat) uważała za niezwykle zabawne ofiarowanie mi marnego, rozczarowującego „jajcarskiego” prezentu na święta, po którym – dokładnie za pięć czwarta po południu – dostawałem od nich właściwy prezent. Nigdy nie opowiadałem Ivy o tej tradycji, ale ktoś (stawiam na Hermione) najwyraźniej to zrobił, i wygląda na to, że jestem skazany na znoszenie tej świątecznej farsy, dopóki nie zabraknie mi sił, żeby rozerwać papier na swoim prezencie.

– Haczyki – oznajmiam z tradycyjnym, udawanym entuzjazmem i kiepsko skrywanym rozczarowaniem. – Zawsze o nich marzyłem.

Ivy uśmiecha się, sięga po swój prezent i zaczyna podwierać paznokciem róg taśmy klejącej.

– Tylko ostrożnie – proszę.

Ivy spogląda na mnie podejrzliwie. Wie, że trzyma w ręku książkę w twardej

oprawie. Nie wie jednak, że tych kilkaset stron kosztowało ponad czterysta funtów. I co gorsza, już tę książkę czytała.

Ivy odkleja taśmę na jednym końcu paczki i zabiera się za drugi.

– *Owen Meany* – mówi, przyciskając książkę do piersi.

– Czytałaś ją, kiedy się poznaliśmy.

– Pamiętam – odpowiada ze śmiechem.

– To pierwsze wydanie.

I wtedy Ivy się rozkleja.

– Dziękuję – odpowiada, ocierając rękawem łzy. – To...

Łez jest coraz więcej i przeraża mnie myśl, że jedna z nich może spaść na książkę i wyrządzić szkody na kwotę jakichś stu funtów. Ostrożnie wyjmuję ją z dłoni Ivy i odkładam na stolik. Przytulam Ivy i całuję ją w czubek głowy.

– Kocham cię – mówi.

I jeśli nawet te słowa oraz pudełko haczyków to wszystko, co dostanę w tym roku, i tak będą to najlepsze święta w moim życiu.

– To tylko książka. Weź się w garść.

Ivy pociąga nosem i znów ociera oczy.

– A niech mnie, to chyba przez te hormony – wzdycha. Sięga po książkę, trzyma ją z nabożeństwem i otwiera na pierwszej stronie, gdzie widnieje dość niezdarny autograf Johna Irvinga. Przewraca kolejną kartkę i zaczyna czytać. – Jest świetna – mruczy pod nosem. – Myślisz, że mogę trochę poczytać?

– Teraz?

Ivy śmieje się i zamyka książkę.

– Pewnie nie.

Kręcę głową.

– Na twoim miejscu trzymałbym ją poza zasięgiem malutkich paluszków.

Ivy instynktownie kładzie dłonie na brzuchu.

– Jak one się czują? – pytam.

– Świetnie. Ciągle w ruchu.

Nachylam się i całuję ją w brzuch.

– Wesółych świąt, dzieciaki.

Ivy głaszcze mnie po głowie.

– Prawie zapomniałam – mówi.

– Hm?

– Masz dzisiaj urodziny, prawda?

– Trzydzieste drugie.

– Zaczekaj tutaj. – Ivy zaczyna się dźwigać z kanapy.

– Może ci...

Kręci głową i znika w korytarzu, a po chwili wraca z płaskim pudełkiem długim i szerokim prawie na długość ramienia.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – życzy, opierając pudło o kanapę.

W dniu, gdy poznałem Ivy, omawialiśmy makijaż do reklam *Małych Potworów*, które reżyserowałem. Ivy stwierdziła wtedy, że ich scenariusze to taki „horror na wyjściowo”, odwołując się do starego filmu *Abbott i Costello spotykają Frankensteina*.

I właśnie te trzy facjaty „zdobią” oprawiony w ramkę plakat, który Ivy kupiła mi na urodziny. *Aż strach się śmiać* – głosi hasło na plakacie.

– Jest świetny.

– Dzień, w którym się poznaliśmy – mówi Ivy i całuje mnie w usta, a ja natychmiast odczuwam gorący dreszcz.

– Pamiętam. Gdzie mam go powiesić?

– Gdzie chcesz. To także twoje mieszkanie. – Nachyla się w moją stronę i jeszcze raz mocno całuje mnie w usta.

– Czy Boże Narodzenie skończy się z chwilą, kiedy pójdziemy do łóżka, czy kiedy położymy się spać? – pytam.

Ivy szeroko się uśmiecha.

– Nie jestem pewna, do czego zmierzasz.

– No cóż, pomyślałem sobie, że skoro tej nocy mamy dom dla siebie...

– Nie tylko tej nocy.

– Dlaczego? Kiedy wraca Frank?

Ivy kręci głową.

– Nie wraca.

– Zeszli się z żoną?

Znowu kręci głową.

– Nie. Frank i Lois to już przeszłość. Powiedziałam Frankowi, że już czas, żeby zrobił krok naprzód i wyprowadził się od nas.

Staram się nie uśmiechać zbyt radośnie; nie jest to łatwe.

– I co on na to?

– Wyjaśniłam mu, że my, ty i ja... – Całuje mnie w czoło, czubek nosa i usta – potrzebujemy własnej przestrzeni. To fajny gość, zrozumiał.

– Twoi rodzice wiedzą?

Ivy przytakuje.

– To musieliście mieć ubaw po pachy, jedząc świąteczny pudding.

Ivy tylko się krzywi.

– No to jak, idziemy do tego łóżka?

* * *

Zasypiam – z idiotycznym uśmiechem na twarzy – głowiąc się nad pewnym obliczeniem... Ostatni raz kochaliśmy się w ostatni weekend sierpnia, dzień przed

wizytą u taty. Kwiecień, czerwiec, wrzesień i listopad mają po trzydzieści dni, reszta miesięcy po trzydzieści jeden... Jednak za każdym razem, kiedy jestem bliski obliczenia dokładnej liczby, zapadam w sen...

W każdym razie minęło grubo ponad sto dni, odkąd Ivy i ja kochaliśmy się po raz ostatni. Aż do ubiegłej nocy. Aż do tego ranka.

Kiedy budzę się kilka godzin później, Ivy nie ma obok. Pościel zdążyła już ostygnąć, lecz miłe wspomnienie nie opuszcza mnie pod ciepłym kocem, podobnie jak odcisk poduszki na policzku i woń porto w oddechu. Jestem głodny i muszę się wysikać, ale chcę tu zostać, otulony echem ciężkiego oddechu Ivy, ciepłem jej ciała, zapachem włosów, widmem pleców przyciśniętych do mojej klatki piersiowej...

Jest dwudziesty szósty grudnia.

Kocham Boże Narodzenie.

15 *Vomit* (ang.) – wymioty, lecz także bohater kreskówki.

Rozdział 23

Papaja.

Mango.

Cukinia.

Brokuł.

Bakłażan.

Kantalupa.

Kalafior.

Dynia żółdziowa...

Rozdział 24

Ivy jest w dwudziestym dziewiątym tygodniu ciąży i gdyby ktoś nie wiedział, że spodziewamy się bliźniąt, pomyślałby, że za kilka sekund zacznie rodzić. Wejście po schodach jest dla niej aktem nadludzkiej determinacji, dźwignięcie się z kanapy bez pomocy – niemożliwością. A gdy już stoi, zdaje się przeczyć prawom fizyki; jakimś cudem zachowuje pion pomimo widocznej gołym okiem asymetrii ciała. Wydaje się dwa razy większa niż reszta kobiet.

W zimnej salce parafialnej siedzi osiem par; mężczyźni zerkają na siebie niepewnie, podczas gdy ich kobiety siedzą po kowbojsku na swoich krzesłach. Instruktorka uczy nas, jak masować partnerki podczas porodu, uciskając kciukami dołeczki nad ich pośladkami – instruktorka, Julie, nazywa je „dołeczkami Wenus”. Brzuch Ivy jest zbyt duży, żeby mogła usiąść na krześle okrakiem tak jak pozostałe siedem kobiet, więc klęczy na podłodze, pochylając się do przodu, oparta o dmuchaną piłkę.

Kobieta w najbardziej zaawansowanej ciąży, nie licząc Ivy, ma na imię Kath i rodzi dopiero w połowie maja, czyli okrągłe pięć tygodni po tym, jak na świecie pojawią się bliźnięta. Kath, podobnie jak reszta kobiet w grupie poza Ivy, spodziewa się tylko jednego dziecka. Moja dziewczyna i jej monstrualny brzuch wywołują w pozostałych kobietach mieszaninę grozy, współczucia i podziwu. Jestem niemal pewien, że Ivy jest od nich starsza o dobrych kilka lat i tylko ona nie nosi na palcu obrączki.

Wciskam kciuki w dołeczki Ivy, tłumiąc pragnienie pocałowania jej w kark.

– Jeśli jest wam niewygodnie na krześle, spróbujcie się oprzeć na piłce jak Ivy – radzi Julie. – Możecie też stanąć przy krześle i pochylić się nad jego oparciem, o tak.

Jedna z kobiet wypróbowała tę pozycję; zgina się w talii i chwyta za oparcie krzesła. Mąż staje za nią, kładzie dłonie na jej biodrach i wykonuje energiczne pchnięcie.

– Korzystajcie, póki możecie, chłopcy – rechocze, a kilku co bardziej uprzejmych i wyraźnie skrępowanych mężczyzn śmieje się razem z nim.

Inny facet, Steve, przewraca wymownie oczami. Kiwam porozumiewawczo głową: utajony pantoflarz. Steve się śmieje. Jego żona i Ivy zbliżyły się do siebie (w każdym możliwym sensie) podczas przerwy na kawę, skazując mnie i Steve'a na umiarkowanie żenującą pogawędkę – Której drużynie kibicujesz? Czym jeździsz? Co wczoraj robiliście?

Wczoraj były walentynki, nasze pierwsze. Najdroższa randka w moim życiu.

Wybraliśmy się do kina samochodowego w Alexandra Palace na *Narzeczoną dla księcia*. Chociaż film nie należy do podniecających, jestem prawie pewien, że para w samochodzie obok robiła coś więcej, niż tylko się całowała. Bilety, popcorn i napoje kosztowały ponad pięćdziesiąt funtów, ale to i tak kropla w morzu w porównaniu z osiemnastoma tysiącami, które wydaliśmy cztery godziny wcześniej na używane volvo model XC90. Nie ulega wątpliwości, że potrzebujemy czegoś bardziej rodzinnego niż dwuosobowa furgonetka Ivy czy maleńki fiat Ela, ale ten samochód ma rozmiary niedużego czołgu. A poza tym jest też bardzo wimbledoński i dostatecznie duży, żeby przyjąć w nim poród bliźniaków, gdyby zaszła taka potrzeba.

Szkoły rodzenia organizują specjalne kursy dla par spodziewających się bliźniąt, ale ze względu na ich odległy termin i lokalizację zostaliśmy parą odmieńców z dodatkowym dzieckiem i terminem porodu przewidzianym na jedenaste kwietnia. Kurs składa się z dwóch siedmiogodzinnych sesji. Ta jest druga i będziemy po niej – przynajmniej w teorii – doskonale przygotowani na przyjście na świat naszych dzieci. Przerobiliśmy oddychanie, karmienie piersią, przewijanie, usypianie, poród z użyciem kleszczy i próżniociągu położniczego, a nawet cesarskie cięcie. Omówiliśmy różne nieprzewidziane scenariusze, także rodzaje przekąsek, które najlepiej sprawdzą się na porodówce. Mamy listę przedmiotów, które powinniśmy spakować do szpitala, oraz listę zakupów do Bootsa.

Wszystko to jest zarazem pouczające, ekscytujące i przerażające. Mam cztery strony notatek, a w portfelu zalaminowaną listę wskazówek przydatnych podczas porodu. Mimo to czuję się bardziej zdenerwowany niż tydzień i siedem godzin temu. Po szkole rodzenia udajemy się do miejscowego pubu na osiem piw i tyle samo napojów bezalkoholowych. Stłoczeni wokół trzech zsuniętych ze sobą stolików, tworzymy dużą i podejrzanie wyglądającą bandę; pozostali goście są rozbawieni naszą obecnością, szturchają swoich znajomych i zerkają w naszym kierunku, jakbyśmy byli grupą artystów, którzy lada chwila rozpoczną swój performance.

Poza nauką zmieniania pieluszek, kolejnym powodem, dla którego ludzie chodzą do szkół rodzenia, jest zaprzyjaźnienie się z ludźmi, którzy nie będą mieli dosyć anegdotek z gatunku: „nie zgadniesz, co zabawnego ostatnio zrobił(a)”. Za każdym razem jest to loteria i obserwując naszą grupę, nie planuję kupować w tym roku zbyt wielu kartek bożonarodzeniowych. Facet, który ledwie dwie godziny wcześniej publicznie posuwał swoją żonę, ma na imię Keith i najwyraźniej mianował się sekretarzem grupy.

– No więc – mówi, zwracając się do nas jak do swoich gości – czym się zajmujecie? Zacznijmy ode mnie. Niestety, jestem prawnikiem.

Okazuje się, że przy stole siedzi trzech prawników, importer wina,

przedsiębiorca budowlany i dwóch korpuldków z City. Sądząc po opisie ich zawodowych osiągnięć oraz wyglądzie noszonych przez nich butów, zegarków i pierścionków zaręczynowych, nietrudno zgadnąć, że Ivy i ja jesteśmy w tej grupie najbiedniejsi.

– Zajmuję się fryzurami i makijażem – oznajmia Ivy, a wszystkie kobiety jak na komendę pochylają się do przodu.

– Pracowałeś z kimś sławnym? – pyta żona Steve’a, ładna kobieta o imieniu Carrie.

– Zdarzyło mi się – odpowiada z uśmiechem Ivy.

– Kto był najgorszy?

– Hm, nie wiem, czy najgorszy, ale pewna znana osoba puściła na mnie bąka.

Carrie przykłada dłonie do policzków w geście przerażenia.

– O nie!

Ivy kiwa głową.

– Obawiam się, że tak. Robiłam mu ślad po ugryzieniu na tyłku.

– Ivy cierpi dla sztuki – wtrącam.

Ivy posyła mi fałszywie urażone spojrzenie.

– Bardzo zabawne. To był film o wampirach. Użyłam pary sztucznych zębów i odrobiny czerwonego eyelinera.

– A przynajmniej tak twierdzi – odzywa się ktoś z grupy.

Ivy porozumiewawczo mruga.

– Więcej ode mnie nie wyciągniecie.

– Daj spokój – odzywa się Steve. – Musisz nam zdradzić nazwisko.

– Ten aktor... grał w *Utalentowanym panu Ripleyu* – mówi Ivy. – I na tym koniec.

– Jude Law? – zgaduje Kath. – Założę się, że chodzi o niego.

– A ten drugi? – docieka Keith, wymachując ręką w powietrzu. – Damon!

Wygląda mi na takiego, co pruka. To na pewno Damon.

Ivy kręci głową.

– Nie puszczę pary z ust.

– Trudno się dziwić – odpowiada ze śmiechem Steve.

– No więc – odzywa się Keith, klaszcząc w dłonie i sygnalizując tym samym koniec tematu – jak ty zarabiasz na chleb, Fisher?

– Jestem reżyserem.

– Czego?

– Reklam.

– Telewizyjnych?

Kiwam głową.

– Lubię tę z gorylem grającym na perkusji – oznajmia Keith. – To twoje

dzieło?

– Obawiam się, że nie. – Kręcę głową.

Keith wygląda na rozczarowanego.

– A ta z surykatkami? Śmieszna jak diabli.

– Też nie.

– Co ostatnio nakręciłeś? – pyta jeden z korpuludków z City.

Odruchowo się krzywię.

– Nic ciekawego.

– No dalej, wyrzuc to z siebie.

Trudno o bardziej adekwatny dobór słów...

– Fastlax – mówię.

– Co to takiego? Lek na przeczyszczenie?

Kiwam głową.

– Dokładnie tak.

– Chodzi o tę reklamę z kobietą na sali sądowej? Z sędzią?

Po raz kolejny kiwam głową, który to gest praktycznie odbija się echem w panującej wokół stołu ciszy.

– Fisher wyreżyserował *Mr Bogeymana* – wtrąca Ivy. – Prawda, skarbie?

– Widziałam to! – ekscytuje się Carrie. – Jak wybiera się do wesołego miasteczka?

– Tak – potwierdzam, czując niespodziewany przyływ dumy.

– Zdobył nawet nagrodę – mówi Ivy, głaszcząc mnie po ramieniu.

– Czy właśnie tak się poznaliście? – pyta Steve.

– Nie oglądałem tego – oznajmia Keith, wydymając lekceważąco dolną wargę.

– Tak – zwracam się do Steve'a. – Chociaż nie na planie *Mr Bogeymana*, tylko reklamy żelków.

– Tej z małą wampirzycą? – pyta ktoś inny.

– Uwielbiałam ją – odzywa się Carrie. – Ta dziewczynka była przesłodka.

Zerkam na nią i oboje wiemy, co się zaraz stanie. Pytanie pada, o dziwo, z ust Keitha.

– Jedną chwileczkę – przerywa. – Ta reklama chodziła w telewizji całkiem niedawno, prawda?

– Ostatniego lata – potwierdzam.

Keith patrzy na mnie zmrużonymi oczami jak telewizyjny detektyw osaczający mordercę. Przenosi wzrok na Ivy i jej ogromny brzuch.

– Właściwie... od jak dawna jesteście parą?

– Od jakichś dwudziestu dziewięciu tygodni – odpowiada Ivy.

Prowadzone w tle rozmowy cichną jak ucięte nożem. Wszyscy gapią się na Ivy, która oblewa się rumieńcem, przez co blizny na jej policzku, szyi i wokół warg

stają się doskonale widoczne. Ivy unosi dłoń w kierunku lewej strony twarzy, ale w porę się powstrzymuje i przeczesuje palcami włosy.

– A w którym tygodniu ciąży jesteś? – nie daje za wygraną Keith.

– W dwudziestym dziewiątym – informuje go Ivy.

Po kilku sekundach ciszy wszyscy wybuchają śmiechem. Jest to jednak życzliwy śmiech i chyba udało nam się pozbyć piętna.

– Ty świntuchu – odzywa się Keith, waląc mnie w ramię. – Ty skończony świntuchu.

Po wyczerpaniu się pytań i opadnięciu emocji grupa dzieli się na grupki; trafiamy do sympatycznej czwórki ze Steve'em i Carrie.

– Macie jakieś plany na weekend? – pyta Steve.

– Ślub – odpowiadam.

Carrie szeroko otwiera oczy ze zdziwienia.

– Jestem drużbą – dodaję.

Carrie zerka na serdeczny palec Ivy.

– Nie spuszczaaj oka z bukietu – mówi Steve, mrugając porozumiewawczo.

A Ivy po raz drugi oblewa się rumieńcem aż po cebulki włosów.

* * *

Omówienie dwudziestego dziewiątego tygodnia rozpoczyna w naszej książce dla przyszłych rodziców część dotycząca „Dojrzałej ciąży”. Rozdział otwiera opis nasilającego się fizycznego dyskomfortu, który może odczuwać matka. Rosnące dzieci rozpychają na boki jej organy wewnętrzne. Pęcherz jest uciskany, żołądek podnosi się do góry, kobieta może się czuć coraz bardziej zmęczona i zmarnowana. Tak jak napisano w książce, dłonie, kostki i stopy Ivy puchną od zatrzymywanych w organizmie płynów. Autorzy doradzają matkom zdjęcie z palców obrączek, która to informacja – nie po raz pierwszy tego dnia – przypomina mi, że nie mamy z Ivy ślubu.

Jutro jedziemy do New Forest na ślub Joego: wypastowałem buty, wyprasowałem koszulę i – korzystając z faktu, że mieszkam ze stylistką – ostrzygłem się u Ivy. Napisałem mowę drużby, przeciwczyłem ją i ograniczyłem liczbę kartek z głównymi punktami do pięciu, które leżą teraz na nocnym stoliku. Ivy musiała wysłuchać mojego trzyminutowego monologu co najmniej dziesięć razy. Zawarłem w nim fragment poświęcony miłości i bratnim duszom i chociaż mam pewność, że Joe i Jen rzeczywiście „są dla siebie stworzeni”, opisuję namiętność i romantyzm, których nigdy nie byłem naocznym świadkiem. Ivy uśmiecha się za każdym razem, gdy dochodzę do tych słów, spogląda mi w oczy, a ja wypowiadam je bezpośrednio do niej. Dwukrotnie doprowadziłem ją nimi do łez. Następnie przechodzę do sprośnej anegdotki, komplementuję pannę młodą i zapraszam gości do wzniesienia toastu. Ivy unosi swój niewidzialny kieliszek

szampana, teatralnie klaszcze i daje wskazówki, w którym miejscu mógłbym skrócić przemowę. Z każdą kolejną próbą robi mi się trochę bardziej smutno, że nie jesteśmy małżeństwem, i utwierdzam się w przekonaniu, że powinniśmy nim być. Przynajmniej jedno jest w tym wszystkim dobre: Ivy nie musi ściągać żadnych obrączek i pierścionków z puchnących palców.

Zdaniem autorów książki powinniśmy już zacząć chodzić do szkoły rodzenia i trochę mnie to bawi, bo chyba pierwszy raz zrobiliśmy coś we właściwej kolejności. Ivy wymieniła się numerami telefonów z Carrie i oboje zgodziliśmy się co do tego, że Carrie i Steve są najlepszymi kandydatami do roli naszych nowych najlepszych przyjaciół. Rodzą dopiero pięć tygodni po nas, mieszkają niedaleko i nie sprawiają wrażenia dużo zamożniejszych od państwa Fisher-Lee.

Dynia żółdziowa mierzy około czterdziestu centymetrów i wygląda jak skrzyżowanie dyni z papryką. Nigdy wcześniej nie słyszałem o tej dyni, ale nasze bliźnięta właśnie osiągnęły rozmiar tego dziwnie wyglądającego warzywa. Nasze dzieci nadal są aktywne, jak twierdzą autorzy książki, ale będą się teraz rzadziej poruszać, bo w łonie matki zacznie im się robić coraz ciasniej. Dzieci potrafią już koncentrować wzrok, mrugać oczami, odróżniać kształty i kontury przez warstwy tkanek, skóry i tłuszczu w brzuchu Ivy. Jeśli nad nim zamacham, bliźnięta to zarejestrują. Dzieci rosną nawet centymetr tygodniowo, magazynują tłuszcz i rozciągają mięśnie. Być może nazwalicie już swoje dziecko – spekulują autorzy książki, ale my mamy tylko listę odrzuconych imion.

- Podoba mi się Evan – stwierdza Ivy. – Chyba.
- Brzmi trochę po walijsku, nie sądzisz?
- Chyba masz na myśli imię Evans?
- Możliwe. A co z nazwiskiem: Fisher czy Lee?
- Cóż, jeśli zostaniemy przy Evansie, to na pewno Fisher.
- Dlaczego?

Ivy patrzy na mnie, jakby to było oczywiste.

- Evan Lee?
- No co... Aaa, chodzi ci o podobieństwo do słowa „niebiański[16]”.
- Właśnie – odpowiada Ivy. – Zresztą jest ich więcej.
- Więcej...?
- Weźmy chociażby imię Zack. Zack Lee[17].
- Boże, nie skojarzyłem. A więc twoja mama nazywa się...
- Eve Lee[18], a mój brat – Frank Lee[19].
- Cóż za niefart. Twoi dwaj pozostali bracia nie mają głupich imion,

prawda?

Ivy kręci głową.

- Tata chciał nazwać Petera Brockiem...
- Brock Lee[20]...

– Ale mama się nie zgodziła. Z kolei Geoff omal nie został Sylwestrem.

– Nie chwytam.

– Sly, Sly Lee[21]. Mnie ojciec chciał dać na imię Belle[22], ale mama ponownie zgłosiła weto. A kiedy urodził się biedny Frank, mama albo się poddała, albo była zbyt rozkojarzona, żeby zauważyć, co się święci.

– A jeśli dzieci będą nosiły nazwisko Fisher, zgodzisz się na Brocka?

– Nie.

– A Sylvestra? Sylvester mi się podoba.

– Co powiesz na Dana, Danny’ego?

– Podoba mi się. Dobre imię dla chłopca.

– Albo Danielle.

Obejmuję dłońmi brzuch Ivy.

– Myślisz, że tam w środku mieszka Danny? Czy...

– Szybko, spójrz! – Ivy podwija T-shirt, odsłaniając nagą kopułę brzucha. Przez chwilę nic się nie dzieje, a później jestem świadkiem najdziwniejszej i najcudowniejszej rzeczy pod słońcem: na powierzchni brzucha Ivy tworzy się gładkie wybrzuszenie. Łagodna krągłość – mam nadzieję, że jest nią kolano lub łokieć dwudziestodzieciotygodniowego dziecka – przemieszcza się po łuku z północnego zachodu na południowy zachód i znika niczym foka pod powierzchnią wody.

– To jest Topsy – oznajmia Ivy.

– Topsy?

– Tak, a pod nim Turvy[23]. Dotknij tutaj... – Bierze moją rękę, przykładając ją sobie do brzucha i coś przesuwając pod moimi palcami. Moje dziecko – od którego dzielę mnie nie więcej niż dwa centymetry – naciska mi na dłoń.

– Ty jesteś Danny? – zwracam się do brzucha, a maleństwo – nieważne jakiej płci – znowu się porusza.

16 Niebiański po angielsku to *heavenly*.

17 Chodzi o fonetyczne podobieństwo do angielskiego słowa *exactly* – dokładnie.

18 *Evilly* (ang.) – perfidnie, źle.

19 *Frankly* (ang.) – szczerze, otwarcie.

20 *Broccoli* (ang.) – brokuł.

21 *Slyly* (ang.) – podstępnie, przebiegle.

22 *Belly* (ang.) – brzuch.

23 *Topsy-turvy* (ang.) – postawione na głowie, wywrócone do góry nogami.

Rozdział 25

W całym swoim życiu uczestniczyłem może w pięciu czy sześciu ślubach i za każdym razem świetnie się bawiłem. Podobał mi się romantyzm, słowa przysięgi, ceremonia, suknia panny młodej, łzy, lejący się strumieniami alkohol, kwiaty, podrygiwanie na parkiecie, weselny tort i drużny bez pary. Jednak tym razem po raz pierwszy pełniłem podczas ślubu konkretną rolę, a to zupełnie coś innego, kiedy trzeba wygłosić przemowę, dopilnować taksówek i fotografa, który nie wylewa za kołnierz.

– Genialna przemowa – mówi Joe, klepiąc mnie po plecach. Chociaż w jego ustach ze względu na znaczną ilość wypitego alkoholu brzmi to raczej jak „gejalnapszymowa”.

Przemowa rzeczywiście była udana, nie zapomniałem tekstu, nie pomyliłem imion, a goście śmiali się najczęściej we właściwych momentach (na przykład gdy opowiadałem, jak Bob dostał przepukliny w klubie ze striptizem), ale nie liczę na to, że jej nagranie zyska masową popularność na YouTube. Przez cały dzień nosiłem w tylnej kieszeni stosik karteczek, które nieustannie mi przypominały, że w którymś – nadciągającym jak burza – momencie będę musiał stanąć przed dwustoma gośćmi – z których połowę stanowili nachlani spece od reklamy – i wygłosić mowę na pięćset słów, poświęconą miłości, życiu, pospiesznemu seksowi i efektom nałożenia kremu do depilacji na męski sutek. Już sama ta perspektywa była dostatecznie przerażająca, co gorsza, miałem świadomość ponurego faktu, że wśród gości znajdzie się moja obecna dziewczyna i dwie były (choć termin „dziewczyna” wydaje się żałośnie nieadekwatny w odniesieniu do matki moich dzieci i spektakularnie przesadzony w odniesieniu do byłych kochanek: z Pippą przespałem się zaledwie kilka razy w ciągu paru tygodni, a Fionę bzyknąłem raz na jej kanapie).

Nie miałem ani czasu, ani odwagi, żeby wypić drinka przed wygłoszeniem mowy, za to Joe wychyla je jeden za drugim już od jedenastej rano. Po ósmej wieczorem zaczyna mieć problemy z mówieniem i chodzeniem po linii prostej. Trzy razy podczas pierwszego tańca (do piosenki *Top of the world* zespołu The Carpenters) był bliski upadku i pociągnięcia za sobą na parkiet swojej świeżo upieczonej żony i za każdym razem goście wznosili radosne okrzyki, bili mu brawo i głośno tupali. Korciłoby mnie, żeby nazwać cały ten dzień bachanalią, ale nie jestem pewien, czy Rzymianie mieli dostęp do tak dużej ilości kokainy i ecstasy.

Szacuję, że na parkiecie do piosenki *Agadoo* tańczy sto dziewięćdziesiąt sześć osób. Stuletnia babcia Jen leży – martwa lub pogrążona w głębokim śnie – na

stole w rogu sali, Bob (podpierający bar) został zwolniony przez lekarza z obowiązku tańczenia, a Joe i ja odpoczywamy przy stole na uboczu. Co jakiś czas ktoś (przyjaciel, kolega, matka pana młodego) próbuje nas wyciągnąć na parkiet i w odpowiedzi słyszy od Joego, żeby się odpieprzył. Jen lub Joe wpadli na pomysł, że byłoby miło sprezentować gościom staroświeckie słoiczki ze słodyczami, i – jakbym mało miał tego dnia obowiązków – musiałem je dziś rano rozstawić przy każdym z nakryć. Joe właśnie gmera w jednym z takich słoiczków, szukając cukierka o smaku cytrynowym. Częstuje mnie, a gdy odmawiam, wrzuca go sobie do ust.

– Mówiłem ci już, że jesteś moim najlepszym, kurwa, przyjacielem? – pyta.

– Jakieś dziesięć razy, w tym dwa podczas przemowy, z użyciem dokładnie tych słów.

– I dobrze, bo nim jesteś. Moim. Najlepszym. Kurwa. Przyjacielem.

– Dziękuję – odzywam się, kiedy Joe cmoka mnie w ucho.

– Proszę – odpowiada, wysuwając ku mnie zaciśniętą pięść.

– Co to?

– Weź.

– Ale co to takiego?

– Na litość boską, Fisher, po prostu to weź.

Joe wsuwa mi coś do ręki. Zakładam, że to jakiś cukierek, ale kiedy otwieram dłoń, widzę w niej niebieską pigułkę w kształcie diamentu.

– Viagra – oznajmia Joe dostatecznie głośno, żeby wyrwać babcię Jen ze snu, który – niezależnie od tego, czym spowodowany – nieubłaganie ciągnie jej głowę w stronę blatu stołu.

– Na co to, do cholery?

– Głupie pytanie – zauważa Joe.

– Nie chcę tego! – Przesuwam pastylkę z powrotem w kierunku Joego. – Po co ci, u licha, viagra?!

Joe wzrusza ramionami.

– Czeka mnie noc poślubna. Nie chciałem ryzykować. No, weź ją. – Popycha pigułkę w moją stronę.

– Nie, dziękuję.

– Ach, więc ty nie potrzebujesz. – Nagle Joe wygląda na śmiertelnie obrażonego.

– Nie, to znaczy... Jak na razie prawie na pewno nie będę jej potrzebował. Widziałeś Ivy?

– No jasne; wygląda świetnie.

– Wiem o tym, dziękuję.

– Zrobiłbym to z nią bez mrugnięcia okiem – mówi Joe.

Zanim zdążę się obrazić, Ivy siada obok Joego.

– Co byś zrobił? – pyta.

– Przepraszam – odpowiada Joe, wyraźnie zawstydzony.

Tabletka viagry leży na stole, niewidoczna dla oczu Ivy, bo schowana za moim kieliszkiem do wina. Bardzo powoli zakrywam ją dłonią.

– Powiedziałaś, że zrobiłbyś to bez mrugnięcia okiem – nie ustępuje Ivy.

– Naprawdę?

Ivy przytakuje. Dzisiaj po raz pierwszy zobaczyłem ją w sukience i pomimo sterczącej z przodu piłki plażowej Joe ma rację – Ivy wygląda nieziemsko. Włosy upięła na czubku głowy i – również po raz pierwszy, odkąd ją znam – nałożyła pełny makijaż. Co zabawne, nie przypomina siebie samej. Wolę ją bez makijażu, lakieru do włosów i w męskiej koszuli, ale byłoby niegrzecznie czy wręcz głupio powiedzieć to na głos.

– Nie pamiętam – odpowiada Joe, wzruszając ramionami. – Muszę się napić, do zobaczenia później. – Wstaje i zostawia nas samych.

Ivy przesiada się na krzesło Joego i kładzie rękę na mojej dłoni leżącej na małej niebieskiej pigułce.

– Właśnie ucięłam sobie niezwykle ciekawą pogawędkę z dziewczyną o imieniu Fiona – mówi.

– To miło.

Ivy spogląda mi w oczy.

– Bardzo się nami interesowała; kiedy się poznaliśmy, od jak dawna jesteśmy parą, który to tydzień ciąży.

– Niektórzy lubią wtykać nos w nie swoje sprawy – odpowiadam, kręcąc głową.

– Zakładam, że to jeden z twoich podbojów?

– Co? Ja...

Ivy unosi brew i zaciska usta.

Wzruszam ramionami.

– Boże, miej w opiece nieszczęśnika, z którym się spotyka – stwierdza z uśmiechem Ivy.

– Ślicznie wyglądasz – komplementuję ją.

– Ty też nie najgorzej. Zatańczymy?

– Pewnie.

– I zabierz ze sobą tę viagrę – dodaje Ivy – żeby nie porwało jej ze stolika jakieś dziecko.

Ivy tańczy okropnie, ale – tak jak w wielu innych kwestiach – nie mam bladego pojęcia, czy to wina ciąży czy stała cecha. A jednak gdy tak truchtamy po parkiecie, depczemy sobie po stopach i objamy się o innych gibających się gości, obejmujemy siebie nawzajem i dwoje naszych nienarodzonych dzieci, nie pamiętam, żebym kiedykolwiek czuł się szczęśliwszy.

Z jakiegoś powodu – pewnie niedopatrzenia – rzucanie bukietu odbywa się dopiero wczesnym wieczorem. Co za tym idzie, kobiety czekające na szybujący bukiet są już pijane, roz-ochoczone i całkowicie pozbawione zahamowań; rozpychają się łokciami i przepychają między sobą, walcząc o zajęcie jak najlepszej pozycji. Są tak rozgorączkowane, że zaczynam się szczerze martwić o zdrowie Ivy i bliźniaków. Stojąca w samym centrum tej damskiej tłuszczy Ivy zerka przez ramię i uśmiecha się do mnie z wyrazem twarzy, którego nie potrafię odczytać. Pokazuje jej zaciśnięte kciuki i głupkowaty uśmiech, który można uznać za ironiczny lub zachęcający w zależności od tego, co chce się zobaczyć.

– Straszne, co? – odzywa się mężczyzna obok.

– Twoja dziewczyna też tam jest? – pytam.

Facet wskazuje na znajdującą się na czele grupy Fionę, która wykonuje okrężne ruchy ramionami i strzepuje dłonie dla rozluźnienia mięśni. Towarzysząca Fionie Pippa nerwowo balansuje na palcach stóp.

– Ładna – stwierdzam.

Mężczyzna zerka na mnie ukradkiem i się uśmiecha.

– Chyba jesteście starymi znajomymi.

– Coś w tym guście.

Oddalona osiem kroków w szpilkach od żeńskiej hałustry, Jen bierze zamach, szykując się do rzutu. Ivy głęboko wciąga powietrze i po chwili je wypuszcza. Fiona zdejmuje buty na wysokim obcasie i ciska je na bok.

– Powodzenia – zwracam się do partnera Fiony.

– Coś mi mówi, że będę go potrzebował – odpowiada tamten, nie odrywając wzroku od swojej dziewczyny. – A tak w ogóle to mam na imię Hugh.

– Miło mi cię poznać, Hugh.

Hugh sący piwo z brązowej buteleczki. Trzyma ją w lewej dłoni, przy boku, butelka tkwi między nami i zastanawiam się, czy potrafiłbym niepostrzeżenie wrzucić mu viagrę do piwa.

– Będzie dobrze – zapewniam.

Decyzja jest błyskawiczna, napędzona alkoholem i podjęta bez udziału szarych komórek. Kiedy pigułka ląduje bezgłośnie w piwie Hugh, czuję podniecenie spowodowane zuchwałym wybrykiem, po którym natychmiast pojawia się poczucie winy, panika i refleksja: Fisher, coś ty, kurwa, wymyślił!

– Przyniosę ci świeże piwo – mówię, sięgając po butelkę.

– Dziękuję, nie trzeba.

– Proszę – nie ustępuję, chwytając za butelkę.

Hugh pociąga ją w swoją stronę.

– Powiedziałem, że nie trzeba.

Nadal trzymam jego butelkę, lecz wtedy Hugh wyrywa mi ją, patrząc na mnie jak na wariata.

No, skoro tak.

Jen rzuca bukiet do tyłu, spomiędzy nóg. Z miejsca, w którym stoję, wydaje się, że kwiaty lecą prosto w ręce Ivy. Pippa wyskakuje w górę pierwsza. Fiona czeka, aż jej rywalka wzbije się w powietrze, i sama skacze, wbijając ramię w przeponę Pippy. Pippa zostaje brutalnie zbita z kursu, Fiona rzuca się do przodu niczym skrzydłowy napastnik ataku, chwytając bukiet obydwoma rękami, błyskawicznie przyciąga go do klatki piersiowej i ląduje miękko na stopach. Tłum szaleje.

– Zdrówko – zwracam się do Hugh, unosząc jednocześnie brwi i szklanę dzinu z tonikiem.

Hugh uśmiecha się do mnie uśmiechem.

– Zdrówko – odpowiada, stukając szyjką swojej butelki o krawędź mojej szklanki.

I niech się dzieje, co chce.

Czuję na ramieniu dotyk czyjejś dłoni, a kiedy się odwracam, staję oko w oko z chłopakiem Pippy, Gazem.

– Hej, Fish – odzywa się. – Genialna przemowa.

Przewracam oczami.

– Całe szczęście, że nikt we mnie niczym nie rzucił.

Gaz się śmieje.

– Upiekło ci się – dodaję, kiwając głową w stronę stadka rozczarowanych kobiet udających, że cieszą się szczęściem Fiony.

– Taaa... – mówi Gaz, ale jego uśmiech nie wydaje się przekonujący.

Dopiero po kilku kolejnych godzinach Ivy i ja możemy wreszcie wrócić do swojego pokoju. W tym czasie udaje mi się zapobiec bójce i zobaczyć trzy kobiety oraz jednego faceta pogrążonych we łzach. Wśród gości krąży więcej prochów, niż pomieściłaby szafka w łazience schorowanej starszej pani, a ja cieszę się, że nie biorę w tym udziału. Chociaż możliwe, że jednak biorę. Skonsumowałem pewnie tyle samo piwa, ile krwi krąży w moich żyłach, i mógłbym zacząć przyjmować zakłady, któremu z nas – mnie czy mojej ciężarnej dziewczynie w butach na wysokim obcasie – jest się trudniej utrzymać na nogach.

I znów to przeklęte słowo „dziewczyna”, które w miarę jak rosną bliźnięta w jej brzuchu, staje się coraz bardziej nieadekwatne do sytuacji. Ivy jest matką moich dzieci, dzielimy dach nad głową i połączyliśmy nasze chromosomy – „dziewczyna” to daleko idące niedopowiedzenie. Większość ludzi pewnie skłaniałaby się do słowa „partnerka”, którego osobiście nie cierpię; brzmi zbyt praktycznie i pragmatycznie, sugeruje pewien rodzaj układu.

Ivy idzie do łazienki zmyć makijaż, a ja siadam na łóżku i skopuję ze stóp półbuty. W jednej dłoni trzymam piersiówkę, którą Joe dał mi w prezencie za to, że zgodziłem się być drużbą na jego ślubie, a w drugiej słoik ze słodyczami. Zdejmuję

pokrywkę i grzebię wśród latających spodków, białych myszek i wampirzych zębów, szukając musującej butelki coli.

Wydaje mi się, że po zwyczajowym rzucaniu bukietu dostrzegłem na twarzy Gaza rozczarowanie, bo sam też je poczułem. Owszem, jestem pijany, kipi we mnie od emocji po całym dniu i nic tak nie rozkochuje faceta w jego aktualnej – znowu to przekłete słowo – dziewczynie niż widok jego walniętej eks. Jednak żadna z tych rzeczy nie ma większego wpływu na prosty fakt, że Ivy jest „tą jedyną”, i zamierzam z nią być, dopóki jedno z nas (mam nadzieję, że to będę ja) nie odejdzie w spokoju we śnie. Pośród kawałków ananasa, ciążutek i żelków w kształcie niemowląt zauważam pojedynczy żelek w kształcie pierścionka. Słyszę dźwięk spuszczenia wody w toalecie i ciężkie kroki w korytarzu. Wyjmuję pierścionek ze słoika i przyklękam na jedno kolano.

– O mój Boże – wzdycha Ivy, wychodząc zza rogu. Przykłada ręce do twarzy i zatrzymuje się tak nagle, że prawie się przewraca.

– Ivy... – zaczynam.

– Fisher, zaczekaj, nie, ja...

– ...czy zostaniesz moją żoną?

Czyżbym usłyszał nie? – zastanawiam się.

Ivy stoi jak oniemiała.

Wyciągam do niej pierścionek, lekko się chwiejąc.

Ivy się krzywi.

– Wiem, że to tylko żelek – przekonuję – ale oświadczyły są na poważnie. Jutro możemy kupić prawdziwy pierścionek u Selfridgema lub Harrodsa, gdzie tylko zechcesz.

Ivy nadal ani drgnie.

– Kocham cię, Ivy. Absolutnie, bezgranicznie i... no cóż, bez reszty.

Ivy odsuwa ręce od twarzy. Uśmiecha się... tak, przepraszająco.

– Skarbie – mówi – ja też cię kocham. Absolutnie, bezgranicznie i bez reszty, ale... – kręci głową.

– Ale wydawało mi się... Ja... Dlaczego nie?

Ivy wzdycha, spogląda na mnie z mieszaniną uśmiechu i grymasu na twarzy.

– Już to przerabiałam – odzywa się wreszcie. – Przykro mi.

Uświadamiam sobie, że nadal klęczę i wyciągam ku niej ten przeklęty pierścionek-żelek. Ivy siada na łóżku i poklepuje miejsce obok siebie.

Opowiadanie historii Ivy i niejakiego Sebastiana od dnia, w którym się poznali, do dnia ich rozvodu zabiera jej około pół godziny. Pewnie uwinęłaby się szybciej, gdybym nie przerywał co trzy minuty wybuchami oburzenia, najróżniejszymi wyzwiskami i spacerkami do minibaru. Kluczowym elementem historii są nieudane próby spłodzenia dziecka oraz założenie przez Ivy, że w niej tkwi problem. Z kolei Sebastian wydawał się całkowicie nieporuszony faktem, że

rozczarowanie przyprawiło jego żonę o bezsenność z powodu łez, mdłości i bezgranicznego smutku. Co więcej, nie tyle nie podzielał smutku Ivy, ile kompletnie się nim nie przejmował. Kiedy poprosiła go, żeby wybrali się razem do specjalisty od leczenia niepłodności, Sebastian tylko ją wyśmiał. Małżeństwo trwało nadal; chociaż niewiele w nim było seksu i dobrych momentów, nic się nie zmieniło poza stopniowym wygasaniem uczucia. Przed pierwszą rocznicą ślubu Ivy zdradziła Sebastiana dwukrotnie (były to dwie jednonocne przygody podczas dwudniowego planu zdjęciowego) i była niemal pewna, że mąż odwdzieczył jej się tym samym, możliwe że z nawiązką. Spędzili szczęśliwy, romantyczny, kulturalny tydzień w Alicante dla uczczenia rocznicy swojego ślubu, po czym – może trzy tygodnie później – gdy siedzieli na kanapie z talerzami makaronu na kolanach, Sebastian zwrócił się do Ivy słowami: „To nie ma sensu”. Ivy nie wyprowadziła go z błędu; zmyła naczynia, poszła do łóżka, a następnego dnia rano zadzwoniła do przyjaciela, który był z zawodu adwokatem. Niespełna rok później Sebastian mieszkał z inną kobietą i ich świeżo urodzonym synkiem, potwierdzając obawy Ivy, że to ona jest niepłodna. Na pamiątkę po małżeństwie zostawił mieszkanie.

Teraz już rozumiem, co Ivy miała na myśli, mówiąc naszej pierwszej wspólnej nocy, że jest w porządku, i czuję się okropnie, że zrobiłem o to awanturę w Wigilię.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? – pytam.

Ivy patrzy na mnie w sposób, którego uczą się wszystkie dziewczynki około trzeciego roku życia – opuszczony podbródek, oczy sarenki i uśmiech z gatunku czyż nie jestem urocza? Później stosują to spojrzenie za każdym razem, kiedy czegoś od ciebie chcą, coś popsują albo o czymś zapomną.

– Czekałam po prostu na właściwy moment – mówi Ivy, nie spuszczać ze mnie wzroku. Wzrusza ramionami i unosi prawą rękę, rozcapierzając palce. – Nie mogłam ci o tym przecież powiedzieć na pierwszej randce. Och, a tak przy okazji, byłam kiedyś mężatką. – Zgina kciuk, odhaczając pierwszy powód, dla którego nie przyznała mi się wcześniej do bycia rozwódką. Przechodzi do palca wskazującego. – Większość kolejnego tygodnia spędziliśmy w łóżku, później pojechaliśmy na wakacje i odwiedziliśmy twojego ojca, a jeszcze później...

– Zaszłaś w ciążę.

– Później odkryłam, że zaszłam z tobą w ciążę, więc to znowu nie był odpowiedni czas. – Ivy przechodzi do palców lewej dłoni. – Później się wprowadziłeś, byliśmy na badaniu USG, odwiedziliśmy moich rodziców, wprowadził się Frank, a w Wigilię ciężko się było z tobą dogadać.

– Przepraszam.

– W porządku. – Ha! Moja „odpowiedź na wszystko”!

Kręcę głową na samo wspomnienie.

– Nie mam do ciebie pretensji, kotku, naprawdę. Ale nie było dobrego

momentu, żeby poruszyć temat mojego nieudanego małżeństwa.

– Aż do teraz?

Ivy kiwa głową.

– Aż do teraz.

Oczywiście jestem w cholernym szoku, ale i tak czuję się mniej wzburzony, niżbym się tego spodziewał. Możliwe, że wcześniej dostrzegłem jakieś znaki albo znieczuliło mnie zmęczenie i alkohol. Lub też zdążyłem się uodpornić na szok w ciągu tych dwudziestu dziewięciu tygodni.

– Który z nas jest przystojniejszy? – pytam. – Ja czy Sebastian?

Ivy wymierza mi kuksańca w ramię, ale nie odpowiada.

– Przepraszam, ja po prostu staram się to wszystko sobie... – Wskazuję na niewidzialne chochliki, słonie, cholerne ćwierkające ptaszki krążące wokół mojej głowy.

– Chyba dlatego byłem taka... sama nie wiem... opiekuńcza wobec Franka.

– Bo już to przerabiałaś?

Ivy przytakuje.

– Przepraszam. Dobrze się czujesz? Czy między nami...

Patrzę na nią i dopiero teraz zauważam malujący się na jej twarzy niepokój. Byłem tak pochłonięty własnymi obawami, że nie przyszło mi do głowy, że ona też może je mieć.

– Żartujesz? Przecież dopiero co ci się oświadczyłem, prawda?

– To było, zanim ci powiedziałam, że... no wiesz. Nie uważasz, że jestem jakaś felerna? – Leciutko się uśmiecha.

– No cóż, najwyraźniej tak, ale... – Kładę dłoń na jej brzuchu. – Chyba jestem na ciebie skazany.

Ivy siedzi ze spuszczoną głową i wzrokiem utkwionym w mojej dłoni. Po jej policzku spływa łza. Gdy tak na nią patrzę, w kąciку oka Ivy wzbiera kolejna łza, rośnie, odbija światło i spływa po twarzy śladem poprzedniczki.

Nie odrywając dłoni od jej brzucha, obejmuję wolną ręką ramiona Ivy.

– Skarbie, co się stało?

Ivy przykłada dłoń do twarzy, zaczyna drżeć. Łapie powietrze gwałtownymi haustami, cichy płacz zamienia się w głośny szloch. Nigdy przy mnie się tak nie zachowywała i czuję narastający strach.

– Skarbie, ja tylko żartowałem, przecież wiesz?

Ivy kiwa głową.

– Tak cię kocham – mówi, zaczerpując powietrza po każdym słowie. – Kocham cię.

– W takim razie wyjdź za mnie.

Dopiero kiedy wypowiadam te słowa na głos, dociera do mnie, jak agresywnie i nieuprzejmie zabrzmiały. Cofnąłbym je, gdybym tylko mógł, ale

zamiast tego mocno przytulam Ivy, kiedy ta kręci głową. Odgłosy krzyków, muzyki i śmiechu dwustu pijanych gości weselnych przetaczają się przez korytarz, jakby ktoś je przepuścił przez kiepskiej jakości głośniki.

– Wydawało mi się, że nie mogę mieć dzieci – odzywa się Ivy. Prostuje się i wyciera oczy w moje ramię. – Myślałam, że nie mogę mieć dzieci, a kiedy okazało się, że jednak mogę, bałam się, że cię stracę, a przecież dopiero co cię odnalazłam.

– Nigdzie się stąd nie ruszam – mówię.

– Jesteś na mnie skazany, prawda?

– Byłbym na ciebie skazany, nawet gdybyś nie była w ciąży – odpowiadam, na co Ivy znowu wybucha płaczem.

* * *

Siedzimy na łóżku i rozmawiamy o dziecięcych imionach, kiedy jakaś para wpada do pokoju obok niczym burza. Właściwie to Ivy wymyśla imiona, a ja ze wszystkich sił staram się nie zasnąć. Jestem pijany, zmęczony i skołowany, lecz także napalony jak jasna cholera, i przede wszystkim jestem optymistą. Ivy trzyma w ręku książkę *5001 dziecięcych imion* i kiedy czyta imiona na literę D – Declan, Dedal, Deepak – pieszczę jej szyję, całuję w ramię i głaszczę kolano. Nie mam pojęcia, czy jest tego nieświadoma, czy też celowo mnie ignoruje.

A później za ścianą ktoś zaczyna uprawiać seks. Sądząc po stłumionych jękach i pomrukach, feromony, których nam brakuje, są obecne w pokoju obok, i to w ogromnych ilościach.

– Miłość wisi w powietrzu – oznajmiam, wymownie unosząc brwi.

Ivy zamyka książkę, odkłada ją na nocny stolik i zaczyna grzebać w kosmetyczce.

– Jeżeli nie możesz ich pokonać...[24] – mruczę do pleców Ivy.

Ivy odwraca się w moją stronę, trzymając coś w zaciśniętej dłoni.

– Zatycki do uszu – mówi, podając mi parę żółtych piankowych pocisków.

– Kocham cię – dodaje, a gdy mnie całuje, czuję, że nie kłamię.

Ivy wyłącza światło.

Zatycki okazują się wystarczająco skuteczne, żeby stłumić odgłosy uprawiania miłości, ale nie dźwięk uderzania zagłówkiem łóżka o ścianę sypialni. Kiedy facet z pokoju obok zaczyna testować konstrukcję łóżka po raz piąty, jest już po czwartej nad ranem i tracę nadzieję, że w ogóle zasnę. Możliwe, że Ivy wzięła sobie lepszą parę zatycków, bo śpi tak spokojnie, jakbyśmy leżeli w dźwiękoszczelnej kapsule. Jestem jej za to wdzięczny, gdyż ten, kto u diabła zajmuje sąsiedni pokój, niezależnie od tego, kto to jest, przyprawia mnie o kompleksy. Może ktoś dodał mu do piwa viagry...?

24 Dalsza część tego angielskiego powiedzenia brzmi: „przyłącz się do

nich”.

Rozdział 26

Przez pierwszy rok naszej przyjaźni El był o pół głowy wyższy niż ja. W ciągu dwudziestu dwóch lat, które minęły od tamtej pory, urosłem o jakieś czterdzieści pięć centymetrów, a El o osiem, lecz mimo to pozostał dla mnie autorytetem. El jest starszy o prawie czternaście miesięcy, więc poszedł do liceum rok przede mną. Mogło to zabić naszą przyjaźń, lecz na szczęście chodziliśmy do różnych szkół i nie zostaliśmy postawieni w sytuacji, w której El musiałby mnie ignorować lub traktować z góry. Mieszkaliśmy blisko siebie, więc widywaliśmy się prawie codziennie. El przynosił mi rzeczy pochodzące z przyszłości: pornosy, fajki, sherry, sprośne dowcipy, informacje o nowych kapelach oraz szczegóły dotyczące mechanizmów seksualnych i ludzkiej anatomii. El zawsze był o rok starszy niż ja, lecz kiedy teraz na niego patrzę, nie potrafię się oprzeć wrażeniu, że wkrótce jego zegar się zatrzyma; wiek Ela osiągnie swoje maksimum, tak jak jego wzrost osiągnął je dwadzieścia lat wcześniej.

Z perspektywy czasu wiem, że El był gejem od zawsze, lecz jako młody chłopak ignorowałem zarówno wszystkie wysyłane przez niego sygnały, jak też samą możliwość (słowo „gej” było co najwyżej wyzwiskiem lub naciąganą plotką). Weźmy taką, na przykład, pornografię.

– Pa... pamiętasz, jak m... mnie nazywałeś?

– El Handlarz Cycuszkami – odpowiadam.

– Ha... Ha... Ha... Handlarz Cy... Cycuszkami! – mówi El, odrzucając do tyłu głowę, i wydaje z siebie chrapliwy śmiech, który brzmi niepokojąco, jakby zakrztusił się pizzą. Próbuję wstać, lecz El tylko kręci głową i powstrzymuje mnie gestem.

Gdy byliśmy nastolatkami, El wracał ze szkoły, uginając się pod ciężarem czasopism dla panów: *Men Only*, *Penthouse*, *Club* i *Razzle*, kupionymi od jakiegoś pośrednika. Sprzedawał je nabuzowanym hormonami chłopakom, a ja nigdy nie zapytałem, dlaczego nie zostawia sobie ani jednego egzemplarza.

Wspomnienie Ela Handlarza Cycuszkami najwyraźniej skierowało jego myśli z toru spraw minionych na tor spraw bieżących.

– Bę... będziesz m... m... m... miał... – El zaciska wargi i wydyma policzki, szukając właściwego słowa lub usiłując je skutecznie wyartykułować.

– Możesz przeliterować? – pytam.

El marszczy twarz z wysiłku.

– D... t... d...

– To może znajdziesz podobne słowo?

– Wa... wa... wal się!

– Przepraszam.

El krzywi się i unosi dłonie. Rzadko miewa drżenia, za to w miarę postępu choroby porusza się coraz wolniej, jakby spowijała go elastyczna tkanina. Przykłada ręce do brzucha.

– Dziecko – mówi. – Bę... będziesz m... miał dziecko?

– Dwoje – odpowiadam. – Bliźnięta.

El się uśmiecha. Jego uśmiech jest szczery, lecz ulotny; znika z twarzy równie szybko, jak się na niej pojawił.

– Za... zabiłbym za dri... drinka – oświadczam.

Sięgam po jego różowy kubek-niekapek z sokiem pomarańczowym.

– Gówno! – krzyczy tak głośno, że aż podskakuję. – Pra... praw... prawdziwego drinka.

Odruchowo zerkam przez ramię, co jest o tyle głupie, że nikogo poza nami nie ma w domu. Nie zamierzam częstować Ela alkoholem, lecz jakaś część mojej podświadomości najwyraźniej byłaby do tego zdolna.

– Wiesz, że alkohol ci szkodzi – mówię, gardząc sobą za te słowa.

– Ży... życie mi ku... kurwa sz... szkodzi. – Wybucha szczerym śmiechem.

El nie je zbyt dużo; większość dostarczanych jego organizmowi kalorii pochodzi z napojów i mieszanek wzmacniających. Zawsze był szczupły, lecz teraz jego ciało wydaje się kanciaste i kruche. Za to broda prezentuje się imponująco – jest gęsta i błyszcząca, nadaje mu wygląd guru albo ćpającej gwiazdy rocka.

– Kie... kiedy? – pyta. – Się u... urodzi?

– Urodzą – poprawiam go, unosząc dwa palce. – Jedenastego kwietnia, czyli za siedem tygodni i dwa dni.

El kiwa głową.

– Fajnie. – Uśmiecha się. – Bę... będziesz do... dobrym o... o... ojcem.

– To się jeszcze okaże.

– Po... poślubisz ją?

– Ivy – zaczynam, uśmiechając się na wspomnienie swoich nieporadnych i zakończonych fiaskiem oświadczeń po ślubie Joego. – Tak – potwierdzam, bo prawdziwą historię zbyt trudno byłoby opowiedzieć, a poza tym to prawda – miłość, wierność, szacunek, bycie ze sobą w zdrowiu i chorobie... Mówię temu wszystkiemu „tak” i wypełnię swoją obietnicę, i chociaż bardzo chciałbym go mieć, nie potrzebuję papierka, żeby być z Ivy, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

– Chcesz jeszcze pizzy?

El kręci głową i ciężko pada na kanapę.

– Mam... dosyć – oznajmia.

– Nie zmieścisz już ani kawałka?

El gwałtownie kręci głową, jego twarz wykrzywia się z gniewu.

– Dosyć! – powtarza, przykładając dłonie do głowy powolnym, lecz zdecydowanym ruchem. – Mam t... tego do... dosyć – dodaje, a po twarzy zaczynają mu płynąć łzy.

– El, hej... – Siadam obok niego i obejmuję go ramieniem.

– Żałuję, że n... nie u... u...

Próbuje dokończyć zdanie, a ja przytulam go, głaszczę po długich włosach i przyciskam jego twarz do swojej piersi, żeby zdusić ostatnie słowo. El płacze tak bardzo, że czuję jego łzy przez materiał koszulki.

Po minucie czy dwóch odsuwa się ode mnie, pociągając nosem.

– K... k... k...

– Kto? Kiedy?

El przytakuje.

– Kiedy... kiedy Phil ma u... uro...

– Urodziny? W maju. Na początku maja.

– T... to już niedługo – zauważa El.

– Za kilka miesięcy.

Phil poszedł do pubu, jak zawsze gdy odwiedzam Ela. Jednak dzisiaj po raz pierwszy otwarcie się przyznał, że umówił się tam z Craigiem. Nie dał mi jeszcze do zrozumienia, że Craig jest dla niego kimś więcej niż tylko kompanem do kieliszka, chociaż mam przeczucie, że tak właśnie jest. W zeszłym tygodniu, gdy przyszedłem do Ela, zastałem w mieszkaniu Craiga. Po mowie ciała, tonie głosu i kontakcie wzrokowym między Philem a Craigiem poznałem, że ich relacja nie jest tylko platoniczna.

– Po u... urodzinach Phi... Phil... – El bierze głęboki wdech, uspokaja się i mówi dalej z ponurą zawziętością – zabierze m... mnie w t... to miejsce, g... g...

– Gdzie?

El kiwa głową.

– Gdzie za... za... zabijają lu... ludzi.

– Słucham? Co takiego?

– Za... bijają ludzi – powtarza z uśmiechem, jakby opisywał wycieczkę do Disneylandu. – D... D... Diggitass.

– Dignitas?

El przytakuje.

– Żeby ze mną sko... skończyć! – dodaje, rechocząc. Zamyka oczy i wywiesza język na brodę.

– El, no co ty! Phil nigdy by...

El szczyrzy zęby w uśmiechu i chociaż lubi wymyślać lipne scenariusze i mijać się z prawdą, wiem, że tym razem tego nie robi.

– Chcę t... tego – dodaje. – U... urodzinowy pre... prezent dla Ela.

– Ale...

Ale co? El ma coraz większe trudności z mówieniem i myśleniem, nie może chodzić, wejść po schodach ani wstać po szklankę wody bez pomocy. Ledwie sobie radzi z obsługą pilota do telewizora. Nie może jeść curry ani pić piwa; nie umie się skupić na fabule filmu. Phil musi mu podcierać tyłek. El śpi samotnie w dmuchanym kojcu. Nie ma szans na remisję, wyleczenie, może mu się już tylko pogorszyć. Aż wreszcie umrze. I chociaż nie chcę tego słuchać, rozumiem go.

– Masz urodziny dopiero w listopadzie – przypominam mu.

El kręci głową.

– Nie m... mogę t... tyle czekać. – Znowu kręci głową. Jego wzrok już nie jest łobuzerski, a kiedy El się uśmiecha, na jego twarzy malują się: smutek, zmęczenie i rezygnacja. Nie ma w sobie cienia brawury czy nieszczerości. Od wielu miesięcy nie widziałem Ela tak świadomego i racjonalnego.

– To co z tym drinkiem? – pytam.

El szeroko otwiera oczy.

– Poważnie?

– Poważnie.

Godzinę później Phil wraca z baru, a El śpi z głową na moich kolanach. Kiedy Phil wchodzi do pokoju, pierwsze, co widzi, to na wpół opróżniona szklaneczka whisky na stole przed Elem. Moja jest pełna po brzegi, już po raz trzeci.

– A więc ci powiedział – stwierdza Phil, siadając w ulubionym fotelu.

Kiwam głową.

– I...?

Sięgam po szklankę.

– Przyłączysz się?

Phil sięga przez stół po niedokończony drinka Ela, stukamy się szklankami i upija łyk alkoholu.

– Dużo wypił?

– To była jego pierwsza i ostatnia szklanka. Odpłynął po trzech łykach.

Phil kiwa głową z uśmiechem.

– Co u Craiga? – pytam. W moim głosie da się usłyszeć napięcie, nutkę uszczypliwości.

– W porządku – odpowiada po krótkim zawahaniu. – Wiesz, że się... lubimy.

Tym razem to ja kiwam głową i się uśmiecham.

– Do niczego między nami nie doszło – wyjaśnia Phil. – Do niczego... poważnego, niezbyt często. – Przykłada palec do kącika oka.

– Tylko mi tu nie rycz – mówię. – Za dużo łez jak na jeden wieczór.

Phil zaczyna płakać.

– Czy El wie?

Phil przytakuje, kręci głową, wzrusza ramionami.

– Nie wiem, Fisher. My... Craig czasami u nas nocuje. – Po tym wyznaniu Phil całkowicie się rozkleja i chowa twarz w dłoniach. Wystarcza sekunda, żeby się rozszlochał, ale pół minuty później jakimś cudem udaje mu się równie szybko wziąć w garść. Samo patrzeć na to jest męczące. Phil głęboko wciąga powietrze, przełyka ostatnie krople whisky i napełnia obydwie szklanki. – El śpi w tym... pieprzonym kojcu – kontynuuje – a ja z Craigiem w sąsiednim pokoju. To takie... porąbane. Ja jestem porąbany.

– W porządku – uspokajam go. – Masz prawo być szczęśliwy.

– Łatwo ci mówić.

– Od jak dawna się spotykacie?

– Od listopada, z przerwami.

– Dobrze wam się układa?

– Chyba tak. To znaczy... tak. – Phil pozwala sobie na uśmiech. – Craig jest dla mnie dobry, czuję się przy nim... – Phil wzrusza ramionami i ociera łzę chusteczką. Spogląda na Ela. – Ale nie zapominam o swoim chłopczyku.

Nie wiem, co powiedzieć, więc nie mówię nic.

Phil znowu zaczyna płakać.

– Właśnie doświadczam najgorszej i najlepszej rzeczy w moim życiu i... Boże, to zabrzmiało tak samolubnie.

– Wiesz, że El cieszyłby się twoim szczęściem.

– Szkoda, że sam nie potrafię.

– Daj sobie szansę – mówię i banalność tych słów sprawia, że się rumienię. – Oczywiście El będzie ci robił sceny, wrzeszczał, obrzuci cię wyzwiskami i nie tylko...

Phil się śmieje.

– Dobrze, że nie potrafi już tak celnie rzucać.

– No właśnie. Ale powinieneś – naprawdę powinieneś mu powiedzieć.

Phil kiwa głową.

– Wiem.

– A więc to się wydarzy po twoich urodzinach? – pytam.

– W lipcu, może sierpniu. Za jakieś pół roku.

– W takim razie postaraj się, żeby to było cholernie dobre pół roku.

Osuszam szklankę i natychmiast znowu ją napełniam.

Phil wypija ostatnie krople swojego drinka.

– Podaj butelkę.

Rozdział 27

Trzy razy w ciągu dwóch miesięcy.

Dwa razy w jednym dniu.

Jestem bogiem seksu, legendą sypialni, mistrzem materaca. Tak, tak, to nie pomyłka, jestem seksualnym perpetuum mobile.

Ten rok jest przestępny, a dziś przypada ostatni dzień lutego, czyli dwudziesty dziewiąty. To kolej Ivy, żeby przeczytać na głos rozdział z książki dla przyszłych rodziców, i dobrze, bo sam jestem zbyt wypompowany i rozmięczony po dopiero co zakończonym stosunku, a właściwie dwóch. W trzydziestym pierwszym tygodniu ciąży nasze dzieci są przynajmniej tak długie jak seler naciowy. Może nie brzmi to zbyt spektakularnie, ale Ivy wygląda, jakby miała za chwilę rodzić, i jest to ostatni moment, kiedy mogę ją objąć ramionami w pasie i przyciągnąć do siebie, gdy kochamy się w pozycji na boku. W trzydziestym pierwszym tygodniu ciąży bliźnięta słyszą, jak śpiewamy, rozmawiamy, śmiejemy się, i czują, kiedy kładę ręce na brzuchu ich mamy. Mogą też usłyszeć – chociaż autorzy książki nie piszą o tym wprost – jak Ivy mówi: „Właśnie tak... Tak, tak, o mój Boże, taaak” itp., itd. Lepiej nie zagłębiajmy się zbyt w ten temat.

Płuca dzieci pokrywa substancja powierzchniowo czynna, dzięki czemu będą mogły swobodnie oddychać po przyjściu na świat. Policzki bliźniąt są okrągłe, a pupy dorodne i mięciutkie. Macica Ivy doświadcza mimowolnych skurczów Braxtona-Hicksa, które mają ją przygotować na te właściwe, które pojawią się już za sześć tygodni. Chociaż w jej macicy zrobiło się ciasniej niż kiedykolwiek, Ivy będzie czuła ruchy dzieci około dziesięciu razy w ciągu dnia.

Gdy tak leżę obok niej, emanując postkoitalną poświatą i balansując na pograniczu jawy i snu, kładę dłoń na brzuchu Ivy. Dziecko o imieniu Danny lub Danni, jeśli okaże się dziewczynką (bardziej aktywne z dwójki) kopie mnie w rękę. Turvy nadal nie ma ustalonego imienia, ale najbardziej prawdopodobnym imieniem dla chłopca jest Owen, a dla dziewczynki – Juliet, po mojej matce.

– Podobał ci się miodowy miesiąc? – odzywa się Ivy.

Przytulam twarz do szyi Ivy i podskubuję jej miękką skórę.

– Czyżby już się skończył? – pytam.

Ivy gładzi mnie po czubku głowy. Jej dotyk wywołuje dreszcz biegnący od czaszki przez kark i w dół kręgosłupa.

Tego ranka Ivy przyniosła mi śniadanie (tosty i kawę) do łóżka.

– Czy wiesz, jaki mamy dzień? – zapytała.

– Piątek?

– A konkretnie...
– Sam nie wiem. Może całusny pierwszy dzień miesiąca? – pytam, wyciskając na jej ustach soczystego buziaka.
– Nie! – zaprzecza, teatralnie się ocierając. – Jest dwudziesty dziewiąty lutego, gapo.
– Rok przestępny – mówię, zrywając się do pozycji siedzącej, bliski wylania na siebie całego kubka kawy.
– Owszem. – Ivy kładzie dłoń na mojej. – I nie ekscytuj się tak: to nie są oświadczyzny.

Padam na poduszki.

– Aha.

– Chcesz wiedzieć, co jest najlepsze w braniu ślubu?

– Prezenty?

Ivy kręci głową.

– Miesiąc miodowy.

– Dokąd pojechaliście?

– Do Botswany, Zimbabwe, Ugandy, Mozambiku i na Madagaskar.

– Co takiego?!

Ivy przepaszająco wzrusza ramionami.

– Sebastian był bankierem.

– No cóż...

– W każdym razie – kontynuuje Ivy, nachyla się i całuje mnie bardzo delikatnie, muskając językiem moje usta – wybierzemy się do zoo.

– Do zoo? Dzisiaj?

Ivy przytakuje.

– Pamiętasz nasze spotkanie w kawiarni, w dniu, w którym powiedziałam ci o... – Kładzie sobie dłoń na brzuchu. – Mówiłeś wtedy, że powinniśmy się wybrać do zoo.

Uśmiecham się na samo wspomnienie tego, jak nieudolnie próbowałem zapobiec nieuchronnemu porzuceniu. A przynajmniej tak mi się wydawało.

Ivy ponownie mnie całuje.

– Szczęśliwego miesiąca miodowego, kotku.

Podnoszę tacę z kawą i tostami, odstawiam ją delikatnie na podłogę, a później pomagam Ivy zdjąć T-shirt.

* * *

Po odwiedzeniu goryli i tygrysów, żyraf, pingwinów, lwów, zebra, pławikoników sargassowych i zjedzeniu lodów na potwornym zimnie Ivy zabrała mnie do restauracji wyróżnionej gwiazdką Michelin. Po zupie-kremie ze szparagów, pasztecie z kaczych wątróbek, karmelizowanym halibucie, rumsztyku

jagnięcym z pomidorami, gorącej czekoladzie Valrhona z pomarańczowo-makowym sorbetem, winie muszkatołowym, cappuccino i ręcznie robionych truflach – po tym wszystkim Ivy wsadziła mnie do taksówki, przywiozła do domu i kochała się ze mną po raz drugi tego dnia.

Nie istnieje ani jedna rzecz, zwierzę, składnik, szczegół czy wyszeptane słowo, które mogłoby uczynić ten dzień doskonalszym. Moja twarz w dalszym ciągu tkwi tam, gdzie szyja Ivy łączy się z resztą ciała, i czuję, że jest to idealne dla niej miejsce. Kreślę językiem ścieżkę prowadzącą do czubka brody Ivy, całuję ją w usta i chwytam zębami za dolną wargę.

– Ty tak na poważnie? – pyta Ivy, a ja nadal przygryzam jej wargę.

– Miesiąc miodowy ma się tylko raz w życiu – zauważam.

– Mów za siebie – odpowiada Ivy, zsuwając z uda moją dłoń. – Ale ten zdecydowanie plasuje się w pierwszej dwójce.

* * *

Klub Czytelniczy Pierwszego Poniedziałku Miesiąca liczy siedem osób. Najmłodsza z nich, wyłączając Ivy, jest pewnie Agnes, której dałbym nie więcej niż sześćdziesiąt pięć lat. Na drugim krańcu skali plasuje się Cora, dobrze po osiemdziesiątce, sprawiająca wrażenie wiecznie oszołomionej do tego stopnia, że nie mam pojęcia, jakim cudem daje radę utrzymać książkę we właś-ciwej pozycji. Dzisiejsze spotkanie odbywa się w naszym salonie; klubowicze przegryzają ciasteczka i rozmawiają o kolesiu, o którym nigdy nie słyszałem, niejakiemu Paulu Austerze. Sądząc po dobiegających zza ściany odgłosach, można by pomyśleć, że to raczej banda rozzłoszczonych facetów kłóci się o piłkę nożną, aniżeli grupa emerytów dyskutuje o literaturze i potwornie utrudnia mi to skoncentrowanie się na tym, czym właśnie się zajmuję.

Kłęczę pośrodku baśniowego lasu, wpatruję się w niezrozumiałą mapę i czuję się mocno zagubiony. Dawny pokój Franka został opróżniony z mebli (mój fotel i telewizor wreszcie stoją w salonie, *Octopusia* zniknęła na dobre, a całą resztę zapakowaliśmy w folię i upchnęliśmy do schowka) i stał się pokoikiem dziecięcym. Ściany pomalowaliśmy na niebiesko i zielono i ozdobiliśmy winylowymi naklejkami przedstawiającymi drzewa, ptaki, wiewiórki, zamek, rycerza, księżniczkę i smoka, który, jeśli interesuje was moje zdanie, jest nieco zbyt upiorny jak na niemowlęcą sypialnię. Tkwię pośrodku udawanej dziczy, otoczony różnej wielkości śrubkami i wkrętami, kołkami i kawałkami drewna, które – zgodnie z instrukcją – dzieli zaledwie dziesięć kroków od stania się dziecięcym łóżeczkiem. A kiedy już uda mi się złożyć pierwsze łóżeczko, w opartym o grzejnik pudle czeka na mnie jeszcze drugie. Trwa wyścig, czy zdołam zrozumieć czterostronicową instrukcję z Ikei, zanim emeryci (i Ivy) rozłożą na czynniki pierwsze czterysta stron współczesnej amerykańskiej prozy. Jako

trzydziestodwulatek składałem już rzecz jasna meble, z umiarkowanym sukcesem, lecz tym razem stawka jest dużo wyższa. Panel A zasadniczo niczym się nie różni od panelu B i żaden z nich nie wygląda tak jak na rysunku, więc sprawdzam instrukcję ponownie, bo skoro w łóżeczku będą leżały nasze dzieci, a nie książki, nie ma tu miejsca na błąd.

Ktoś puka do leśnych drzwi.

– Halo? – odzywa się delikatny, afektowany głos.

– Proszę.

Jim, jedyny mężczyzna w Klubie Czytelniczym Pierwszego Poniedziałku Miesiąca, ma jakieś sześćdziesiąt pięć lat i jest mężem Agnes. Wsuwa do pokoju swoją łysą głowę.

– Hejku – mówi, zerkając na leżące na podłodze elementy łóżeczka. – Wygląda skomplikowanie.

– Troszeczkę – przyznaję, pokazując mu bezużyteczną instrukcję.

Jim wystawia zza drzwi rękę, w której trzyma duży kieliszek wina.

– Pomyślałem, że może ci się przydać – stwierdza.

– Jim, jesteś mistrzem. Rycerzem w lśniącej zbroi. Wejdz, proszę.

Jim wchodzi do pokoju i z zadziwiającą zwinnością omija porozrzucone elementy łóżeczka.

– Zdrówko. – Podaje mi wino i stukamy się kieliszkami.

– Poprosiłbym, żebyś usiadł, ale... – Rozkładałam bezradnie ręce, wskazując na nieumeblowany pokój.

Jim tylko macha ręką i siada po turecku na dywanie obok.

– Tyci problem, jak mawiają w Walii. Aggy zmusza mnie do uprawiania jogi trzy razy w tygodniu; wytrzymam kilka minut na podłodze.

– Jesteś Walijszczykiem? – pytam.

Jim kręci głową.

– Teściowie pochodzili z Walii, więc podłapałem to i owo. – Śmieje się. – Zresztą musiałem; podczas naszych pierwszych trzech spotkań nie powiedzieli do mnie ani słowa po angielsku. Nie chcieli.

– Dziwne.

– Myślę, że nie byli pewni moich intencji wobec ich córki – wyjaśnia, poruszając sugestywnie krzaczastymi brwiami w geście, który w zamierzeniu chyba miał być lubieżny. – Bycie rodzicem zabawnie wpływa na człowieka – dodaje. – Wkrótce sam się o tym przekonasz.

– Masz dzieci? – pytam.

Jim podnosi do góry trzy palce.

– Same dziewczyny – mówi, promieniejąc dumą. – Delores, Florence i Myfanwy – wszystkie są już dorosłe i same mają dzieci.

– Nieźle.

Jim kiwa potakująco głową.

– Bycie tatusiem to najwspanialsza rzecz pod słońcem, ale... – strzela palcami – trwa krótko. Czas pędzi bardzo, bardzo szybko.

Jim bierze do ręki jeden z kołków i zaczyna go obracać w dłoni.

– Dasz mi jakąś mądrą radę?

Jim ponownie wybucha śmiechem.

– Prosisz o nią niewłaściwego faceta – oznajmia. – Sam nie wiem, po prostu... ciesz się tym. Rób wszystko, co w twojej mocy, i nie oceniaj się zbyt surowo, jeśli coś pójdzie nie tak.

– Na pewno pójdzie. Nie ma szans, żebym czegoś nie sknocił.

Jim kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Poradzisz sobie. Nie wszystko zrobisz jak należy, ale sobie poradzisz. Ivy to cudowna dziewczyna, naprawdę cudowna.

– Tak, to prawda.

– Wiesz co? – odzywa się Jim, odstawiając ostrożnie swój kieliszek. – Zawsze lubiłem skręcać meble. Nie przydałaby ci się pomoc?

Kiwam głową w kierunku dobiegającej zza ściany dyskusji członków klubu książki.

– Czy nie powinienes raczej...

Jim wzrusza ramionami.

– Szczerze mówiąc, nie jestem zachwycony tą książką. W zasadzie tylko ją przekartkowałem. – Puszczą do mnie oczko i przykładają palec do ust w konspiracyjnym geście.

Podaję mu instrukcję montażu łóżeczka.

– Proszę bardzo.

Jim nie zagląda do instrukcji, tylko od razu zabiera się do pracy, wsuwając kołek do – mam nadzieję – właściwego otworu.

– Od dawna należysz do klubu? – pytam.

– Ponad dziesięć lat – odpowiada, wybierając wkręt i przytwierdza nogę łóżeczka do czegoś, co może być panelem B. – Najzabawniejsze jest to, że nie przepadam za czytaniem.

– W takim razie dlaczego wstąpiłeś do klubu książki?

– Tak się przecież robi, dla tej drugiej osoby. Aggy spodobał się ten pomysł, ale była zbyt nieśmiała, żeby dołączyć do klubu. Poszedłem razem z nią dla moralnego wsparcia. – Jim szpera wśród kawałków drewna, dopóki nie znajdzie tego właściwego. – Zamierzałem się tam wybrać tylko raz czy dwa, żeby ułatwić jej start, ale później dziewczynki wyprowadziły się z domu i... – Jim balansuje między stopami elementem łóżeczka, przytrzymując je w miejscu kolanami. – Podaj mi tamtą nogę, proszę. Miło jest chodzić na te spotkania we dwójkę. Mniejsza o książki, przynajmniej w moim przypadku... I jeszcze ten wkręt,

dziękuję. Wybranie się dokądś autobusem, spotkanie z przyjaciółmi, wypicie kieliszka wina.

– Czy ty mi coś sugerujesz?

– Słucham?

Unoszę swój kieliszek po winie, teraz już pusty.

Jim łobuzersko się uśmiecha.

– Chętnie się jeszcze napiję, młody człowieku.

Mój nowy przyjaciel Jim składa przed wyjściem dwa łożeczka, dwie karuzele, dwa bujaczki i wypija prawie całą butelkę wina (Agnes posyła mężowi pobłażliwie karcące spojrzenie, a mnie daje klapsa w tyłek).

– Pamiętaj tylko o jednym – odzywa się Jim, tym razem nieco mniej wyraźnie i jeszcze raz strzela palcami – żeby cieszyć się każdą chwilą.

– I nie wymiguj się od zmieniania pieluch – podpowiada Agnes. – Doprawdy, James, nie zaśniesz teraz przez pół nocy.

– To jego wina – odzywa się Ivy, obejmując mnie ramieniem. – Ma na ludzi zły wpływ.

– Masz rację – odpowiada Agnes, całuje mój policzek, po czym wyprowadza Jima z pokoju.

* * *

– A co powiesz na Agnes? – pytam.

– Co z nią?

– Mam na myśli imię.

– Jesteś bardziej pijany, niż myślałam – mówi Ivy. – Auć! Uważaj...

Moje trzy palce tkwią głęboko w jej waginie.

– Przepraszam. Czy mam wyjąć jeden palec?

– Nie, po prostu... zwolnij trochę.

– Już lepiej?

Twarz Ivy wykrzywia bolesny grymas.

– Trochę.

W zależności od strony internetowej, z której czerpiemy informacje, średnio jedna na trzy kobiety doświadczy podczas porodu pęknięcia krocza. I nic dziwnego, zważywszy na rozmiary tego i owego – spróbujcie na przykład wciągnąć skarpetkę na głowę, tylko najpierw upewnijcie się, że jest to skarpetka, którą możecie spisać na straty. Te pęknięcia i rozdarcia najczęściej dotyczą ziemi niczyjej pomiędzy odbytem i waginą, czyli właśnie krocza. Jednym ze sposobów, by zapobiec problemowi, jest rozciągnięcie tego obszaru jeszcze przed porodem. I cały romantyzm diabli wzięli.

– To może Poppy?

– Moi sąsiedzi mieli psa, który wabił się... Jezu!

– Mam przestać?

Ivy kręci głową.

– Obciąłeś paznokcie?

Przytakuję.

– A więc twoi rodzice... mieli psa, który wabił się Jezus?

– Wrednego małego ujadacza – mówi Ivy, znów się krzywiąc. – I kota o imieniu Szatan.

– Na pewno nic ci nie jest?

– Kontynuuj.

Z palcami wewnątrz waginy Ivy rozciągam tkanę, obracając dłoń w nadgarstku w taki sposób, w jaki garncarz mógłby wyrobić z gliny szyjkę wazonu. Ivy mocno zaciska oczy i gwałtownie wciąga powietrze.

– Rose? – próbuję.

– Wszystko mi jedno – odpowiada Ivy.

– Nie podoba ci się imię Rose?

– Możesz ją nazwać choćby pieprzonym Kopciuszkiem, pod warunkiem że wyjmą ją ze mnie, nie rozrywając przy okazji na pół.

– Właściwie to podoba mi się Pieprzony Kopciuszek; brzmi, sam nie wiem, tak klasycznie.

– Romantycznie?

– Romantycznie! – mówię, strzelając palcami wolnej dłoni. – Pieprzony Kopciuszek. A jeśli będzie chłopiec, nazwiemy go Cholernym Księciem.

– Idealnie – odpowiada Ivy. – No to problem z głowy!

Przekręcam dłoń przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. W tym, co robię, nie ma nic przyjemnego, ładnego ani seksownego. Mimo to przychodzi mi do głowy, że skoro już jestem w środku, skoro mamy taki intymny kontakt, równie dobrze moglibyśmy...

– Nawet o tym nie myśl – strofuje mnie Ivy.

– Co? O czym mam nie myśleć?

– Masz to wypisane na twarzy. I żeby było jasne: masz większą szansę zobaczyć na akcie urodzenia naszej córki Pieprzonego Kopciuszka, niż uprawiać tego wieczoru seks.

– W takim razie jutro?

– Zastanowię s... Skubany!

– Przepraszam.

– Chrzanić to – mówi Ivy, cofając pupę tak, że moje palce wyskakują z jej ciała z wilgotnym plaśnięciem. – Co ma być, to będzie. Nie ma sensu dokładać sobie bólu; wystarczy to, co czeka mnie podczas porodu. Chrzanić to.

– Jesteś pewna?

– Całkowicie.

- Napijesz się herbaty?
- Ivy kiwa głową.
- Tylko nie zapomnij umyć rąk.

Rozdział 28

Orzech kokosowy.

Ananas.

Dynia piżmowa...

Rozdział 29

Jeśli istnieje dzień, którego nie cierpię bardziej niż Bożego Narodzenia, to jest nim Dzień Matki[25] i poprzedzające go cztery tygodnie, kiedy to wszystkie wystawy w sklepach i reklamy w telewizji przypominają mi o tym, że moja matka nie żyje. Może właśnie dlatego przeholowałem z Ivy.

W niedzielny poranek poinformowałem ją, że zostało nam dokładnie dziewiętnaście dni do porodu. Aby to uczcić, zjedliśmy tosty i wypiliśmy kawę w bajkowym lesie. Pokój dziecięcy jest już w pełni urządony: są w nim dwa łóżeczka, dwie karuzele, dwie kołyski, dwa bujaczki i niewielka kanapa przeznaczona do karmienia i opowiadania bajek na dobranoc. Na podłodze brakuje miejsca nawet dla pluszowego misia; kiedy siedzieliśmy na kanapie i jedliśmy śniadanie w zaciszu naszego przyszłego dziecięcego pokoju, musiałem oprzeć stopy o jedno z łóżeczek. Po południu kupiliśmy kwiaty i kartkę dla matki Ivy. A gdy Ivy uciniała sobie popołudniową drzemkę, wyskoczyłem po kwiaty, kartkę, czekoladki, wino i dwa balony dla Ivy od Danny'ego-lub-Danni oraz Juliet-jeśli-to-będzie-dziewczynka. Schowałem to wszystko w przepastnym bagażniku naszego volva i wybrałem się na długą przebieżkę po Common. Zasnąłem, wyobrażając sobie szczęście, wdzięczność i bezgraniczną miłość, które odmalują się na twarzy Ivy, kiedy zaskoczę ją prezentami z okazji Dnia Matki.

Dziesięć godzin później budzę się w pustym łóżku, słysząc delikatny dźwięk mieszania mleka w kubku z kawą. Ivy siedzi w oknie salonu i czyta książkę, promienie słońca padają na jej zmierzwiłone od snu włosy.

Biorę kubek i siadam obok niej.

– Hej.

Ivy nie przerywa czytania jeszcze przez kilka sekund, kiedy to nalewam sobie kawę, po czym unosi wzrok znad książki.

– Hej.

– Czy wiesz, jaki mamy dzisiaj dzień? – pytam.

Ivy kiwa z uśmiechem głową.

– Niedzielę.

– I to nie byle jaką, mamy Dzień Ma...

– Nie kończ.

– No co? Mówię tylko, że...

– Proszę! Przepraszam, ale jestem już dostatecznie zestresowana, kotku, nie chcę kusić... Niech ten dzień po prostu sobie będzie, OK?

Czuję się idiotycznie, siedząc tam w samych gaciach i mrużąc oczy przed

słońcem. Instykt każe mi powiedzieć coś mądrego i zjadliwego, ale zawodzi mnie refleks, i ostatecznie zamiast powiedzieć cokolwiek, tylko sączę kawę.

– Przepraszam – mówi Ivy.

– Nie, to ja przepraszam. Nie pomyślałem. – Biegnę myślami do bagażnika samochodu pełnego przedwczesnych, kuszących los gadżetów na Dzień Matki. – O której wyjeżdżamy?

– Jak tylko wezmę prysznic.

* * *

Przejechanie na drugi koniec kraju, żeby wręczyć kwiaty mamie Ivy i powrót tuż po lunchu zajmuje nam około dziesięciu godzin i nabija sześćset czterdzieści kilometrów na licznik naszego volva. Moglibyśmy zostać na noc, ale Ivy jest w trzydziestym czwartym tygodniu ciąży i za wszelką cenę chce urodzić dzieci w „swoim” szpitalu. Pragmatyzm Ivy jest odrobinę silniejszy niż jej obawa przed kuszeniem losu, więc „torba do szpitala” stoi spakowana przy drzwiach w korytarzu, a na tylnym siedzeniu volva zainstalowaliśmy dwa dziecięce foteliki. Cały czas widzę ich odbicie kątem oka we wstecznym lusterku, co sprawia, że czuję motyle w brzuchu. Przyjście dzieci na świat nagle jawi mi się jako realne i zatrważająco bliskie.

Kiedy wjeżdżamy w naszą ulicę, pieką mnie oczy, kręci mi się w głowie i bolą nogi od dnia spędzonego za kółkiem. Wyłączam silnik, gaszę światła, rozprostowuję szyję i wyciągam rękę w stronę klamki.

– Kotku? – odzywa się Ivy.

– Co się stało?

– Czy możemy pojechać do szpitala?

Panika!

– Ty chyba nie...

– Nie, nie, nie. – Kładzie mi rękę na ramieniu. – Chciałam tylko sprawdzić trasę, zobaczyć, ile nam zajmie dojazd.

– Coś jak jazda próbna?

– A masz coś przeciwko?

– No cóż, szczerze mówiąc, jestem kompletnie wypruty.

Posyła mi to spojrzenie.

– Proszę? Jeszcze tylko parę kilometrów.

Droga spod domu do szpitala zajmuje nam dwadzieścia trzy minuty.

Po dziesiątej w niedzielny wieczór niebo jest czyste i ciemne, a parking w większości pusty. Jesteśmy zbyt zmęczeni, żeby rozmawiać, więc relaksujemy się w ciepłym wnętrzu naszego przestronnego samochodu, słuchamy cicho nastawionego radia i upajamy się zadziwiającym spokojem emanującym ze Szpitala pod wezwaniem Świętego Jerzego.

- Już niedługo – mówię.
- Już niedługo – powtarza Ivy.

Poza spotkaniem z położną miała w zeszłym tygodniu kontrolę u pediatry i wszystko jest idealnie, bliźnięta są zdrowe i odpowiednio ułożone, Ivy zaś, pomimo spuchniętych kostek, czuje się znakomicie. Za niespełna trzy tygodnie będziemy czteroosobową rodziną, a ten samochód wypełni się hałasem i zapachem brudnych pieluszek.

Myślę o tym, jak pozbyć się tkwiącej w bagażniku kontrabandy związanej z Dniem Matki, kiedy na parking podjeżdża poobijany ford Focus. Mniej więcej trzy czwarte sekundy po zatrzymaniu się samochodu z miejsca dla kierowcy wyskakuje mężczyzna i okrąża sprintem auto.

Ivy chwyta mnie za rękę.

Mężczyzna otwiera drzwi od strony pasażera i wsuwa głowę do środka. Po minucie, która zdaje się trwać pięć razy dłużej, z samochodu wysiada kobieta w zaawansowanej ciąży i od razu pada na czworakach na asfalt. Facet wykonuje pełny obrót wokół własnej osi, zgodnie z ruchem wskazówek zegara i w drugą stronę, aż wreszcie przykuca obok kobiety. Kładzie jej dłoń na plecach i chociaż dzieli nas jakieś pięćdziesiąt–sześćdziesiąt metrów, słyszymy, jak kobieta wrzeszczy do niego: „Złaż ze mnie!”. Mężczyzna wstaje, obraca się kolejne półtora raza i ponownie kuca. Wybucham niekontrolowanym śmiechem, a Ivy ściska moją rękę tak mocno, że krew zaczyna pulsować mi w palcach.

Mężczyzna pomaga kobiecie wstać i oboje ruszają wolnym krokiem w stronę wejścia do szpitala.

- Myślisz, że powinienem im pomóc?
- Niby jak? – dziwi się Ivy.

Po kilku krokach para ponownie się zatrzymuje i kobieta zgina się wpół. Nawet z tej odległości widać, że mężczyzna próbuje ją podtrzymać. Kobieta krzyczy z bólu, na co mężczyzna opuszcza ją do pozycji klęczącej. Rozgląda się dookoła, jakby szukał pomocy, i nagle dokądś biegnie, zostawiając kobietę samą, klęczącą na chodniku.

- Może jednak powinieneś tam pójść – stwierdza Ivy.
- Dobra, tylko najpierw będziesz musiała puścić moją rękę.
- Co? – Ivy spogląda w dół i sprawia wrażenie zaskoczonej tym, że kurczowo ściska mi dłoń. – A no tak.

Kiedy jednak rozluźnia uścisk, mężczyzna znów pojawia się na horyzoncie, z wózkiem inwalidzkim, który Bóg jeden wie, skąd wytrzasnął. Pomaga kobiecie wstać, ostrożnie sadza ją na wózku i wspólnie oddalają się w stronę budynku szpitala.

Na parkingu znowu panuje spokój.

- Czy to się naprawdę wydarzyło? – odzywa się po minucie Ivy.

- Chyba tak.
- Niech to szlag!
- To samo sobie pomyślałem.
- Zabierz mnie do domu – prosi Ivy.

Silnik uruchamia się z pocieszającym, pewnym siebie turkotem; wrzucam bieg i zaczynam się wycofywać z parkingu.

- A niech mnie – odzywa się Ivy.

Jej ostatniemu słowu towarzyszy głośne bum, od którego serce staje nam w gardle.

Ivy krzyczy.

– Co to było? Uderzyliśmy w coś? Czy ktooo... – Przykłada obie ręce do brzucha.

W trzydziestym czwartym tygodniu ciąży nasze dzieci mają wielkość dwóch dyń piżmowych, mierzą około czterdziestu pięciu centymetrów i ważą dwa kilogramy dwieście sześćdziesiąt gramów każde. Ich mózgi i systemy nerwowe są już w pełni ukształtowane; nasze dzieci śnią i być może mają już preferencje dotyczące określonych smaków (choć trudno mi uwierzyć w to, że wody płodowe mogą występować w więcej niż jednym). Ich płuca są niemal całkowicie rozwinięte i gdyby nasze bliźnięta przyszły na świat w tym momencie, na przednim siedzeniu volva XC90, istnieje duża szansa, że mogłyby samodzielnie oddychać.

– Dobrze się czujesz? – pytam. Nerwy wibrują mi niczym kable na silnym wietrze.

– Chyba tak, to tylko skurcze Braxtona-Hicksa. Co to był za huk?

– Nie mam pojęć...

Chyba że...

– Co? – pyta Ivy.

Spoglądam na nią, zagryzam dolną wargę i otwieram szeroko oczy. Mam nadzieję, że odczyta moja minę jako wyraz rozkosznej niepoprawności.

– No co? Zaraz tu zeświruję.

– To mógł być... balon.

– Co takiego?!

– Obiecuj, że nie będziesz się gniewać.

– Nie!

Wzruszam ramionami, wysiadam z samochodu, okrążam go i otwieram drzwiczki od strony Ivy.

– Fisher, czy możesz po prostu powiedzieć, co się dzieje?

– Łatwiej mi będzie pokazać – mówię, pomagając jej wysiąść. – Chodź.

Ivy niechętnie idzie za mną do bagażnika, w którym znajduje się kartka, czekoladki, wino, kilka róż, jeden nadmuchany balon i resztki drugiego. Ivy wyciąga balon z nadrukiem „Szczęśliwego Dnia Matki”.

- Nie trzeba było – mówi. – Naprawdę.
- Wiem... Kupiłem je wczoraj, kiedy spałaś. Nie miałem okazji się ich pozbyć. Przepraszam.
- Zachowam kwiaty. I czekoladki.
- Czy mogę dostać wino?
- Pod warunkiem że dasz mi łyka.
- A ty mi czekoladkę.
- Tylko jeśli pozbędziesz się kartki.
- Umowa stoi – mówię, nachylając się, żeby ją pocałować.

Ivy wypuszcza balon i oboje patrzymy, jak wlatuje w nocne niebo.

25 W Wielkiej Brytanii Dzień Matki obchodzi się w czwartą niedzielę Wielkiego Postu.

Rozdział 30

Kręcimy scenę na dachu wychodzącym na budynki przemysłowe w południowo-wschodnim Londynie. Chociaż znajdujemy się wiele kilometrów od domów mieszkalnych, kiedy krzyczę: „Skończone!”, robię to szeptem, a oklaski, które później następują, są równie ciche. Stojąc tu w towarzystwie Suzi, Joego, dwóch aktorów i jedenastu członków ekipy, powinienem popaść w ekscytację. Jednak od wschodu słońca wciąż dzieli nas kilka godzin i czuję się przede wszystkim koszmarnie zmęczony.

Wielokrotnie poprawialiśmy, udoskonalaliśmy i szlifowaliśmy scenariusz, ale nadal nie jestem pewien, czy nie mógłby być lepszy. Kręcenie reklam wiąże się z pewnego rodzaju dystansem: dostajesz scenariusz i starasz się go zrealizować najlepiej, jak potrafisz, wiedząc, że jeśli finalny efekt będzie do bani, zawsze możesz obwinąć agencję. Tym razem będziemy mogli winić tylko siebie, co jest w równym stopniu przerażające i ekscytujące. Grafik zdjęć jest chaotyczny i rozwlekły, musi pogodzić rozkłady zajęć wszystkich członków ekipy i będziemy potrzebowali kolejnych czterech tygodni, żeby odfajkować pozostałe dwa dni zdjęciowe.

Dwóch gońców – jak na gońców przystało – podbiega do nagich aktorów i okrywa ich grubymi kocami. Mógłbym sprawdzić w telefonie dokładną temperaturę, ale sądząc po chłódzie przeszywającym mój kark i kolana, obstawiam, że jest na minusie. Podobnie jak w przypadku wielu innych rzeczy w moim życiu, nic nie dzieje się we właściwej kolejności, więc – ze względów logistycznych – kręcimy scenę miłosną na dachu, zanim para, Mike i Jenny, pozna się w filmie. Naturalnie aktorzy się znają i powtarzaliśmy tę scenę już kilkakrotnie. Dobrze im się razem pracuje przed kamerą, odtwarzają seksualne przyciąganie między bohaterami, którego zdaje się brakować między samymi aktorami. Ale mam wrażenie, że coś zaczyna się dziać pomiędzy Chrisem, aktorem odtwarzającym główną rolę męską, i Suzi, i nie mogę się przestać zastanawiać, czy pojedą teraz do mieszkania któregoś z nich i będą się kochać naprawdę, w łóżku i bez tuzina ludzi z ekipy obserwujących każdy ich ruch.

– Świetna robota, stary. – Joe kładzie rękę na moim ramieniu.

– Juuu huuu! – woła Suzi i staje na palcach, żeby dać mi buziaka. – To było niesamowite.

Posyłam jej wymuszony uśmiech.

Nie mam pojęcia, dlaczego nie czuję się bardziej podekscytowany. Od dawna tego pragnęłam i przygotowywałam się do zdjęć, które wyszły wprost

znakomicie. Aktorzy byli świetni, podobnie jak kamerzysta. I – wbrew naszym największym obawom – nie padało. Mimo to, chociaż powinienem się czuć podbudowany, jestem po prostu przybity. Być może chodzi o samą historię. Na papierze wyglądała dobrze, ale teraz, opowiedziana w filmie, nie robi już na mnie takiego wrażenia.

Kolejne zdjęcia zaplanowaliśmy dopiero na koniec kwietnia. Oglądając film, widzowie będą widzieli chronologiczną całość, za to ja, w przerwie pomiędzy jedną a drugą sceną, zostanę ojcem. Może właśnie dlatego czuję się taki zdezorientowany.

– Kiedy się następnym razem zobaczymy... – mówi Suzi, otwierając szerzej oczy. – Proszę. – Wręcza mi dużą żółtą torbę z sieci sklepów Selfridges. Ze środka torby wystają głowy dwóch pluszowych misiów, z których każdy jest dwa razy większy od moich przyszłych dzieci (przynajmniej taką mam nadzieję, dla dobra Ivy). – Powodzenia – dodaje Suzi, a mnie aż coś ściska w żołądku.

Rozdział 31

Kiedy wracam do mieszkania, Ivy jeszcze nie śpi.

Siedzi na kanapie, a na podłodze obok niej leży odwrócona grzbietem do góry książka.

– Cześć, skarbie – mówię, podchodzę do Ivy i całuję ją w czoło. – Co tu robisz tak późno?

– Nie mogłam spać – odpowiada, a gdy na mnie spogląda, wyraz jej twarzy nagle się zmienia, jakby nosiła w sobie ogromny emocjonalny ciężar, który w końcu ją przerósł. Zaciska powieki i zanosi się rozdzierającym szlochem.

– Kochanie, co się stało? Źle się czujesz?

– Jedno z dzieci nie poruszyło się przez cały dzień – mówi, roniąc łzy.

Przyciągam ją do siebie i delikatnie przytulam.

– Jesteś pewna?

– To, które jest na górze – wyjaśnia, przykładając dłonie do brzucha.

– Topsy nigdy nie było ruchliwe.

– To drugie nie było, Topsy ciągle się wierci.

– Czy pojawiła się krew?

Ivy kręci głową i chyba trochę się uspokaja.

– Nie.

– A może ona... on... po prostu śpi?

– Nie przez cały dzień.

– Jesteś pewna, że się nie poruszyło?

– Nie wydaje mi się, to znaczy... Czasami trudno się w tym połapać, bo jest ich dwójka, ale... – Znowu zaczyna płakać.

– Co chcesz zrobić?

* * *

Jedziemy samochodem wolno i w milczeniu; powietrze jest aż gęste od celowego, pełnego determinacji niemyślenia. Ivy patrzy prosto przed siebie, a ja koncentruję uwagę na drodze, kierownicy, światłach i włoskach porastających palce. Lekarze powiedzą nam, co się faktycznie dzieje, lecz zanim to zrobią, tkwimy w kokonie utkanym z pragnień, zaprzeczeń, nadziei i strachu. Gdy jesteśmy wewnątrz tej milczącej bańki, świat nieruchomieje i istnieje szansa, że kiedy znów ruszy, wszystko będzie w jak najlepszym porządku. Do tego czasu mamy poczucie, że mówiąc czy chociażby myśląc o tym, ryzykujemy rozbicie kruchej bariery i wpuszczenie do środka czegoś straszego. Wlepiam zatem wzrok

w drogę przed sobą, starając się kontrolować swój puls i oddech.

Stajemy na parkingu przed szpitalem siedem minut po pierwszej w nocy z piątku na sobotę. Ivy czeka w środku, a ja okrążam samochód, żeby wyjąć z bagażnika jej torbę na wypadek, gdyby musiała spędzić tę noc w szpitalu. Ivy jest w ciąży trzydzieści pięć tygodni i jeden dzień, termin porodu przypada dopiero za trzynaście dni i boję się sięgnąć po torbę, żeby nie kusić losu. Gdy tak stoję na zimnie, a oczy przyzwyczajają mi się do mdłego światła, zauważam w bagażniku kilka plamek przypominających ciemną rozlaną ciecz – krew. Dotykam jednej z nich i dociera do mnie, że jest to kawałek pękniętego balonu, który kupiłem Ivy z okazji Dnia Matki. Bezwiednie zaparkowałem dokładnie w tym samym miejscu, pod tą samą latarnią, gdzie – zaledwie sześć dni wcześniej – Ivy pozwoliła drugiemu balonowi ulecieć w nocne niebo.

– Co tam robisz? – pyta z przedniego siedzenia.

– Nic – odpowiadam, zbierając resztki zniszczonego balonu, i wsuwam je do kieszeni.

Szpital jest cichy i uśpiony; oświetlone jarzeniówkami korytarze są prawie puste. Mijamy mężczyznę myjącego podłogę froterką. Schodzi nam z drogi i pozdrawia skinieniem głowy i uśmiechem, którego nie mogę odwzajemnić. Na oddziale położniczym jest już głośniejsze. Nie słychać wycia, płaczu i przeklinania, tak jak się tego obawiałem, tylko ciche rozmowy i pracowity gwar personelu studiującego notatki, wykonującego telefony i krzątającego się po korytarzach. Poza nami w poczekalni siedzi jeszcze jedna para – kobieta jest chyba we wczesnej fazie porodu: mierzy sobie oddech, krzywi się z bólu i co jakiś czas gwałtownie chwyta powietrze. Jej partner gra w coś na iPhone.

Ivy siada; jedną ręką zasłania sobie oczy, drugą kładzie na brzuchu. Obejmuję ją ramieniem, ale chyba nawet tego nie zauważa. Przyciągam ją do siebie, ale się ode mnie odsuwa. Czekamy prawie godzinę, zanim jedna z położnych zaprasza nas do niewielkiej sali.

Padają kolejne pytania: czy Ivy upadła, czy czuła ból, czy pojawiła się krew? Ivy odpowiada, że nie. Mówi położnej, że nic szczególnego się nie stało, że spodziewa się bliźniąt i że jedno z nich przestało się ruszać. Kobieta pyta Ivy o termin porodu i czy to jej pierwsza ciąża. Kwiecień, mówi Ivy, i tak, pierwsza. Położna chce wiedzieć, czy Ivy odeszły wody, czy miała skurcze, czy rozpoczęła się akcja porodowa. Już pani mówiłam, wyjaśnia Ivy, nic się nie wydarzyło, moje dziecko przestało się ruszać. Kobieta pyta, kiedy Ivy po raz ostatni czuła ruchy dziecka, na co Ivy kręci głową i wybucha płaczem.

Położna kładzie Ivy na stole do badań i prosi, żeby podniosła bluzkę. Przyciska rękę do brzucha Ivy i przesuwają ją metodycznie po skórze. Następnie za pomocą ręcznego detektora tętna płodu osłuchuje serca naszych dzieci. Urządzenie emituje jednostajny bijący odgłos, kiedy przykłada je do dolnej części brzucha Ivy,

lecz kiedy przesuwam ją w górę, słyszę tylko szum i trzaski.

– Słyszysz pani coś? – pytam.

– Coś słyszę – odpowiada położna, lecz w tonie jej głosu nie ma nic uspokajającego. – Zaraz wracam – mówi. – Pójdę po lekarza.

Biorę Ivy za rękę, a ona natychmiast ściska moją dłoń. Otwieram usta, by zapytać, czy dobrze się czuje, po czym zamykam ją z powrotem i wypowiadam w myślach życzenie.

Położna wraca z młodą kobietą, którą przedstawia jako doktor Edwards. Doktor Edwards zadaje Ivy te same pytania, na które już wcześniej odpowiadała. Ośluchoje brzuch Ivy. Uciska go, przesuwając brzuch z jednej strony na drugą. Jakaś część ciała – być może kolano, pięść lub łokieć – przesuwa się w brzuchu Ivy. Lekarka ponownie naciska na brzuch, tym razem w górnej jego części, ugniatając go nasadą dłoni.

– Dziecko, które leży na górze, chyba się nie rusza – stwierdza wreszcie. – Nie słyszę bicia serca.

– Od początku to powtarzam! – Ivy prawie krzyczy. – Mówiłam wam! Dlaczego nikt mnie nie słucha?

– Proszę spróbować się uspokoić – prosi lekarka. – Drugie dziecko reaguje prawidłowo.

– Czy moje dziecko zmarło? – pyta Ivy. – Proszę powiedzieć. Proszę. Czy ono nie żyje?

Położna kładzie dłoń na czole Ivy.

– Nie wiem – odpowiada lekarka głosem, który brzmi neutralnie, i nienawidzę jej za to.

Włącza monitor, sięga po tubkę z żelem i uprzedza Ivy, że może poczuć zimno.

Już to przerabialiśmy: ekran monitora, biały półksiężyc światła, obraz dwójki naszych dzieci przytulonych do siebie w łonie matki. Ivy odwraca wzrok od ekranu i wpatruje się w sufit.

Lekarka uciska jej brzuch, na ekranie coś się przesuwa i mam wrażenie, że dzieci się poruszyły. Małe pięść się zaciska, otwiera i znów zamyka. Dociera do mnie, że powtarzam ten ruch piąstki dłonią wsuniętą do kieszeni płaszcza. W środkowej części ekranu gwałtownie trzepocze się niewielki biały kształt. Spoglądam na lekarkę, ale z jej miny niczego nie można wyczytać. Ponownie przesuwa urządzenie i naciska brzuch Ivy, na którym pojawiły się czerwone ślady. Lekarka kontynuuje badanie, tym razem dopochwowo. Próbuje przez kilka minut, wreszcie wyłącza monitor.

– Przykro mi – mówi.

Ivy wyrывa rękę z mojego uścisku i przewraca się na bok. Jej plecy drżą konwulsyjnie, a płacz brzmi tak, jakby odczuwała fizyczny ból. Między kolejnymi

łzami powtarza w kółko te same słowa:

– Moje dziecko, moje dziecko, moje dziecko.

Lekarka i położna zostawiają nas samych.

Patrzę bezradnie na Ivy, szukając słów pocieszenia, ale czy zdołam powiedzieć coś, co nie będzie płytkie, nieszczerze lub cholernie banalne? Ivy płacze tak przejmująco, że ze strachu o dziecko, które wciąż żyje, prawie ją proszę, żeby się uspokoiła. Smutek pozbawił moją twarz kształtu i czuję, że też powinienem się rozplakać. Mógłbym się zmusić do łez (lub po prostu pozwolić im popłynąć – sam nie wiem, co jest bliższe prawdy), ale byłoby to wymuszone, obłudne i obraźliwe wobec pierwotnej, instynktownej rozpacz Ivy, więc nie płaczę i nic nie mówię. Głaszczę Ivy po plecach i całuję ją w głowę, a kiedy w końcu jej płacz ustaje, zalewa mnie fala ogromnej, wstydlivej ulgi.

Okolo trzeciej nad ranem wraca do nas położna. Mierzy Ivy ciśnienie i bada szyjkę macicy, podczas gdy Ivy leży na łóżku milcząca i bierna, jakby pogrążona w transie. Położna tłumaczy, że dla dobra drugiego z bliźniąt będą musieli wywołać poród. Upewnia się, czy Ivy ją zrozumiała, po czym informuje nas, że możemy zostać w szpitalu lub spędzić tę noc w domu. Na co się państwo decydują? – dopytuje, a Ivy kręci głową i obejmuje ramionami brzuch. Położna stwierdza, że może byłoby lepiej, gdybyśmy wrócili do domu, przespali się i spędzili jeszcze trochę czasu „razem, we czwórkę”.

– Co wolisz? – pytam Ivy.

Patrzy na mnie beznamiętnie, podnosi się do pozycji siedzącej i schodzi z łóżka. Idzie w stronę drzwi, a ja biorę jej szpitalną torbę i wychodzę za nią z pokoju.

* * *

Wracamy do domu przy dźwiękach radia, ale okropna, ścis-kająca za gardło prawda jedzie razem z nami, zagłusza muzykę i wypełnia wnętrze samochodu, nasze głowy, nasze serca. Kiedy wchodzimy do mieszkania, umieram z głodu. Pytam Ivy, czy ma ochotę coś zjeść, lecz tylko kręci głową, a mnie ogarnia poczucie winy z powodu mojego apetytu. Robię sobie tosta, smaruję go cienko masłem, lecz każdy kęs rośnie mi w ustach.

Ivy mówi, że idzie do łazienki. Mieszkanie – ulica, cały Londyn – jest pogrążone w ciszy, z łazienki też nie dobiegają żadne dźwięki. Po pięciu minutach wstaję z kanapy i znajduję Ivy leżącą w ubraniu na naszym łóżku.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

– Mógłbyś zgasić światło? – prosi.

Ivy nie protestuje, kiedy zdejmuję jej buty i dzinsy. Leży w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w sufit, kiedy zdejmuję również skarpetki, sweter i układam ją pod kołdrą. Wyłączam światło, rozbieram się i sam kładę się do łóżka. Obejmuję

Ivy w pasie i kładę dłoń na górze jej brzucha.

* * *

Kiedy budzę się rano tuż przed szóstą, Ivy siedzi na kanapie w pokoju dziecięcym. Ma zaczerwienione i opuchnięte oczy, jakby nie spała w nocy dłużej niż kilka minut.

– Jak się czujesz?

– Czy to jest... Czy to była dziewczynka czy chłopiec? – pyta Ivy. – Powiedzieli ci?

Kręcę głową, a Ivy odwraca się, rozczarowana.

– Przepraszam – mówię. – Jadłaś coś?

Ivy kręci głową i nagle mam ochotę na nią nawrzeszczyć. Zaciskam zęby i głęboko wciągam powietrze nosem.

– Musisz jeść.

– OK.

– Dla naszego drugiego dziecka – dodaję.

– OK! – krzyczy Ivy. – Przecież powiedziałam, że OK!

* * *

Jemy płatki śniadaniowe i pijemy kawę przy stole w kuchni.

– Spałaś? – pytam.

Ivy kręci głową.

– Powinnaś spać.

Ivy odkłada łyżkę i idzie do sypialni. Zamyka za sobą drzwi. Kiedy zaglądam do niej pół godziny później, przynajmniej wygląda, jakby spała.

Dzwonię do jej rodziców, a później do swojego taty i siostry. Odbywam trzy okropne rozmowy telefonicznie i słyszę, jak ludzie płaczą do słuchawki. Przeglądam telefon Ivy i wysyłam do osób z listy kontaktów SMS-y z prośbą o pozostawienie nas w spokoju, dopóki przez to nie przejdziemy. Gdy tak siedzę na podłodze, wystukując wiadomości, na telefon zaczynają spływać odpowiedzi; po przeczytaniu kilku z nich kasuję resztę, bo wszystkie zawierają tę samą treść i żadna nie jest w stanie niczego zmienić. Wysyłam wiadomość do Joego i Esther i proszę, żeby nie odpisywali. Kiedy odkładam telefon Ivy, muszę wziąć kilka proszków od bólu głowy, tak mnie łupie w skroniach.

Ivy budzi się po trzynastej. Bierze prysznic i wkłada świeże ubranie, po czym przychodzi i siada obok na kanapie. Całuje mnie w policzek, głaszcze po włosach, kładzie głowę na moich kolanach i leży w milczeniu przez blisko godzinę. Od czasu do czasu odpływam w stan na pograniczu jawy i snu, w którym trafiam w miejsce jednocześnie znajome i obce.

Przed piętnastą Ivy siada, odgarnia włosy z twarzy i mówi:

- Chyba powinniśmy już jechać.
 - Rozmawiałem z twoimi rodzicami. Mama powiedziała, że przyjedzie.
 - Ivy kręci głową i po policzkach znowu zaczynają jej płynąć łzy.
 - Nie teraz. Jeszcze nie.
- W głowie kołacze mi się jedna myśl: nie tak to miało wyglądać.

Rozdział 32

Na szpitalnym parkingu brakuje wolnych miejsc i musimy go objechać dookoła aż dwa razy, żeby jakieś znaleźć. Widzimy gości z kwiatami, owocami, czasopismami. Jakiś mężczyzna trzyma balon z napisem: „To dziewczynka!”.

Niosę na ramieniu torbę Ivy, w której nadal znajdują się ubranka dla dwójki dzieci i trzymając się za ręce, wchodzimy w milczeniu do szpitala. Ludzie szturchają się porozumiewawczo, uśmiechają i usiłują nawiązać kontakt wzrokowy z nami, parą spodziewającą się dziecka, kiedy przemierzamy korytarze i wjeżdżamy windą na oddział położniczy. Wciskam guzik intercomu i ściskam dłoń Ivy, czekając. Nie pamiętam, żebyśmy wczoraj musieli używać dzwonka. Minęło zaledwie piętnaście godzin, odkąd wróciłem do domu z planu zdjęciowego w piątek w nocy, i w ciągu tego czasu – niespełna dnia – nasz świat wywrócił się do góry nogami.

Lekarka ponownie bada Ivy i potwierdza, że jedno z bliźniąt – Danny, jeśli to chłopiec, Danni, jeśli dziewczynka – nie żyje. Wyjaśnia nam, co się teraz stanie, i podłącza Ivy do kroplówki. Specjalna maszyna będzie monitorować brzuch Ivy i czaszkę dziecka, dla którego musimy jeszcze wymyślić imię. Monitor przy łóżku pokazuje pojedynczy, szybki puls. Położna mówi, że leki wywołają poród dopiero za kilka godzin, więc powinniśmy trochę odpocząć.

Na ścianie wisi telewizor. Oglądamy filmy, stare seriale kryminalne, programy kulinarne, publicystyczne i reklamy. Nie zmieniamy kanałów, gapimy się w pudło, wymieniając od czasu do czasu komentarze, żeby wypełnić czymś ciszę po tej stronie ekranu. Kupuję jedzenie w szpitalnym sklepiku, jemy zapakowane w folię kanapki i chipsy, pijemy butelkowane soki i wodę. Od całego tego jedzenia robi mi się niedobrze.

Późnym popołudniem Ivy przesypia może ze dwie godziny. Wyłączam telewizor i zamykam oczy, ale sen nie chce nadejść. Bez brzęczenia sobotnich programów telewizyjnych w tle pokój wypełnia tylko pisk monitora. Czy nasze dziecko wie, że jego bliźniak nie żyje? Czy odczuwa niepokój, smutek, samotność? Noszę w portfelu zalaminowaną kartkę, którą dostaliśmy w szkole rodzenia. Po jednej stronie wydrukowany jest akronim, który ma pomóc tatusiom w zadawaniu odpowiednich pytań i podejmowaniu właściwych decyzji podczas porodu. Jeśli coś pójdzie nie tak, powinniśmy spojrzeć na kartkę i przejść przez słowo BRAIN[26]: Jakie korzyści przyniesie twoja decyzja lub zastosowana procedura? Czy istnieje potencjalne ryzyko? Czy jest jakaś alternatywa? Co podpowiada ci intuicja? Co się stanie, jeżeli nic nie zrobisz?

Żadne z tych pytań mi nie pomaga.

Serce dziecka bije od stu dwudziestu do stu trzydziestu razy na minutę. Liczę razem z maszyną: raz, dwa, trzy, cztery... i tak aż do stu dwudziestu, stu dwudziestu czterech lub stu trzydziestu dwóch razy... bez końca.

Słońce zachodzi między osiemnastą a dziewiętnastą, niebo zaś – poprzecinane pasmami złota, różu i fioletu – wygląda pięknie. Odliczam do stu dwudziestu czterech, stu dwudziestu dwóch i stu dwudziestu siedmiu.

Kiedy Ivy się budzi, za oknem jest już całkiem ciemno.

– Chyba się zaczyna – mówi.

* * *

Położna ma na imię Phoebe; skończyła swoją zmianę godzinę temu, ale postanowiła z nami zostać do końca. Mówi, że spróbują sprowadzić na świat obydwójce dzieci siłami natury. Mimo to na sali obecne są jeszcze cztery osoby z personelu medycznego. Ich milczące postaci zdają się potęgować ciszę, czyniąc ją namacalną i złowieszczą.

Phoebe przejmuje kontrolę nad sytuacją – pozostałe osoby najwyraźniej są tu na wszelki wypadek. Pomimo jej profesjonalnej postawy, oczy Phoebe są mokre od łez. Proponuje Ivy znieczulenie zewnątrzoponowe, żeby łatwiej poradziła sobie z bólem. Położna uprzedza, że po podaniu znieczulenia Ivy będzie słabiej odczuwała skurcze i trudniej będzie ocenić, kiedy powinna przeć, co może przedłużyć poród. Ivy prosi o zastrzyk. Napięcie w pokoju przypomina falę przyływu, pojawia się i znika razem ze skurczami, a Phoebe – łagodnie, z irlandzkim akcentem – mówi Ivy, kiedy oddychać i kiedy przeć. Ivy przez cały czas jest bierna, nie okazuje żadnych emocji. Wpatruje się w sufit i od czasu do czasu zamyka oczy na kilka minut. Phoebe spogląda na mnie, krzywi się i mówi bezgłośnie: „Pomóż jej!”.

Trzymam Ivy za rękę, ale nie wiem, co powiedzieć. Wymyślam kolejne słowa: „dasz radę”, „już prawie koniec”, „dobra robota”, lecz wszystkie one są nie na miejscu, nieodpowiednie, złe.

* * *

Pierwsze dziecko rodzi się czternaście minut po pierwszej w nocy, w niedzielę trzydziestego marca. To chłopiec, mniej aktywny z bliźniąt. Nazywaliśmy go Turvy, lecz w obecnej sytuacji to przewisko wydaje się błazeńskie.

Położna pyta, czy chcę przeciąć pępowinę, ale kręcę głową.

Ivy przykłada syna do piersi, płacze i całuje jego cienkie, mokre, brudne włoski.

Miał to być najszczęśliwszy dzień, najszczęśliwszy moment w moim życiu.

I możliwe, że – gdy tak patrzę na mojego doskonałego synka, luźną fioletową skórę pokrytą krwią i mazią, zaciś-nięte kurczowo oczka – przez ułamek sekundy tak właśnie jest. A później ten moment mija, ponieważ – wszyscy w sali są tego świadomi – Ivy musi urodzić jeszcze jedno, martwe dziecko. Nawet nasz syn nie płacze, jakby i on rozumiał, że na jego wielki moment padł głęboki cień.

Phoebe pyta, czy chłopczyk ma już imię, i oboje odpowiadamy, że nie.

W pokoju panuje głęboka cisza: siedzę przy łóżku, Ivy przyciska do siebie dziecko, jakby tuż po sprowadzeniu go na świat ponownie chciała się z nim złączyć. Phoebe jest zajęta: przygotowuje sprzęt, mierzy puls Ivy i sprawdza dziecku temperaturę. Mówi, że nasz syn jest zdrowy i dobrze sobie radzi, ale jego temperatura jest niższa, niż powinna, i dlatego będzie musiał trafić na oddział intensywnej terapii. Kiedy podchodzi do Ivy, żeby zabrać maluszka, Ivy wpada w histerię.

– Nie zabierajcie go, proszę. Błagam! Nie zabierajcie mi dziecka!

Kładę jedną dłoń na czole Ivy, drugą na jej ręce, a ona mocno przyciska niemowlę do piersi.

– Twój synek czuje się dobrze – tłumaczy Phoebe. – Świetnie sobie radzi, ale przez krótki czas będzie potrzebował nieco więcej uwagi. – Bierze dziecko i delikatnie wyswobadza je z uścisku Ivy. Na twarzy Ivy malują się smutek i strach. Trzyma dziecko w wyciągniętych ramionach, a kiedy wreszcie je puszcza, jej ramiona opadają bezwładnie na łóżko, twarz nagle przestaje wyrażać jakiegokolwiek emocje.

Nasz synek zostaje umieszczony w plastikowym łóżeczku na kółkach, którego wcześniej nie zauważyłem, i wywieziony z pokoju. Gdy tylko zamykają się za nim drzwi, zaczyna płakać – dźwięk odbija się echem od ścian korytarza i milknie.

* * *

Danny – również chłopiec – rodzi się „uśpiony” o drugiej dwadzieścia osiem. Bliźnięta jednojajowe. Lekarze musieli naciąć krocze Ivy i użyć kleszczy, żeby przyspieszyć poród, a Danny po przyjściu na świat jest cały we krwi. Położna już mnie nie pyta, czy chcę przeciąć pępowinę, i wyciera dziecko, zanim poda mi jego nieruchome ciało. Danny ma zamknięte oczy, podobnie jak jego starszy brat. W przeciwieństwie do niego nie denerwuje go ostre światło na porodówce; jest zrelaksowany i spokojny.

Ivy odwraca twarz.

– Czy... czy wszystko z nim w porządku? – pyta.

– Jest piękny – mówię. – Proszę. – Podaję jej dziecko.

Ivy odwraca się i uśmiecha, ale tylko samymi ustami. Bierze ode mnie Danny'ego.

– Hej – szepcze mu w kark, całuje czubek jego głowy, nos i usta. – Cześć, malutki.

Zostajemy przeniesieni do jednoosobowej sali, gdzie -Phoe-be pomaga Ivy odciągnąć odrobinę mleka, które zostanie podane naszemu synkowi na oddziale intensywnej terapii. Phoebe mówi, że mogą zostać, lecz Ivy radzi mi, żebym wrócił do domu i przespał się we własnym łóżku. Prosi, żebym zadzwonił do jej rodziców, ale zabronił im na razie przyjeżdżać. Mówi, że chce być sama z Dannym.

Na korytarzu Phoebe obejmuje mnie i oboje płaczemy. Pytam ją, co poszło nie tak, na co odpowiada, że czasami „tak się po prostu dzieje”. Nie istnieje oczywista przyczyna, wyraźny powód, dla którego jeden z naszych synów przeżył, a drugi zmarł w łonie matki. Phoebe oznajmia, że zatrzymają Ivy na oddziale dzień czy dwa i że Danny będzie mógł z nią zostać. Sam pomysł wydaje mi się makabryczny i mówię o tym Phoebe, ale ona zapewnia, że to pomoże Ivy uporać się z żalem i pożegnać się z naszym synkiem. Wyjaśnia, że umieszczą w pokoju specjalne wychłodzone łóżeczko, do którego Ivy będzie mogła odkładać Danny’ego, kiedy nie będzie go trzymać w ramionach.

* * *

Kiedy wracam do mieszkania, jest już po szóstej, słońce wschodzi ponad sylwetkami drzew i domów na naszej ulicy. Mieszkanie sprawia wrażenie nienaturalnie cichego i pustego – czuję, jakby brakowało w nim nie tylko Ivy, lecz także dwójki dzieci, które nosiła pod sercem od połowy ubiegłego lata, czyli przez całą wieczność.

Karmię złotą rybkę, zmywam wczorajsze naczynia, parzę kawę i niosę ją do pokoju dziecięcego, gdzie zabieram się do demontowania jednego łóżeczka, jednej karuzeli i jednego bujaczka. Znoszę rozłożone części do samochodu razem z dodatkową, niepotrzebną już kołyską. Zdejmuję drugi fotelik z tylnego siedzenia samochodu i chowam go do bagażnika razem z resztą rzeczy, na których mały Danny nigdy nie będzie siedział, spał ani się w nich bujał. Kiedy otwieram drzwi do mieszkania, ręce drżą się tak bardzo, że z trudem wkładam klucz do zamka.

Wreszcie pojawiają się łzy. Wściekłe, histeryczne łzy, za które jestem tak wdzięczny, że wrzeszczę do pustych ścian jak pijany i wbijam kłykcie w skronie, aż zaczynam widzieć białe plamki.

Minutę po dziewiątej jadę do sklepu charytatywnego, ale zapomniałem, że jest niedziela, więc wszystko jest zamknięte. Kusi mnie, żeby zostawić wszystkie te rzeczy na chodniku, ale to byłby brak szacunku dla Danny’ego. Jadę do Earl’s Court i zatrzymuję się przed domem Ela i Phila. Jednak kiedy tak siedzę za kółkiem, wsłuchując się w stygnący silnik, dociera do mnie, że przyjazd tutaj to kiepski pomysł. El pewnie powie coś prostackiego i głupiego, a ja jestem w takim stanie, że mógłbym mu nawet dać w twarz. Na samą myśl o jakimś niepoważnym

komentarzu ściskam kierownicę tak mocno, że aż bolą mnie kostki w dłoniach, więc chociaż chciałbym pogadać z Philem i posiedzieć z Elem, włączam silnik i wracam do mieszkania.

Z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin przespałem nie więcej niż sześć i zaczyna mi się robić niedobrze. Parzę kolejny dzbanek kawy i dzwonię do taty. Niewiele rozmawiamy. Mówię mu, co się stało, a gdy łkam do słuchawki, tata wypowiada słowa, które powinny mnie pocieszyć. Poradzicie sobie, stwierdza, w końcu sobie z tym poradzicie.

Powtarza to, kiedy siedzę w baśniowym pokoiku dziecięcym, płacząc, i wpatruję się w zagłębienia w dywanie, gdzie jeszcze przed godziną stało łóżeczko Danny'ego.

26 *Brain* (ang.) – mózg.

Rozdział 33

Kiedy wchodzę do szpitalnej sali w niedzielny wieczór, Ivy leży w łóżku z Dannym, głaszcząc policzkiem główkę naszego synka. Wygląda, jakby żył: różowy, spokojny i piękny. Doskonale paluszki są zaciśnięte w piąstki, okrągłe policzki spoczywają na piersi matki. Ivy ma zamknięte oczy.

Siadam na krześle obok łóżka i głaszczę Ivy po głowie. Przeciągam dłonią po jej brązowych włosach aż do miejsca, w którym stykają się z ramieniem Danny'ego. Pozwalam dłoni opaść na jego główkę, zimną jak lód. Kiedy Ivy otwiera oczy, odruchowo się wzdrygam.

– Hej – mówię.

Ivy patrzy na mnie beznamiętnie.

Świeżo upieczona matka i jej dziecko powinni stanowić piękny obrazek, najpiękniejszy na świecie. Ivy wygląda jak śmierć; nie spała i nie przestała płakać, odkąd wyszedłem rano ze szpitala.

Jak się czujesz? Zdołałaś zasnąć? Tak mi przykro – zwracam się do niej w myślach.

A na głos mówię:

– Widziałaś dziecko... To drugie?

Ivy kręci głową. W kąciку jej oka tworzy się łza, która spływa po policzku i brodzie, ginąc w rzadkich brązowych włoskach Danny'ego. Od wczoraj nasz syn został umyty, ale jego główka jest lepka i wilgotna od łez.

– Czy mogę go potrzymać?

Ivy zaczyna drżeć dolna warga. Przyciska Danny'ego do piersi, zamyka oczy i tuli policzek do jego główki. A później się rozluźnia, otwiera oczy i podaje mi syna. Danny jest lekki jak piórko; urodzony pięć tygodni przed terminem, bez problemu mieści się w dłoniach i waży tyle co nic. Jest ubrany w białe bawełniane śpioszki, a jego klatka piersiowa promieniuje ciepłem, które przekazała mu Ivy. Jedna strona jego twarzy również jest ciepła, miękki policzek dotyka mojej szyi. Jednak druga strona, podobnie jak plecy i pupa, są lodowato zimne pod cienkim materiałem. Wsuwam wskazujący palec w zaciśniętą piąstkę i mam wrażenie, że jego maleńkie, doskonale paluszki odwzajemniają uścisk.

– Powinniśmy pójść do jego brata – mówię. – On nawet nie ma imienia.

Ivy marszczy brodę i zastanawiam się, ile łez jest w stanie wytworzyć człowiek.

– Nie możemy go wiecznie nazywać Turvym – tłumaczę, zmuszając się do uśmiechu, ale chyba jest jeszcze za wcześnie, bo Ivy się odwraca.

– A ty go widziałeś? – pyta.

– Pomyślałem, że moglibyśmy go odwiedzić razem.

Ivy obróciła głowę w moją stronę.

– Czy on...?

– Czuje się dobrze – mówię. – Położna twierdzi, że jest silny, pije mleko i daje im popalić.

Ivy wyciąga ramiona, prosząc o Daniela, więc go jej podaję. Kładzie go sobie na piersi, całuje jego włoski i głaszcze po plecach, jakby chciała go ogrzać.

– Nie mogę – odpowiada. – Nie dzisiaj.

– Tylko na pięć minut?

Ivy kręci głową.

– Po tym – gładzi główkę Daniela – nie ma już nic. To jest... to jest wszystko, na co mogę liczyć. – Całuje go w główkę. – To wszystko.

Po godzinie Ivy zasypia, a ja tulę do siebie Daniela tak długo, jak tylko daję radę, i ponownie odkładam go do wychłodzonego łóżeczka. Kiedy Ivy śpi, odwiedzam naszego syna na oddziale intensywnej terapii.

On również śpi w swoim inkubatorze. Do piersi ma przytwierdzone dwie niebieskie poduszeczki, od których odchodzą kable; kolejny jest przypięty do stopy za pomocą mankietu z rzepem. „Nie ma powodu do obaw” – zostaję natychmiast uspokojony, nasz syn dobrze sobie radzi z oddychaniem, ale potrzebuje pomocy, żeby utrzymać odpowiednią temperaturę ciała.

Dwoje dzieci, które nie potrafią zatrzymać ciepła – jedno leży nieruchomo w wychłodzonym łóżeczku, drugie śpi w podgrzewanym inkubatorze, jego brzusek z każdym oddechem wznosi się i opada. Z boku inkubatora znajduje się okrągłe okienko; po umyciu i zdezynfekowaniu rąk mogę je wsunąć w wąski otwór i dotknąć naszego synka.

– Witaj, synku – szepczę. – Witaj, MałyT.

Mały T prostuje obydwie nóżki i ziewa, po chwili jego ciało znowu się rozluźnia. Kładę palec na dłoni syna, a on go ściska – mocno i zdecydowanie. Uśmiecham się, jakby to wszystko spotkało kogoś innego, nie mnie. Ten uśmiech malujący się na mojej twarzy jest nieporadny, ale to pierwszy niewymuszony od prawie dwóch dni.

* * *

W poniedziałek rano zjawiam się w szpitalu kilka minut po dziewiątej i zmierzam prosto na oddział intensywnej terapii. Mały T – mający zaledwie trzydzieści godzin – nadal leży w inkubatorze, ale położna pozwala mi go wyjąć i przytulić. Chociaż to ostatni dzień marca i na dworze jest ciepło, Mały T ma na sobie śpioszki, sweterek, buciki i wełnianą czapeczkę. Wydaje cichy dźwięk, który porusza mnie bardziej niż jakiegokolwiek słowa. Kiedy pójde odwiedzić Ivy

i Danny'ego, wszystko się zmieni: trafię do innego świata, w którym nasze dziecko nie żyje i gdzie nie wolno się uśmiechać. Stawiam więc krzesło przy oknie i siadam na nim z Małym T tak, by mógł czuć promienie słońca na twarzy. Patrzę, jak śpi, a jego oczy otwierają się na krótką chwilę, patrzę, jak jego piąstki zaciskają się i otwierają, patrzę, jak oddycha. Kiedy zaczyna płakać, położna przynosi butelkę mleka i karmię nim mojego synka. Głaszczę go po plecach, dopóki mu się nie odbije, i zmieniam mu pieluszkę, po raz pierwszy widzę jego brzusek, cienkie nóżki i pomarszczoną pupkę. Mały T śpi w moich ramionach przez jedną spokojną godzinę, dopóki położna nie włoży go z powrotem do inkubatora.

* * *

Kiedy przychodzę odwiedzić Ivy, Daniel leży w swoim łóżeczku. Ivy uśmiecha się na mój widok, ostrożnie i z rezerwą, i pyta, „czy już się z nim widziałem”.

– Właśnie od niego wracam – mówię. – Jest niesamowity.

Ivy kiwa głową, zrezygnowany uśmiech nie schodzi z jej ust.

– Przyniosłem zdjęcia – dodaję, podając telefon.

Ivy przegląda zdjęcia, robiąc zbliżenia twarzy i dłoni Małego T. Uśmiech zaczyna się mozolnie wspinać w kierunku jej oczu (choć jeszcze do nich nie dociera), gdy tak patrzy na swojego synka i przykłada palce do ekranu, żeby dotknąć jego twarzy.

– Mały T – mówię.

Ivy marszczy brwi.

– Co takiego?

– Mały T; tak go nazywam.

Ivy przytakuje.

– T jak Turvy – odpowiada, podając mi telefon.

– Spałaś?

– Trochę.

– Jak się czujesz?

Wszelkie ślady uśmiechu znikają z jej twarzy, kiedy odwraca się, żeby spojrzeć na Danny'ego.

– Dałem T butelkę – ciągnę. – Zmieniłem mu pieluszkę.

Ivy przytakuje, wydaje z siebie krótkie rozbawione prychnięcie.

– Lekarze mówią, że będziemy go mogli zabrać jutro do domu.

Ivy spuszcza nogi z łóżka, wstaje, podchodzi do łóżeczka i wyjmuję z niego Daniela. Słuchamy radia, jemy kanapki, przytulamy nasze dziecko i drzemiemy, aż wreszcie około szóstej Ivy mówi mi, że jest zmęczona i chce zostać sama. W drodze do wyjścia spędzam kolejną godzinę z Małym T na oddziale intensywnej terapii.

Dwie minuty po powrocie do mieszkania ktoś dzwoni do naszych drzwi. Po trzecim dzwonku schodzę na dół, żeby otworzyć.

– Cześć, Haroldzie.

– Przyszły kwiaty – oświadcza mój sąsiad zza ściany, nerwowo bawiąc się dłońmi; najwyraźniej nie chce ze mną nawiązać kontaktu wzrokowego.

– Rozumiem.

– Co się stało? – pyta Harold ze wzrokiem wciąż wbitym w ziemię.

Biorę głęboki oddech.

– Spodziewaliśmy się dwóch chłopców – wyjaśniam. – Bliźniaków. Tylko że jeden z nich urodził się martwy.

Harold kiwa głową.

– Przykro mi.

Gdybym nie wiedział, że go tym wystraszę, tobym go przytulił. Nie dla dobra Harolda, tylko dla mojego. Harold jest pierwszą osobą spoza szpitala, z którą rozmawiam w cztery oczy od piątku.

– Pójdę po nie – oświadcza Harold i znika, zostawiając mnie samego. Po minucie zjawia się z wielkim bukietem białych lilii. Wchodzi do domu, a ja czytam treść bilecika: „Z wyrazami miłości, Joe i Jen”. Harold wraca z kwiatami od Phila i Ela: „Przesyłamy wam wyrazy miłości w tym smutnym czasie”. Harold przynosi kwiaty od Marii, Evy i Kena, Esther i Nina; wszyscy oni dzielą się ze mną swoją miłością w tym tragicznym, kurwa, czasie.

– Czy mogę coś dla was zrobić? – pyta Harold.

Mam ochotę powiedzieć, żeby zabrał te wszystkie kwiaty i wyrzucił je do najbliższego kosza, lecz zamiast tego proszę, żeby pomógł mi je wnieść do mieszkania. Proponuję mu coś do picia, ale Harold odpowiada, że musi odrobić pracę domową.

Mamy więcej bukietów kwiatów niż wazonów, do których moglibyśmy je wstawić, więc jadę do sklepu w Wimbledonie i kupuję trzy nowe. W drodze do domu zatrzymuję się w supermarkecie i kupuję świeże mleko, chleb, owoce, gotowe posiłki i wino. Po powrocie do mieszkania wyciągam z kieszeni dzinsów rachunek ze sklepu i znajduję skrawek pękniętego czerwonego balonu. Wyrzucam rachunek do kosza, a kawałek balona chowam do przegródki w portfelu.

Po uporaniu się z kwiatami zjadam dwie porcje lazanii i wypijam butelkę wina Shiraz, po czym otwieram następną i opróżniam ją prawie do połowy, nim wreszcie zasypiam na kanapie.

* * *

We wtorek zabieram Małego T do mamy.

Trzymam w ramionach Daniela, a Ivy kołysze nasze żywe dziecko i zanosi się płaczem. Przedstawiamy sobie braci i chociaż od narodzin Daniela minęły dwa

dni, chłopcy nadal wyglądają identycznie. Za radą położnej przyniosłem aparat fotograficzny i zrobiłem zdjęcia Danielowi – samemu i z mamą. Phoebe ma dziś dyżur i robi nam zdjęcia z Danielem, ale postanawiamy nie robić żadnych zdjęć obydwu chłopcom razem. Phoebe przynosi do pokoju gips, robi odlewy dłoni i stóp Daniela, a gdy zastygają, delikatnie czyści mu skórę zwilżonymi wodą wacikami. Pyta, czy chcemy zachować pukiel jego włosów na pamiątkę, ale Ivy odmawia. Następnie Ivy przebiera Daniela. Jego naga skóra jest bledsza niż u brata, nieruchoma klatka piersiowa i brzusek są lekko sine, więc kiedy przykrywa je czystym białym kaftanikiem, zalewa mnie fala ulgi.

Po wszystkich tych ceremoniach, formalnościach, zawinięciu suchych odlewów dłoni i stóp Daniela w ręcznik przez ponad godzinę płaczemy, tulimy i żegnamy się z naszym synkiem. Ivy siedzi w fotelu przy oknie, spakowana i gotowa do wyjścia, tuli Daniela do piersi i głaszcze go po włosach, a ja siedzę na łóżku, trzymając w ramionach Małego T. I chociaż jest mi z tego powodu wstyd, marzę o tym, żeby to wszystko wreszcie się skończyło. Chcę wrócić do domu z naszym synem i żyć dalej.

A gdy już zbieram się, żeby coś powiedzieć, Ivy wstaje z fotela.

– W porządku – mówi. – Chodźmy.

Rozdział 34

Nasz syn nadal nie ma imienia, chociaż minął tydzień, odkąd przywieźliśmy go do domu.

Ivy próbowała go karmić piersią, ale – być może dlatego, że pierwsze trzy dni życia spędził z dala od matki i pił mleko z butelki – Mały T nie potrafi lub nie chce ssać piersi. Ivy odciąga mleko, ale nie wykazuje chęci, żeby podać naszemu dziecku butelkę, więc to ja go karmię, a ona przez większą część dnia leży bez słowa, zwinięta w kłębek w kącie kanapy (jakby chciała się schować za poduszkami), pogrążona w drzemce lub lekturze. Mały T rzadko płacze, ale kilka razy przyłapałem ją na tym, że krzywi się na dźwięk płaczu, jakby miała do naszego syna żal o to, że jej przeszkadza. Pomimo to Ivy śpi teraz w pokoju dziecięcym, żeby móc w nocy czuwać nad dzieckiem. Planowaliśmy, że bliźnięta będą spały w kołyskach w naszej sypialni, ale skoro Mały T spędził pierwsze dni życia w inkubatorze, zdaniem Ivy powinniśmy mu przynajmniej pozwolić spać we własnym pokoju. I tak Mały T śpi w kołysce lub w łóżeczku, Ivy na niewygodnej kanapie, zbyt krótkiej, żeby mogła się na niej wyciągnąć, a ja sam w naszym małżeńskim łóżku.

Wieczory spędzamy przed telewizorem. Zjadamy kolację z leżących na kolanach talerzy i rozmawiamy na neutralne tematy. Ivy odciąga mleko, a ja wypijam większość lub całą butelkę wina (w ciągu dnia strzelam sobie jeszcze ze dwa–trzy piwa). Próbowałem poruszyć temat imienia dla Małego T, lecz Ivy za każdym razem się wycofuje, płacze i pyta poirytowana, skąd ten pośpiech.

* * *

W słoneczny, chociaż zimny, czwartek, dzień przed planowanym terminem porodu, chowamy małego Daniela. Jego brat bliźniak śpi niczego nieświadomy w podwójnym wózku, gdy trumna zostaje opuszczona do niewielkiego grobu. Nie widzieliśmy Daniela, odkąd pożegnaliśmy go w szpitalu osiem dni wcześniej i teraz, kiedy znika nam z oczu, całym sercem żałuję, że nie odwiedziliśmy go ten ostatni raz i nie daliśmy mu misia, żeby dotrzymał mu towarzystwa. Mistrz ceremonii pyta, czy chcemy rozsypać ziemię, ale żadne z nas nie chce tego robić. Ivy odwraca się w stronę wózka, łzy spływają jej po policzkach, i bardzo ostrożnie bierze Małego T w ramiona. Jedną rękę trzyma pod jego pupą, drugą przytrzymuje tył główki. Całuje naszego syna w czoło, nos i obydwa policzki i mówi:

– Chodź do domu, malutki.

Rozdział 35

W niedzielę wielkanocną Ivy oznajmia, że idzie do kościoła. Jesteśmy razem od ośmiu miesięcy i jednego tygodnia i jest to pierwszy raz, kiedy wspomina o kościele. Nie pyta, czy się z nią wybiorę, po prostu informuje, że zabiera Małego T na mszę wielkanocną. Mimo to wkładam płaszcz i kiedy całą trójką siedzimy w ławce na tyłach kościoła, zastanawiam się, czy istnieje szansa, żeby było między nami jak dawniej. Ivy nie jest do mnie wrogo nastawiona, ale też nie okazuje mi zainteresowania ani czułości. I chociaż lubię patrzeć, jak buduje więź z naszym synem – czyta mu bajki, śpiewa, robi głupie miny – czuję się wtedy jak intruz. Poza tym Mały T nauczył się wreszcie ssać i najczęściej pije mleko z piersi, co jest dobre – nawet bardzo dobre – dla matki i dziecka, za to ja zostałem wykluczony z karmienia naszego syna. Ivy większość dnia przesypia z wtulonym w nią Małym T, więc kiedy tak siedzimy razem w kościele Chrystusa Króla, wcale nie czuję, żebyśmy byli rodziną.

W czwartek przyjechali do nas rodzice Ivy, a ona powolutku zaczęła wychodzić ze swojej skorupy. Uśmiechnęła się kilka razy i nawet się roześmiała, widząc, jak jej rodzice zachwycają się wnukiem. Oczywiście płakaliśmy, ale obecność Małego T sprawia, że musimy się wszyscy skupić na tym, co tu i teraz. Wypiliśmy z Kenem butelkę wina, późną nocą położyłem się na kanapie, państwo Lee zajęli naszą sypialnię, a Ivy kanapę w pokoju dziecięcym. Mimo poduszek i nowego koca przewracałem się z boku na bok przez ponad godzinę, zanim wreszcie dałem sobie spokój ze spaniem. Dom był tak uśpiony i cichy, że nie miałem śmiałości włączyć telewizora czy choćby czajnika, więc zwróciłem się w stronę regału z książkami w poszukiwaniu czegoś usypiającego. Zdjąłem z półki i odłożyłem z powrotem z pół tuzina książek, zanim zauważyłem, że wszystkie książki, których Ivy nie dokończyła – *Paragraf 22*, *Zbrodnia i kara*, *Władca Pierścieni* i ze dwadzieścia innych – zniknęły. Nie mam pojęcia, gdzie się podziały, ale to odkrycie wytrąciło mnie z równowagi. Możliwe, że w podobny sposób Ivy porzuciła też naszą, równie niedokończoną, historię.

Następnego dnia wybraliśmy się do Common, a Eva i Ken postawili nam lunch w The Village. Kiedy jest się na ulicy z niemowlęciem, zaczepiają cię obcy ludzie: podchodzą do stolika nieproszeni, głaszczą twoje dziecko po policzku, mówią, że jest śliczne, i pytają o imię. Na co ty zaciskasz zęby, uśmiechasz się grzecznie, dziękujesz i ze śmiechem odpowiadasz, że dziecko nie ma jeszcze imienia. A kiedy ci wszyscy ludzie patrzą na ciebie z niedowierzaniem, odwracasz się, wołasz kelnera i zamawiasz kolejny kieliszek wina.

Rozstaliśmy się wczesnym wieczorem; Eva przytuliła mnie i poradziła, żebym był cierpliwy, a Ken pocałował w szyję, czego nigdy wcześniej nie robił, i był to najbardziej czuły gest, jakiego doświadczyłem od blisko dwóch tygodni. Mój tata nie poznał jeszcze swojego pierwszego wnuka; nie wiem, czy Ivy jest już na to gotowa, ani czy chcę, żeby tata oglądał nas w takim stanie.

W piątek odwiedziła nas Eunice, dobrze zbudowana, energiczna położna, żeby sprawdzić, jak się czują matka i dziecko. Wykonała przy tym własną wersję coraz bardziej znajomego rytuału złożonego z uścisków, pocałunków, łez, gratulacji i kondolencji. Powiedziała nam, że Ivy może poprosić lekarza o receptę na antydepresanty, ale przyjmując je, musiałyby przestać karmić piersią, na co Ivy tylko pokręciła głową. Później Eunice stwierdziła, że Daniel „jest teraz z Jezusem” i musiałem wyjść z pokoju. Nie wiem, czy byłem zły na Eunice za tę uwagę, czy na siebie za to, że jej nie uwierzyłem. Pomyślałem, że może ja też potrzebuję antydepresantów, ale sama myśl o tym była tak przerażająca, że odsunąłem ją od siebie.

Kiedy siedzę w zimnym kościele na krańcu Wimbledon Village, brakuje mi oparcia, jakie daje człowiekowi wiara. Miejsca, do którego mógłbym przyjść po radę i pocieszenie, pomodlić się lub przekazać wiadomość swojemu zmarłemu synowi. Myślę o wierze Ivy w spełniającą życzenia wróżkę – to, co jeszcze dwa tygodnie temu wydawało się rozkoszne i cudowne, odbieram teraz jako płytkie i bezmyślne.

– Dzisiaj świętujemy dzień, w którym Jezus powrócił z martwych – mówi wikariusz.

Zerkam ukradkiem na Ivy, ale ma zamknięte oczy i pochyloną głowę.

A skoro nie wierzę w Boga, również zamykam oczy i wypowiadam w myślach życzenie, żeby Daniel siedział mi na kolanach, gaworząc, popłakując i oddychając, i żebym odzyskał dawną Ivy; taką, jaka była, kiedy się w sobie zakochaliśmy.

Rozdział 36

Stoję na dachu i wpatruję się w serce narysowane kredą na betonie piętnaście metrów niżej. Jesteśmy tu od piątej rano, żeby nakręcić scenę wschodu słońca ponad dachami uśpionego miasta.

Gdzieś tam jest Ivy i mój syn, który przyszedł na świat trzydzieści jeden dni temu i nadal nie ma imienia. Mamy ostatni dzień kwietnia i kręcimy drugą scenę na dachu do *Reinterpretacji Jacksona Pollocka*. Chociaż ciałem jestem na planie, moje myśli krążą zupełnie gdzie indziej. Chciałem odwołać zdjęcia, ale Ivy się nie zgodziła. Stwierdziła, że praca dobrze mi robi, ale zaczynam się oswajać z myślą, że jest szczęśliwsza, kiedy nie ma mnie przy niej.

W tej scenie nasz nieszczęśliwie zakochany bohater – załamany i samotny – zastanawia się, czy nie rzucić się z dachu. W scenariuszu to było wzruszające, jednak teraz, po wszystkim, co nas spotkało, gdy wychylam się przez parapet i czuję, jak zimna -ceg-ła wbija się w moje biodro, odbieram tę scenę jako trywialną i sztuczną. Kiedy opowiedziałem fabułę filmu Elowi, skwitował ją słowami „cholernie głupia”. Mam wrażenie, że nasz aktor i reszta ekipy myślą podobnie. A może to zwykła projekcja. Kiedy zjawiłem się na planie zdjęciowym, czułem, jak ich emocjonalna maszyna próbuje znaleźć równowagę między normalnością i współczuciem, empatią i powściągliwością. Patrzyłem na zmieniający się wyraz twarzy członków ekipy, kiedy próbowali się uśmiechnąć, ale niezbyt wylewnie. Tylko Suzi się rozplakała.

– Obiecałam sobie, że nie będę płakać, ale... tak mi przykro – powiedziała. – Tak strasznie przykro.

Szkoda mi Suzi, bo ten scenariusz to jej dziecko, i powinniśmy dać z siebie wszystko. Zamiast tego ślizgamy się od sceny do sceny i odfajkowujemy kolejne ujęcia, zawstydzeni ich wydumany sentymentalizmem w zderzeniu z prawdziwym życiem. Jakim cudem zawiedziony kochanek mógłby rozważyć samobójstwo w świecie, w którym niemowlęta rodzą się martwe?

Co wieczór wypijam już półtorej butelki wina i kiedy zerkam w dół na jaskrawe, wymalowane kredą na chodniku serce, zalewa mnie fala mdłości, i kręci mi się w głowie. Jestem zmęczony.

Joe staje za moimi plecami. Słyszę, jak oddycha przez nos, i co jakiś czas dolatuje mnie zapach kawy i bekonu w jego oddechu. Przez ostatnie dwa dni nakręciliśmy wszystkie sceny we wnętrzach. Zgodnie ze scenariuszem od tego momentu nasz bohater znowu wychodzi na prostą. Kiedy skończymy kręcić tę scenę, film będzie gotowy. Później czeka nas już tylko montaż, udźwiękowanie,

korekcja obrazu i zajmiemy się czymś nowym. Co to będzie w moim przypadku, nie mam pojęcia. Nie wydaje mi się jednak, żebyśmy byli wtedy z Ivy parą. Oboje jesteśmy teraz innymi ludźmi.

Ivy nadal nocuje w pokoju Małego T, a ja śpię sam w naszym małżeńskim łóżku. Prawie każdego dnia biegam, Ivy wróciła do uprawiania jogi. Ona czyta w pokoiku dziecięcym; ja oglądam telewizję, siedząc na kanapie. Nasze plany zajęć się nie pokrywają, więc przestaliśmy jadać wspólne posiłki. Dzielimy tę samą przestrzeń, ale mamy ze sobą coraz mniejszy kontakt. Czasami chodzimy na spacer, pchamy wózek z Małym T przez Common lub wybieramy się do Village na kawę. Jednak nawet wtedy nie opuszcza mnie wrażenie, że jesteśmy parą nieznajomych mieszkających pod wspólnym dachem.

W te wieczory kiedy nie upijam się do nieprzytomności, biorę leki nasenne bez recepty. Zgodnie z informacją na opakowaniu powinienem łyknąć jedną tabletkę, ale zażywam dwie. Mimo to prawie co noc nawiedzają mnie koszmary. W niektóre poranki przez kilka sekund po przebudzeniu nie pamiętam o tym, że Daniel zmarł w łonie matki, lecz później sobie przypominam.

Joe kładzie mi rękę na ramieniu. Mocno mnie przytula, czy to z sympatii, współczucia, czy też strachu, że rzucę się z tego pieprzonego dachu... Zresztą, kto wie, może tak zrobię?

– Gotowy? – pyta.

– Uhm.

Około dziesiątej trzydzieści kręcimy ostatnie ujęcie. Kiedy blisko sześć godzin wcześniej zabieraliśmy się do pracy, było zimno i ciemno, za to teraz na czystym, bezchmurnym niebie świeci słońce. Ostatnie ujęcie, oglądane na monitorze, wydaje się w porządku. Nie potrafię stwierdzić, czy jest wzruszające, melodramatyczne, kinowe czy pozbawione emocji; brakuje mi perspektywy, żeby spojrzeć na nie obiektywnie.

– Skończyliśmy – wołam; wszyscy zaczynają klaskać i poklepywać się po plecach.

Zaczynam bić brawo, gwizdać i cieszyć się jak wariat, a ekipa nie ma innego wyjścia, jak tylko do mnie dołączyć. Kiedy ostatnim razem wracałem z planu, Ivy czekała w domu z wiadomością, że nasze dziecko przestało się ruszać. Od tamtego dnia upłynął równo miesiąc, ale mam wrażenie, jakby to się stało wczoraj i jednocześnie całe wieki temu.

– Czy któreś z was postawi mi drinka, czy pozwolicie, żebym pił sam? – zwracam się do Joego i Suzi.

– O dziesiątej trzydzieści w środowy poranek? – mówi Joe. – A niby co innego mam do roboty?

Suzi zerka przez ramię na aktora (swojego chłopaka?), któremu właśnie zmywają make-up.

– Tylko my troje, OK? – pytam.

Suzi przytakuje.

– Jasne, ale ja stawiam.

Zanim pożegnaliśmy się z ekipą i dotarliśmy do pubu, zrobiła się jedenasta trzydzieści. Pub jest pusty, nie licząc dwójki pracowników i garstki stałych bywalców. Suzi dotrzymuje słowa i stawia pierwszą kolejkę. Razem z Joem wolno sączą piwo i gdy oni są w połowie, mój kufel jest już pusty.

– Powinniśmy się napić szampana – mówię. – Nie można świętować zakończenia zdjęć bez szampana.

Suzi spogląda na zegarek, Joe wygląda na zaskoczonego.

– No co? – pytam z nutką agresji w głosie. – Co takiego powiedziałem?

– Nic – odpowiada Joe. – Masz absolutną rację. Zamówmy najpierw coś do jedzenia, OK?

– Nie jestem głodny, ale dzięki za...

– Zamówimy coś do jedzenia – nie ustępuje Joe. – Wy siedźcie, a ja pójdę do baru. W porządku, Suzi?

– Jasne – odpowiada Suzi. – Oczywiście.

– Trzy hamburgery, tak?

– Burgery i bąbelki! – krzyczę, zwracając na siebie uwagę lokalnych pijaczków.

W połowie posiłku – i butelki szampana – ulatuje ze mnie cała energia. Żołądek podchodzi mi do gardła, szampan smakuje jak ocet. Kiedy ostatnio widziałem się z Elem, nalałem mu drinka wbrew zakazowi Phila, zaleceniom lekarskim i zdrowemu rozsądkowi, bo... dlaczego nie, do cholery? Jednak niezależnie od ilości wypitego alkoholu i stopnia rozczulenia nad samym sobą jestem dostatecznie trzeźwy, by wiedzieć, że nie mogę użyć tej samej wymówki w stosunku do siebie. Jestem teraz ojcem. Cokolwiek się wydarzy pomiędzy mną i Ivy, jestem ojcem.

– Nie chcę wam psuć zabawy – stwierdzam, odstawiając kieliszek – ale powinienem się zbierać.

– Taksówka już na ciebie czeka – odzywa się Joe.

– Taki jesteś sprytny, co?

– Proszę – mówi, wręczając mi trzy banknoty dwudziestofuntowe. – Kup Ivy pieprzone kwiatki.

Kręciliśmy scenę w Islington, w północnym Londynie, więc do Wimbledon Village czeka mnie długa jazda taksówką. Dostatecznie długa, żeby trochę wytrzeźwieć, uspokoić się i pomyśleć. W ten słoneczny wiosenny dzień ulice są pełne cieszących się życiem ludzi: pracowników, studentów, turystów, matek pchających wózki. Taksówkarz myśli pewnie, że coś ze mną nie w porządku, gdy tak obserwuję przesuwający się za oknem Londyn, z czołem przyciśniętym do

szyby, nieprzerwanie płacząc. Przecinamy rzekę mostem Waterloo, a ja nadal trzymam w dłoni trzy dwudziestki, które wcisnął mi pół godziny wcześniej Joe. „Kup Ivy pieprzone kwiatki” powiedział i możliwe, że był ze mną bardziej szczery, niżbym go o to podejrzewał. Początkowo uznałem jego słowa za męski blef i przejaw brawury, sposób na rozładowanie krępującej sytuacji. Jednak im dłużej się nad nimi zastanawiam, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że Joe kazał mi – w ten swój słodki i subtelny sposób – wziąć się w garść i zacząć myśleć o Ivy, zamiast użalać się nad sobą. I miał rację. Kiedy urodził się Danny, oboje z Ivy straciliśmy syna, ale to ona musiała spać z nieżywym dzieckiem w łonie i urodzić bliźnięta: jedno żywe, drugie martwe. Chociaż czuję się chory, smutny, samotny i załamany i próbuję o tym wszystkim zapomnieć, pijąc alkohol i łykając tabletki nasenne, Ivy cierpi nieskończenie bardziej. Skoro musi się zamknąć we wnętrzu własnej głowy i serca, żeby przez to przejść, ja mogę się przynajmniej zachować jak dorosły mężczyzna. Lub też, jak to zwięźle ujął Joe, kupić jej pieprzone kwiatki.

Proszę taksówkarza, żeby zatrzymał się przed kwaciarnią, kupuję dwadzieścia cztery herbaciane róże, po czym udaję się do niebotycznie drogiego sklepu spożywczego i zdzierającego skórę z klientów rzeźnika.

Rozdział 37

Okolo piątej rano w piątkowy poranek po raz szósty budzi mnie chrapanie taty. Przyjechał do nas wczoraj, więc po raz kolejny śpię, czy raczej próbuję spać, na kanapie. Słońce zaczyna wschodzić i przez żaluzje w salonie wpada dostatecznie dużo światła, by oświetlić dwa tuziny róż stojące w wazonie nad kominkiem. Kilka łądzynek zaczyna więdnąć po zaledwie dwóch dniach; rozczarowujące, biorąc pod uwagę, ile na nie wydałem. Co prawda w ubiegłym miesiącu w naszym mieszkaniu nie brakowało kwiatów, ale Ivy i tak się popłakała na widok tych róż – nie powiedziałem tego głośno, ale chyba zrozumiała, że kupiłem je dla niej, a nie dla naszego zmarłego syna. Ugotowałem spaghetti bolognese i zjedliśmy je przy stole. Postanowiłem nie pić, ale Ivy zaproponowała, żebyśmy otworzyli butelkę wina, i nie chciałem jej robić przykrości. Wypiłem tylko jeden kieliszek. Powiedziałem Ivy, że jest mi przykro.

– Z jakiego powodu? – zapytała.

– Po prostu jest mi przykro – odparłem i oboje się rozplakaliśmy.

Wieczór i tak był miły. Zjedliśmy kolację, sączyliśmy wino i obejrzeliliśmy prawie cały film, zanim Mały T obudził się głodny z płaczem. Ivy spytała, czy chcę mu podać butelkę, skoro wypila do kolacji wino. Nakarmiłem go więc stu pięćdziesięcioma mililitrami mleka modyfikowanego, siedząc na kanapie, ze zwiniętą obok w kłębek Ivy. Poczulem, że jesteśmy rodziną.

Mimo to Ivy spała na kanapie w pokoiku dziecięcym, a ja poszedłem do naszego (mojego?) łóżka sam. Pocałowaliśmy się na dobranoc – niewinne muśnięcie warg – i dotarło do mnie, że minęło wiele tygodni, odkąd to robiliśmy. Znowu miałem koszmary – niewyraźne, okropne, zagmatwane – i musiałem wziąć tabletkę nasenną, żeby ocknąć się dopiero nad ranem.

W czwartek nie miałem koszmarów i zbudziła mnie krzątająca Ivy. Chociaż było przed szóstą rano, wstałem z łóżka, przygotowałem tosty i kawę, które zjedliśmy razem w salonie, podczas gdy Mały T spał w swoim pokoju. Zapytałem Ivy o niedokończone książki, ale ona tylko wzruszyła ramionami i pokręciła głową. Miałem nadzieję usłyszeć, że chodziło o zerwanie z przeszłością, rozpoczęcie wszystkiego na nowo, zostawienie tego, co było, za sobą, ale nic takiego nie powiedziała. Przez cały dzień padało, więc zostaliśmy w piżamach, oglądaliśmy telewizję i drzemaliśmy na kanapie, graliśmy w karty i tarzaliśmy się po podłodze z naszym dzieckiem.

Nadal nie wiem, jaka przyszłość nas czeka. Jesteśmy razem od dziewięciu miesięcy, ale dziewięćdziesiąt procent naszego „romantycznego życia” przypadło

na pierwsze dwa tygodnie, zanim Ivy zaszła w ciążę. Od tamtej pory mieliśmy wspaniałe momenty – moja przeprowadzka, nieudane oświadczenia, nasz „miesiąc miodowy” – ale wydarzyło się też wiele innych rzeczy i nie jestem pewien, czy którekolwiek z nas wie, jak wrócić do tego, kim byliśmy kiedyś. Jednak dwa ostatnie dni były dobre i cokolwiek się stanie, zawsze będę kochał Ivy, a ona i Mały T zawsze będą obecni w moim życiu w ten czy inny sposób.

Tata nadal chrapie jak stary marynarz z polipami w gardle i martwię się, że obudzi dziecko. Być może śpi snem sprawiedliwego lub po prostu szczęśliwego dziadka. Spośród wszystkich osób, które nas odwiedziły – a byli to: położna, Eva, Ken, Frank i Phil – tata najmniej się krępował poruszaniem tematu śmierci Daniela. Nie wiem, czy śmierć małżonka wiąże się z równie głębokim szokiem jak śmierć dziecka (lecz nie wydaje mi się, żeby tak było), ale tata wykazał się czystą, naturalną empatią, która była dla nas niczym powiew świeżego powietrza. Mówił o bólu straty z osobistej perspektywy i o tym, w jaki sposób wpłynęło na niego to, że stracił żonę, będąc w podobnym wieku jak Ivy, gdy straciła syna. Rozpląkał się na samo wspomnienie i jednocześnie z uśmiechem opowiedział nam o wszystkim tym, za co kochał moją mamę. Mam mgliste wspomnienie własnego smutku i żałoby, po części dlatego że byłem zbyt niedojrzały, żeby w pełni ich doświadczyć, ale też dlatego że, jak mówi stare porzekadło, czas rzeczywiście leczy rany.

– Nie wiem, co dokładnie czujecie – powiedział mój tata – nie mogę wiedzieć, ale z czasem ból staje się mniej dotkliwy. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek minął, ale... wydaje mi się, że ten smutek jest częścią osoby, którą się straciło. To zabawne... czy raczej głupie, ale... przynosi ukojenie. Nie wzbraniajcie się przed nim.

Gdy to powiedział, Ivy podeszła do mojego ojca, objęła go za szyję i rozpląkała się jak dziecko, a on tulił ją i głaskał po włosach. Nastawiłem czajnik, poszedłem do toalety, usiadłem na sedesie i też płakałem – nie z żalu nad sobą, lecz dlatego że to był ich moment, który powinni przeżyć sami, żeby jak najlepiej z niego skorzystać. Przez resztę dnia tata doprowadzał mnie do szału: padł na kolana i udawał osła, ryczał jak lew, bawił się z naszym synem w „a kuku” przez całą wieczność, rozlewał herbatę, powtarzał stare anegdotki z czasów mojego dzieciństwa i generalnie zachowywał się jak wariat. Za to Mały T był zachwycony.

A teraz mój tata obudził własnego wnuka. Słyszę stłumione skrzywienie kanapy, kiedy Ivy wstaje z niej i wyjmuje Małego T z łóżeczka. Wsluchuję się w jej uspokajające: ciii, malutki, ciii... Mamusia jest przy tobie... ciii, malutki, ciii...

Musiałem znowu zapaść w sen, bo kiedy gwałtownie zrywam się z kanapy, Ivy siedzi na jej brzegu.

– Hej – mówię, kładąc się z powrotem i robię miejsce obok siebie.

Ivy kładzie się, opierając plecy na mojej piersi, i naciąga koc na ramiona.

– Przepraszam za tatę.

– Z jakiego powodu?

– Z powodu chrapania.

– Myślisz, że ty nie chrapiesz?

– A chrapię?

– Jak menel – odpowiada Ivy. – A Mały T zawsze się budzi o tej porze na karmienie.

– Co teraz robi?

– Śpi jak niemowlę. – Ivy śmieje się z własnego żartu.

Obejmuję ją ramieniem i kładę dłoń na wciąż miękkim brzuchu. Leżymy przez chwilę w milczeniu, przeżywając najbardziej intymny moment od pięciu tygodni, od narodzin naszych dzieci. Przysuwam twarz do karku Ivy i ją całuję.

Ivy odsuwa głowę, delikatnie, lecz na tyle daleko, żebym przestał dotykać ustami jej szyi.

– Myślę, że to już za nami – mówi.

Ach tak.

– Chcesz tego? – pytam.

Ivy kiwa głową – bardziej to czuję, niż widzę. Mocno ją przytulam i wdycham zapach niemowlęcia – mleka, ciepła, piżma. Kocham Ivy za tysiące małych, wielkich, trywialnych i ważnych rzeczy. Chcę, żeby była obecna w moim życiu i w moim łóżku i żebyśmy byli rodziną, ale nie zamierzam do niczego namawiać. Pragnę jej pod warunkiem, że ona pragnie mnie. Wszystko inne jest...

Uświadamiam sobie, że Ivy coś mówi.

– Słucham?

– Czy dla ciebie to też w porządku? – pyta. – Chcę, żeby to była nasza wspólna decyzja.

– No cóż... Jeśli mam być szczery, to nie bardzo. Ale skoro ty tego chcesz, to jaki mam wybór? Co mogę powiedzieć?

– Przelejemy całą naszą miłość na Małego T – mówi.

– Nie sądzę, żeby...

– Wiem, że to brzmi samolubnie, ale... Nie chcę się nim dzielić z kimkolwiek... Z innym dzieckiem. Nie po tym, co nas spotkało.

– Ale...

– Będzie nas troje – przerywa mi Ivy. – Będziemy tylko my, we trójkę.

– We trójkę?

– Ja, ty i... on. – Ivy przekręca się, żeby popatrzeć mi w oczy i uśmiecha się szerokim, szczerym, pięknym uśmiechem. – Powinniśmy wreszcie wybrać dla niego imię.

Następnego wieczoru po tym, jak dowiedzieliśmy się, że Ivy spodziewa się

bliźnięt, pojechaliśmy do Bristolu, żeby zobaczyć się z jej rodzicami. W samochodzie zapytała, ile chciałbym mieć dzieci; wykręciłem się od odpowiedzi, za to ona odparła bez wahania: troje. Teraz rozumiem, co chce powiedzieć. Mówiąc, że „to już za nami”, miała na myśli, że nie chce mieć więcej dzieci, że chce mieć trzyosobową rodzinę, wliczając w to mnie.

– Tak – odpowiadam. – Rzeczywiście musimy.

– Ta kanapa jest nierówna – zauważa.

– Wiem.

Ivy wstaje z kanapy i wyciąga do mnie rękę.

– Chodź – mówi. – Prześpisz się z nami w magicznym lesie.

Rozdział 38

– Cy... c... c...

– Spróbuj znaleźć podobnie brzmiące słowo – proszę.

– C... c... – El wykrzywia twarz, taki jest skoncentrowany, ogolona na gładko skóra czerwienieje mu z wysiłku. Bez brody wydaje się jeszcze drobniejszy i bardziej kruchy.

– Wolniej, Elly – upomina go Phil. – Odetchnij pełną piersią.

– N... no... wła... właśnie! – krzyczy El. – P... pełne m... mleka!

– Piersi? – pyta Craig.

El kiwa głową i wskazuje drżącym palcem na biust Ivy.

– Cycki. T... twoje cy... cycki s... są nadal... m... – El przykłada złożone drżące dłonie do swojej piersi.

– Masywne? – zgaduje Ivy.

– Ku... kurwa ogromniaste – mówi El, tupiąc nogami i klaszcząc. Jego śmiech jest wściekle zaraźliwy.

W domu mieszą lepsze i gorsze dni. Śpimy w tym samym łóżku, a Ivy często płacze; nie budzi się, tylko cichutko łka przez sen. Łzy płyną spod zamkniętych powiek. W niektóre dni nie potrafi się zmusić, żeby wyjść z domu, w inne ledwie zwleka się z łóżka. Mamy jednak i dobre dni, kiedy uśmiechamy się, bawimy, przytulamy, a czasami nawet śmiejemy. Ale nigdy tak jak teraz. Cały nasz El. Widzimy się po raz pierwszy, odkąd urodził się nam syn, i gdyby nie urodziny Phila, pewnie trwałoby to jeszcze dłużej. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy, jest wysłuchiwanie nietaktownych uwag Ela. Na szczęście fakt, że spodziewaliśmy się bliźniaków, najwyraźniej umknął z jego szwankującej pamięci.

Phil kończy dzisiaj czterdzieści pięć lat i z tej okazji urządził dla nas kameralnego grilla w ogrodzie na tyłach domu. Jest nas sześcioro: ja, Ivy i T, Phil, Craig i El. Dwie trzyosobowe rodziny, dwoje paplających „dzieci”, dwie sytuacje, w których szczęście przyćmił smutek.

– Chciałbym, żeby wyszło słońce – mówi Phil, trzęsąc się z zimna.

Spoglądam na Ivy, czekając, aż skomentuje jego „gówniane życzenie”, lecz ona tylko spogląda w górę na bezchmurne niebo i uśmiecha się z rezygnacją.

– Ja też – przyznaje.

Craig i Phil przestali się już kryć z uczuciami, ale w ich gestach – niewymuszonym muśnięciu dłoni, przytuleniu, delikatnym pocałunku – nie ma niczego szokującego ani obraźliwego. El naturalnie z nich drwi, lecz pomimo tych złośliwości da się zauważyć, że jest szczęśliwy.

Urodziny Phila mają w tym roku gorzki posmak, ponieważ oznaczają coś więcej niż tylko kolejną świeczkę na torcie. Jeszcze przed urodzinami Ela Phil zabierze mojego najlepszego przyjaciela i miłość swojego życia do Szwajcarii. Odwiedzą Dignitas (czy też Diggitass, jak uparcie nazywa to miejsce El), a w drodze powrotnej Phil będzie siedział w samolocie sam – mam nadzieję, że znieczulony szklaneczką dżinu z tonikiem – El zaś będzie leciał w bagażowni, w zaplombowanej skrzyni. El nie chce, żeby ktokolwiek poza Philem znał dokładną datę ich wyjazdu, ale planują go przed końcem listopada.

– Mu... musi... musicie m... m... mnie t... teraz dobrze tra... traktować. J... jak k... g... księż... księżniczkę. Ha, ha!

– Zrobiłbyś wszystko, żeby być w centrum uwagi – mówię.

– Nawet wy... wy... wykitował! Ha, ha, ha!

El nie wie o Danielu w przeciwieństwie do Phila, który z marsową miną patrzy na nas, sprawdzając, czy nie poczuliśmy się urażeni tym makabrycznym żartem.

El tupie nogami.

– Ko... ko... kopnąć w ka... kalendarz!

– El! – upomina go Phil. – Obudzisz dziecko.

El odwraca się w stronę Ivy i Małego T.

– Mo... mogę ją po... potrzymać? – pyta El, wyciągając przed siebie chude, trzęsące się ramiona.

– To chłopiec – poprawia go Phil.

– Wy... wygląda jak dzie... dziew... dziewczynka.

– El!

– M... może to p... pedzio.

– Po moim trupie – mówię odruchowo i obrywam kuksańca w ramię od Phila.

– Po... trzymać ją. Po... trzymać ją.

– El, nie sądzę...

– Proszę – mówi Ivy i zanosi Małego T siedzącemu na wózku Elowi. – Musisz być bardzo ostrożny, OK?

El przytakuje i się uspokaja. Ivy podaje mu T, ale kuca u jego stóp niczym obstawiający bramkę w krykiecie, gotowa w każdej sekundzie wkroczyć do akcji.

– T... to miłe – mówi El, przytulając delikatnie Małego T do klatki piersiowej. – J... jak ona m... ma na imię?

– To chłopiec – powtarza Ivy. – Nie ma jeszcze imienia.

– Ile to już dni?

– Trzydzieści siedem – odpowiadamy z Ivy jednym głosem.

Zgodnie z prawem mamy czterdzieści dwa dni od urodzenia T, żeby wybrać mu imię i zgłosić jego narodziny w urzędzie miasta. Nie wiem, jaka jest kara za

niedopełnienie tego obowiązku, ale jeśli nie zdecydujemy się na żadne imię w ciągu najbliższych pięciu dni, wkrótce się dowiemy.

– N... nie m... m... ma imienia!

Ivy kręci głową.

– Nie znaleźliśmy odpowiedniego.

– E... El to ładne i... imię. Sz... cz... gólnie, jeśli b... będzie ho... homo.

– Będziemy o tym pamiętać – zapewnia go Ivy.

El marszczy brwi, jakby coś go gnębiło. Odwraca się w stronę Phila.

– N... nie mówiłeś, że... że b... będą mi... mieli...

Wszyscy troje wstrzymujemy oddech.

– Parzę! – kończy El. – Bli... bliźniaki.

Wymieniliśmy dzisiaj kilka uwag na temat naszej tragedii, które teraz kołaczą się Ełowi po głowie, lecz jego komentarz całkowicie nas zaskoczył. Czuję na sobie świdrujący wzrok Craiga i Phila.

Ivy kręci głową.

– Mamy tylko jego, El – mówi Ivy. – Było tylko jedno dziecko.

– A tobie znudziła się już broda? – zwracam się do Ela.

– G... gdybym poleciał do Szwa... Szwajcarii z bro... brodą, m... miałbym ją j... już na za... za... zawsze. A co gdy... gdyby wysz... wyszła z m... mody?

– Może masz rację, Ivy – odzywa się Craig.

– W jakiej sprawie?

– Może od samego początku miał być tylko on. – Craig wskazuje ruchem głowy na leżące na kolanach Ela dziecko.

Phil wpatruje się w Craiga, lecz wyraz jego twarzy niczego nie zdradza.

– Chodzi mi o to, że... Od tego się przecież zaczyna, prawda? – Craig zerka na Ela, który jest zajęty pokazywaniem języka Małemu T. Wypowiada bezgłośnie słowo „bliźniaki”. – W przypadku tych jednojajowych... Zaczyna się od jednego dziecka, prawda? Przepraszam... Właściwie nie wiem, co...

Ivy zabiera Ełowi Małego T, unosi go do góry i się uśmiecha. Słońce zmienia cienkie sterczące włoski Małego T w złocistą aureolę.

– Czy wujek Craig ma rację? – pyta śpiewnie głosem zarezerwowanym dla dziecka.

Mały T się uśmiecha, a później beka.

– Tak, mnie też się podoba ten pomysł – mówi Ivy. – Naprawdę mi się podoba. I to bardzo.

Rozdział 39

W czwartek kończymy montować *Pollocka*, chociaż teraz film nosi tytuł *Widok stąd* (był to pomysł Ivy), który bardziej mi się podoba. Film jest dobry; czas pokaże, czy dostatecznie dobry, ale po obejrzeniu zmontowanego materiału długości dwunastu minut i czterdziestu ośmiu sekund, jeszcze przed korekcją obrazu i udźwiękowieniem, na twarzy mam uśmiech, a w oczach łzy. Chociaż ostatnio łatwo mnie doprowadzić do płaczu.

Kiedy wracam do domu, Ivy leży na podłodze i bawi się z Małym T.

– Hej – mówi, patrząc z podejrzaną miną; wygląda na jednocześnie skruszoną i zadowoloną z siebie.

– Wszystko OK?

Ivy kiwa głową.

– Poszłam na spacer.

– Dokąd?

– Niedaleko; tylko do ratusza.

– Czy ty... – Wskazuję na Małego T, który usiłuje zlizać farbę z drewnianej grzechotki. – Nadałaś mu...

Ivy przytakuje.

– Imię.

– Ale przecież nie wybraliśmy... Myślałem, że pójdziemy tam jutro. Razem.

Ivy wzrusza ramionami. Pogódź się z tym, koleś.

– No więc...?

Ivy podnosi dziecko i podaje mi je.

– Przywitaj się z Danielem – mówi.

O niczym innym nie marzę, ale z trudem tłumię szloch. Ivy obejmuje ramieniem Daniela i mnie i przez dłuższy czas stoimy tak, na środku salonu, przytulając się i płacząc.

Rozdział 40

Napis na niewielkiej mosiężnej tabliczce głosi: PAMIĘCI UKOCHANEGO ARTHURA. TO BYŁO JEGO ULUBIONE MIEJSCE NA ŚWIECIE. Nie mam pojęcia, kim był Arthur, ale miał znakomity gust, jeśli chodzi o ławki; w ciągu ostatnich kilku tygodni spędziłem tu wiele godzin. Niezależnie od pogody prawie każdego dnia wybieramy się na spacer do Common (raz poszliśmy tam nawet nocą, rzucając wyzwanie ciemności, lisom i miejscowym nastolatkom) i zacząłem o niej myśleć jak o naszej ławce. Ławka znajduje się rzut beretem od stawu z kaczkami. Siedząc na niej, rzadko rozmawiamy, po prostu siedzimy, bujamy wózkiem Daniela i rozkoszujemy się otwartą przestrzenią.

W niedzielę Dan skończy czternaście tygodni i chcemy to uczcić, jadąc do północnej Walii i przedstawiając go cioci, wujkowi i jego postrzelonym siostrzyczkom. Cztery tygodnie temu Steve'owi i Carrie, parze, którą poznaliśmy w szkole rodzenia, urodziła się Daisy. Umówiliśmy się z nimi wczoraj na kawę i miło spędziliśmy dwie godziny, gawędząc i wymieniając się dobrymi radami na temat wychowania dzieci, jak na zaprawionych w bojach rodziców przystało. Martwiłem się, że widok Steve'a, Carrie i ich dziecka może wywołać w nas złe wspomnienia, ale jeśli już, to raczej pomógł nam się ich pozbyć. Zaprosiliśmy ich do nas na kolację w przyszłym tygodniu i Ivy już się zastanawia, co ugotować. Pod wieloma względami przypomina to chodzenie na randki: wzajemne poznawanie się, wspólne planowanie i zastanawianie się, czy tamci polubią nas tak bardzo, jak my ich. Kto wie, może pewnego dnia Daisy i Dan się ze sobą spikną, upiją się cydrem w tym właśnie parku i będą robić rzeczy, o których lepiej na razie nie myśleć. Zerkam na zegarek, wyciągam do góry ręce i rozprostowuję szyję – jest to sygnał, że pora wracać do domu. Ivy podnosi się z ławki i sprawdza, co z Danielem, a ja wycieram rękawem odciski palców i kurz z tabliczki Arthura. Może któregoś dnia w parku stanie ławka z moim imieniem.

– Z czego się tak cieszysz? – pyta Ivy.

– Z niczego. Po prostu myślę sobie, jak bardzo mi się tu podoba.

W ubiegłym tygodniu zaczęło się lato i kiedy pcham nasz nowy pojedynczy wózek po nierównym terenie Wimbledon Common, pot cieknie mi po plecach. W przyszłym tygodniu spotykam się z Joem, żeby porozmawiać o kilku zleceniach. Ivy jeszcze o tym nie wie (nic jej nie powiedziałem), ale powinienem jak najszybciej znowu zacząć zarabiać. Jedno jest pewne, nigdy więcej nie zamierzam przyjmować gównianych robót – żadnego papieru toaletowego, niskooprocentowanych pożyczek i leków na zaparcia. W końcu żyje się tylko raz,

a ja już prowadzę z Suzi rozmowy o tym, co dalej. Ivy nie jest zdecydowana, kiedy – i czy w ogóle – wróci do pracy, ale założę się, że nieprędko.

Kiedy docieramy na skraj parku, zjeżdżam z trawy na chodnik.

– Jezu, ile ja bym dał za odrobinę wiaterku.

Ivy popatruje na mnie z pobłażliwym uśmiechem, ale nic nie mówi. Stało się to takim naszym prywatnym żartem, że ja rzucam na rybkę jakieś życzenie, a Ivy gryzie się w język, żeby tego nie skomentować. To całkiem zabawne, chociaż obiecuję sobie więcej tego nie robić. Oboje wiemy, że wróżka spełniająca życzenia nie istnieje, i wydaje mi się, że ten żart powoli przestaje być śmieszny.

– Chodźmy tędy – mówię, kierując wózek w stronę szerokiej ulicy wysadzonej drzewami, przy której wznoszą się imponujące posiadłości z oknami po obydwu stronach drzwi.

– Chciałabym już wrócić do domu – odpowiada Ivy. – Odkąd wyskoczyła ze mnie ta małpeczka, mam problemy z trzymaniem moczu.

Mimo to wjeżdżam wózkami w ulicę.

– Nadłożymy tylko kilka minut drogi. Będziemy szybko szli.

– Jeśli się zsikam, to będzie twoja wina.

Po jakichś dwudziestu metrach zbliżamy się do domu z tabliczką „na sprzedaż” przymocowaną do jednego z wysokich kamiennych słupów bramy. Zatrzymuję wózek.

– No chodźmy! – woła Ivy, przebijając w miejscu nogami. – Naprawdę długo już nie wytrzymam.

Wskazuję na tabliczkę z napisem „na sprzedaż”.

– Może pozwolą ci skorzystać z toalety.

– Przestań błaznować.

– Będziemy udawać, że szukamy domu.

Ivy nadal przestępuje z nogi na nogę jak dwulatek, który pilnie musi skorzystać z toalety.

– Fisher! Czy wiesz, ile kosztują takie domy?

Dzięki ci!

– Sam nie wiem, pewnie parę tysięcy więcej niż twoje mieszkanie.

– Raczej kilkaset tysięcy. Pięćset, może sześćset.

– Zawsze możemy sprzedać moje.

Ivy przestaje dreptać, jej twarz się rozluźnia.

– Chciałbyś to zrobić? – pyta. – Sprzedać swoje mieszkanie? – Wzruszam ramionami. – A jak sądzisz, ile jest warte?

Podaję dokładną kwotę.

Ivy unosi brwi i wlepia we mnie zdumiony wzrok.

– Cóż za precyzja.

– Cena obejmuje meble, lodówkę i zmywarkę.

– Chcesz powiedzieć, że wystawiłeś swoje mieszkanie na sprzedaż?

– Uhm. Chociaż... to już właściwie nie jest moje mieszkanie.

– Sprzedałeś je?!

Przytakuję.

Spojrzenie Ivy lodowacieje.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Ja tylko... Pomyślałem, że...

– Nie! – wrzeszczy Ivy. – Właśnie, że nie pomyślałeś. Bo gdybyś to zrobił, zapytałbyś, czy mam ochotę wyprowadzić się ze swojego mieszkania.

– Ja...

Cała złość ulatuje z twarzy Ivy.

– Doprawdy – mówi – to zbyt łatwe.

– Ty...?

Ivy kiwa głową, liże koniuszek wskazującego palca i kreśli w powietrzu niewidzialną jedynekę.

– Punkt dla mnie.

– Nienawidzę cię – mówię.

Ivy zarzuca mi ręce na szyję i mocno całuje w usta.

– A ja cię kocham – oznajmia. – Kocham, kocham, kocham.

– Ładny wybrali państwo dzień – rozlega się za naszymi plecami męski głos.

Odwracam się i widzę mężczyznę zamykającego samochód z logo agencji nieruchomości. Podchodzi do nas i wyciąga rękę na powitanie.

– Państwo Fisher?

– Tak – odpowiadam, ściskając jego dłoń. – Tak jakby.

– Ben – przedstawia się agent nieruchomości. – A kogo my tu mamy? – szczebiocze, kucając przed wózkiem.

– Nie chcę być niegrzeczna – odzywa się Ivy – ale jeśli w ciągu pół minuty nie skorzystam z toalety, zsiusiam się w spodnie.

– Żaden problem – oznajmia agent. – Ma pani aż cztery toalety do wyboru.

Wchodzimy za nim do domu: Ivy, mały Daniel i ja.

Epilog

Jest ostatni tydzień sierpnia, a my nadal mamy mnóstwo rzeczy do rozpakowania. Najważniejsze sprzęty są już na swoim miejscu: łóżeczko w pokoju Daniela, książki Ivy na półkach, mój skórzany fotel, czterdziestodwucalowy telewizor HD oraz Xbox zainstalowane w salonie. Mieszkanie Ivy sprzedało się w ciągu tygodnia, później sprawy potoczyły się zatrważająco szybko. Mieszkamy tu od trzech tygodni, a ja nadal nie przyzwyczałem się do naszego nowego domu (ani wysokości hipoteki). Ze wszystkich zmian, jakie nas spotkały, to właśnie jedna z tych najbardziej błahych sprawia mi największą przyjemność.

Odkąd mieszkam w Londynie, nigdy nie miałem własnej skrzynki na listy; zawsze tylko przegródkę we wspólnej dla wszystkich lokatorów. Dźwięk listów wpadających przez moje frontowe drzwi, prosto na mój chodnik w moim korytarzu – nawet jeśli te listy to głównie śmieci – jest niczym dźwiękowe uszczypnięcie w ramię, przypominające o tym, jak daleko z Ivy zaszliśmy i jakim jestem szczęściarzem.

O ósmej trzydzieści rano z płytkiego snu wyrywa mnie melodyjny stukot. Gramolę się z łóżka, zostawiając Ivy i Daniela – ma już pięć miesięcy! – zwiniętych w kłębek i pogrążonych we śnie.

Na chodniku leży kilka ulotek, rachunek, list z banku i lokalna gazeta. Podnosząc je z podłogi, w ostatniej chwili zauważam pocztówkę.

Zdjęcie przedstawia domek nad strumieniem otoczony soczystą zieloną trawą przetykaną żółtymi kwiatami. W tle ośnieżone góry wbijają się w idealnie białe obłoki (możliwe, że sięgają do samego nieba). Na froncie pocztówki fantazyjną czcionką wydrukowano tylko jedno słowo: Szwajcaria.

Oddech więźnie mi w gardle, a oczy stają się wilgotne, kiedy obracam w palcach pocztówkę. Odczytuję skreśloną nierównym, drżącym pismem wiadomość:

Szkoda, że Cię tu nie ma.

Ha, ha, ha!

El

* * *

Jednocześnie śmieję się i płaczę. Jego ostatni śmiech – przechodzi mi przez myśl, kiedy łyzy przybierają na sile. Zabieram pocztówkę do kuchni, magnesem w kształcie krowy przyczepiam ją do lodówki i nastawiam wodę na kawę.

Podziękowania

Dotarcie do tego miejsca – podziękowań na końcu tej książki – zabrało mi dużo czasu i nie byłoby możliwe bez pomocy kilku wspaniałomyślnych, mądrych, cierpliwych, wspierających mnie osób. Na szczycie listy jest moja żona, Sarah – przeczytała każde słowo, które napisałem. Poza udzielaniem wspaniałych rad (i okazywaniem zerowej tolerancji wobec kiepskich dowcipów i przesady) pilnuje, żebym miał czas na pisanie – opiekuje się naszymi córkami, kiedy odcinam się od świata. Opiekuje się również mną. Nie było łatwo, skarbie, ale wspólnie dotarliśmy do celu. Druga najważniejsza kobieta w moim życiu, równie przenikliwa i wymagająca recenzentka co pierwsza, jest jednocześnie tą, która przetrwała dwudziestogodzinny poród, żeby sprowadzić mnie na świat. Dzielnie walcząc z wulgaryzmami i zaawansowaną zaćmą, przeczytała wszystkie wersje tekstu, zachowując przy tym humor i krytyczne spojrzenie (jednego oka, bo kto potrzebuje obu?). Wiem, że czasami rumieniłaś się podczas lektury, ale przynajmniej nauczyłaś się kilku soczystych wyrażen – dziękuję ci, mamó. Stan z Jenny Brown Associates jest najlepszym agentem, jakiego mógłbym sobie wymarzyć – nie tylko sprzedał moją książkę wydawnictwu (a to już coś), lecz także udoskonalił ją swoimi błyskotliwymi uwagami. Jak na faceta przystało, Stan umniejsza swój wkład, ale nie dajcie się zwieść. I wreszcie dziękuję Clare Hey, redaktorce z wydawnictwa Simon & Schuster. Gdyby nie ona, nie byłoby tej książki. Jej pomoc okazała się nieoceniona. Clare poczyniła kilka trafnych uwag dotyczących roboczej wersji tekstu i udzieliła darmowej lekcji na temat słów, od których kobietom cierpnie skóra. Który facet by się ich domyślił? Szczere podziękowania należą się osobom, od których otrzymałem szereg profesjonalnych porad w sprawie połoźnictwa, choroby Huntingtona oraz produkcji filmowej. Są to: Harriet Jones, Kylie Watson, Sarah Tabrizi, Mike Oughton i Steve Huggins. I wreszcie stokrotne wyrazy wdzięczności dla redakcji Simon & Schuster. Nie tylko za entuzjazm, zaangażowanie, wiedzę i zaraźliwy urok... lecz także za to, że uczyniliście to pisarskie doświadczenie niezwykle ekscytującym i przyjemnym. Kerrie McIlloney, Sara-Jade Virtue, Ally Grant, Rumana Haider, Hayley McMullan, Elinor Fewster, Sarah Cantin, Sarah Birdsey i Emma Capron... jesteście wspaniałe.

